

Peter Clement

Zabójcza praktyka

Tytuł oryginału: LETHAL PRACTICE

Powieść tą dedykuję moim przyjaciołom, współpracownikom i „aniołom z Nowego Jorku” — Beverly, Carolyn, Danelle, Jeffowi oraz Denise — wdziaczny za ich wielkoduszność, przekazywane wiadomości i mistrzowską ekspertyzą. Dziękuję.

Rozdział 1

— Czy ja umieram, doktorze? Jezu, skąd oni to zawsze wiedzą?

— Nie — skłamałem. — Pańskie płuca wypełnia płyn. Musimy panu podać środek, który go usunie.

Pod maską tlenową otwarte usta pacjenta bezskutecznie próbowały łapać powietrze. Mięśnie klatki piersiowej i brzucha wyteżały się przy każdej próbie, a mimo to oddychał płytko, gulgocząc przy tym głośno. Jego skóra zrobiła się miękka i przybrała kolor brzucha śniętej ryby. Miał około pięćdziesiątki, a wyglądał na o wiele starszego.

Znajdowaliśmy się w pokoju zabiegowym. Było to ostro oświetlone, chłodne pomieszczenie, w którym od wykafelkowanych ścian odbijał się echem każdy dźwięk. To tu zwykle padały najgorsze diagnozy. Susanne Roberts, przełożona pielęgniarka, stała pochylona nad pacjentem, próbując znaleźć żyłę i włożyć w nią igłę.

— Cholera — mruknęła.

— Daj mi ventolin i osiemdziesiąt miligramów lasixu.

— Próbuję znaleźć żyłę w prawej ręce — powiedziałem i sięgnęłam po opaskę uciskową. Susanne natychmiast wypełniła

— P? — Skóra pacjenta była mokra i zimna. Przesuną-

Przerw na szyję' żeby wyczuć puls. Słaby i nierówny, a na
gubię nic. Wstrząs. — Dopamina! — krzyknąłem do

7

Susanne. Wiele razy wspólnie braliśmy udział w takim wyścigu. Pracowała na oddziale nagłych wypadków już piętnaście lat i zawsze wiedziała, co robić.

Oddech pacjenta znacznie się przyspieszył, a gulgotanie było coraz głośniejsze. Dusił się własnymi płynami. Kroplówka, środki uspokajające i intubacja mogłyby opróżnić płuca na czas, ale nigdy nic nie wiadomo.

Zacisnąłem opaskę na jego prawej ręce, lecz żyły i tak nie było widać. Szukałem na ślepo. Natarłem spirytusem miejsce, gdzie powinna być, i wkłułem się. Nic z tego.

Klatka piersiowa mężczyzny podnosiła się i opadała coraz szybciej. Nie mógł już mówić. Mocniej przycisnąłem igłę. Krew zaczęła spływać do wenflonu. Wkłułem się, ale pacjent robił się siny. Na monitorze rejestrującym pracę serca pojawiły się nierówne uderzenia.

Susanne była już przy mnie ze środkami uspokajającymi.

— Mam żyłę — powiedziałem. — Daj mi kroplówkę. Podała mi czystą rurkę, zakończoną woreczkiem z płynem.

Końcówkę wepchnąłem do wenflonu i otworzyłem. Nagle skóra obok wkłucia zrobiła się sina od krwi z pękniętej żyły.

Cholera. Jak coś jest nie tak, to na całego.

Pacjent zaczął przewracać oczami.

— Wezwij jednostkę reanimacyjną — powiedziałem z udanym spokojem, z jakim mówię, kiedy tracimy pacjenta. Zastanawiałem się, czy to kogokolwiek oszuka.

Susanne podbiegła do telefonu, a ja zrezygnowałem z podłączenia kroplówki. Płuca pacjenta wypełniały się szybciej, niż przewidywałem. Z jego ust zaczynała wydobywać się piana z krwią. Już za późno na leki. Mogłem go uratować, wkładając do tchawicy rurę i wydmuchując płyn, aby do płuc dostał się tlen. Susanne skończyła rozmowę i zaczęła podłączać sprzęt, którego mieliśmy za chwilę użyć.

Nad naszymi głowami skrzeczało w głośniku:

— Jednostka reanimacyjna na oddział nagłych wypadków! Teraz cały szpital wiedział, że mamy kłopoty. Pacjent też.

Opuścił głowę i przestał oddychać.

— Zadzwoń, że mamy dziewięćdziesiąt dziewięć! — krzyknąłem. Ten numer oznaczał zatrzymanie akcji serca.

8

Na monitorze pojawił się nieregularny zapis migotania leomór. Susanne wpychała pod plecy pacjenta deskę, a ja chwyciłem elektrody i zacząłem ustawiać urządzenie na dwieście dzuli. Susanne posmarowała klatkę piersiową mężczyzny żelem i wróciła do telefonów.

Prąd kopnął go z głośnym trzaskiem, wygiął ciało w luk, ale serce nie odpowiedziało. Znow uderzenie prądem... i znow bez skutku. Spróbowałem jeszcze raz. Nic.

Przybiegła lekarka.

— Ruszaj! — rozkazałem.

Stała już obok głowy pacjenta i zdjęła założoną wcześniej maskę tlenową. Przytknęła mu do twarzy czarną maskę z gumowym workiem. Nacisnęła kilkakrotnie, wpychając do płuc powietrze. Potem chwyciła laryngoskop, otworzyła go jedną ręką jak nóż sprężynowy i wprowadziła do ust pacjenta. Ze środka wylała się piana i wymiociny. Chwyciła ssak i wcisnęła go w maź pozostałą w gardle. Z hałasem wciągnęła wszystkie płyny. Ponownie użyła laryngoskopu, odsłaniając wejście do tchawicy, i ostrożnie włożyła do środka rurkę.

— Już — powiedziała spokojnie. Chwyciła czarny worek i znow zaczęła wpychać powietrze w płuca pacjenta. Z każdym ściśnięciem torby z płuc wychodziło coraz więcej piany z krwią. Tlen wypychał płyny, które blokowały oddychanie. Kobieta uśmiechnęła się i z pewnym siebie wyrazem twarzy zapytała: — Jak dziś samopoczucie, doktorze Garnet?

— Mądralińska — powiedziałem z uśmiechem. Susanne naciskała klatkę piersiową pacjenta. Wepchnięte do

płuc powietrze i masaż serca przywróciły mu odrobinę kolorów, ale kreski na monitorze wciąż wyglądały jak indeks giełdowy w czarny wtorek. W dalszym ciągu nie mogliśmy podłączyć kroplówki.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt dziewięć! Nagły wypadek! — grzmiał obcy głos z głośnika.

Jeśli nawet tego potrzebuję, nie znoszę, kiedy wszyscy przybiegają na pomoc. Pojawia się wtedy każdy, kto nie ma nic innego do roboty. Wpycha się do środka tyle

osób, że zamiast reanimacją zajmuję się kierowaniem ruchem.

Pierwszy w drzwiach pojawił się James Todd. Ubranie miał

9

jak zawsze w nieładzie, a na twarzy wyraz skupienia. Wiele osób na internie przybrało ten sposób bycia i wygląd przepracowanego lekarza, by ukryć swą niewiedzę. Wystarczyło jedno spojrzenie na niego, a już czułem się zmęczony. Idąc w moją stronę, Todd zapinał pasek u spodni. Pewnie usłyszał wezwanie w ubikacji.

— Miło pana widzieć, doktorze Todd. Może mi pan założyć wkłucie centralne?

Todd miał opinię złotej rączki. Pod obojczykiem jest główna żyła prowadząca do serca. Wiedziałem, że z łatwością wkłuje tam igłę. Skinął szybko głową i zaczął nakładać rękawice. Miałem tylko nadzieję, że umył ręce, nim wyszedł z toalety.

Czekając, otworzyłem kilka ampulek rozcieńczonej epinef-ryny i wlałem je do rurki wchodzącej do tchawicy. Lekarka zaczęła znów naciskać czarny worek. W normalnych warunkach wepchnęłoby to epinefrynę do wnętrza płuc, do pęcherzyków wypełnionych powietrzem, a przez nie do krwi, ale u tego pacjenta płyn przedostawał się z krwiobiegu do pęcherzyków płucnych, uniemożliwiając wchłonięcie leku tą drogą. Kazałem Toddowi i reszcie się odsunąć i znów potraktowałem go prądem. Tak jak się obawiałem, nic to nie pomogło.

Dwóch studentów weszło do środka i natychmiast poleciłem im usunąć krew i pianę. Hałas był coraz większy. Przyszła jeszcze studentka. Kazałem jej pilnować drzwi i nikogo nie wpuszczać do środka, ale nim skończyłem mówić, w drzwiach pojawiła się głowa księdza, stałego bywalca oddziału nagłych wypadków; przychodził z pobliskiego kościoła Błogosławionej Trójcy Świętej. Przecisnął się pod ramieniem studentki.

— Czy to katolik, Earl? — zapytał, drepcząc obok mnie do stołu.

Wzruszyłem ramionami, a ksiądz dotknął pacjenta i zaczął mrużyć pod nosem modlitwę za umierających. Wypełniało go przekonanie o własnej ważności.

— Gotowe — powiedział Todd. Znalazł żyłę.

Na moje polecenie Susanne otworzyła następną ampulkę epinefryny i wstrzyknęła jej zawartość przez kroplówkę. Sięg-

10

nąłem po elektrody, przyłożyłem i odpaliłem. Pacjent znów się wygiął w łuk, ale tym

razem poplątana linia na monitorze wyprostowała się i osiągnęła stały, zorganizowany wzór normalnie pracującego serca. Przyłożyłem mu palce do szyi. Czuję tętno.

— Proszę odczyt ciśnienia krwi.

Susanne napompowała rękaw ciśnieniomierza na ramieniu pacjenta i spuszczać powietrze, słuchała przez stetoskop.

— Dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt.

Wszyscy odetchnęli, choć zdawali sobie sprawę, że do mety jeszcze daleka droga.

Zaordynowałem dwie dawki ksylokainy, jedną natychmiast, drugą za dziesięć minut, żeby zapobiec nawrotowi arytmii. Susanne zawiesiła kroplówkę. Ciśnienie wzrosło do 110/70.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho. Słyszał tylko szum respiratora i stałe, rytmiczne piśnięcie z monitora. Po akcji reanimacyjnej zawsze tak jest, niezależnie od wyniku. Przerwałem ciszę:

— Dajcie go na intensywną terapię, zanim znów dostanie zapaści.

Od dwudziestu lat przyjmowałem pacjentów w takim stanie i starałem się coś poradzić. Problem w tym, że nie jestem świętym uzdrowicielem, a tu zdarzają się pacjenci zarówno z prostymi dolegliwościami, jak i wymagający cudownych uzdrowień, a czasem zupełnie beznadziejne przypadki. Próbujemy oddzielić od siebie tych, którym zostały tylko sekundy, od tych, którym pozostały jeszcze godziny. Zawsze jestem do tyłu. Muszę nadgonić czas. W tym zwariowanym zawodzie, wymagającym precyzyjnych, idealnie wyćwiczonych poczynań, naszym nieodłącznym towarzyszem jest strach. Kiedy spoglądam w twarz pacjenta, odczytuję z niej niezmienną, niewypowiedzianą modlitwę: Stało się, doktorze. Teraz mogę liczyć tylko na ciebie. Spraw się dobrze.

Razem z pielęgniarkami odwiozłem pacjenta na intensywną terapię. Był niedzielny wieczór. Wiedziałem, że na oddziale jest tylko stażysta. Niektórzy z nich mieli tyle doświadczenia z trudnymi przypadkami, że udawało im się utrzymać przy życiu chorego, nim przywołano z domu któregoś z lekarzy

11

specjalistów. Chciałem mieć pewność, że mojemu pacjentowi nic nie będzie. Wyszedł już z najgorszego, ale najtrudniej było sprawić, żeby wyszedł ze szpitala żywy.

Z początku, po opuszczeniu silnie oświetlonej izby przyjęć na oddziale nagłych wypadków, w ciemnych pomieszczeniach intensywnej terapii trudno było cokolwiek zobaczyć. Nawet w dzień jest tu cicho, a teraz w nocy cały oddział zamieniał się w galerię leżących w półmroku pacjentów, podłączonych do rurek i świecących czerwonymi światełkami urządzeń. Zasłony, oddzielające od siebie łóżka, wyglądały jak całuny. Od czasu do czasu jakieś piśnięcie podrywało pielęgniarki. W słabo oświetlonej dyżurce widać z daleka zielonkawe ekrany monitorów, na których pokrzywione linie opisują los każdego pacjenta ze słabym sercem.

Podczas gdy ja pospiesznie objaśniałem stan pacjenta, pielęgniarki przekazały przypadek swoim koleżankom i udały się na dół. W pięć minut opisałem zdenerwowanemu stażystce, który po raz pierwszy miał dyżur na intensywnej terapii, stan tego człowieka. Potem musiałem rozprostować kości. Postanowiłem więc piechotą zejść na swój oddział.

Kiedy szedłem w stronę drzwi, zauważyłem, że przed chwilą ścierano podłogi na korytarzach. Obok pokoju lekarzy ktoś zostawił mopa i wiadro. Spojrzałem na zegarek. Była siódma. Pomyślałem, że jedna ze sprzątaczek ledwo co przepracowała trzy godziny, a już okupuje skórzany fotel w sanktuarium, w którym podczas normalnych godzin pracy lekarzy nie wolno jej przebywać. Każdy kombinuje.

Za rogiem wpadłem na powszechnie niegdyś szanowanego szefa do spraw administracyjnych, a teraz ponadstukilowego pijaczynę, Everetta Kingsly'ego. Mruknął zaskoczony i to wystarczyło, by jego przesiąknięty wódką oddech dał mi znać, że pił. Siwe włosy zwykle miał przykładnie przyczesane, teraz jednak były zmierzwione i splątane jak śmietana na ptysiu. Siwa broda, zapuszczona z niedbalstwa, a nie dla dodania sobie powagi, sterczała w nieładzie niczym szczecina i sprawiała, że wszystko zaczynało mnie swędzieć. Wyglądał, jakby złapała go burza.

12

— Doktor Gamet! — wykrzyknął moje nazwisko, jak gdyby je właśnie gdzieś przeczytał.

— Dobry wieczór, panie Kingsly — odparłem, pomagając mu utrzymać pion, po czym odsunąłem się na bezpieczną odległość. Pachniało od niego potem przesiąkniętym alkoholem, co zawsze zdradzało osobę regularnie popijającą wódkę.

— Tak — powiedział po długim namyśle.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytałem. Spojrzał na mnie, urażony, a po chwili na coś za mną.

Zdawało się, że próbował przeczytać napis na gaśnicy pianowej, po czym poszedł w głąb korytarza. Przytrzymał się jej i ruszył halsem w dalszą drogę. Odwróciłem się z poczuciem winy, że nie mogę mu pomóc. Musiałem iść na oddział. Podbiegłem jednak do ochroniarzy i powiedziałem im, gdzie mogą znaleźć Kingsly'ego.

— Chryste, ktoś powinien coś z nim zrobić — stwierdził jeden z mężczyzn, kiedy odchodziłem. — To już drugi raz w tym miesiącu.

— Ktoś mówił, że próbował bzyknąć tę sprzątaczkę, Agnes.

— To alkoholik. Powinni go...

Zamknęły się za mną drzwi prowadzące na schody i nie słyszałem dalszej części rozmowy. Ochroniarz miał rację. Cała reszta świata porzuciła zwyczaj picia trzech kieliszków martini do obiadu, ale nie Kingsly. Weszło mu to w nawyk i biedak powoli staczał się na dno. Nie nadawał się do niczego, jeśli chodzi o sprawy szpitalne, a na dodatek stanowił zagrożenie dla choćby umiarkowanie atrakcyjnych kobiet, które miały odwagę obok niego przejść. Tym razem pewnie pił w domu i przyszedł do szpitala... po co? Żeby dopaść jakąś kobietę z obsługi?

Poczułem znów wyrzuty sumienia, że moja cierpliwość do Kingsly'ego się kończy. Osiem lat temu świetnie prowadził szpital, był pełen werwy i popierał moją kandydaturę na ordynatora oddziału nagłych wypadków.

„Nowa krew! Nowe pomysły! Oto czego potrzeba temu szpitalowi” — mówił wtedy po moim mianowaniu. Żaloszny był fakt, że teraz narażał szpital na straty. Już wiele miesięcy temu ktoś powinien był coś zrobić z nim i jego problemem

13

alkoholowym. Ponieważ jednak na razie nikt nie kiwnął palcem, doszedłem do wniosku, że wszyscy są równie mocno jak ja zajęci swoją pracą.

Było prawie wpół do dwunastej. Do tej pory zająłem się przeciętą ręką, kilkoma zwichniętymi stawami kolanowymi i czterema tuzinami mniej skomplikowanych przypadków, które musiały poczekać na swoją kolej podczas reanimacji. Jak na okręg Buffalo, to była spokojna niedzielna noc. Kilka przybyłych w tym czasie karettek przywiozło starszych ludzi z grypą, w stanie dość poważnym, ale niezagrażającym życiu pacjentów. Mimo to pod koniec dyżuru byłem już zmęczony i cieszyłem się, że zbliża się północ. Dwadzieścia po dwunastej, a mój zmiennik jeszcze nie przyszedł.

Kradic! Interniści z innych zmian też narzekali ostatnio, że Kradic coraz bardziej się spóźnia. Rozmawiałem z nim na ten temat, ale on jak zwykle się czymś wykpił. Zrobił się tak bezczelny, że jedynym sposobem, by przyznał się do błędu, nie mówiąc

już o jego naprawieniu, było przedstawienie mu niezbitych dowodów. Tak więc, kiedy jeden z lekarzy poprosił mnie któregoś dnia o zastępstwo z powodu grypy, nie ociągałem się specjalnie, mając nadzieję przyłapać wreszcie Kradica. Gdy się spóźni na moją zmianę, nie będzie mógł przecież, do diabła, wykręcić się sianem.

— Dotrzesz dziś do domu? — zapytała Susanne, stojąc już w płaszczu. Uśmiech na jej twarzy nie dawał mi wielkich szans. Nawet mój stażysta gdzieś zniknął, żeby się trochę przespać. Przynajmniej nie czekali już pacjenci.

Czterdzieści minut później doktor Albert Kradic przywłókł się wreszcie. Był wysoki i trochę za gruby. Z powodu nocnych dyżurów miał bladą cerę. Włosy zaczesywał mocno do przodu, zostawiając tylko niewielką grzywkę, która miała przykryć stare blizny po trądziku. Miał około trzydziestki, ale wyglądał starzej. Sądząc po zdziwieniu, które malowało się na jego twarzy, nie spodziewał się mnie tu zobaczyć.

Postanowiłem zrugać go od razu, i to głośno, żeby wszystkie pielęgniarki słyszały. Wiedziałem, że ma problemy finansowe

14

i boi się stracić pracę, poza tym bardzo dba o własną opinię. Sądziłem, że przy personelu nocnej zmiany nie będzie miał tyle tupetu, żeby zaprzeczyć temu, iż regularnie spóźnia się do pracy. Widząc uśmieшки na twarzach pielęgniarek, musiał spuścić z tonu.

— Doktorze Kradic, ma pan problem z przychodzeniem do pracy na dwunastą w nocy?

— Nie rozumiem. Budzik mi się popsuł, to wszystko. Ten miał tupet. Jedna z pielęgniarek prychnęła, a Kradic

posłał jej ostre spojrzenie.

Chryste, sądziłem, że wybuchnie kłótnia. Kiedy między personelem dochodzi do konfliktu, wszyscy przysyłają mi karteczki, w których narzekają, że druga strona agresywnie się zachowuje. Na moim biurku rano na pewno będzie leżało ich kilka, zwłaszcza jeśli Kradic spróbuje się dowiedzieć, kto na niego naskarżył.

Tym razem byłem zbyt zmęczony, żeby to ciągnąć.

— Proszę tego więcej nie robić — rzuciłem i zacząłem się zbierać. Musiałem krótko opisać każdy z przypadków, żeby Kradic nie próbował zbyt długim przekazywaniem pacjentów usprawiedliwić swoich ewentualnych zaniedbań.

Pięć minut później zdjąłem fartuch i szedłem z teczką do wyjścia. Bolały mnie stopy

i plecy. Miałem ochotę odsypiać to przez tydzień. Ochroniarz już otworzył mi drzwi, kiedy usłyszałem z głośnika:

— Dziewięćdziesiąt dziewięć do administracji! Dziewięćdziesiąt dziewięć do administracji!

Cholera.

Z zewnątrz z powiewem lekkiego wiatru wpłynęło do środka chłodne, świeże powietrze. Mogłem iść dalej... niech się inni martwią kolejnym zawałem.

I tak bym nie zasnął.

Niechętnie, wiedziony przyzwyczajeniem, poszedłem jednak na oddział nagłych wypadków. Po drodze spotkałem pielęgniarki wychodzące z oddziału reanimacji z aparatem do elektrowstrząsów. Kradic kiwał na mnie z przestraszoną miną.

— Zostań tu i sprowadź windę — powiedziałem i odwróciłem się do pielęgniarek.
— Spotkamy się na górze!

Pobiegłem do schodów. Wiedziałem, że wszyscy pojedą

15

windą i dotrą tam trzydzieści sekund po mnie. Takie było rutynowe postępowanie, jeśli zawał nastąpił na innym oddziale.

Biegłem po dwa stopnie. Zastanawiałem się, kto siedzi w dziale administracji o tej porze. Przypomniał mi się Kingsly. Może ochroniarze go nie znaleźli i przewrócił się gdzieś, poszukując obiektu seksualnego? Wszedłem na korytarz wyłożony wykładziną. Taki był tylko w pomieszczeniach administracji. Nie zdziwiło mnie zbiorowisko sprzątaczek, portierów i ochroniarzy na końcu korytarza, gdzie mieściło się biuro Kingsly'ego. Dyszałem ciężko wskutek biegu po schodach. Zwolniłem i starałem się uspokoić, żeby poprowadzić reanimację. Kiedy jednak wszedłem do wielkiej, przeszklonej recepcji, wiodącej do biura Kingsly'ego, nos podpowiadał mi, że nie będzie potrzeby ratowania ludzkiego życia. W pomieszczeniu unosił się smród kału, cierpki zapach uryny i odór zgnilizny.

Przy wejściu zebrała się gromadka zapłakanych sprzątaczek, odzianych na zielono. Z chustkami przy nosach, patrzyły w stronę biura. Scena w środku doskonale pasowała do zapachu. Na podłodze, na szaroniebieskim dywanie, przed mahoniowym biurkiem leżał Kingsly. Był prawie nagi. Za wielkim, białym brzuchem widoczna była purpurowa twarz.

Dwie kobiety, mimo że zbierało im się na wymioty, naciskały klatkę piersiową i

próbowały wdmuchnąć powietrze przez otwarte, sine usta. Z kącika warg spływały mu wymiociny. Nie byłem w stanie powiedzieć, czy to jego własne, czy ratujących go kobiet. Slipki, jedyna rzecz, jaką miał na sobie, zwisały przy kolanach, pobrudzone ekskrementami. Pozostała część odchodów leżała między nogami. Jezu, co za bagno!

Podszedłem do niego i pomacałem szyję w poszukiwaniu tętna. Nic. Był zimny mimo duchoty w bardzo nagrzanym pomieszczeniu. Dwie ratowniczkę wciąż uciskały tors, wdmuchiwały powietrze i krztusiły się. Nauczono je udzielania pierwszej pomocy, ale między teorią i praktyką jest spora różnica, choć zwykle nie tak wielka.

Mężczyzna dawno nie żył i już miałem zamiar kazać dziewczynom przestać, kiedy zauważyłem coś dziwnego. Za każdym razem, gdy jedna z nich nacisnęła klatkę piersiową, cienka strużka pianistej krwi wyciekała mu na brzuch. Klęknąłem

16

i przyjrzałem się temu. Krew płynęła spod świeżego strupa wielkości jagody, umiejscowionego po lewej stronie mostka. Spod tego strupa, pod wpływem nacisku na klatkę piersiową, wychodził koniuszek złamanej igły, koniuszek, który chował się, kiedy klatka unosiła się do góry.

Przy każdym naciśnięciu pojawiała się więcej pianistej krwi. Bańki piany oznaczały, że rana jest głęboka i sięga aż do płuc. Tryskająca krew nasuwała skojarzenie, że jeśli Kingsly sam nie chciał zrobić z siebie lalki voodoo, to pewnie ktoś wbił igłę do zastrzyków dosercowych prosto w jego serce.

Rozdział 2

Mimo okropności tego, co zobaczyłem na podłodze, najtrudniej było mi uświadomić sobie, że Kingsly został zamordowany. Fakt ten przepełniał mnie strachem. Delikatnie położyłem rękę na ramieniu kobiety klęczącej obok mnie, a ona natychmiast przestała robić masaż serca. Jej koleżanka jeszcze kilka razy niepotrzebnie wdmuchnęła powietrze, dotykając galaretowatych ust Kingsly'ego, a potem się odsunęła. Obie były bardzo poruszone.

— Zrobiliście wszystko, co się dało — powiedziałem, pomagając im wstać.

— Jest pan pewien? — zapytała jedna z nich.

— Najzupełniej — odparłem, klepiąc ją po ramieniu. Odprowadziłem je do drzwi, gdzie już czekali inni, by je

pocieszyć. Zobaczyłem ekipę ratowniczą, biegnącą z noszami, i kiwnąłem na nich.

Zamrugalem zaskoczony myślą, że nie wiem, co robić. Śmierć nie była mi obca, ale nie umiałem sobie poradzić z tym, co odkryłem. Byłem jedynym lekarzem w pomieszczeniu, więc odpowiadałem za ciało. Świadomość, że jestem jedyną osobą, która wie, że Kingsly ma w sercu złamaną igłę, przywiodła mi na myśl powieści detektywistyczne, które kiedyś czytałem. Doszedłem do wniosku, że opowiadanie wszystkim, że ktoś go zamordował, nie pomoże w śledztwie.

18

Coraz więcej osób zaglądało do biura. Przez tłum przepchnął się ochroniarz. Zobaczył ciało i pobladł. Dwie pielęgniarki złapały go, kiedy osuwał się na podłogę, i pomogły usiąść na krześle.

— Proszę niczego nie dotykać — powiedziałem w końcu, starając się, by brzmiało to stanowczo. Jedna z pracownic administracyjnych, pełniąca nocny dyżur, spojrzała na mnie, jakby miała zamiar zapytać: A kto ty jesteś, że się tak rządysz? Potem przykryła częściowo odkryte genitalia Kingsly'ego ściereczką. Niewiele to pomogło. — Proszę wszystkich o opuszczenie pomieszczenia. Niech ktoś znajdzie szefa patologii i powie, żeby tu szybko przyszedł — spróbowałem znowu. Kiedy już wszystkim udało się zajrzeć do środka i poczuć smród bijący od ciała, sami chętnie się rozeszli.

Dwóch salowych pomogło ochroniarzowi, ciągle jeszcze słabo trzymającemu się na nogach, wyjść do recepcji i usiąść na kanapie. Kobiety z recepcji na zmianę telefonowały z sekretariatu. Już wychodziłem z biura, kiedy znów uświadomiłem sobie, jak tu jest gorąco. Spojrzałem na termostat umieszczony tuż przy futrynie drzwi. Był nastawiony na maksymalną temperaturę. W pokoju musiało być ze trzydzieści stopni. Bez zastanowienia przestawiłem termostat.

— Kto ustawił na taką temperaturę? — zapytałem na głos, ale wszyscy tylko spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

Czy tu zawsze było tak gorąco? — pomyślałem. Kiedy bywałem w tym biurze wcześniej, jakoś tego nie zauważyłem, ale przecież starałem się tu zaglądać jak najrzadziej. A może ktoś specjalnie podwyższył temperaturę w pomieszczeniu, żeby ciało się zbyt szybko nie wychłodziło i nie zdradziło dokładnego czasu popełnienia zbrodni? Przekląłem się w duchu. Głośno i stanowczo zakazałem obsłudze czegokolwiek dotykać, po czym sam położyłem palec na jedynym miejscu, na którym zabójca mógł zostawić swoje odciski.

Zamykając drzwi, ujrzałem Madelaine Hurst, kierowniczkę średniego personelu

medycznego i szefa nocnej zmiany pracowników administracji. Podeszła do swoich asystentek. Kobieta przy telefonie natychmiast odłożyła słuchawkę i cichym szeptem zaczęły ze sobą rozmawiać. Madelaine była starsza,

19

dyskretna i, jak sądziłem, najlepiej nadawała się do dalszych działań w tej sprawie. Poza tym była siostrą Paula Hursta, byłego chirurga, a teraz zastępcy dyrektora do spraw medycznych naszego szpitala. Podeszedłem do nich.

— Panno Hurst — przerwałem — potrzebuję osobnego telefonu i lekarza z patologii. Potem trzeba zadzwonić na policję. Musimy tu sprowadzić detektywa do spraw zabójstw.

Spojrzała na mnie, jakbym oszalał.

— Jediną osobą, do której mam zamiar dzwonić, jest mój brat. Właściwie już to zrobiłam. Zaraz tu będzie — odparła i chyba miała ochotę dodać: więc niech pan lepiej uważa.

Poczułem się jak szczeniak, ale powiedziałem stanowczym, cichym głosem:

— Proszę zrobić, co kazałem.

Odsunęła się, jakbym zepsuł powietrze, lecz podeszła do biurka i zaczęła telefonować. Przez następne piętnaście minut klóciłem się z podpitą recepcjonistką z kostnicy, która co chwila odkładała słuchawkę, i panną Hurst, która nie chciała zadzwonić na policję. Nagle zamilkła. Przyjechał jej brat. Najwyraźniej ubierał się w pośpiechu, bo spod płaszcza przeciwdeszczowego wystawała pognieciona biała koszula i wypchane na kolanach spodnie. Jasna zwykle karnacja twarzy przybrała kolor mąki i świeciła od potu.

— Och, doktorze Hurst, dobrze, że pan już jest — powiedziała Madelaine, która publicznie zawsze zwracała się tak do brata. — Zmarł biedny pan Kingsly. Leży tam na dywanie, prawie bez ubrań, a doktor Garnet każe mi wzywać naszego diagnostę, anatomopatologa z kostnicy miejskiej i policję z wydziału zabójstw... — przerwała, a Hurst objął ją ramieniem i razem spojrzeli na mnie z wyrzutem.

Na szczęście właśnie wtedy do środka wszedł Robert Watts, patolog. Jak zwykle wzbudzał respekt.

— Gdzie on jest? — zapytał spokojnie.

Wysoki, siwowłosy Watts zawsze zachowywał spokój, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Stał obok, spojrzał na Hursta, a potem na mnie i już był gotów do

pracy.

20

— Przepraszam, Robercie, ale Gamet nie... — zaczął poirytowany moim zachowaniem Hurst.

— Panowie — przerwałem mu — proszę wejść. Zobaczycie sami — powiedziałem i otworzyłem drzwi biura, ukazując im ciało Kingsly'ego.

Po trzydziestu sekundach Watts zgodził się ze mną, że możemy tu mieć do czynienia z morderstwem i musimy sprowadzić lekarza z kostnicy miejskiej. Narzekanie Hursta nie może zmienić prawa. Watts sam podszedł do telefonu, zadzwonił do kostnicy i kazał się połączyć z szefem anatomopatologów. Watts był jego kolegą po fachu, więc łatwiej mu było dogadać się z recepcjonistkami.

Hurst został w biurze, żebym nie naraził na szwank dobrego imienia szpitala. On ukryłby nawet morderstwo własnej matki, aby uniknąć rozgłosu, a ta sprawa na pewno trafi na pierwsze strony gazet.

— Jak ci się wydaje, co się tu stało? — zapytałem spokojnie. Im szybciej Hurst pogodzi się z faktem, że Kingsly'ego zamordowano, tym szybciej poradzi sobie z tym cały personel. Kiedy zaczniesz się nad tym zastanawiać, uspokoi się i spojrzy na wszystko obiektywnie... a przynajmniej tak mi się wydawało.

— Kto to wie — odparł tylko. Wrócił Watts.

— Anatomopatolog z kostnicy dopilnuje, żeby przyjechał tu szef wydziału zabójstw. Sami możemy zrobić autopsję, ale jego człowiek musi pobrać próbki do śledztwa. Zbieranie poszlak i dowodów popełnienia morderstwa to nie nasza działka.

— Morderstwa? — syknął Hurst. — Wyciągasz pochopne wnioski! — powiedział i rozejrzał się dookoła, jakby szukał pomocy. Potem przygarbił się i posmutniał. — Mamy tu tak czekać? — zapytał.

Watts spojrzał na niego.

— To poczekaj w recepcji, jeśli chcesz.

— Robert — powiedziałem — kiedy tu wszedłem, w pokoju było gorąco jak w piekle. Chyba ktoś podkręcił termostat, żeby ukryć czas zgonu.

— A skąd wiadomo, że to nie było samobójstwo? — zapytał Hurst żalonym tonem, przyglądając się trupowi.

Pytanie Hursta zaskoczyło mnie, ale Watts podszedł do niego i delikatnie ujął go za rękę.

— Słuchaj, Paul, chyba powinniśmy wyjść na zewnątrz — odezwał się tonem, którego używał, kiedy miał do czynienia z roztrzęsionymi staruszkami niespełna rozumu, ale Hurst nie zauważył tego.

Wyszliśmy na zewnątrz i posadziliśmy go na krześle przy biurku sekretarki, okupowanym obecnie przez jego siostrę. Panna Hurst stanowczym tonem wydawała przez telefon polecenia pielęgniarce. Kiedy zauważyła pobladłego i niezdecydowanego brata, natychmiast skończyła rozmowę i podbiegła, by go pocieszyć.

— Paul, źle się czujesz?

— To straszne — powiedział sam do siebie, jakby jej tu wcale nie było. — To takie straszne.

— Paul! — Głaskała go po dłoni, a potem dotknęła jego policzka.

W końcu zwrócił na nią uwagę.

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku — rzekł słabym głosem, ale siedział niepewnie na krześle, na którym wcześniej go posadziliśmy. Siostra wciąż próbowała nerwowymi gestami sprawić, by odzyskał równowagę i zimną krew, lecz po chwili zauważyła, że brat już nie panuje nad sytuacją. Spojrzała na mnie i na Wattsa, oczekując poleceń, w jej oczach jednak kryła się złość, jakbyśmy to my byli winni załamania brata.

— Panno Hurst — zwrócił się do niej Watts, który najwyraźniej przejął obowiązki szefa — proszę przynieść bratu filiżankę herbaty. Zaczekamy tu z doktorem Gametem do przyjazdu policji.

Niechętnie skinęła głową i wyszła, ale po drodze spojrzała na mnie ponuro, dając do zrozumienia, że mnie nie darzy takim szacunkiem jak Wattsa. To te siwe włosy. W naszym zawodzie szacunek należy się ich właścicielom automatycznie. W tym wypadku zresztą zupełnie słusznie. Sposób postępowania Wattsa z ludźmi odzwierciedlał lata praktyki na oddziale ogólnym, gdzie pracował, nim zajął się patologią.

Ustawiliśmy się w drzwiach do biura Kingsly'ego. Znów zapytałem Wattsa o termostat i czas śmierci.

— Widziałem go dziś około siódmej. Był pijany i potykał się o własne nogi, idąc przez korytarz, więc zawiadomiłem ochronę. Możemy zapytać, dlaczego po niego nie poszli, a jeśli go znaleźli, dlaczego nie odwieźli do domu. Kiedy tu przyszedłem, w pomieszczeniu było gorąco jak w piekarniku, więc pewnie termostat był przestawiony już od dłuższego czasu.

Watts przyglądał mi się uważnie, kiedy mówiłem, i pewnie myślał sobie, że zgrywam detektywa amatora.

— Może — powiedział w końcu. — Lecz temperatura w pomieszczeniu nie wpływa znacząco na utratę ciepłoty ciała. Poza tym są też inne objawy, po których można stwierdzić czas zgonu. Ale zostawmy to na razie. Gdzie jest krew?

Spojrzał na mnie i zauważył, że nie mam bladego pojęcia, o czym mówi.

— Jeśli ten kawałek metalu w jego klatce piersiowej to naprawdę igła dosercowa, jak nam się obu wydaje, to w pokoju powinno być przynajmniej trochę krwi, która wytrysnęła ze strzykawki, nim spadło ciśnienie. Gdyby nawet uderzenie igły natychmiast zatrzymało serce, co jest mało prawdopodobne, strumień krwi wytrysnąłby jeszcze na kilka sekund. Przypomnij sobie, jak wbijałeś igłę przy tamponadzie serca.

Nie pomyślałem o tym. Tamponada serca to przypadek, w którym worek osierdziowy, otaczający mięsień sercowy, wypełnia się płynem. Ciśnienie płynu uniemożliwia pracę serca i nawet kiedy impuls elektryczny mógłby spowodować uderzenie, serce nie zaczyna bić.

W takich wypadkach zazwyczaj wkłuwamy specjalną igłę ze strzykawką w nabrzmiały od płynów worek osierdziowy i wyciągamy wypełniający go płyn, by serce mogło pracować. Kiedy wbija się ją zbyt głęboko, igła wejdzie w mięsień sercowy i może spowodować zakłócenia, które zwykle kończą się migotaniem komór lub zatrzymaniem akcji serca. Robert jednak miał rację. To wymagało czasu. Jeśli chodzi o Kingsly'ego, ktoś musiałby wbić igłę prosto w środek serca i wywołać śmiertelną arytmie. Ale wtedy igła musiałaby być przymocowana do strzykawki aż do śmierci Kingsly'ego i złamana dopiero po wszystkim, bo w innym wypadku wszędzie byłoby pełno krwi.

— A jeśli igła nie złamała się podczas walki, ten, kto ją wbił, mógł ją po wszystkim wyjąć. Zamocowanie strzykawki i ostrożne wyjęcie igły pozostawia niewielki ślad i

pozwoliłoby ukryć fakt, że Kingsly został zamordowany. Nikt rozmyślnie by jej nie złamał, gdyż ryzykowałby, że podczas autopsji lekarz znajdzie odłamany fragment igły.

— Chyba masz rację. Lecz gdyby nawet igła się złamała, zabójca i tak mógłby ją wyciągnąć.

Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie jak na niedouczzonego stażystę.

— Nie, bo zabójca nie wiedział, jak głęboko tkwi igła, i nie mógłby jej wyjąć bez powiększania rany — wyjaśnił niecierpliwie — a wtedy stałaby się bardziej widoczna. — Rozejrzył się dookoła. — Gdzie są jego ubrania?

Wzruszyłem ramionami. Watts zauważył najbardziej oczywisty szczegół, który zupełnie uszedł mojej uwagi.

— Pewnie gdzieś daleko — dodał — założę się, że są całe we krwi, a może już ktoś je spalił.

— Nie rozumiem.

— Chodzi mi o to, że ktoś najprawdopodobniej go zaatakował. Kingsly złamał strzykawkę albo upadając, albo walcząc. Na pewno krew sikała wszędzie, po ubraniu, podłodze, suficie i ścianach.

Nagle Watts się pochylił i powąchał wydatny brzuch Kings-ly'ego.

— Klatkę piersiową i brzuch umyło mu alkoholem do dezynfekcji ran.

Nie miałem ochoty wąchać trupa, by wyczuć zapach alkoholu izopropylowego.

— Właśnie po to włączono ogrzewanie — ciągnął — żeby wysuszyć ciało. — Potrząsnął głową. — Nie zginął tutaj. — Rozejrzył się dookoła. — Ale wiem, jak znaleźć miejsce zbrodni.

Ja też wiedziałem. Musiała to być część szpitala, w której ściany i podłogi były niedawno umyte, i to bez wyraźnego polecenia przełożonej.

— Czy ktoś zatelefonował do jego żony? — zapytał nagle Watts. — A może ona tu dzwoniła i go szukała?

24

Zapomniałem o biednej pani Kingsly.

— Zadzwoń do niej! — krzyknął do nas z recepcji Hurst. Zaczynał wracać do sił

po załamaniu, jakie przed chwilą przeżył. Odzyskiwał kontrolę nad sytuacją.

— Dzięki, Paul — powiedział Watts.

— Zadzwoń z mojego gabinetu — oświadczył i poszedł wykonać najgorszą część pracy, z jaką mamy do czynienia w medycynie.

Chwilę później zjawiała się Madelaine ze srebrną tacą, na której ustawiła porcelanowe filiżanki. Na szczęście nie podała herbaty w styropianowych kubkach.

— Gdzież on poszedł? — zapytała z niepokojem.

Teraz byliśmy winni nie tylko detronizacji brata, ale również przepędzenia go spod jej opiekuńczych skrzydeł. Co więcej, mieliśmy zamiar ukraść jego herbatę. Kobieta nawet nam jej nie proponowała.

Watts pokonał ją jednak w bardzo sprytny sposób: pochlebstwem.

— Ależ, panno Hurst, pani zawsze wie, czego nam trzeba w takiej sytuacji. — Wskazał na herbatę i sprawił, że uznała przyniesienie napoju za swój własny pomysł. Madelaine po-kraśniała. Watts nalał sobie filiżankę i kiedy upił pierwszy łyk, westchnął z zadowoleniem, po czym dodał: — Nie wiem, co ten szpital począłby bez pani i pani brata.

Tylko Watts potrafił tak kogoś podejść. Gdybym ja spróbował to zrobić, ona zaczęłaby liczyć srebrne łyżeczki, a tymczasem protestowała, by sprowokować nowy komplement. Odwróciłem się, żeby nie pokazać rozbawienia, którego nie potrafiłem powstrzymać.

— Herbaty, doktorze Gamet? — zapytał Watts i widząc moje zakłopotanie, odwrócił się od Madelaine i obdarzył mnie wesołkowatym uśmiechem.

Wziąwszy filiżankę, spojrzałem przez okno w recepcji. Pod szpital zajechał wóz policyjny. Tuż za mną Watts rozmawiał cicho z Madelaine. Chwała mu za to. Czasem takie absurdalne zajęcia pozwalały przetrwać ból i umieranie.

Watts to niezwykle człowiek, pomyślałem. Lubił swoją pracę diagnosty. Jego zdanie na temat poczynań każdego z lekarzy

25

było najważniejsze. Niektórzy widzieli w nim nauczyciela i przewodnika. Inni nienawidzili go i bali się jego opinii na temat swoich kompetencji i charakteru. Anatomopatolog jest najważniejszą osobą w każdym szpitalu na całym świecie. Jeśli to idiota, to lepiej trzymać się z daleka, bo w takim szpitalu na sucho uchodzą

niedouczonej durniom zaniedbania i morderstwa. Natomiast jeśli w szpitalu pracuje dobry anatomopatolog, tacy ludzie nie utrzymają się na swoich stanowiskach zbyt długo. Niestety niekompetencja ma to do siebie, że często łatwo ją ukryć, a niedouczony lekarz całymi latami wymiguje się od odpowiedzialności. Czasem pielęgniarkom udaje się uchronić poważnie chorych pacjentów przed opieką takich konowałów, ale tak naprawdę skompromitować ich może tylko dobry diagnosta, bo przed nim nie mogą ukryć swoich pomyłek.

Dołączył do nas Hurst i po chwili wszyscy trzej spojrzeliśmy w kierunku drzwi, skąd dochodziły głosy. Pojawiło się w nich dwóch, prawie tak samo ubranych policjantów. Mieli na sobie płaszcze przeciwdeszczowe, szare garnitury i czarne buty. Ubiór zaliczał się chyba do wyposażenia detektywa, wraz z nieozna-kowanym samochodem, którym podjechali. Wszyscy oni wyglądają identycznie... do tego stopnia, że nie ma dorosłej osoby w Buffalo, która nie potrafiłaby z łatwością odróżnić ich w tłumie.

— Doktor Watts? — zapytał tęgi mężczyzna z siwą czupryną.

— Ja jestem Watts — powiedział Robert.

— Jestem detektyw Bufort — przedstawił się. Odwrócił się w stronę młodszego i znacznie wyższego mężczyzny, stojącego obok i dodał: — To jest detektyw Riley.

Watts przedstawił nas i wszyscy uprzejmie uścisnęliśmy sobie dłonie, jak podczas spotkania w klubie golfowym. Zauważyłem dziwną rzecz, im poważniejsze przestępstwo, tym są bardziej uprzejmi. W niektórych dzielnicach biedak, pijak czy zwykły awanturnik mógłby wylądować na posterunku i oberwać po żebrach książką telefoniczną za sikanie na chodniku, ale ten, kto popełni morderstwo, jest traktowany jak dyplomata.

26

Kiedy uścisnąłem dłoń detektywa Buforta, Watts zaprosił ich do biura Kingsly'ego.

Policjanci cicho i stanowczo przejęli sprawę. Szybko obejrzelili ciało i pomieszczenie, a potem przesłuchali mnie i Watta. Gdy im powiedziałem, że widziałem denata wałęsającego się po korytarzu około siódmej i zgłosiłem o tym fakcie ochronie, detektyw Riley zanotował to skrętnie. Chyba miał zamiar zapytać ochroniarzy i sprzątaczkę, czy go znaleźli, czy może ja byłem ostatnią osobą, oczywiście oprócz mordercy, która widziała go przed śmiercią. Watts wspominał o wysokiej temperaturze w biurze i przestawieniu termostatu, po czym wyjaśnił, że to nie przeszkodzi specjalnie w określeniu czasu zgonu.

— Ktoś, kto nie ma do czynienia z medycyną, chyba o tym nie wie? — zapytał Bufort.

— Nie — odparł Watts — ale gdyby nawet zabójca o tym wiedział, mógł nastawić tak wysoką temperaturę, żeby osuszyć alkohol, którym umył ciało. — Wyjaśnił kwestię krwi, po czym zasugerował, by detektywi powąchali denata i potwierdzili jego podejrzenia. Bufort zawahał się, a potem skinął na Riley'a. Młodszy mężczyzna ukląkł i z zaciśniętymi szczękami z odrazą powąchał trupa. Skinął zgodnie.

Ja i Watts opowiadaliśmy o tym, co, naszym zdaniem, zrobiono z ubraniami i jak powinno się szukać pomieszczenia, w którym go naprawdę zabito, a Riley notował. Obserwowałem jego szczęki. Powoli się rozluźniały.

— Czy macie panowie jakiś pomysł, kto mógł to zrobić? — zapytał, kiedy skończyliśmy.

Watts i Hurst potrząsnęli głowami, a ja pomyślałem o porzuconym mopie i wiadrze na intensywnej terapii, tuż obok pokoju lekarzy, ale odparłem:

— Nie.

Bufort zmarszczył brwi, a potem zamknął notatnik i przestrzegł wszystkich obecnych, by nie rozpowiadać nikomu o szczegółach tego wydarzenia.

— Nie powinniście panowie z nikim rozmawiać na temat tego, co tu zobaczyliście, nawet z rodziną. Nie chcemy, by zabójca się zorientował, co już o nim wiemy.

27

Zanim wyszliśmy, Hurst przyparł nas do muru.

— Wszystko ma się toczyć zwykłym torem — stwierdził stanowczo, w pełni odzyskawszy już zimną krew. — Nawet dzisiejsze zebranie w sprawie budżetu ma się odbyć o siódmej.

Skrzywiłem się. Zostały mi zaledwie cztery godziny.

— I to ja poinformuję wszystkich o śmierci Kingsly'ego, a nie wy — dodał i przyglądał nam się przez chwilę. — Czy to jasne?

Rozdział 3

Padający przez całą noc deszcz oczyścił miasto i pozostawił wokół ulicznych latarni mgliste aureole. Kolorowe światła kierujące ruchem na ulicach High i Main odbijały się na mokrym asfalcie. Był listopad, najmniej przeze mnie lubiany miesiąc. Jeszcze

nie spadł śnieg, a powietrze przepełniał zapach mokrych liści i odchodzącej jesieni. Zawsze jechałem do pracy i wracałem do domu po ciemku. Czasem zdarzało się, że po drodze usypiał mnie szum opon, ale dziś ani mi było w głowie przysypiać. Cały czas myślałem o tym, kto zabił Kingsly'ego.

Kiedy Bufort zapytał mnie, czy znam jakikolwiek powód, dla którego ktoś mógł to zrobić, natychmiast pomyślałem o reputacji Kingsly'ego. Mówiono, że napada na kobiety. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy pojawiało się na ten temat coraz więcej plotek... lecz nigdy nie otrzymałem oficjalnego zażalenia, więc nie czułem się zobowiązany do interwencji. Doszedłem do wniosku, że zaczepiał głównie sekretarki i laborantki — pewnie podszczypywał je niegroźnie. Ktoś powiedział mi, że zwykle zasypiał, zanim do czegośkolwiek doszło i jego ofiary wzywały ochronę, by go zabrała. Możliwe, ale raczej mało prawdopodobne, że zabiła go jedna z tych biednych kobiet, próbując się bronić. Sekretarki i laborantki nie miały dostępu do igieł dosercowych. Detektywi Bufort i Riley na pewno dowiedzą się o eskapadach dyrektora

29

do spraw administracyjnych. Ktoś ich poinformuje, że najczęściej jego ofiarą padały sprzątaczkę. Lecz nie chciałem sam przekazywać im tej wiadomości.

Piętnaście minut później byłem już na podjeździe do domu, przygotowany na radosne powitanie Muffy. Zdjąłem nawet okulary i schowałem do kieszeni, żeby ich nie zniszczyć. Kiedy tylko otworzyłem drzwi, zaatakował mnie uradowany, dwunastokilogramowy czarny pudel o śmierdzącym oddechu i zaczął lizać po twarzy.

— Siad, Muffy, siad! — rozkazałam, ale niewiele to pomogło. Po powitaniu poszliśmy na obowiązkowy spacer. Suka

podskakiwała radośnie i dyszała, wypuszczając kłęby pary z pyska, a ja trząsałem się z zimna i zazdrościłem jej wiecznej ochoty do zabawy. W końcu się wybiegała i poszliśmy razem do domu.

Wszedłem do sypialni i rozebrałem się, a Muffy natychmiast wskoczyła na moją poduszkę. Byłem zbyt zmęczony, żeby ją zganiać, a poza tym i tak na pewno spała tam cały dzień. Poszukałem w ciemności blond włosów Janet i przytuliłem się do jej zaokrąglonego ciała. Podsunałem się wystarczająco, by ukraść kawałek mojej własnej poduszki. Janet była w czwartym miesiącu ciąży i mówiła o sobie: „Jestem jeszcze obrzydliwie chuda w porównaniu z większością moich pacjentek”.

— Wyprowadziłeś psa? — mruknęła.

— Tak.

— Zamknąłeś dobrze drzwi?

— Tak.

Już myślałem, że mój dzień pracy nareszcie się zakończył, kiedy Janet odwróciła się w moją stronę, kładąc mi rękę na twarzy.

— Pomiziaj mnie.

W swobodnym tłumaczeniu, miziać znaczy pogłaskać ją po ramieniu.

— Woof, jestem zmęczony.

— A ja noszę twoje dziecko! Pomiziałem ją.

30

Obudziłem się o szóstej, usłyszawszy, jak żona wymiotuje w łazience.

— Mogę w czymś pomóc?

— Tak, następnym razem ty zajdź w ciążę!

Za to Muffy uznała, że jestem jej bardzo potrzebny. Wyszliśmy na spacer w szarej poświacie rozpoczynającego się dnia. Bolała mnie głowa z niewyspania i wciąż stojącego mi przed oczyma widoku Kingsly'ego. Przypomniałem sobie zalecenia Buforta i stwierdziłem, że nie jest to najbardziej odpowiednia chwila, by powiedzieć Janet o jego śmierci.

Przysiągłem sobie kiedyś, że nie ożenię się z lekarką. Wiedziałem, że dwie osoby wykonujące ten sam odpowiedzialny zawód nie będą mogły żyć pod jednym dachem. Jako wszytkowiedzący dwudziestolatek byłem o tym święcie przekonany. Po piętnastu latach pracy poznałem Janet, zakochałem się w niej i mit upadł. Oboje poświęciliśmy się medycynie z ogromnym zaangażowaniem i choć mieliśmy dla siebie niewiele czasu, w porównaniu z innymi małżeństwami, okazało się, że nam to wystarczy. Kiedyś próbowałem zapoznać ją z artykułem, w którym sugerowano, że: „...małżonkowie o tej samej profesji potrzebują dystansu, jaki daje im praca, by nie czuli się stłamszeni, a jednocześnie mogli pozostać w bliskości”.

Uśmiechnęła się, podeszła do mnie i usiadła mi na kolanach.

— Teraz potrzebuję bliskości — powiedziała, zdejmując mi okulary. Kochaliśmy się, a potem nie wracaliśmy już do tego tematu.

W kuchni wytarłem łapy Muffy, nasypałem jej jedzenie do miski i słuchałem, jak Janet rozmawia swoim wyniosłym głosem doktor Graceton z kimś w swoim szpitalu. Z rozmysłem podjęliśmy pracę w różnych instytucjach. Była w połowie ustaleń dotyczących dzisiejszej operacji, kiedy skończyłem zajmować się psem, rzuciłem jej całusa na pożegnanie i wyszedłem. Szybko pokazała mi, na jakiej części jej ciała spocznie mój pocałunek. To był jeden z powodów, dla których nie pracowaliśmy razem.

Droga do szpitala nie była już tak pusta, jak kilka godzin temu, gdy wracałem do domu, ale wciąż było mokro i opony szumiały na asfalcie. To zwykle o tej porze roku miałem ochotę zmienić zawód.

31

Zebranie, którego Hurst nie chciał odłożyć, polegało, jak co roku, na kłótni o przydział środków na sprzęt medyczny. Rozumiem, dlaczego nie chciał tego przekładać, ale dziwiło mnie, że tak bardzo nalegał, by osobiście poinformować wszystkich o śmierci Kingsly'ego. Przecież i tak wkrótce się dowiedzą. Spodziewałem się nawet, że niedługo wyjdzie na jaw fakt, że został zamordowany, niezależnie od pobożnych życzeń detektywa Buforta. Nasz system plotkowania był najszybszym kanałem informacyjnym na wschód od Missisipi.

Przeszedłem przez parking, lecz nie poprawiło mi to humoru. Nade mną górowały okna szpitala Świętego Pawła. Osiemset łóżek, a w każdym z nich pacjent błagał, by to nie było jego ostatnie. Zadrzałem, gdy myśląc o tych błaganiach, poczułem poranny chłód.

Zebranie zwołane na siódmą zaczynało się zwykle o wpół ,j do ósmej. Tego ranka rozświetlona sala zebrań rady nadzorczej pachniała kawą i ciepłymi drożdżówkami. Ordynatorzy oddziałów w stałym składzie brali już sobie dokładkę i tryskali wesołością, właściwą raczej na statku pasażerskim niż na corocznej bitwie o pieniądze. Najwyraźniej nie słyszeli o Kingslym.

Hurst i dyrektor do spraw finansowych Thomas Laverty weszli do sali, położyli na stole dickensowskich rozmiarów księgi, z których wystawały wydruki komputerowe, i usiedli, i. Nastrój się zmienił. Zapach stalowych mięśni i jajogłowych zapatrywań rozszedł się w pomieszczeniu, kiedy wszyscy zajmowali miejsca.

— Panowie — powiedział Hurst — zaczynamy zebranie.

Niektórzy pokaszliwali, inni wiercili się na krzesłach i przybierali wyraz twarzy, który pozwalał im przetrwać taką niasiadówkę. Zauważyłem, że nie było Wattsa. Pewnie poszedł na dół i rozpoczął już sekcję ofiary. Ciekaw byłem, jak .5 zareaguje

reszta rady, kiedy Hurst powiadomi ich o śmierci Kingsly'ego.

— Dobrze — ciągnął Hurst. — Pierwszym punktem naszego zebrania będzie deficyt budżetowy szpitala. Panie Laverty?

Sukinsyn! Wcale nie miał zamiaru im powiedzieć. Niesamowite! Wpatrywałem się w niego, a on, mimo że zauważył moje

32

oburzenie, wskazał Laverty'ego. Wszystko jak gdyby nigdy nic. To straszne. Na co czekał? Ze spokoju, z jakim mówił Laverty, wnioskowałem, że jemu też nic nie wspomniał.

Siedziałem i słuchałem, zaskoczony przebiegłością Hursta. Od czasu do czasu do moich uszu docierały wyrażenia typu: „prowadzone przez nas usługi”, „plan opieki zdrowotnej”, „opłaty niższe niż w poprzednich latach”. Laverty wciąż mówił o deficycie i odejściu od systemu wynagrodzenia za konkretne usługi. Nie mogłem się skupić na wyliczaniu procedur standardowych dla wszystkich szpitali w hrabstwie. Nieważne, co każdy z nas sądził o Kingslym. Był naszym kolegą i nic nie usprawiedliwiało normalnego przebiegu zebrania zaledwie kilka godzin po jego śmierci. Moje oburzenie wzrosło, kiedy Laverty zaczął przedstawiać przydział pieniędzy dla poszczególnych oddziałów, a Hurst wpatrywał się swoimi podkrążonymi oczyma w każdego z ordynatorów z osobna, by zdusić ewentualny krytycyzm. Zwykle tak robił, kiedy były problemy z pieniędzmi. Większość członków rady nie miała odwagi mu się przeciwstawić, więc deficyt rzędu dwóch i pół miliona dolarów przeszedł bez mrugnięcia. Nie dano nam nawet czasu na pytania.

Laverty zaczął referować ostatnie wydarzenia, kiedy to większe szpitale wykupywały i zamykały mniejsze, zadłużone, żeby zwiększyć u siebie liczbę pacjentów. Tym razem nawet nie próbowałem się skupić na tym, co mówił. Jego głos rozbrzmiewał gdzieś daleko. Poddałem się uczuciom zmęczenia i rozgoryczenia, wywołanym przez obojętność Hursta. Na koniec osłupiałem, słysząc słowa Laverty'ego:

— Dlatego nie mam innego wyjścia i muszę natychmiast zlikwidować sto łóżek... nieodwołalnie.

Najpierw doszedłem do wniosku, że źle go usłyszałem, że coś z jego wypowiedzi uszło mojej uwagi. Wiedziałem, co to oznacza. Kiedy poprzednio zlikwidowano łóżka, w szpitalu najbardziej przepełnione były sale na oddziale nagłych wypadków, bo w całym hrabstwie w szpitalach brakowało miejsc. Przez to zdarzało się, że pacjenci czekali u nas nawet dwa dni, nim przyjęto ich do szpitala. Zwykle wtedy mieliśmy kłopot z natychmiastowym zdobyciem miejsca dla pacjenta, a korytarze

zagracone były rzędami noszy.

33

Niestety, nie myliłem się... potwierdziło to speszone spojrzenie Laverty'ego. Nerwowo spoglądał na Hursta, ale jego wyraz twarzy pozostał niezmiennie chłodny i opanowany.

Pomruki zaniepokojenia dochodziły ze wszystkich stron stołu.

— A co z planowanymi operacjami?

— Nigdy nie umieścimy tu naszych pacjentów z rakiem.

— Chryste, pacjent z pęcherzykiem żółciowym dostanie gangreny, zanim go przyjmimy...

— Czyście zupełnie powariowali? — krzyczał siedzący obok mnie Sean Carrington. Muskularna budowa i rude krzaczaste brwi sprawiały, że wyglądał jak naczelnik szkockiego klanu, a nie ordynator chirurgii.

— Oczywiście jestem podatny na inne, rozsądne sugestie — odparł Hurst, składając ręce przed twarzą.

Sean zaczerwienił się, usłyszawszy kpiący ton Hursta. Musiałem go chwycić za ramię, podczas gdy on głośno łapał powietrze, by powstrzymać swój, powszechnie znany, krewki temperament. Hurst spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć, że tylko idioci martwią się dobrem pacjentów.

Hector Saswald, szef anestezyjologów i największy oportunistą, przeczekał i zorientował się, po czyjej stronie.

— Hm, panie Laverty, oszacował pan deficyt na dwa i pół miliona. Czy jest pan w stanie powiedzieć, ile zaoszczędzimy, wycofując sto łóżek?

— Niezbyt dokładnie.

— Niezbyt dokładnie?

— Cóż — zaczął Laverty — nie możemy nikogo zwolnić, bo przeciwstawią się związki, więc na wynagrodzeniach nie uda nam się oszczędzić, ale zużyjemy mniej prądu i pościeli, no i oczywiście mniej wydamy na pralnię oraz jedzenie. Jeszcze nie udało nam się obliczyć dokładnej stawki za łóżko. Nie miałem możliwości zabrać się do tego, ale zapewniam, że oszczędności będą znaczące.

Zamarliśmy.

Saswald szybko wybrał politycznego współnika.

— Cóż, to wyjaśnia naszą sprawę. Zgadzam się z kierownictwem i dziękuję za inicjatywę i pomysłowość w tej kwestii.

34

Zgadzam się również na wszelkie inne zmiany, które pojawią się w przyszłości, a dotyczyć będą cię w naszym budżecie.

Uśmiechnął się do Hursta i usiadł na krześle.

Ten nawet nie mrugnął. Było mu wszystko jedno.

Pozostali potrzebowali chwili, by się zorientować, że Saswald nie żartował. Poczulem, jak Sean tężeje na krześle obok, i postanowiłem wstać, nim kogoś udusi.

— Panie Laverty, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem pańską wypowiedź, która tak uradowała Saswalda. Generalizując, nie ma pan pojęcia, ile pieniędzy pan oszczędzi, usuwając sto łóżek, i oczywiście nie wie pan, na jak długo zostaną wyłączone z działalności. Czy dobrze zrozumiałem?

Laverty gapił się na mnie, jakby to było oczywiste nawet dla niedorozwiniętego.

— Więc co? — zapytał tylko.

— Więc jeśli oszczędności mają pochodzić z pralni, pościeli i jedzenia, zużywanych głównie przez pacjentów, którzy leżeliby w tych łóżkach, pewnie będzie pan trzymał tych ludzi na oddziale nagłych wypadków bez pościeli, prania i jedzenia.

— Doktorze Garnet, stanowczo się sprzeciwiam! — krzyknął Laverty, machając rękoma i zwracając się do Hursta o pomoc.

Hurst zareagował uderzeniem rękoma w stół, jak młotkiem w sądzie.

— Garnet, posunął się pan za daleko!

— Akurat. Nie mamy pacjentów na planowane operacje już od dziesięciu lat... wszystko to nagłe wypadki... od kiedy zaczęto zamykać niektóre szpitale, jest ich dwa razy więcej. To szaleństwo, usuwać ze szpitala sto łóżek i pozwolić, żeby pacjenci leżeli na korytarzu w izbie przyjęć.

Mniej niż połowa zgromadzonych przy stole osób pomrukiwała, wyrażając w ten sposób poparcie, lub patrzyła na mnie z podziwem. Pozostała część ordynatorów, tchórzliwych za-srańców, którzy nigdy nie mieli własnego zdania, nawet nie śmiała na mnie spojrzeć. Przyglądali się obojętnej minie Hursta, a potem po cichutku

pogodzili się z tym, co i tak nieuniknione. Poczulem, jak opuszcza mnie wola walki i przygnięta ciężar zmęczenia... aż zobaczyłem bezczelny uśmiezek Hursta.

Walnąłem pięścią w stół.

35

Tym razem Sean położył mi rękę na ramieniu. Wszyscy prócz Hursta skurczyli się na krzesłach.

— Ależ, doktorze Garnet...

— Dni i noce na korytarzu oddziału nagłych wypadków nie są śmieszne. Hałas i smród, spowodowane przeludnieniem, wzmagają tylko ból i strach, z jakim przyjeżdżają tu pacjenci. To jest rozsądne wyjście, którego pan szukał? Do tego chce j pan nas doprowadzić tymi cięciami? .1

— Tego już za wiele! — rzucił Hurst. 1 ,

— Kiedy pan i jajogłowi, którzy rządzą opieką zdrowotną "ffj w tym hrabstwie, dogadaliście się dwa lata temu, skończyło się

na zamykaniu szpitali. Panowie z kalkulatorami zapewniali nas wtedy, że pozostałe szpitale z łatwością przejmą pacjentów i jakość usług na tym nie ucierpi. I co? Od tego czasu wiele mówiliście, ale nic się nie zmieniło. Czasem jesteśmy tak przeładowani, że musimy odsyłać karetki z pacjentami i mamy nadzieję, że zdążą na czas do innego szpitala.

Przestałem mówić. Ta litania zarzutów ciągnęła się bez końca i zwalanie całej winy na Hursta nie było sprawiedliwe. Dając upust złości i atakując go osobiście, zdołałem jedynie zrobić z siebie głupca. Wszyscy zebrani, z wyjątkiem Seana, zaczęli się ode mnie odwracać. Nawet ci, którzy jeszcze przed chwilą byli tego samego zdania co ja, przewracali oczami z zawstydzieniem. Mimo iż próbowałem opanować wściekłość, mogłem przysiąc, że Hurst był zadowolony z mojego wybuchu. Trudno w nim było rozpoznać załamanego człowieczka, którego widziałem w nocy. Teraz patrzył na mnie chłodno i cynicznie. Jeszcze nie powiedział ani słowa o Kingslym. Na co czekał?

— Panowie! — rozległ się kojący głos doktora Gila Fernan-deza, ordynatora psychiatrii, i natychmiast uciszyli się wszyscy.

Stał niezauważony w drzwiach. Pewnie wślizgnął się niepostrzeżenie, zanim zacząłem wykrzykiwać na Hursta. Był wysoki i nienagannie ubrany w ciemny garnitur, z czerwoną chustką, przemyślnie pofałdowaną w kieszeni na piersi. Czarne

włosy miał zaczesane do tyłu, co podkreślało powiększające się zakola. Wąskie, przystryżone wąsy sprawiały, że wyglądał, jakby miał drugie usta.

36

1

Kiedy już oczy zebranych spoczęły na nim, podszedł do stołu i zajął wolne miejsce obok Hursta.

— Dla ścisłości — zaczął poważnie i pompatycznym tonem, odrywając wszystkich od myśli o ich własnych problemach — wiele razy wspominałem, że oddział psychiatryczny zwraca szpitalowi fundusze, które zostały mu przydzielone, samodzielnie zarabiając na operacjach, i dlatego sądzę, że nie jesteśmy odpowiedzialni za deficyt. Należałoby więc wykluczyć nas z cięć dotyczących łóżek. Zapewniam, że informowałem już o tym pana Kingsly'ego.

O mało nie krzyknąłem: Kingsly nie żyje, ty nadęty dupku, ale zmusiłem się do milczenia. Chciałem usłyszeć, w jaki sposób wypowiedzenie tego nazwiska zmusi w końcu Hursta do poinformowania wszystkich o jego śmierci. Tylko że on tego nie zrobił. Spojrzał potulnie na Fernandezę i powiedział:

— Oczywiście, doktorze. Wasza sytuacja jest wyjątkowa. Według naszych obliczeń na pańskim oddziale będziemy zmuszeni zlikwidować tylko kilka łóżek.

Pijąc ostatni łyk kawy z mlekiem, czy może mleka z odrobiną kawy, zauważyłem, jak obaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— A jeśli już o nim mowa, to gdzie tym razem jest pan Kingsly? — zapytał Sean. — Czy już na stałe został wyłączony z zebrań zarządu?

To nie było niewinne pytanie. Na każdym zebraniu przez ostatnie kilka lat jeden z nas pytał o Kingsly'ego, żądając wyjaśnienia jego nieobecności. Nie chcieliśmy, żeby tu przychodził. Chcieliśmy, żeby wreszcie go zwolniono. Więc na zmianę wspominaliśmy o jego nieobecności, aby tę sprawę dołączono do protokołu. Hurst, który pod jego nieobecność sam rządził szpitalem, nie miał żadnej korzyści ze zwolnienia Kingsly'ego. Doskonale wiedział, jaką prowadzimy w tej kwestii grę, i za każdym razem usprawiedliwiał nieobecność tego pijaka, żeby nie wspomniano o tym w protokole. To dla takiego gówna zostaliśmy lekarzami.

Ale to już się skończyło.

Mimo zakazu Hursta musiałem powiedzieć Seanowi. Pochyliłem się i cicho ostrzegłem go:

37

— Przestań! Już dość. Spojrzał na mnie zaskoczony.

— Zaraz, czekaj — zaprotestował. — Ten facet powinien tu być! Jeśli się do tego nie nadaje, trzeba go zastąpić! Postanowiliśmy...

— On nie żyje! — szepnąłem, próbując zmusić go, żeby przestał gadać. — Znalaziono go wczoraj martwego w biurze.

Ale było już za późno. Hurst zerwał się na równe nogi.

— Jak pan śmie źle mówić o zmarłym! — ryczał. Nie czekał nawet, aż wszyscy westchną zaskoczeni, i dodał: — Od lat wysłuchiwałem waszych ciętych uwag i przytyków dotyczących tego biednego człowieka, ale dziś już mam tego dosyć!

Sean i ja zamarliśmy. Pozostali spoglądali to na nas, to na Hursta. Przez chwilę myślałem, że wyjdzie z siebie. Policzki miał czerwone i trzął się cały. Nagle się wyprostował i stanął sztywno, tak jak zeszłej nocy w biurze Kingsly'ego. Tym razem jednak wzrok miał twardy i nieprzejednany. To tylko udawanie. Zrozumiałem, że od początku to zaplanował.

— Moim niezwykle smutnym obowiązkiem jest — zaczął cicho, ale wyraźnie lekko drżącym głosem — poinformować wszystkich o nagłej śmierci pana Kingsly'ego. Wczoraj w nocy znalaziono go martwego w biurze.

Teraz nie kłamał. W pokoju rozbrzmiały spodziewane okrzyki:

— Och, nie!

— To straszne!

— Jakie to smutne.

Nikt nie zadał nawet jednego pytania, dotyczącego przyczyny zgonu. Pewnie wszyscy pomyśleli, że miało to jakiś związek z jego pijaństwem.

— Jestem wielce poruszony — ciągnął Hurst, podnosząc głos z udawaną złością — obraźliwymi słowami doktora Gameta i doktora Carringtona, dotyczącymi naszego zmarłego dyrektora i kolegi. — Powoli rozejrzał się wśród słuchaczy, by każdy z nich mógł widzieć jego urażony wyraz twarzy z powodu naszego nieodpowiedniego zachowania. — Chciałem, by szpital pracował normalnym trybem, bo wiem, że on by tego pragnął, ale teraz zwykła przyzwoitość wymaga, byśmy odłożyli to zebranie.

38

Usiadł ciężko na krześle, jakby był zmęczony, i zakrył oczy.

Chyba po to, by ukryć wyraz triumfu, pomyślałem.

Prześlizgnął się nad cięciami i wykorzystał fakt, że Kingsly nie żyje, by zamknąć debatę. Sprawił, że ja i Sean, jego najbardziej zawzięci przeciwnicy, wyszliśmy na zwykłych malkontentów.

Szach i mat.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie na zebranych, żeby się zorientować, że to kupili.

To nie miało sensu, ale musiałem spróbować. Znów tylko po to, żeby wszystko zostało zapisane w protokole, gdyby kiedykolwiek sprawa wróciła, zapytałem:

— Te cięcia to już fakt dokonany, czy mamy to przegłosować?

Oburzone spojrzenia wszystkich wokół pozostawiły mnie w przekonaniu, że wyszedłem na nieczułego idiotę. Zaczęli wychodzić z sali.

Jedyną osobą, która na mnie nie patrzyła, był Fernandez. Siedział i wpatrywał się w przestrzeń z ulgą, jakby właśnie się dowiedział, że nie ma raka.

Rozdział 4

Słabe, mlecze światło wpadało przez okno pustego jeszcze korytarza, spowijając wszystko w szarość. Kiedy przeszedłem do lepiej oświetlonej klatki schodowej, prowadzącej do izby przyjęć, spojrzałem na zegar wiszący na ścianie. Dochodziła 7.45. Zwykle dopiero w południe byłem taki wściekły.

Z ulgą wszedłem do jasno oświetlonych pomieszczeń, pełnych krzątających się ludzi. Po tych idiotyzmach, które usłyszałem na górze, na swoim oddziale poczułem się lepiej. Dotarły do mnie dźwięki i zapachy porannego przekazywania obowiązków. Ten rytuał odbywa się na oddziale nagłych wypadków każdego szpitala codziennie w ten sam sposób. Nocna zmiana przekazuje porannej swoich pacjentów. Aromat kawy miesza się z zapachem jajecznic i pozostałym z nocy zapachem niemytych pacjentów. Jeszcze gorszy odór doszedł mnie z nie-opróżnionego basenu, pozostawionego na stojących w pobliżu noszach.

Pokój pielęgniarek, pomieszczenie w samym centrum, miał wielkie okna z widokiem na cały oddział i na parking, gdzie podjeżdżały karetki i wyładowywano pacjentów. Pod oknami zamocowano szerokie blaty wypełnione telefonami, monitorami, komputerami i klawiaturami oraz plikami formularzy. Zwoje papieru zwisały z faksu, ale nikt nawet nie pofatygował się, żeby je oderwać, nie mówiąc już o przeczytaniu. Przy blatach

stały wózki, większość z nich zajęta przez pacjentów. Pielęgniarki na stojąco zapisywały coś w notesach, telefonowały albo odczytywały zalecenia i wybiegały do pokoju zabiegowego. Rząd papierowych kubków z niedopitą kawą lub herbatą świadczył o tym, jakie są zabiegane.

W rogu zauważyłem doktora Michaela Popovitcha. Słuchał z uwagą sprawozdania stażystów i internistów. W duszy podziękowałem opatrności, że dziś na dyżurze jest ten spokojny, brodaty mężczyzna. Potrzebowałem jego porady i poczucia humoru. Podniósł palec na powitanie, uniósł brew, przyglądając się stosom wydruków, i powrócił do litanii odczytywanej przez zaspanego studenta medycyny.

— Pacjent numer dwadzieścia jeden to pięćdziesięcioletni mężczyzna, dziś w nocy około trzeciej obudził się z bólem klatki piersiowej...

Susanne spojrzała w moją stronę i odłożyła słuchawkę telefonu.

— Co to znów za gówno? W administracji powiedzieli mi, że nie ma więcej łóżek i nie należy się ich szybko spodziewać. Planowane są wypisy, ale mają polecenie od Hursta, żeby nie przyjmować w to miejsce nowych pacjentów. Od wczorajszego popołudnia nie wysłaliśmy na górę ani jednego człowieka. Przyjeliśmy w tym czasie dwudziestu, a następnych piętnastu czeka w kolejce... — Potem, zauważywszy mój wyraz twarzy, dodała tylko: — Aha!

Jak na potwierdzenie jej słów na monitorze pojawiła się karetka podjeżdżająca pod szpital, a za nią następna. Po chwili nasi najświeżsi goście zostali przywiezieni na noszach i dostarczeni na górę, jak pizza na telefon. Obaj byli okutani niezliczonymi ubraniami, starzy i bardzo wystraszeni.

Susanne się odwróciła i przycisnęła guzik interkomu.

— Do klasyfikacji! — zawołała.

Przez okno zobaczyłem, jak zza zasłony wylania się Lisa Gray. Odłożyła basen i podeszła do nowo przybyłych z uśmiechem, który wyraźnie ich uspokoił. Za mną wciąż ciągnął się raport z nocnego dyżuru.

— ...ból zaczął się nasilać, więc zadzwonił do swojego lekarza. Pielęgniarka zaleciła mu maalox, ale nie radziła wzywać pogotowia...

41

Wróciłem do Susanne. Poprosiłem, by wyszła ze mną z pokoju pielęgniarek. Odeszliśmy kawałek dalej, gdzie Lisa rozmawiała z nowo przybyłymi pacjentami.

— Tak źle? — zapytała Susanne.

— Tak. Naprawdę źle. Mądrale z góry postanowili zlikwidować sto łóżek, żeby im się zgadzały rachunki.

— Co?

Zachwiała się, jakbym ją uderzył.

— Czy oni zwariowali!? — pisnęła. Nie brzmiało to jak pytanie.

Sanitariusze przywieźli następnego pacjenta z karetki. Lisa znów podeszła do nich z uśmiechem. Zaskoczona Susanne oparła się o ścianę. Zmieniłem temat.

— Wiesz już o Kingslym?

— Tak. Niewielu będzie opłakiwało tego pijaczkę. Miał zawał?

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem skłamać i wróciłem do okienka w pokoju pielęgniarek, zanim Susanne zdążyła zadać następne pytanie.

Telegraf szpitalnych plotek nadał informację, że Kingsly nie żyje, ale na razie tylko kilka osób, w tym oczywiście morderca, wiedziało, że go zabito. Wolałem tego nie zmieniać. Oddział nagłych wypadków miał już i tak sporo problemów bez tego morderstwa i wypytywanej wszystkich policji.

Gruboskórna uwaga Susanne pobrzmiewała jednak wciąż w mojej głowie. Nie winiłem jej za to. Niestety, zdawałem sobie sprawę, że tak zareaguje większość szpitalnego personelu. Zaskoczyła mnie myśl, że ja czasem też o nim źle mówiłem. Poczuję wstyd. Susanne zajęła się pacjentami, pomagając Lisie, a ja udawałem, że przeglądam listę przyjętych pacjentów. Wspominałem dobre czasy, osiem lat temu, kiedy zdanie Kingsly'ego jeszcze się liczyło... przypomniało mi się jego poparcie... uścisk dłoni i uśmiech po nominacji. Musiałem skupić się na pracy.

— Kiedy przyjdzie moja sekretarka — powiedziałem do recepcjonistki — niech zwoła zebranie lekarzy z oddziału na piątą. — Oboje byliśmy zdziwieni złością, słyszalną w moim głosie. — Przepraszam — dodałem szybko, zawstydzony niegrzecznym zachowaniem. Dziewczyna uśmiechnęła się

42

i wzruszyła ramionami. Pewnie pomyślała, że to wskutek stresu spowodowanego nawalem pacjentów. — Potem niech podzwoni do wszystkich ordynatorów — ciągnąłem już spokojniej. — Niech się u mnie zjawia w południe.

To, co powiedziałem, nie zadowoliło otaczających mnie pielęgniarek.

Potrzebowaliśmy łóżek, a nie kolejnych zebrań i telefonów. Przez otwarte drzwi na

korytarz, gdzie klasyfikowano pacjentów, zauważyłem, jak Susanne przewraca oczami, widząc następnego chorego na noszach. Lisa przestała się uśmiechać.

Pomyślałem, że teraz może nam pomóc tylko jedna rozmowa telefoniczna.

— Połącz mnie z dyrektorem transportu medycznego — dodałem głośno. — Spróbuję go namówić, żeby przez kilka godzin nie przysyłał nam pacjentów.

W ekstremalnych sytuacjach udawało mi się zwykle ominąć półgłówków, którzy zajmowali się w centrum transportu kierowaniem karetek do szpitali, i porozmawiać bezpośrednio z Żakiem Evansem, ich dyrektorem do spraw medycznych. Tym razem jednak już pięć minut czekałem na połączenie.

Karetki do transportu chorych w Buffalo, a właściwie w całym hrabstwie, były koordynowane przez centralny system, prowadzony przez władze miejskie. Personelem rządziła jednak duża krajowa firma, zajmująca się pomocą medyczną w miastach i ośrodkach przemysłowych. Zak Evans był najważniejszym ogniwem w tym mechanizmie.

Pracował na oddziale nagłych wypadków, zanim firma zwerbowała go, by pomógł im rozwiązać problemy z kwalifikacjami personelu. Kiedy przejmował ten rejon, wykupili cały tabor sanitarny szpitali albo zawierali kontrakty z prywatnymi firmami, wynajmując ich samochody, mechaników i służby medyczne, potrzebne do pracy w mieście. Gdy jednak w firmie zebrало się tylu różnych nowych pracowników, trudno było od nich wyegzekwować odpowiednią jakość pracy. Większość była dość dobrze wykwalifikowana, ale część zatrudnionych w ogóle się do tego nie nadawała. W kilku

43

mniejszych jednostkach kierowcy ciężarówek przeszli do służby medycznej, bo płacono im trochę lepiej za przewożenie ludzi niż kapusty. Po niewielkiej liczbie godzin podstawowego przeszkolenia wciąż niewiele się na tym znali. Zanim ich przejęto, zawsze im się udawało uniknąć testów kompetencji. W obawie przed zwolnieniem ktoś nawet wysadził w powietrze jedną z karetek.

Zak miał za zadanie połączyć wszystkie te rozproszone jednostki w jedną, wspólnie działającą grupę i podwyższyć jakość usług pogotowia. Wydawało się, że to zadanie niewykonalne, a jednak jemu się udało. Zintegrował lepszych sanitariuszy i techników medycznych i powierzył im funkcje szefów jednostek. Potem kazał dopilnować, by personel im podlegający miał odpowiednie przeszkolenie. W większości wypadków ten system zadziałał. Jeździło jeszcze po ulicach kilka niedouczonej zespołów, ale znaliśmy ich nazwiska i zawsze sprawdzaliśmy

wszystko dwa razy, kiedy odbieraliśmy od nich pacjenta. Wszystkie oddziały nagłych wypadków w szpitalach w hrabstwie Erie uznały Żaka za świętego.

W końcu odebrał telefon.

— Zak, to ja, Earl. Co u ciebie?

— U mnie? W porządku, ale podobno jeden z waszych prześwietnych szefów kopnął w kalendarz.

— Imponujące. Szkoda, że nie potrafisz mi tak szybko przysłać karetki, jak zdobywasz najświeższe plotki.

— Hej, nie bądź złośliwy. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Policja o tym mówiła przez radio.

Tak, pomyślałem. Pewnie już o tym wie całe miasto.

— Co się stało? — zapytał, udając, że niewiele go to obchodzi. Lubił wszystko wiedzieć. Im większa tajemnica, tym lepiej. — Dlaczego przyjechała policja? — dodał ze zbytnim pośpiechem. Zrozumiałem, że jeszcze nie wie, jak zmarł Kingsly. Miałem więc coś na wymianę.

Przysłoniłem dłonią słuchawkę, żeby nikt dookoła nie słyszał.

— Zak, to straszne. Nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć. — Miałem nadzieję, że mój tajemniczy ton podniesie stawkę. — Nasi mądralińscy z administracji zamknęli nam sto łóżek dziś rano, po tym jak go znaleźliśmy martwego. Chyba lepiej...

44

Przerwałem, żeby utrzymać rozmowę w konspiracyjnej atmosferze. Nie wytrzymał po kilku sekundach.

— Co? Powiedz. Wiesz, że się nie wygamam.

Pewnie, do następnej rozmowy, pomyślałem. Musiałem uważnie sformułować tę informację, żeby nie zrobić nic wbrew zaleceniom Buforta i dostać to, czego potrzebuję.

— Zak, posłuchaj. Musisz mi odwołać karetki na dwadzieścia cztery godziny. Śmierć Kingsly'ego jest co najmniej podejrzana.

Jeśli Zak zrozumie, że ma to jakiś związek z likwidacją łóżek, to nawet dobrze. Taka pogłoska może narobić trochę szumu.

— Co?

— Tak. Przygotowanie łóżek na nowo zajmie nam przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

— Morderstwo?

— Ja tego nie powiedziałem! — wykrzyknąłem, ale za chwilę podałem warunki umowy. — Oczywiście kiedy będziesz z nami ściśle współpracował, szybciej dotrą do ciebie najświeższe informacje o śledztwie.

Skrzywiłem się sam do siebie. Brzmiało to jak z książki albo filmu, ale Zak uwielbiał brytyjskie kryminały.

— Zamordowano go?

— Tego nie powiedziałem, Zak.

— Ale jeśli zatrzymam karetki, będziesz mnie informował?

— Oczywiście. Milczał przez chwilę.

— Dobra, załatwione — powiedział w końcu.

— Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

Moja wesołość po wygraniu małej potyczki nie trwała długo. Nagle zauważyłem, że tylko stażyci przekazują pacjentów.

— Susanne, gdzie jest Kradic?

Spojrzała na mnie znad karty pacjenta, którą wypisywała na blacie.

— Wiem, że to nie najlepsza chwila — odparła — ale muszę ci powiedzieć, że wyszedł wcześniej.

— Co?

— Słyszałeś. Wyszedł, jak tylko Popovitch tu dotarł. Nie

45

przekazał swoich obowiązków. Powiedział, że ma ważne spotkanie i że stażyci mogą przedstawić doktorowi Popovitchowi stan jego pacjentów.

Nie mogłem uwierzyć, że miał czelność wyjść wcześniej po tym, jak go zbeształem za spóźnienie. Wyszedł rankiem, kiedy na oddziale było pełno pacjentów. To niewybaczalne. Stażyci nie mogą decydować, kogo można bezpiecznie wysłać do

domu, a kogo nie, a tym bardziej o tym, jak leczyć pacjentów, którzy pozostają u nas. Popovitch będzie musiał jeszcze raz sprawdzić dane każdego chorego.

— Mogę coś powiedzieć? — zapytała Susanne, spoglądając na wchodzącego na oddział pacjenta zgiętego wpół z bólu. — Wywal go!

— Dopiero co go ochrzaniłem, że się spóźnia! — rzuciłem w swojej obronie.

Byłem na niego wściekły i mogłem go wyrzucić, ale do tej pory zawsze tolerowałem jego wybryki, bo był doskonałym lekarzem. Reanimacja w jego wykonaniu czasem graniczyła z cudem, a stażyści uwielbiali go jako nauczyciela. Brał wszystkie dyżury, jakie mu dawałem, w tym połowę naszej nocnej zmiany. Często kłócił się jednak z innymi członkami personelu, wykpiwał ich i poniżał. Jako ordynator oddziału musiałem zadbać o to, by wszystkie zmiany były obsadzone, a gdyby odszedł, nie miałbym go kim zastąpić. Mimo to spóźnianie się i wczesne wychodzenie z pracy to poważny problem, z którym musiałem się uporać, bo inaczej dyscyplina w całym oddziale pójdzie w diabły. Wszedł następny pacjent, trzymając przy głowie zakrwawiony ręcznik. Jedna z pielęgniarek pomogła mu się położyć na noszach. Trzydzieści procent naszych pacjentów przychołgiwało się tu, przychodziło lub przyjeżdżało taksówkami, a nie karetką. Ich nie mogliśmy skierować do innego szpitala. Na razie musiałem zająć się sprawami najpilniejszymi.

Trzymałem słuchawkę kilka centymetrów od ucha. Doktor Valerie Jones, która pracowała na zmianę z Kradikiem, wrzeszczała przez nią na mnie.

46

— Dlaczego dzwonisz w wolny dzień? Jak śmiesz...

— Valerie, potrzebuję dziś pomocy. Umowa jest taka, że jeśli pracujesz w ciągu dnia, nie przychodzisz na noc.

Osiem lat temu zatrudniłem Valerie na nocną zmianę. Od tego czasu wielu innych lekarzy podjęło taką samą pracę....na rok lub dwa. Zwykle byli to świeżo upieczeni lekarze, którzy chcieli mieć czas w ciągu dnia na naukę lub otworzenie własnej praktyki. To była dla nich przejściowa praca. Ale Jones została.

— Ej — rzuciła. — Biorę połowę nocnych dyżurów i wszystko, co trzeba w ciągu dnia. Na pewno nie można mi zarzucić, że się objam.

— Nic ci nie zarzucam, Valerie, tylko proszę o pomoc. Była równie humorzasta jak Kradic, a personel mówił o niej,

że jest ponura i złośliwa.

— Poproś Kradica! — powiedziała kpiąco słodkim głosem, jakby zgadywała, o czym myślę.

— Dobrze wiesz, że miał dziś noc — odparłem. Nie potrafiła się z nim dogadać od chwili, kiedy go tu zatrudniłem w zeszłym roku. Do jego pojawienia się była na nocnej zmianie jedyną gwiazdą. Ponieważ w ratowaniu ludzkiego życia dorównywał jej, więc musiała z nim dzielić podziw stażystów.

— Możesz przyjść? — zapytałem ponownie, próbując nie błagać. Gdybym się do tego zniżył, pewnie to osłabiłoby jej opór. Czasem tak się zacietrzewiała, że graniczyło to z paranoją. Na pewno już zaczęła coś podejrzewać, kiedy zadzwoniłem do domu. — Posłuchaj — powiedziałem, ścisząc głos, żeby to brzmiało jak udzielanie jej poufnych informacji. — U nas jest kocioł. Ci idioci z góry zamknęli dziś sto łóżek. Trudno opanować przeludnienie. Potrzebujemy cię.

— Przykro mi, ale mam pracę badawczą w pogotowiu. Chryste, ale się uparła.

— Podobno tego właśnie pragnęłaś, Valerie, dodatkowych dyżurów. Odkąd zatrudnił się u nas Kradic, zawsze narzekasz, że nie masz tyle roboty, ile byś chciała.

Słuchałem jej oddechu w słuchawce i miałem nadzieję, że zazdrość o Kradica weźmie w niej górę nad chęcią ukarania mnie.

— Mogę przyjść na dzień od jutra — rzuciła chłodno.

47

— No cóż, dziękuję, Valerie, ale to dzisiaj jesteś nam bardzo potrzebna — stwierdziłem i rozłączyłem się, zanim mogła coś powiedzieć albo odwiesić słuchawkę.

Siedziałem, dysząc ze złości. Trudno mieć komuś za złe pracę badawczą, zwłaszcza dotyczącą zawałów serca, lecz wyskakiwała z tym przy byle okazji. Na ironię to ja ją namawiałem do przyłączenia się do tych badań.

Cztery lata temu Zak włączył pogotowie i wszystkie szpitale rejonu Buffalo do wielkiego, amerykańsko-kanadyjskiego programu testowania nowych zestawów specyfików do leczenia zawałów serca. Potrzebowali wtedy lekarza z oddziału nagłych wypadków, żeby jeździł z nimi karetkami i nadzorował pierwszą pomoc medyczną. Podsunąłem jej ten pomysł, bo już wcześniej pracowała z nimi nad projektem badań, dotyczących pracy lekarzy na drogach. zaproponowałem, by wzięła w tym udział. Niezależnie od tego, jaka była w kontaktach personalnych, jako lekarz zgromadziła doświadczenie większe niż ktokolwiek na tym oddziale. Zobowiązałem się nawet dostosować jej grafik do rozkładu dodatkowej pracy w

pogotowiu. Zawsze kiedy jeden z lekarzy brał udział w badaniach, nasz program szkoleniowy bardzo się wzbogacał. Byłem zadowolony, kiedy przyjęła propozycję, a jeszcze bardziej, kiedy się okazało, że dobrze jej idzie.

Dzisiaj jednak nasza oddziałowa primadonna wyprowadziła mnie z równowagi. Wstałem od biurka i ruszyłem w kierunku sali nagłych wypadków.

— Oczywiście, że to nietypowe! — krzyczał przez telefon Popovitch. — Dwadzieścia procent takich przypadków nie ma typowych objawów. EKG i badania potwierdzają jednak zawał ściany dolnej serca. Pacjent otrzymuje streptokinazę. Nie powinien pan odradzać mu wezwania pogotowia! Macie przecież pomagać im w uzyskaniu fachowej porady, a nie ich przed nią strzec!

Rzucił słuchawką i odwrócił się stażystów, do stojących za nim z pootwieranymi ze zdziwienia ustami. Szybko przydzielił każdemu z nich nowe zadanie. Kiedy skończył, skinąłem, żeby do mnie podszedł, i powiedziałem mu o wycofaniu łóżek. Uniósł brwi ze zdziwienia.

48

— Jezu Chryste! Jak nie cudowni guru z przychodni, to nasi przeklęci administratorzy. Co masz zamiar zrobić?

— Wypowiedzieć im wojnę! — rzuciłem entuzjastycznie, choć nie miałem zielonego pojęcia, jaką przyjmę taktykę walki.

Popovitch potrząsnął głową, a potem pobiegł do pacjentów, żeby jakoś opanować powstały chaos.

Podszedłem do Susanne. Musiałem sprawdzić, jak sobie radzi z najpilniejszymi przypadkami. Już miała problem.

— To znów bezdomny. Trup. Szósty od początku lata. Ochrzaniłam sanitariuszy z karetki, ale twierdzą, że rozrzucają ich po trochu po wszystkich szpitalach. Podobno ostatnio jest ich strasznie dużo.

Podać mi formularz.

— Ty zajmij się papierkami, a ja poszukam mu łóżka. Pewnie w kostnicy są wolne. Tam zawsze się coś znajdzie — powiedziałem.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Pański pacjent czeka w sali C, doktorze — odparła i uciekła, zanim wcisnąłem jej formularze.

Jak na lekarza to dość dziwne, ale nie lubię być sam na sam z trupem, a to był już drugi w ciągu dwunastu godzin. To nie ma nic wspólnego z medycyną. Jeśli choćby w jednej komórce został jeszcze jakiś impuls, to w ciele jest życie i można próbować je leczyć. Ale trup to coś... nieodwołalnego. Wstrzymałem oddech. Nie ma to nic wspólnego z jakąkolwiek logiką, bo w przeciwieństwie do ciała Kingsly'ego trupy, które trafiają do mnie, nie zaczęły się jeszcze rozkładać i nie wydzielają brzydkiego zapachu.

Zwłoki leżące przede mną miały nieokreślony wiek od średniego do osiemdziesiątki. Spanie w opuszczonych kanałach, jedzenie ze śmietnika i picie taniego alkoholu sprawiło, że twarz miał poznaczoną czerwonymi i niebieskimi popękanymi żyłkami. Rozdzielały się na szarozółtym tle jego skóry jak alejki na mapie parku. Pewnie nie zawsze tak wyglądał i chyba nie wyobrażał sobie, jak żaloszny będzie jego koniec.

Włożyłem maskę i rękawice, wzdrygnąłem się i zacząłem badanie. Musiałem oficjalnie stwierdzić brak oddechu i pulsu. Nie było śladów szamotaniny czy bólu. Śmierć nastąpiła pewnie

49

z przyczyn naturalnych, jeśli warunki życia, które go zabiły, można nazwać naturalnymi. W sposób pewny uda się określić, dlaczego zmarł, dopiero po autopsji, nakazywanej w tym wypadku przez prawo. Lecz jeśli chodzi o pacjentów niezidentyfikowanych, których nazywaliśmy Jane lub John Doe, zwykle przeprowadzano autopsję w sposób, można by rzec, powierzchowny. Nawet dla zmarłych brakowało nam pieniędzy.

Szybko sprawdziłem, czy denat nie ma skrzepów w żyłach, co mogłoby świadczyć na przykład o niedawnym użyciu strzykawki. Pospiesznie przebadałem całe ciało, pragnąc jak najszybciej skończyć i wyjść, i zauważyłem na klatce piersiowej męczyzny niewielką plamkę.

W normalnych okolicznościach nie zwróciłbym na nią uwagi, a na pewno nie przyjrzałbym się jej bliżej. Była ciemna, niepozorna, wyglądała jak pieprzyk, brud lub zadrapanie. Ale jej położenie zaniepokoiło mnie. Ten człowiek miał strup na lewo od mostka, poniżej piersi... w miejscu, gdzie zwykle robi się zastrzyki dosercowe.

Wpatrywałem się w strup, pragnąc, żeby zniknął, lecz on pozostał. Nie był tak duży, jak ten, który zobaczyłem na ciele Kingsly'ego. Po prostu kropka, ale położenie zgadzało się dokładnie.

Poczułem się dziwnie niespokojnie. Pochyliłem się, gdyż nie byłem w stanie dokładnie określić, co to jest. Nabrałem powietrza w płuca, podniosłem maskę i

dmuchnąłem, by sprawdzić, czy nie jest to drobina materiału lub błoto przyklejone w tym miejscu przez przypadek. Kropka się nie poruszyła.

Mogło się jeszcze okazać, że ten dziwny ślad zniknie, kiedy przetrę go mokrym wacikiem, i pod spodem pojawi się nietknięta skóra. Nie chciałem jednak niczego dotykać, dopóki Watts się temu nie przyjrzy dokładnie. Obejrzałem resztę ciała w poszukiwaniu podobnych śladów. Znalazłem łojowate dzioby na twarzy i szyi, które okazały się zwykłymi zaskórnikami, i pieprzyki na kończynach. Z ulgą wróciłem do kropki w okolicy mostka. Otaczająca ją skóra nie była nabrzmiąta ani wzniesiona, jak to bywa wokół zaskórników. Przyjrzałem jej się z boku i zobaczyłem zaokrąglone wzniesienie w środku. Może to jednak pieprzyk... niestety, nie miałem pewności. Poczulem się

50

głupio i ostrożnie nacisnąłem klatkę piersiową denata dłońmi, sprawdzając, czy spod strupa nie wydostają się jakieś płyny, jak to było w wypadku Kingsly'ego.

Nic takiego się nie stało.

Dzięki Bogu! — pomyślałem, czując zawstydenie, że tak łatwo przestraszyłem się czymś, co mogło się okazać zwykłym pieprzykiem. Westchnąwszy, zorientowałem się, że znów przez jakiś czas wstrzymywałem oddech.

Kusiło mnie, żeby potwierdzić spostrzeżenie, przemywając ślad wacikiem... ale obawiałem się go dotknąć. Jeśli zdjąłbym strup, Watts i policja wściekliby się na mnie za to, że usuwam dowody, zanim je sprawdzono, zwłaszcza gdyby pod nim ukazała się dziurka po wkłuciu igły. Najpierw trzeba popatrzeć na to przez lupę, a potem obejrzeć pod mikroskopem, by upewnić się co do obecności jakichś obcych ciał, i ewentualne próbki przenieść na szkiełko. Lepiej to zostawić Wattsowi, pomyślałem, choć głupio mi było prosić go o sprawdzenie czegoś, co mogło się okazać zupełnie nieważne. Pomysł, że ten człowiek mógł zostać zabity tak samo jak Kingsly, wydawał się niedorzeczny.

Przed drzwiami zdjąłem maskę i rękawice, wziąłem formularz aktu zgonu i wróciłem do pokoju pielęgniarek, żeby tam go wypełnić. Na drugiej stronie widniał schemat postaci, na którym miałem zaznaczyć znaki szczególne na ciele zmarłego. Postawiłem kropkę na lewo od mostka, narysowałem wokół niej kółko i pociągnąłem od niej strzałkę na margines, gdzie napisałem: „Uwaga, doktorze Watts. Na lewo od mostka jest kropka. Może to być zwykłe przebarwienie albo strup. Proszę sprawdzić”. Na pewno będę się czerwienił ze wstydu, jeśli się okaże, że to zwykły brud.

Kiedy wypisywałem formularz, dookoła mnie zaczęło się robić głośno, co oznaczało, że brakuje rąk do pracy.

— Zestaw do reanimacji na trójkę, proszę.

— Już.

— Pacjent do klasyfikacji.

— Czy kardiologia dzwoniła już w sprawie zawałowca na trójce?

— Nie, a streptokinaza zaraz się skończy.

51

— Stan pacjenta dobry?

— Prawie. Ciśnienie jeszcze bardzo słabe, ale jest pod kroplówką.

Skoncentrowałem się na paru miejscach w formularzu, które sprowadzały śmierć do kilku pospiesznie nabazgranych na papierze słów, i próbowałem nie zwracać uwagi na panujący wokół hałas. Wymiana zdań oznaczała, że pacjent z zawałem serca może wejść w stan wstrząsu z powodu podanych mu leków, które mają za zadanie rozpuścić skrzepy powstałe w naczyniach wieńcowych.

— Na czwartej linii kardiologia. Nie mają łóżek.

— Co?!

Teraz ja też już wiedziałem, że na oddziale kardiologicznym nie mają miejsca dla naszego pacjenta.

— Karetka w drodze.

— Pacjent do selekcji!

— Częstoskurcz na piątce!

— Cholera!

Częstoskurcz komorowy to potencjalnie śmiertelny dla pacjenta rytm serca. Za chwilę u następnego chorego może dojść do zatrzymania akcji serca.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć do nagłych wypadków! Dziewięćdziesiąt dziewięć do nagłych wypadków!

Chryste, pomyślałem, ten dzień to jakiś koszmar! Odrzuciłem na bok niewypełniony formularz i pobiegłem pomóc Popovitchowi.

Pacjent z łóżka numer pięć przeżył, ale podczas resuscytacji znacznie pogorszył się stan pacjenta z trójki. Nikogo przy nim nie było i z powodu zbyt dużej dawki streptokinazy spadło mu ciśnienie. Wszedł we wstrząs. Próbowaliśmy mu wstrzyknąć środek dożylnie, żeby nie przeciążać i tak już słabego serca, ale ciśnienie nie wzrosło.

Blady i wystraszony młody zawałowiec nazywał się Donald Cummings. Odmówiono mu łóżka na kardiologii z powodu oszczędności, a teraz będzie musiał spędzić znacznie więcej czasu na tym oddziale i szpital wyda o wiele więcej pieniędzy.

52

Zresztą pewnie i tak to wszystko skończy się tylko monitorowaniem śmierci. Dobra wiadomość dla cynika to fakt, że na kardiologii zwolniło się miejsce. Pacjent, którego wczoraj ratowałem, zmarł.

Moja złość, wywołana zredukowaniem Donalda Cummingsa do liczb, natychmiast przeszła w strach, kiedy zobaczyłem jego żonę. Błada z przerażenia, trzęsła się cała. Trzymała go za rękę i głaskała po głowie. Jej odwaga była równie słaba i nieudolna jak jego serce. Czuję się nieczysty, kiedy w końcu udałem się do swojego gabinetu.

Sekretarka wyszła na kawę, ale na pewno do tej pory była bardzo zajęta.

Pierwsza kartka na moim biurku potwierdzała przybycie na zwołane przeze mnie zebranie większości zaproszonych ordynatorów. Na drugiej kartce była wiadomość, że mam zatelefonować do Buforta. Detektyw pewnie dzwonił podczas resuscytacji Cummingsa i domagał się natychmiastowego połączenia ze mną. No i musiał poczekać na swoją kolej. Nie jest, do cholery, najważniejszy. Dzwoniło też trzech reporterów. Wszyscy chcieli usłyszeć moje zdanie na temat śmierci Kingsly'ego. Oni też mogą sobie poczekać. Pewnie zainteresowani są plotkami. Podarłem kartki z ich numerami telefonicznymi.

Korespondencja była już przejrzana, posortowana według ważności i ułożona w stosik. To oznaczało, że zawiera głównie zaproszenia na zebrania oraz kilka listów od rozżalonych pracowników... zwykła papierkowa robota, jeszcze mniej ciekawa niż spotkanie z Bufortem.

Spojrzałem na grafik dyżurów. Kiedy wybierałem oddział nagłych wypadków dwadzieścia lat temu, chciałem tu pracować z powodu otaczającej go aury wysokiego ryzyka. Tu miało się szansę przywrócenia zmarłych do życia i należało się do elity medycyny. Oznaczało to również wolność. Kowboje pracujący na dole nie musieli zachowywać pozorów i dusić się w ciasnocie zachowań stosownych w tym zawodzie. Mogliśmy wziąć kilka dyżurów, a potem wsiąść do volkswagena busa i pojechać na koncert rockowy, i nie zostać ofukani przez starszyzną szpitalną za tak

nieodpowiednie postępowanie, jeśli oczywiście dobrze się spisywaliśmy w pracy.

53

Teraz wszystko się zmieniło. Ludzie związani z tym zawodem mieli więcej wolności, głównie z tego powodu, że do szkół medycznych przyjmowano kandydatów z różnych środowisk oraz dużą liczbę kobiet. Zawalił się bastion męskiej profesji, a sposób myślenia miał ze sztuką równie wiele wspólnego jak z nauką. Mam czterdzieści osiem lat i jestem ordynatorem, a wciąż przygniatają mnie tony niepotrzebnych papierów. Od siedmiu lat przeprowadzam rozmowy, z których nic nie wynika, bo wciąż obcinają nam fundusze, wciąż musimy iść na kompromisy. Powinienem w ogóle nie chodzić na zebrania zarządu, ale muszę walczyć, żeby próbować zmniejszyć szkody. Tym razem mi się nie udało. David Cummings nie usłuchał swego lekarza pierwszego kontaktu i udał się do szpitala, ale tam zapłacił najwyższą cenę za cięcia budżetowe i zamknięcie stu łóżek. Praktyka medyczna w znacznym stopniu odbiegała od moich wyobrażeń z dawnych czasów, kiedy wszyscy nosili długie włosy.

Pochyliłem się, by sięgnąć po słuchawkę telefonu i zadzwonić do Buforta, kiedy po krótkim, niedbałym pukaniu otworzyły się drzwi i detektyw we własnej osobie wszedł do mego biura. Za nim podążało dwóch policjantów po cywilnemu.

— Doktorze Garnet — powiedział bez zbędnych wstępów — proszę o protokoły zebrań i dane personalne pracowników pańskiego oddziału. Szybko!

Jego słowa huknęły jak uderzenie kijem o biurko... albo we mnie.

— Co, do diaska... — zacząłem, wstając z krzesła.

— Słyszał mnie pan dobrze — rzucił. — Protokoły z zebrań oddziału i dane pracowników! — Podszedł i stanął naprzeciwko mego biurka.

Wyprostowałem się, a dwóch policjantów podeszło z obu stron, jakbym miał zamiar uciekać.

— Co wy wyprawiacie? — zapytałem, spoglądając to na jednego, to na drugiego, a potem na Buforta.

Położył dłonie na biurku, pochylił się i zapytał:

— No, to jak będzie?

Kilka sekund zabrało mi pozbieranie myśli.

— Wszystkie protokoły zebrań są na górze, tam gdzie papiery innych oddziałów.

Dostaniecie je w administracji.

54

Dlaczego personel Kingsly'ego nie dał im dokumentacji? — zastanawiałem się. Bufort spojrział na mnie. Próbowałem się opanować.

— Co się zaś tyczy akt osobowych, to uprzedzam, że są tajne. Zawierają między innymi wpisy nagan dyscyplinarnych dla lekarzy. Tych danych nie wolno mi ujawniać. Żeby je uzyskać, potrzebna będzie panu decyzja sądowa, i to do każdego akt osobno. Nie wolno grzebać we wszystkich poufnych danych szpitala.

— Odmawia pan? — zapytał, wpatrując się we mnie bez mrugnięcia.

— Sam pan wie, że muszę — odparłem z odrobiną niecierpliwości w głosie, z powodu jego niezdarnych prób onieśmienia mnie.

Najpierw nic nie powiedział. Nie okazał żadnych uczuć... ani złości, ani rozczarowania, nawet niechęci. Rozszerzone źrenice ostrzegły mnie jednak, że adrenalina buzuje mu w żyłach. Czekaając na jego następny ruch, czułem, jak kurczy mi się żołądek.

— Ale jedną teczkę może mi pan pokazać.

— Tak? Czyją?

— Pańską.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Mówił spokojnie, lecz brzmienie jego głosu przestraszyło mnie nie na żarty.

— Swoją teczkę może mi pan udostępnić — powtórzył jeszcze ciszej, zauważyłem jednak, że pucołowate policzki zaczęły mu się czerwienić.

Przeszył mnie dreszcz. Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, obrócił się na pięcie i wyszedł, a za nim obaj asystujący mu policjanci.

Stałem za biurkiem i próbowałem zrozumieć, o co tu chodziło. Ktoś przecież musiał mu powiedzieć, że może dostać wszystkie protokoły zebrań bez pytania mnie o to. Sam powinien wiedzieć, że nie wolno mu przeglądać poufnych informacji, dotyczących pracowników.

Potem zrozumiałem. Nie chodziło mu o protokoły ani akta. Sprawdzał mnie. Chciał zobaczyć, jak zareaguję na jego żądanie

55

przejrzenia tych papierów, zwłaszcza moich akt. Dlaczego? Poczulem niepokój. Takie zachowanie nie było zbyt grzeczne, ale musiał mieć jakiś powód. Czego się o mnie dowiedział, że tak go to zainteresowało? Przypomniałem sobie spojrzenie, jakim obrzucił ranie na pożegnanie, i po plecach przeszedł mi dreszcz.

Mój strach nie trwał długo.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć do nagłych wypadków! Dziewięćdziesiąt dziewięć do nagłych wypadków!

Zacząłem biec korytarzem, kiedy usłyszałem:

— Odwołuję dziewięćdziesiąt dziewięć! Odwołuję dziewięćdziesiąt dziewięć do nagłych wypadków!

To oznaczało, że z jakiegoś powodu odwołano alarm. Zwolniłem, lecz mimo to dość szybko udałem się na izbę przyjęć nagłych wypadków.

Susanne powitała mnie z otwartymi ramionami.

— To jeden ze sprzątaczy wszedł do sali C, gdzie zostawiłeś tego nieboszczyka — oznajmiła.

— Ja zostawiłem?

— Tak. Sprzątacznik niedawno przeszedł kurs pierwszej pomocy. Zobaczył ciało, zadzwonił na dziewięćdziesiąt dziewięć i zaczął sztuczne oddychanie.

— Ratował trupa?

— Wiesz, jak to jest z niefachowcami. Nie wiedzą, od jak dawna ktoś nie żyje. Uczono ich, że nie wolno im przestać, póki nie przyjdzie ktoś z lekarzy.

— Gdzie on jest?

— W ubikacji, rzyga. Ciało wiozą do kostnicy — powiedziała i wcisnęła mi formularze. — Wypełnij to, na litość boską, bo nam go odeślą.

Zaledwie minutę zajęło mi wypełnienie formularza do końca, ale po chwili zawahałem się. Spojrzałem na uwagę dotyczącą kropki na klatce piersiowej. Po wizycie Buforta zastanawiałem się, czy to jeszcze bardziej nie przyciągnie jego uwagi. Może odbierze to jako próbę zdezorientowania anatomopatologa? Może powinienem najpierw poprosić Watta, żeby obejrzał nieboszczyka? Rozważałem nawet to, czy mam wspominać w notatkach o nieszczęsnej próbie ratowania zmarłego przez

sprzątacza. Doświadczony lekarz czy pielęgniarka zorientowałiby się natychmiast, że nie ma sensu przeprowadzać pierwszej pomocy na dawno już nieżyjącym człowieku. Nie wyobrażałem sobie, że ktoś może wejść do sali i zacząć mu robić sztuczne oddychanie.

To samo stało się jednak z Kingslym. Nie zauważylibyśmy nawet krwi tryskającej z klatki piersiowej z powodu wbitej w serce igły, gdyby nie dwie sprzątaczkę, próbujące go ratować, choć widać było na pierwszy rzut oka, że od dawna nie żył. Taka myśl na pewno nie przyszła w ogóle do głowy mordercy Kingsly'ego. Zabójca nie podejrzewał, że ktoś będzie próbował ratować jego ofiarę. Ktoś z doświadczeniem medycznym nie podejrzewałby w żadnym wypadku, że fakt ujawnić mogą dwie niedoświadczone sprzątaczkę.

Rozdział 5

Watts zmarszczył brwi.

— Słuchaj, może byś zostawił śledztwo detektywom?

Musiał odłożyć autopsję Kingsly'ego do przyjazdu policyjnych specjalistów, którzy mieli za zadanie zebrać dowody. Przez to reszta jego pracy stanęła pod znakiem zapytania i nie był zachwycony nagłą wizytą. Chciałem wykorzystać pozostałe do spotkania z ordynatorami innych oddziałów pół godziny na to, żeby pospieszenie zejść na dół po schodach do piwnicy, gdzie znajdowała się kostnica, i zajrzeć do pomieszczeń Wattsa. Dawniej, na początku tego stulecia, trupa można było wykopać z cmentarza, a potem pokroić na stole operacyjnym za jedyne dwadzieścia pięć dolarów, zaproponowane hienom cmentarnym. W ten właśnie sposób, grzebiąc w brudnych zwłokach, uczyło się anatomii kilka pokoleń lekarzy domowych.

— Odpowiedz, proszę, na moje pytanie — nalegałem. — Co umieściłbyś w akcie zgonu Kingsly'ego, gdyby te kobiety nie zaczęły robić mu masażu serca? Nikt nie zauważyłby igły. Gdyby nawet znaleziono go bez ubrania, szukałbyś dziury po igle na jego torsie?

Czekałem. Nie miał ochoty wypowiadać się na ten temat.

— No, Robert, co byś pomyślał przede wszystkim, gdyby znaleziono Kingsly'ego martwego, zupełnie nagiego i cuchnącego alkoholem?

Odczekał jeszcze chwilę, ale potem włączył się w moją zabawę w gdybanie.

— Nareszcie — powiedział. Czekałem na coś więcej.

— Ja i wszyscy pracujący w tym szpitalu powiedzielibyśmy, że w końcu się doigrał. Pewnie pomyślałbym, że się upił i dostał zawału, kiedy się z kimś pieprzył albo próbował kogoś dogonić. Z tego, co słyszałem, podobno tak naprawdę nikogo nie zgwałcił.

— Szukałbyś jego ubrań? Zdziwiłbyś się w ogóle, że leżał tam nagi?

— Gdybym nie wiedział, że go zamordowano? — zastanawiał się, a potem odparł powoli: — Nie, chyba nie. Słyszałem, że kilka razy ochroniarze znajdowali go do połowy rozebranego. Nigdy żadna z kobiet nie oddawała jego garderoby. — Milczał przez chwilę. — Może i zadałbym sobie pytanie, gdzie się podziały jego ubrania, ale raczej bym się tym nie przejął. Nie, nie zdziwiłbym się. Pewnie bym pomyślał, że zaczął się u niego zawał serca, ale zdążył wrócić do biura i tam upadł na podłogę.

— A co z podkręceniem termostatu? Czy to nasunęłoby ci jakieś podejrzenia?

— Niekoniecznie. Jeśli wcześniej nic innego nie wzbudziłoby moich podejrzeń, to raczej nie. Pewnie doszedłbym do wniosku, że kiedy się rozebrał do rosołu, zrobiło mu się zimno i zwiększył ogrzewanie, zanim dostał zawału.

— Więc w wypadku takiego myślenia igła mogłaby nigdy nie zostać zauważona, gdyby sprzątaczkę nie zaczęły go ratować?

— Raczej tak. Sprawa wyglądałaby tak jak dziś rano. Hurst zrobiłby wszystko, żeby smród nie wyszedł ze szpitala. Pewnie tak samo tłumaczyłby jego śmierć, tyle że wtedy na pewno byśmy się z nim zgodzili.

— Nie chodzi mi o to, co by zrobił Hurst, ale jak rozumował morderca. Założył, że nic nie zauważymy i pomyślimy tak samo jak wszyscy w szpitalu. Przecież wszyscy myśleli o Kingslym podobnie. Tylko ktoś, kto zna szpitalne układy i ploteczki, miałby odwagę podrzucić do biura Kingsly'ego jego nagie ciało z igłą w sercu i sądzić, że to morderstwo ujdzie mu na sucho.

59

— Do czego właściwie zmierzasz?

— To nie mógł być ktoś, kto nie zna szpitala. Musiał być na tyle doświadczony w kwestii udzielania pierwszej pomocy, że nawet przez myśl mu nie przeszło, że ktoś może robić masaż serca sztywnemu trupowi.

Watts spojrzał na mnie sceptycznie.

— Och, przestań — powiedziałem. — Każdy z nas miał prawo pomyśleć, że to dość dziwaczna śmierć, ale raczej z przyczyn naturalnych.

— Dobra, Sherlocku, więc zabójca zna dobrze szpital i zna się na pierwszej pomocy. To mógłby być jeden z nas. Mamy tu prawie pięciuset lekarzy, dużo ponad tysiąc pielęgniarek i diabli wiedzą ile przeszkolonego personelu.

Zastanawiałem się już, jak zawęzić tę grupę, ale żeby to zrobić, musiałem mieć wyniki autopsji Kingsly'ego. Problem polegał na tym, że gdybym znalazł to, czego oczekiwałem, Bufort narobiłby mi znacznie więcej kłopotów, niż podejrzewałem na początku.

— Może — mruknąłem, wstając, gotów do wyjścia. — A propos, możliwe, że mamy denata, który również ma podobną niespodziankę. Kiedy przygotowywałem akt zgonu, znalazłem jakiś strup po lewej stronie od mostka.

— Co?!

— Uspokój się, to pewnie tylko pieprzyk, ale po tym, co zobaczyłem u Kingsly'ego, nie mogłem nie odnotować tego i nie poprosić cię o sprawdzenie. Pewnie przesadzam.

Sądziłem, że rzuci jakąś kpiącą uwagę na temat robienia z igły widel.

— Earl, nie potrzeba żadnego cholernego patologa, żeby sprawdził jakiś cholerny pieprzyk, nieważne, gdzie się znajduje! — wrzasnął, przestraszywszy mnie.

— Przepraszam. Nie rzucaj się na mnie z pazurami. Starałem się tylko być ostrożny, pewnie przesadziłem. Zapomnijmy o tym.

Watts westchnął.

— Przepraszam. Mnie też nie daje spokoju to morderstwo. Nie powinienem tak na ciebie napadać. Niestety, przez to wszystko mam tylko więcej roboty i nie nadażam z tym, co

60

miałem zrobić. Najmniej jest nam potrzebny ktoś z twoim doświadczeniem, szukający u wszystkich śladów po ukłuciu igłą. — Uśmiechnął się i dodał: — Musimy się uspokoić i wrócić do normalnej pracy. Lecz konie, a nie zebry, pamiętasz?

To było powiedzenie jeszcze z akademii medycznej. Miało nam przypominać, żeby nie wymyślać niestworzonych chorób, kiedy stawiamy diagnozę.

Spojrzałem na niego z uśmiechem i poczułem się dość głupio.

— Dzięki, Robert — powiedziałem i ruszyłem wąskimi korytarzami piwnicy, by wrócić do swojego biura.

W piwnicznych korytarzach zawsze słychać było dziwne kapanie potęgowane przez echo. Ponad głową idącego, wśród płataniny rur, zwisały pokryte kurzem pajęczyny. Niektóre rury, dziwnie poskręcane, przypominały narzędzia tortur. Rury i kable pokrywało kilka warstw postrzępionej pleśni, po której spacerowały ośmionożne stwory, utuczone resztkami ze stołu Wattsa. Tu właśnie dwóch nieżyjących pacjentów szpitala czekało na autopsję. Byli sztywni, milczący i leżeli spokojnie na noszach. Zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie jeden z nich to trup z mojego oddziału. Watts na pewno napisze, że jest kolejną ofiarą życia na ulicy, a moja wstydliva notatka znajdzie się gdzieś na zakurzonej półce. Przynajmniej teraz nie musiałem się martwić Bufortem.

Ciemny korytarz rozświetlały brudne lampy. Z ulgą wybiegłem na schody prowadzące w górę do jasnych, wygodnych i hałaśliwych pomieszczeń mojego oddziału.

Wszedłem do gabinetu i trafiłem na moją sekretarkę, która właśnie gdzieś wychodziła z plikiem papierów w ręku.

— Czyżby to Carole Lamont?! — krzyknąłem wesoło i skłoniłem się, otwierając jej drzwi teatralnym gestem.

— Ja również cieszę się, że cię widzę — zaśmiała się. To był dowcip tylko dla nas zrozumiały. Czasem nie

widzimy się przez cały dzień. Porozumiewamy się wtedy za pomocą notatek na biurku i wiadomości telefonicznych. Potem, kiedy się spotkamy na chwilę, w piorunującym tempie wymieniamy informacje, co jest możliwe po wielu latach wspólnej pracy.

61

— Wrócę za minutę — zawołała przez ramię. — Muszę z tobą porozmawiać.

Carole Lamont była jedyną osobą, która pomagała mi jakoś przetrwać wszystkie lata spędzone na stanowisku ordynatora. Ponad tuzin lekarzy specjalistów, stażyści, gromada pielęgniarek i recepcjonistek... wszyscy oni do niej właśnie zwracali się w sprawach podziału pracy i przydziału dyżurów. Powoli przejęła tę część moich obowiązków, dzięki czemu mogłem zająć się leczeniem, stażystami i poziomem usług medycznych.

Praca ordynatora oddziału polega głównie na kierowaniu ludźmi. Trzeba wiedzieć, do kogo uderzyć, kogo trochę przycisnąć, a kogo przygwoździć do ściany. To Caroie znała wszystkie sekrety personelu. Jakoś zawsze udawało jej się ułożyć plan pracy mimo wielu problemów. Wiedziała, kto się zakochał, czyje małżeństwo się rozpada, kogo niedawno porzucono, a kto miał chore dziecko. Wszystko to zwykle przeszkadza w pracy lekarza. Sprawdzamy, kto chce więcej wolnego czasu, a kto mniej i dlaczego. Zatrudnieni na oddziale przekazują swoje prośby Caroie, nie mnie, ale dzięki temu wiemy, kogo, kiedy i o co można poprosić. Caroie jest czasem opryskliwa, lecz świetnie wykonuje swoją pracę i ma w sobie coś, co sprawia, że ludzie chętnie jej się zwierniają.

— Słyszałaś już? — zapytałem, kiedy wróciła bez pliku papierów, które gdzieś wyniosła.

— O likwidacji łóżek? Tak. O Kingslym, niewiele. Czy to prawda, co mówią?

— Co takiego? Ściszyła głos.

— Podobno go zamordowano. Plotka w końcu się rozniosła.

— Obawiam się, że tak.

— Jak?

Po ostatnim spotkaniu z Bufortem nie czułem się już zobowiązany do zachowania milczenia, które obiecałem temu nadętemu bubkowi. Poza tym nie miało to większego sensu, skoro i tak ludzie wokół wiedzieli. Opowiedziałem więc o wszystkim, z wyjątkiem wizyty Buforta. Nie chciałem, żeby Caroie się o mnie martwiła.

62

Przeszliśmy do codziennych spraw. Choć większość ordynatorów zgodziła się przyjść na spotkanie, Carole przekazała mi, iż niektórzy z nich narzekali, bo nie mieli czasu się do niego przygotować. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem powiedziałem:

— Zanim wyjdiesz na lunch, powiadom wszystkich, żeby spotkali się ze mną w głównej sali wykładowej. Chcę, żeby przeszli przez nasz korytarz.

Uśmiechnęła się. Oboje wiedzieliśmy, że to mi oszczędzi zbędnych przemówień i stępi trochę ich refleks, więc nie będą specjalnie protestowali.

Myliłem się w obu kwestiach. Po tym jak przedstawiłem ordynatorom swój plan, większość z nich stwierdziła, że to szaleństwo, zupełnie jak to, co zobaczyli przed

chwilą w korytarzu.

— Doktorze Gamet, nie może pan zamknąć oddziału nagłych wypadków — zaprotestował Arnold Pinter, świeżo upieczony ordynator, który jeszcze niezbyt pewnie czuł się na swoim stanowisku. Zwykle siedział w niedbałej pozycji, ale teraz się wyprostował i rozglądał nerwowo po sali. Wokół dało się słyszeć pomruki poparcia, lecz nie wszyscy zareagowali równie szybko. Arnold wydał się zaskoczony brakiem jedności.

— Może to zrobić? — zapytał.

— Nie wiem — przyznał Sean Carrington — ale chyba powinien. — Sean był ordynatorem oddziału chirurgicznego i przyszedł prosto z sali operacyjnej. Wciąż miał na sobie zielony fartuch. Spoglądał na Arnolda znad swoich soczewek, których używał do bardzo precyzyjnych operacji.

— Nie wolno mu tego zrobić! — upierał się Hector Saswald. Jak zwykle rozejrzał się dookoła, szukając poparcia. Kiedy go nie uzyskał, zaczął się bronić, bo wiedział, że to może później okazać się ważne. — Proszę zaprotokołować, że to powiedziałem — obwieścił nabożnie, wskazując na mnie palcem.

— Z tego zebrania nie będzie protokołu, Sas — stwierdziłem.

To przygnębiło go chyba bardziej niż perspektywa zamknięcia mojego oddziału.

63

— Co właściwie masz zamiar w ten sposób osiągnąć? — zapytał ordynator oddziału geriatrycznego. Był człowiekiem bez odrobiny poczucia humoru, ale za to bardzo skupionym. Zmarszczka powątpiewania na jego czole sprawiła, że poczułem się, jakby sprawdzał, czy w ogóle mam jakiś plan.

— Słuchaj — odparłem — wszyscy wiemy, że likwidacja łóżek na dobre nam nie wyjdzie. Znowu pacjent z zawałem znalazł się w stanie wstrząsu, ponieważ sami próbowaliśmy go leczyć. Nie mam na to więcej ochoty. Poza tym to tych idiotów na górze powinniśmy zamknąć. Nie wiedzą, jaki będzie budżet na usługi medyczne, nie mówiąc już o całym szpitalu. Chcę doprowadzić do dokładnego sprawdzenia naszych finansów i położenia kresu temu pajacowaniu ze zmniejszaniem liczby łóżek za każdym razem, kiedy im się coś nie powiedzie.

— Nie możesz tego zrobić! — znowu wyrwał się Arnold Pinter. Tym razem głos mu się łamał. Sama myśl, że moglibyśmy bojkotować administrację, zupełnie go przerażała.

— Jednym z podstawowych problemów, Arnoldzie — powiedziałem, próbując opanować zniecierpliwienie zachowaniem tego człowieka — jest fakt, że przyjmujecie pacjentów pełnopłatnych, a potem bawicie się z nimi w kotka i myszkę, póki nie wyczerpie się limit ich ubezpieczenia. To łatwe pieniądze i niewiele pracy. Uchodzi wam to na sucho, bo pielęgniarki nie protestują. Wolą, żeby pacjenci zostawali na oddziale nagłych wypadków, a nie na ich głowach. — To nie jest defraudacja i nigdy nie podnoszono tej kwestii na zebraniach zarządu, ale tylko przy słabym ordynatorze taka rzecz mogła przechodzić niezauważona.

Oczywiście Arnold zaczął zaprzeczać, ale Sean wtrącił się, krzycząc z drugiej strony sali:

— Co więcej, Arnoldzie, masz czelność pozwalać, żeby pacjenci z twojego oddziału zajmowali moje łóżka, a potem kończy się na tym, że ja odwołuję operację.

Strach pojawił się na chwilę na twarzy Arnolda, bo napadliśmy na niego obaj, i to zupełnie słusznie. Skulił się na krześle jak polna mysz w cieniu jastrzębia. Jak zwykle zaczął się usprawiedliwiać.

64

. — Już ci tyle razy mówiłem, Sean, że mam za mało personelu — jęczał. — W zeszłym roku zrezygnowało dziesięciu specjalistów. Ograniczono nam liczbę stażystów, więc nie ma kto pracować. Nie mogę nic przyspieszyć. Jest coraz gorzej.

Dobry stary Arnold, specjalista od jęków. Może sądził, że po takim wystąpieniu niewiele będziemy od niego wymagali, bo wyglądał dość żałośnie.

Mylił się. Sean zaatakował go jak ostry skalpel, przecinający wzdęte ciało.

— Na przykład to! — rzucił. — Przyjmujesz o wiele więcej przypadków zapalenia płuc i jeśli ubezpieczenie pacjenta pokrywa każdą usługę osobno, trzymasz ich dłużej niż wtedy, gdy przywożą nam ludzi z podstawowym pakietem ubezpieczeniowym.

Arnold pobladł odrobinę, usłyszawszy te słowa. Nie powiedział nic, ale jego pytający wyraz twarzy dawał wszystkim do zrozumienia, co chce powiedzieć: Czyż każdy z nas nie potrzebuje paru dolców na boku? Wzruszył ramionami, rozejrzał się dookoła i wznosząc ręce do góry, zapytał:

— Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Sean?

— Ja chcę tylko, drogi Arnoldzie, żebyś przestał przetrzymywać pacjentów.

Arnold spojrział na niego oburzony. Wstał szybko z miejsca i stanął naprzeciw muskularnego chirurga. Nagle rozległ się komunikat z głośnika.

— Doktor Carrington proszony na salę operacyjną! Doktor Carrington proszony na salę operacyjną!

Sean spojrział na Arnolda złowieszczo i wyszedł bez słowa.

Arnold pozbierał się powoli i poprawił włosy. Zauważyłem wrogi wyraz na twarzach pozostałych zebranych, westchnąłem i powiedziałem:

— Nie musicie nic robić. Przedstawię to dzisiaj moim lekarzom i oni zdecydują. Dobrze byłoby jednak, gdybyśmy mieli wasze poparcie. To my zamkniemy oddział i na nas się wszystko skrupi. Hurst może nas przed tym powstrzymać, jeśli zmieni decyzję i zarządzi audyt. — Poczułem się gorzej, pomyślawszy, jacy będziemy osamotnieni podczas nadchodzących dni. Ale dyplomacja nic już tu nie pomoże. — To pros-

65

te — ciągnąłem stanowczym tonem. — To nasza robota. Możecie uznać, że zebranie ma charakter wyłącznie informacyjny. Nie przyszedłem tu z wami o tym dyskutować.

Nic więcej nie mogłem dodać. Arnold wyglądał, jakby wypuszczono z niego powietrze, pozostali mieli na twarzach wyraz rezygnacji lub ulgi, bo wziąłem całą odpowiedzialność na siebie. Nikt nawet nie wspomniał o Kingslym. Najwyraźniej plotki szpitalne nie dotarły jeszcze do elity. Wstawali, żeby wyjść, a ja zacząłem się zastanawiać, czy któryś z nich nie był mordercą. Każdy znał szpital, ale kilka setek innych osób też go dobrze znało. A jeżeli Watts znalazł to, czego się obawiałem, w przywiezionym dzisiaj denacie — a miałem takie przeczucie — to od dziś liczba ludzi, na których poluje Bufort, zawęzi się do trzydziestu osób.

Przypomniała mi się dziwna mina Fernandez. Wciąż mnie to dręczyło. Skojarzył mi się tylko dlatego, że odmówił przyścia na zebranie, tłumacząc się, że cięcia budżetowe i ograniczenia w liczbie łóżek dotyczą go tylko w niewielkim stopniu.

— Czy twoi lekarze z chirurgii nas poprą, Sean? Piliśmy z Carringtonem kawę w pokoju dla lekarzy na jego

oddziale. Była druga po południu, a ja umówiłem się z nim podczas przerwy w operacjach. Był zrelaksowany i zachowywał się jak u siebie w domu. Nogi wyciągnął na kanapie, ale wciąż był ubrany w zielony fartuch, a maska chirurgiczna wisiała mu luźno na szyi. Operował przez cały czas od chwili, gdy wywołano go z zebrania.

— Chyba tak — odparł. — Kilku z nich będzie się bało, że dostaną po kieszeni, ale na razie nikt nie wpadł na pomysł, jak się uchronić przed genialnymi pomysłami Hursta, a na dłuższą metę to będzie dla nich gorsze rozwiązanie finansowe.

Połowa poważniejszych operacji na chirurgii obejmowała pacjentów przywiezionych z naszego oddziału. To oczywiste, że kiedy zamknijemy oddział, im mniejszą się zarobki. W pokoju siedziało kilku lekarzy i czytało, ale kiedy zaczęliśmy rozmawiać, odłożyli gazety, pochylili się i przysłuchiwali uważnie.

66

— W każdym razie — dodał Sean — ja was poprę. Pogadam

z innymi. — Wyprostował się, usiadł, pochylił w stronę mojego jcrzesła i powiedział szeptem: — Słyszałem, że podobno King-sly'ego zamordowano.

— Skąd wiesz?

— Cały szpital już o tym mówi. Ludzie plotkują, a gliny wężą dookoła. Dlaczego mi nawet nie wspomniałeś?

— Ci sami gliniarze kazali mi milczeć w tej kwestii.

— To już żadna tajemnica, możesz mi powiedzieć. Nalaliśmy sobie jeszcze kawy i opowiedziałem mu wszystko,

co wiedziałem. Tym razem również pominąłem informację o zagranju Buforta. Nie miałem pojęcia, dlaczego właściwie to zrobił, i czułem się nieswojo. Nie chciałem podsycać plotek na swój temat. Skończyłem mówić, kiedy do pokoju wsadziła głowę pielęgniarka i zawołała w stronę siwowłosej kobiety w zielonym kitlu:

— Pani pacjent jest gotowy, pani doktor.

— Sean, czy to nie ta ginekolog Phoebe Saunderson? — zapytałem, kiedy kobieta w średnim wieku wyszła z pokoju.

— Tak.

— Myślałem, że już lata temu odeszła z zawodu. Potrząsnął głową.

— Nie. Była wicedyrektorem do spraw medycznych szpitala we wschodniej dzielnicy Buffalo. Po pięciu latach poprosiłem ją, żeby wróciła do szpitala Świętego Pawła.

— I ciągle operuje? •— Jasne.

— Po tylu latach przerwy?

— Oczywiście. Musiała pracować jak szalona, żeby nadrobić zaległości. Poznawała najnowsze leki i ostatnie odkrycia endokrynologii, ale mimo kilku nowinek

technicznych w ciągu ostatnich lat, cięcie to cięcie. Operowanie jest jak jazda na rowerze, kiedy raz się nauczyłeś, nigdy nie zapomnisz.

Ta sama pielęgniarka, która przed chwilą wezwała doktor Saunderson, teraz znów wetknęła głowę przez drzwi i poprosiła Seana.

— Wiesz — powiedział, wstając — założę się, że nawet stary Hurst potrafi jeszcze utrzymać w dłoni skalpel.

67

Spotkanie z lekarzami mojego oddziału było krótkie. Po piątej piętnaście prawie jednogłośnie podjęliśmy decyzję, że przestajemy pracować i w ciągu dwudziestu czterech godzin zamykamy oddział nagłych wypadków, jeśli zarządzający szpitalem nie zmienią decyzji w sprawie likwidacji łóżek. Zasugerowałem, że powinniśmy podać do prasy ostrzeżenie o ryzykownym przepełnieniu na naszym oddziale. Prasa potępi pociągnięcia administracyjne i doradzi pacjentom, by chwilowo skorzystali z usług innych szpitali, póki w naszym nie będzie bezpiecznie. Powiedziałem, że prześlę się z tym problemem i jutro coś wymyślę. Dodałem jeszcze, że zatelefonuję do innych szpitali, żeby je ostrzec, ponieważ z powodu naszego zamknięcia mogą przez jakiś czas mieć przepełnienie. Sądziłem, że mimo tych niedogodności pracownicy oddziałów nagłych wypadków z innych placówek poprą nasz protest. Nareszcie ktoś coś robi w tej sprawie. Muszę też poinformować pogotowie o naszej decyzji, będą przecież musieli kierować karetki gdzie indziej.

Początkowo młodzi lekarze nie chcieli się na to zgodzić. Nie mieli jeszcze ustalonej reputacji i stabilnej sytuacji finansowej, jak ich starsi koledzy. Nie chcieli ryzykować utraty pracy.

— Wy możecie sobie stąd odejść natychmiast i pewnie już jutro otrzymacie nową propozycję pracy — słusznie zauważył jeden z nich. — My nie mamy takich możliwości.

Wyjaśniłem im, jak sobie radzi Arnold Pinter z zarabianiem pieniędzy, czyniąc ze swego oddziału farmę, na której przetrzymuje niektórych pacjentów.

— Policzcie sobie! — powiedziałem. — Przyjmujemy dziennie na oddział wewnętrzny przeciętnie dwadzieścia pięć osób, płacących za każdą usługę. Nie sądzę, żeby wszyscy potrzebowali hospitalizacji, ale jeśli nawet, tabela czasu pobytu pacjentów w szpitalu wyraźnie wskazuje, że taki pacjent pozostaje na oddziale o dwa dni dłużej niż pacjent z pełnym pakietem ubezpieczeniowym, z tą samą diagnozą. To już sześćdziesiąt łóżek. Dwa razy trzydzieści. Gdybyśmy dobrali się do tyłka tym z wewnętrznego i przestali pozwalać na przyjmowanie takich pacjentów albo

wypuszczali ich dwa dni wcześniej, Hurst mógłby zlikwidować pięćdziesiąt łóżek i nawet byśmy

68

tego nie zauważyli. A to tylko jeden oddział. Gdyby ograniczyć pobyt pacjentów na pozostałych oddziałach, może udałoby się odzyskać łóżka, a oni mieliby swoje oszczędności.

Kiedy to mówiłem, wszystko wydało mi się nagle takie logiczne, że zacząłem się zastanawiać, dlaczego Hurst sam na to nie wpadł. Miałby przez to więcej roboty i zajęłoby mu to więcej czasu, ale w tej chwili nie byłoby takiego bałaganu. Jeśli ja potrafiłem znaleźć sposób na zapchanie dziury w budżecie, i to taki, który nie wymaga nakładów, Hurst również mógł go znaleźć. Różnie się o nim mówi, lecz na pewno nie jest głupi. Dlaczego tak bardzo mu się spieszyło z tym obcinaniem wydatków, że aż naraża pacjentów? A jeżeli to było coś naprawdę ważnego dla niego? Wtedy będzie się opierał.

Przynajmniej część personelu na moim oddziale przekonały moje słowa. Rozejrzałem się dookoła i zauważyłem, że rozmawiają już swobodniej, kiwają głowami z aprobatą i są odrobinę podekscytowani perspektywą wygranej. Wszyscy, z wyjątkiem Kradica. On wydawał się nerwowy. Najwyraźniej nie zgadzał się ze mną, ale na razie się nie odzywał. Ciekawiło mnie, czy się dowiedział, jaki byłem na niego wściekły za to, że wyszedł dziś rano wcześniej z dyżuru.

Właśnie wtedy do pokoju weszła Jones. Z kpinią pomyślałem, że praca naukowa w pogotowiu pewnie się już zakończyła na dziś. Była wysoka, miała trzydzieści kilka lat. Włosy nosiła związane w koński ogon. Dziś miała na sobie zielony dres, pasujący do jej oczu. Wydawała się ładna, dopóki się jej bliżej nie poznało. Mruknęła coś na temat korków i usiadła. Z zaróżowionych policzków wywnioskowałem, że biegła dla zdrowia, zamiast spieszyć się na zebranie. Nie miałem ochoty ponownie wdawać się w taką sprzeczkę jak rano przez telefon, więc zignorowałem ją i rozejrzawszy się, zapytałem:

— Czy ktoś chciałby coś dodać?

Nikt nie miał ochoty zabrać głosu. Głosowaliśmy w sposób tajny.

Zebrałem karteczki. Jeden głos przeciw (Kradic?). Jedna osoba się wstrzymała (Jones?). Reszta popierała protest.

Zanim zakończyłem zebranie, zadano mi kilka pytań na temat Kingsly'ego. Większość zebranych słyszała już, że go

zamordowano, ale chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, że zrobiono to za pomocą igły dosercowej. Wszyscy chcieli wiedzieć coś więcej na temat tego zabójstwa.

Wyjaśniłem, że policja nakazała mi milczenie w tej sprawie, co spotkało się z kilkoma rozczarowanymi westchnieniami i kilkoma prychnięciami. Tak lekarze okazują szacunek ordynatorowi.

Już zaczęliśmy wychodzić z sali, kiedy Popovitch wziął Kradica pod rękę i szepnął mu do ucha kilka słów, a potem odszedł. Kradic spojrział na mnie i pospiesznie odwrócił wzrok, po czym ruszył w stronę drzwi. Nie wiem, co takiego powiedział mu Popovitch, ale byłem pewien, że tym razem zostanie do końca dyżuru. %

Spojrziałem na Jones stojącą po drugiej stronie stołu i moja\$ złość z powodu porannej rozmowy telefonicznej wróciła. Niej wiedziałem, czy mam z nią o tym porozmawiać, czy zupełnie! ją zignorować. Musiałem mieć dość nieprzyjemny wyraz twarzy! i mógłbym przysiąc, że pobladła, kiedy zauważyła, że na nią patrzę.

Tempo, w jakim Hurst się dowiedział o moich planach, było zadziwiające. Dwadzieścia po piątej dotarła do mnie wiadomość od niego.

— Co pan narobił? — pisał po drugiej stronie słuchawki, kiedy odebrałem telefon przy biurku Carole.

Nie przyłożyłem nawet słuchawki do ucha, a Carole próbowała zdusić chichot.

— Dokładnie to, co panu powiedziano — odparłem, próbując mówić do słuchawki, a jednocześnie trzymać ją z dala od ucha. Nie udało mi się jej odsunąć dość daleko.

— Zawieszę was w trybie natychmiastowym. Najwyraźniej nasz geniusz taktyki nie wiedział o wszystkim.

— Już to za pana zrobiliśmy — rzuciłem i pospiesznie odłożyłem słuchawkę, zanim razem z Carole wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

Wstąpiłem do Wattsa, żeby zobaczyć wyniki sekcji zwłok, ale on wciąż jeszcze pracował, ubrany w maskę, fartuch i czepek. Natknąłem się na świeżo otwarte i pozbawione życia ciało Kingsly'ego. Tkwiła w nim złamana i zgięta igła doser-

owa. Nawet jak na to miejsce, widok był niesamowity. Watts był zbyt zajęty pracą, by zauważyć moje przybycie.

— Lepiej, żeby tej igły nie było na stanie szpitala — powiedziałem, zwracając na

siebie uwagę. Z przyzwyczajenia po drodze chwyciłem maskę. Nie miałem zamiaru niczego dotykać, więc nie wziąłem rękawic.

— To niemożliwe. Nie można użyć igły dosercowej jak sztyletu. Spójrz na to. — Już miał mi pokazać jakiś niezwykley szczegół w ciele Kingsly'ego, kiedy przerwało nam ciche pukanie i odwróciwszy się, zobaczyliśmy detektywów Rileya i Buforta, stojących w drzwiach.

— Ach, panowie — powitał ich Watts, jakby byli zaproszeni na kolację. — Proszę wejść. Tam, na stole, są maski, proszę je włożyć i usiąść. Już mieliśmy z doktorem Garnetem zaczynać. — Wyraźnie zadowolony, zaprosił ich do oglądania swych niezwykley umiejętności.

W przeciwieństwie do Watta ja czułem odrazę do Buforta. Miałem ochotę domagać się od niego wyjaśnienia swojego wcześniejszego zachowania w moim gabinecie, powstrzymałem się jednak i tylko spojrzałem na niego z niezadowoleniem.

Wyglądało na to, że jest mu wszystko jedno. Riley natomiast skinął w moją stronę i uśmiechnął się, a potem spojrzał, zaskoczony moim wyrazem twarzy. Zastanawiałem się, czy w ogóle wiedział, co się stało dziś w moim gabinecie.

Obaj detektywi wzięli jedyne w sali stołki i ustawili je w miejscu oddalonym od stołu, ale z dobrym widokiem na sekrety, które kryło wewnątrz Kingsly'ego.

Zauważyłem, że czują się zupełnie swobodnie w obecności otwartych zwłok. Watts rzucił na początek jakąś uwagę o tym, że nasze zawody są do siebie podobne i że w tej sali rozwiązuje się zagadki ludzkiej śmierci. Bezwiednie wskazał gestem rząd opisanych menzurek i pojemników z pobranymi próbkami, które błyszczały na stoliku za nim. Wypełniały je różne płyny i ludzkie tkanki, prawdopodobnie należące do Kingsly'ego.

— Kiedy weszliście, panowie, zaczynałem wyjaśniać doktorowi Garnetowi, że chociaż igła dosercowa jest rzeczywiście narzędziem zbrodni, pojawiło się jednak kilka nowych zagadek. Przede wszystkim takiej igły nie można po prostu wbić w ciało.

71

By unaocznic to, co mówił, podał detektywowi Bufortowi nieużywaną igłę. Miała dwadzieścia kilka centymetrów, była ostra i giętka.

— Kiedy uczymy stażystów — ciągnął — wszyscy starają się chwytać igłę na końcu. Dotykają jej koniuszkiem skóry i próbują wbić, a wtedy, jeśli pozwalamy im działać dalej, igła wygina się lub łamie. Może doktor Garnet zechciałby zademonstrować technikę wbijania igły dosercowej w bezpieczny sposób.

Czułem się jak asystent magika i nie chciałem zepsuć pokazu. Włożyłem więc zielony fartuch, służący do operacji, rękawice chirurgiczne i podszedłem do ciała Kingsly'ego. Lewą dłonią chwyciłem igłę kilka centymetrów od końca, a prawą przytrzymałem pozostałą jej część. Powoli, mocno, ale bez gwałtownych ruchów nakłułem skórę pod tym, co zostało z mostka. Kierując ją w stronę lewego ramienia, wsunąłem w to, co byłoby sercem Kingsly'ego, gdyby Watts już wcześniej go nie wyjął z klatki piersiowej.

— Ten, kto wbił igłę w serce — powiedział Watts — musiał znać tę technikę. Oznacza to też, że Kingsly musiał leżeć na podłodze albo stać prosto i nie ruszać się. Chyba że był już nieżywy. Teraz spójrzcie na to.

Odwrócił się i wziął wielki pojemnik z szafki stojącej za nim. Otworzył wieko. Zapachniało formaldehydem i Bóg jeden wie czym jeszcze. Wyjął ze środka ociekający kawałek wielkości melona, który opisał jako ludzkie serce. Najprawdopodobniej należało ono do Kingsly'ego. Watts wyjaśnił detektywom położenie komór i wskazał długi drut, wystający z mięśnia.

— W tym miejscu igła przeszła przez serce. — Wziął następny drut i włożył go w dziurkę po igle poniżej tej, którą wbiłem w trupa, pokazując zabieg. — Tędy weszła w ciało. Kiedy spojrzeć na to z tej strony, oba druciki biegną w tym samym kierunku, ale się nie stykają. Wewnątrz serca coś załamało linię wbicia igły.

Riley natychmiast załapał.

— Czy możliwe jest, że wkłuto ją dwukrotnie?

— Nic na to nie wskazuje. Będę wiedział coś więcej po badaniu próbek pod mikroskopem. Oczywiście wykonam też

72

standardowe badania biochemiczne, lecz na pewno poziom alkoholu w jego krwi jest tak wysoki, że nie będzie potrzeby balsamowania zwłok.

Bufort przez cały czas przyglądał się jego dłoniom. Miałem już okazję poznać piorunujące spojrzenie, jakie kryje się w jego szarych oczach, ale to, co powiedział, sprawiło, że wzdrygnąłem się. Był to człowiek o niezwykle podstępny umyśle.

— Mówi więc pan, doktorze — zaczął, nie patrząc na nas — że ofiara, choć pod wpływem alkoholu, poczuła na sobie ręce lekarza i ukłucie spowodowane przez igłę wbijaną w jej klatkę piersiową. Kingsly'emu udało się usiąść, a jeśli wstał, to może zgiął się wpół i upadł. W każdym razie wygląda na to, że najpierw zgiął, a potem złamał igłę w trakcie wkłuwania jej do serca. — Teraz Bufort miał okazję

zaprezentować nam swoje umiejętności. — Innymi słowy, to nie jakaś napastowana kobieta schwyciła narzędzie, które miała pod ręką, by obronić się przed silniejszym od siebie mężczyzną. To morderstwo było celowe i przeprowadzone jak zabieg chirurgiczny. — Odczekał chwilę, byśmy mogli nadażyć za jego tokiem rozumowania. Zanim zaczął, poczułem w powietrzu dziwny chłód. — Zdaje się, panowie, że nasz zabójca jest lekarzem, co więcej, specjalistą, który potrafi włożyć igłę dosercową.

Powiedział dokładnie to, czego się spodziewałem i obawiałem. Odkrycie Wattsa wpisało na krótką listę podejrzanych wszystkich lekarzy z mojego oddziału.

— W takim szpitalu jak wasz, doktorze Garnet, ilu lekarzy potrafi wykonać ten zabieg? — zapytał Bufort.

Zawahałem się. Pytanie wydawało się niewinne, aleja znów miałem wrażenie, że to przebiegłość, a nie szczerą ciekawość. Nie spojrzał nawet na mnie i czułem przez skórę, że chce mnie wciągnąć w rozmowę, która dla mnie skończy się źle.

Moje milczenie musiało trwać dość długo, bo Watts poczuł się nieswojo i odpowiedział za mnie.

— Poza oddziałem nagłych wypadków w całym szpitalu jest tylko kilku lekarzy, którzy potrafią włożyć taką igłę — wyjaśnił rzeczowo. — Specjalnie do tego przeszkoleni lekarze potrzebni są na niewielu oddziałach. Na pewno na chirurgii, chorob wewnętrznych i kardiologii. Jest tam może z tuzin

73

osób, które byłyby w stanie w taki sposób zamordować Kings-ly'ego. Zresztą nie każda z nich często wykonuje ten zabieg, więc części nie udałoby się zrobić go w tak mistrzowski sposób, jak tu zaprezentowano.

Zdecydowanie największa liczba lekarzy z takimi umiejętnościami znajdowała się u nas. Tu pewnie Bufort będzie szukał zabójcy. Instynktownie starałem się bronić moich ludzi. Męczyła mnie myśl, że cały oddział znajdzie się pod ścisłą obserwacją policji. Poczułem niechęć do Wattsa, za to, że był tak szczery z Bufortem. Wiedziałem, że to niemądre. W końcu, co w tej sytuacji miał powiedzieć Watts?

Martwiło mnie jednak, co będzie się działo na moim oddziale. Zdenerwowanie stało się tym większe, że Bufort wciąż nic nie mówił i nie patrzył na mnie. Spojrzenia Wattsa i Rileya jeszcze bardziej mnie w tym utwierdzały. Właśnie unaocznilem Bufor-towi, że ja również posiadałem umiejętności niezbędne do zakończenia żywota Kingsly'ego.

Bufort wciąż patrzył na wyjęte z klatki piersiowej serce zamordowanego i odezwał się cicho, niezwykle uprzejmie:

— Doktorze Garnet, śledztwo dopiero się rozpoczęło i nie miałem dość czasu, by się dowiedzieć, co się dzieje w szpitalu, ale dotarło do mnie, że motyw zabójstwa Kingsly'ego może mieć coś wspólnego z konfliktem administracyjnym. Sądziłem, że jakieś tego ślady odkryję w protokołach z zebrań, w których uczestniczyłem. — Wciąż wpatrywał się w strasznie wyglądającego trupa, leżącego na stole i dodał: — Niestety, według tych protokołów, które przeczytałem na górze, ten człowiek w ogóle nie chodził na zebrania.

Bufort mówił, a jego partner przyglądał mi się, nie mrugając nawet. To pewnie technika przesłuchania, jaką często stosują razem. Miała ona za zadanie wyprowadzić z równowagi przesłuchiwanego. Podziałało. Watts także wyglądał na trochę zmieszanego. Spoglądał to na mnie, to na Rileya, a Bufort mówił dalej:

— Ale te same protokoły unaocznily nam coś dziwnego, doktorze Garnet. Tylko dwie osoby pytały o powód jego nieobecności... pan i doktor Carrington, ordynator oddziału chirurgicznego. — Nagle wstał i spojrzał wprost na mnie. —

74

Właściwie — dodał — obaj przez ostatnie kilka lat domagaliście się z uporem, by jego nieobecność została zanotowana. — Zatrzymał się tuż przede mną, kilka centymetrów od mojej twarzy. — Dlaczego, doktorze? — zapytał prawie szeptem. Odsunąłem się instynktownie, nie czując się dobrze, kiedy stał tak blisko. Znów ogarniało mnie uczucie wstydu z powodu mojego zachowania wobec Kingsly'ego.

— Więc? — rzucił zniecierpliwiony, pochylając się jeszcze bliżej.

Szybko zrozumiałem, że muszę dokładnie dobierać słowa. Próbowałem przełknąć ślinę, nim odpowiedziałem, ale miałem zbyt sucho w ustach.

— Ponieważ — chrypiałem — obaj uważaliśmy, że powinien być obecny na zebraniach jako dyrektor do spraw administracyjnych oraz że to ważne dla szpitala.

— Naprawdę? — zapytał z sarkazmem w głosie. — Doktor Hurst powiedział mi, że to dlatego, iż chcieliście go usunąć ze stanowiska.

Zamarłem, usłyszawszy te słowa.

Potem poczułem wybuch wściekłości na Hursta za to, że insynuował, jakobym miał motyw do popełnienia tego morderstwa. Bufort jednak nie mógł wziąć tego poważnie. To musiał być jakiś żart, tyle że Bufort nie zauważył w tym nic

śmiesznego.

— No nie! — zaprotestowałem. — Chcieliśmy, żeby wyleciał z pracy, ale nie żeby zmarł.

Fakt, że musiałem się tłumaczyć z tak nedorzecznych podejrzeń, zaskoczył mnie i rozzłościł. Wciąż czekałem, w nadziei, że Bufort się roześmieje, puknie mnie łokciem pod żebra i powie, że żartował.

Zamiast tego detektyw powiedział:

— Niech pan niczego przede mną nie ukrywa, doktorze Gamet, bo popadnie pan w kłopoty, z których długo się nie wydostanie.

Następnie, czując, że próba onieśmielenia mnie i zbitcia z tropu doskonale się powiodła, uspokoił się i wyszedł z sali. Nic już nie powiedział. Zostawił mnie z poczuciem niepewności, zadowolony, że jego taktyka podziałała. Tylko Riley

75

wydawał się zaskoczony. Wyglądał tak, jakby się wstydził zostać po tym wszystkim sam na sam ze mną i Wattsem. Po chwili on również wyszedł z laboratorium.

— Jasny gwint! — rozbrzmiała lekarska diagnoza Watta. Pewnie sam wyglądałem na ogłupiałego i zupełnie bezbronego, bo Watts postanowił mnie pocieszyć.

— Nie martw się. Jeśli cię posadzą za morderstwo tego gnojka, będziesz bohaterem i zrobimy na twoją cześć przyjęcie.

— Dzięki — jęknąłem niepewnie.

Kiedy wychodziłem od Watta, pajęczyny i brud w korytarzach piwnicy wydawały mi się gorsze niż zwykle. Po wystąpieniu Buforta dziękowałem Bogu, że Watts powstrzymał mnie przed robieniem hałasu wokół plamki na ciele bezdomnego denata.

Rozdział 6

Chłodna mgła podziałała kojąco na moją twarz, ale nie pomogła ani trochę rozgorączkowanej głowie. Tuż przy wjeździe na szpitalny parking zobaczyłem pół tuzina radiowozów policyjnych. Ta niewielka flota oznaczonych pojazdów stała na miejscu parkingowym dla lekarzy. Gdybym wiedział, którym przyjechał Bufort, kazałbym go odholować. Po południu na oddział wpadło kilku dziennikarzy i musiałem się ich pozbyć, cieszyłem się więc, że teraz nie czekają całą hordą przed szpitalem, żeby biec obok mnie w drodze do samochodu. Otworzyłem drzwiczki i

zauważyłem, że w budynku pali się światło w pomieszczeniu należącym do działu finansowego. To dziwne, pomyślałem, Laverty i jego pracownicy zwykle wychodzą o czwartej.

Całą drogę do domu próbowałem nie przejmować się nagonką Buforta na mnie, ale nie potrafiłem odsunąć od siebie czarnych myśli. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Hurst nagle zrobił się taki podstępny. Nawet jak na niego to było zbyt wiele. Może chciał zasugerować, że miałem motyw, by zamordować Kingsly'ego z powodu mojego dzisiejszego wybuchu na zebraniu, kiedy ogłosił ograniczenia w liczbie łóżek? Dość dziwne wydawało się, że w ciągu kilku godzin po śmierci Kingsly'ego, mimo że tolerował bałagan finansowy szpitala przez wiele lat, nagle zaplanował drastyczne cięcia, które nie

77

miały nic wspólnego z ekonomią czy nawet zdrowym rozsądkiem. A może to tylko reakcja na moją groźbę zamknięcia oddziału? W każdym razie jego zachowanie wskazywało na coś więcej niż potrzebę zmniejszenia deficytu. Do czegokolwiek zmierzał, najwyraźniej nie wahał się zniszczyć po drodze mojego życia zawodowego i osobistego.

Przyszło mi do głowy pytanie, które starałem się od siebie odsunąć, ale teraz musiałem je sobie zadać: Może to ktoś z mojego oddziału jest zabójcą?

Na oddziale nagłych wypadków było nas piętnaścioro. Obawiałem się nawet nieuniknionych podejrzeń, które musiały wypłynąć, gdy Bufort i jego ludzie zaczęli wszystkich przesłuchiwać. Kiedy osoba pracująca na oddziale, gdzie ryzyko jest ogromne, utraci zaufanie ludzi, jakoś jej pracy natychmiast spada. Zaufanie i poparcie bez ograniczeń utrzymuje przy życiu naszych pacjentów. Jeden z moich profesorów nazywał to „cudowną zależnością, która potrafi zdziałać cuda”; między innymi dlatego byłem tak uzależniony od pracy na oddziale nagłych wypadków. Bufort zniszczył tę zależność za pomocą zwątpienia i strachu, a mój oddział się przez to rozpadnie. Nie będzie można nim kierować.

Jedno było pewne. Wszystko to zmniejszy naszą szansę w walce o łóżka. Moralny obowiązek, na który się powołałem, występując przeciwko Hurstowi, na skutek jego insynuacji i podejrzeń w stosunku do mnie utraci swoje znaczenie. Bufort będzie nas przesłuchiwał, a Hurst zyska na czasie i zwiększą się jego możliwości utrzymania w mocy podjętych decyzji. Nie możemy mieć zaufania do lekarzy z oddziału nagłych wypadków, powie na pewno. Przecież pośród nich jest zabójca. Gołym okiem widać, że chce się nas w ten sposób pozbyć, poza tym w takiej sytuacji nikt i tak nie będzie chciał nas słuchać. Co gorsza, on może mieć rację.

Pomyślałem, że trudno mi będzie dziś zasnąć. Otworzyłem okno. Znajomy szum opon na asfalcie tylko pogłębił mój zły nastrój.

Samochód Janet był w garażu. Wiedziałem, że już pewnie poszła spać, bo zostawiła światło zapalone tylko w kuchni. Po mokrym i merdającym powitaniu Muffy wziąłem jej smycz i wyszedłem na zewnątrz. Pociągnęła mnie po schodach na

78

trawnik, ale tym razem nie poszedłem tą samą co zwykle drogą- Dziś potrzebowałem dłuższej trasy niż codzienne kółko wokół domu. Miałem nadzieję, że świeże powietrze ukoji moje nerwy. Muffy od razu ruszyła przed siebie w poszukiwaniu nowych miejsc i zapachów.

Dwie ulice dalej znaleźliśmy się przy polu golfowym. Nigdy w życiu w to nie grałem, ale lubiłem zielone trawniki. Zimą, kiedy pole zamykano, zakradałem się czasem na jego teren, żeby Muffy się wyhasała. Wyczuła, gdzie idziemy, i biegła na naprężonej smyczy, dusząc się obrozą.

Granicę pola wyznaczała szeroka linia drzew i krzewów. Dostanie się tam wymagało tylko przejścia między gałęziami i zignorowania znaku: „Teren prywatny”. Zatrzymałem się tuż przed nim i rozejrzałem dookoła. Nawet nocą miasto rozjaśniało tyle światła, że było dość dobrze widać. Muffy ledwie mogła ustać w miejscu.

Wystrzeliła jak kula z pistoletu. Biegła po mokrej ziemi szczęśliwa, jak zwykle, kiedy miała przed sobą duży, niezabudowany obszar. Szedłem powoli za nią, a ona biegła w kółko. Moje buty natychmiast przemokły od trawy.

Próbowałem nie myśleć o detektywach i szpitalnej administracji, ale zacząłem się martwić o lekarzy z mojego oddziału, a zwłaszcza o Jones. Może znów wymiga się badaniami i nie przyjdzie jutro do pracy. Za co ona chce mnie ukarać? Za to, że rzuciłem dziś rano słuchawką podczas rozmowy z nią? Może za to, że ją ignorowałem na zebraniu? Może w ogóle za to, że zatrudniłem Kradica? Nie potrafiłem sobie radzić z jej napadami złego humoru.

Zanim trafiła do szpitala Świętego Pawła, pracowała dorywczo w kilku innych szpitalach na nocnych dyżurach. Była kompetentna, ale kapryśna i brakowało jej pewności siebie, jakiej wymaga się od lekarza z jej doświadczeniem. A jednak współpraca z Żakiem dała jej śmiałość i zdecydowanie, cechy, których wcześniej u niej nie widziałem. Dobra robota przy badaniach w pogotowiu i wszystkie noce spędzone na dyżurach sprawiły, że nabrała tyle pewności, co doświadczony lekarz. Ciągłe stykanie się z zatrzymaniem akcji serca uczyniło z niej naszego najlepszego eksperta w dziedzinie resuscytacji.

Niestety sukces sprawił, że zrobiła się dość agresywna. Obnosiła się ze swoimi nowymi umiejętnościami, jakby chciała ukarać nas za to, że wcześniej sprawiliśmy, iż czuła się od nas gorsza.

Domagała się coraz więcej zajęć. Nie nadążałem z przydzielaniem jej dyżurów. Zdawało mi się, że jej nowa pozycja na oddziale działa na nią jak narkotyk. Żeby czuć się dobrze, musiała wciąż popisywać się swoimi uzdolnieniami. Kiedy zatrudniłem Kradica, przestała być jedyną gwiazdą na oddziale nagłych wypadków.

W moich butach zaczęło chłupotać, a nogawki spodni zrobiły się ciężkie od wody. Muffy wciąż galopowała radośnie i zataczała koła. Już chciałem ją zawołać, kiedy zatrzymała się nagle i wpatrywała zawzięcie w odległą zielen jakiegoś sto metrów dalej.

Stała tam w zupełnym bezruchu samotna postać. Wokół nóg tajemniczej osoby kręciły się jak cienie dwa mniejsze, czarne stworzenia. Stojąca bez ruchu postać wyglądała niesamowicie. Zdawało mi się, że patrzy na mnie i Muffy.

Bez ostrzeżenia czarne cienie rzuciły się w naszą stronę. Musiałem zamrugać, żeby się przekonać, czy są prawdziwe. Biegły ścieżką w naszą stronę tak szybko, że wyglądały jak zjawy majaczące w słabym świetle. Niestety, to były żywe stworzenia i biegły w naszą stronę jak ciemne torpedy. Muffy zaszczekała. W odpowiedzi usłyszałem warknięcie.

Psy!

Muffy była jakieś dwadzieścia metrów przede mną. Nie ruszała się, ale uszy miała postawione i przygotowywała się do ataku.

— Nie, Muffy! — krzyknąłem, ale było już za późno. Pobiegła w stronę szarżujących na nas zwierząt.

Ruszyłem za nią, wołając jej imię.

— Nie! Wracaj! Muffy, nie! — ale ona była już daleko i sama wyglądała jak cień. Z rosnącym przerażeniem obserwowałem trzy cienie zbliżające się do siebie. Dzielili je zaledwie kilkadziesiąt metrów.

Biegłem za Muffy, machając rękoma w stronę postaci, stojącej na trawniku.

— Niech pan je zatrzyma! Na litość boską, niech pan je

odwoła! — wrzeszczałem z całych sił. — Niech pan odwoła

psy!

Nieznajomy patrzył i nie odpowiadał. Dopiero teraz zauważyłem, że to doberman. Mogłyby rozerwać Muffy na strzępy.

Pięćdziesiąt metrów.

Cholera! Musiałem powstrzymać moją Muffy.

Gardło mnie bolało od wrzasku, dyszałem ciężko, bardziej ze strachu niż zmęczenia. Psy już były niedaleko.

Dwadzieścia pięć metrów.

Przestałem biec, wziąłem głęboki oddech i wrzasnąłem tak głośno i z taką wściekłością, na jaką było stać moje biedne struny głosowe.

Muffy się odwróciła, żeby zobaczyć, co ją atakuje z drugiej strony. Dwa psy zatrzymały się jakieś dziesięć metrów od niej. Opuściły głowy i warczały. Były pewnie bardziej zdziwione niż wystraszone moim krzykiem.

— Wracaj, ty, głupia! — krzyknąłem na Muffy, próbując przywołać ją do porządku.

Podziałała. Podkuliła ogon, opuściła głowę i uszy i skradała się w moją stronę, oglądając się nerwowo na warczące za nią doberman.

Nie odeszły, ale i nie ruszyły w naszą stronę. Zaczęły nas okrążać. Głowy wciąż miały spuszczone i warczały, ukazując zęby.

Kiedy Muffy zbliżyła się do mnie, schwyciłem ją za obrozę i przyciągnąłem do siebie. Uważając, żeby jej nie uderzyć, zacząłem kręcić dookoła jej smyczą, zakończoną metalowym karabińczykiem.

— Odejdź! Odejdź! — krzyczałem w stronę dobermanów. Wywijałem smyczą coraz szybciej, póki nie usłyszałem

świstu w powietrzu. Muffy przestała się kulić i zaczęła warczeć i szczekać na psy. Mogłem ją trzymać tylko jedną ręką, a drugą machać smyczą.

Nagle jeden z psów zabiegł nas z tyłu. Muffy próbowała odwrócić się szybko i stanąć przodem do atakującego, ale obroża, którą mocno trzymałem, zaczęła ją dusić. Przez ten gwałtowny ruch zwierzęcia straciłem równowagę. Udało mi się tylko skierować smycz za siebie i poczułem, że w coś

uderzyła. Nadbiegający w naszą stronę pies zawył z bólu i wściekłości. Oddalił się na bezpieczną odległość i skowyczał, dołączając do partnera. Przygotowałem się do ponownego ataku, gdy ponad warczeniem i szczekaniem rozległ się odgłos gwizdka policyjnego lub sędziowskiego. Gwizdał mężczyzna stojący na trawniku.

Doberman natychmiast przerwał atak i pobiegły w stronę pana, równie szybko, jak biegły wcześniej w naszą stronę.

Trzymałem mocno Muffy. Trzęsła się i warczała, wyrywając się do pogoni.

— Nie, Muffy, dobra dziewczynka. Już sobie poszły. Już dobrze — upewniałem ją, choć nie wiedziałem wcale, czy niebezpieczeństwo minęło. Próbowałem sam się uspokoić i spojrzałem na postać w oddali. Psy znów uwijały się wokół nóg nieznajomego.

Miałem ochotę krzyknąć: „Ty pieprzony idioto!”, bałem się jednak, że wyśle za nami doberman. Szybko założyłem karabińczyk smyczy na obrozę Muffy i zacząłem schodzić po zboczu niewielkiego wzniesienia, pod które wcześniej weszliśmy. Suka opierała się, wyrywała, stawiała na tylnych nogach, by spojrzeć jeszcze raz za odchodzącymi. Kiedy sam obejrzałem się do tyłu, na trawniku już nikogo nie było.

Przez całą drogę do domu oglądałem się za siebie i nadśluchiwałem, czy nie biegną za nami psy. Muffy za to truchtała obok mnie szczęśliwa, wachała krzaki, jak zwykle na spacerze. Najwyraźniej już o wszystkim zapomniała. Ja nie mogłem tak łatwo zapomnieć.

Kiedy znaleźliśmy się bezpiecznie w kuchni, Muffy pobiegła na górę, żeby zająć miejsce na łóżku. Czuję złość. Miałem ochotę zgłosić to na policji. Przecież psy tego idioty o mało nas nie zabiły.

Już miałem wybrać 911, kiedy zastanowiłem się, na co właściwie mam się poskarżyć? Nielegalnie znalazłem się na prywatnym polu golfowym. Pies był spuszczone i biegał luzem. Może ten dureń z pola golfowego to nocny stróż. Wiedziałem, że nie jestem jedyną osobą, która wyprowadza psa na teren pola golfowego, mimo że jest wyraźnie oznaczone. Właściciele polecieli nawet roznosicielom dostarczyć do domów ulotki

z prośbą o niewypuszczanie psów na teren pola. Może już im się znudziło pisemne ostrzeżenie i postanowili, że ochrona powinna nas trochę postraszyć. To głupie i niebezpieczne. Idiota, który dziś miał dyżur, powinien być oskarżony o zaniedbanie,

zdecydowałem się jednak odłożyć słuchawkę.

Na pewno nie pójdę już tam z Muffy. Byłem wściekły, ale czułem się również trochę głupio.

Obudziłem się w niebie. Ktoś głaskał mnie po głowie, a w powietrzu czułem zapach kawy stojącej na mojej szafce nocnej. Otworzyłem zaspane oczy i uśmiechnąłem się do Janet. Jedną rękę położyła na moim czole, a drugą trzymała filiżankę kawy. Na zewnątrz nie było zbyt jasno i miałem ochotę jeszcze na chwilę przysnąć.

Zapadłem w pospieszny kilkuminutowy sen, który po długim okresie niedosypiania był mi potrzebny. We śnie jechała w moją stronę wielka karetka pogotowia. Wiozła Kingsly'ego, a właściwie jego resztki, bo zgnił już doszczętnie. Ciało wypływało z noszy. Słyszałem, jak krzyczy. Wysoki pisk Kingsly'ego górował nad syreną karetki. Krzyki się powtarzały, dochodziły z wielkiego, wiszącego nade mną cielska. Karetkę prowadziła tajemnicza ciemna postać.

Ze snu wyrwał mnie mój własny krzyk. Janet już dawno nie było, a telefon brzęczał mi do ucha. Podniosłem słuchawkę i wychrypiałem:

— Halo!

— Trochę już późno, doktorze. Szkoda, że ja nie mogę tak długo spać — powiedziała Susanne, jak zwykle świeżo i pogodnie.

— O Boże, która godzina? — Najwyraźniej spałem trochę dłużej niż kilka minut.

— Jest ósma trzydzieści. Mamy tu trzecią wojnę światową, a nasz nieustraszony przywódca śpi.

— Tak źle?

— Bardzo.

83

— Będę za trzydzieści minut.

Ledwie odłożyłem słuchawkę i ruszyłem pod prysznic, kiedy znów zadzwonił telefon.

— Halo! |— krzyknąłem zniecierpliwiony, spodziewając się, że to znów ze szpitala.

Usłyszałem tylko trzask w słuchawce, jakby ktoś dzwonił z samochodu.

— Halo! — powtórzyłem już grzeczniej.

Hałas się nie zmienił. Na początku myślałem, że to zakłócenia na linii, ale potem dotarł do mnie cichy szept.

— Halo! Kto mówi? — zapytałem. — Proszę mówić głośniejsze. Nic nie słyszę.

Zachrypiły głos zabrzmiał mocniej.

— Wiem, że to ty, doktorze. To ty! To było ostrzeżenie. Wycofaj się!

Po chwili usłyszałem ciągły sygnał w słuchawce.

Poziom hałasu na oddziale pasował do bałaganu w mojej głowie. W każdym korytarzu, zajmując całą jego długość, stały nosze.

Podeszła Susanne.

— Niedobrze — mruknęła jak zwykle, kiedy działy się straszne rzeczy.

Wokół mnie lekarze i pielęgniarki wykrzykiwali polecenia, a pacjenci wołali o pomoc. Maski tlenowe i kroplówki na wieszakach lądowały w rękach stażystów, stojących obok pacjentów, którym nie udzielono pomocy. Najpierw myślałem, że to jakaś tragedia, katastrofa pociągu czy samolotu. Próbowałem porozmawiać z recepcjonistką, ale była zajęta telefonami z prośbą o EKG, prześwietlenie, wyniki badań i łóżka, najwięcej oczywiście o łóżka. Słuchała kogoś, z kim rozmawiała przez telefon, lecz w końcu odpowiedziała na moje pytanie.

— Znowu przyjeżdżają do nas karetki.

Zak! Cholera! Nie byłem pewien, czy powiedziałem to na głos, czy tylko pomyślałem.

Po chwili już byłem na końcu korytarza w moim gabinecie. Tam znalazłem dwie następne niemiłe niespodzianki.

84

Najpierw zobaczyłem wielki plik- wydruków komputerowych, które oznaczały, że spędzę wiele dodatkowych godzin w biurze.

Potem dostrzegłem osobę stanowiącą drugą niemiłą niespodziankę, zaskoczona tym, że przyłapano ją na przeglądaniu pierwszej.

Jones odskoczyła od biurka.

— Dużo papierkowej roboty — rzuciła nerwowo. Zdenerwowany pozwoliłem, by podziała na nią cisza.

Dziesięć sekund zajęło jej wybełkotanie:

— Przyniosłam ostatnie wyniki badań wpływu siarczanu magnezowego na resuscytację. — Położyła cienki folder na pliku, który przed chwilą przeglądała.

— Znalazłaś tam coś ciekawego? — Wiedziałem, że pytanie brzmi chłodno i sarkastycznie.

Wyglądała na przestraszoną.

Chciałem, żeby wiedziała, iż posunęła się za daleko.

Otarłem się o nią, podchodząc do biurka, i pozwoliłem, by stała obok, czując się nieswojo, podczas gdy ja zatelefonowałem do Żaka, żeby odwołać karetki.

Oczywiście domagał się zapłaty.

— Coś nowego w sprawie morderstwa?

— Nie mogę teraz rozmawiać — szepnąłem, mając nadzieję, że zasugeruję w ten sposób, że mam jednak coś ciekawego. Najwyraźniej podziałało. Wymieniliśmy kilka zdań, a Zak obiecał, że skieruje karetki do innych szpitali, przynajmniej do południa. Odłożyłem słuchawkę, żeby się nie rozmyślił.

— Chodziło mi o twoje badania, Valerie — powiedziałem, odwracając się swobodnie w jej stronę, z nadzieją, że jeszcze bardziej wyprowadzi ją to z równowagi.

Szczupłe ramiona opuściły się odrobinę. Miałem ochotę zrezygnować z tego pytania, ale wiedziałem, jak ważne są dla niej te badania. Może jeśli poświęcę jej teraz chwilę, przejdzie na moją stronę, przynajmniej na jakiś czas. Byłem bardzo zdenerwowany i nie miałem ochoty znów się z nią kłócić.

— W zeszłym miesiącu skończyliśmy pierwszą fazę — powiedziała. — Początkowe...

85

Próbowałem się skupić na tym, co mówiła, i zignorować uczucie, że mój żołądek zaciska się jak pięść. Zrozumiałem tylko, że do tej pory mieli sprzeczne rezultaty. Siarczan magnezowy, tańszy od innych środków, na początku wydawał się obiecujący, ale nie okazał się cudownym środkiem na-sercowym, jak podejrzewali badacze z Kalifornii. Widać było wyraźnie jej rozczarowanie w trakcie mówienia. Należało docenić wysiłki Jones, ponieważ niepomyślnie wyniki badań w medycynie również były bardzo ważne, a materiały przez nią zebrane miały sporą wartość.

Kiedy mówiła o swoich odkryciach, w jej głosie brzmiała siła, której nie słyszałem podczas naszych poprzednich rozmów, a nieznośna podejrzliwość zupełnie ustąpiła.

— Doskonale nadaje się do torsade de pointes. W zestawieniu ze starym sposobem stosowania siarczanu magnezu nasza nowa wersja zapewnia zwiększenie możliwości przeżycia o dwadzieścia procent. Niestety nie ma zastosowania przy częstoskurczu komorowym i migotaniu komór — wzruszyła ramionami i dodała: — Wielka szkoda.

Zgodziłem się z nią. Torsade de pointes to śmiertelny, ale raczej rzadki rytm serca, występujący podczas zatrzymania. Czytałem kiedyś o tym, ale w ciągu dwudziestu lat praktyki nigdy się z tym nie spotkałem. Zwykle śmiertelnym rytmem był częstoskurcz i migotanie.

— Lecz przy niestabilnej dusznicy bolesnej albo zawale mięśnia sercowego mogłoby to przynieść niezłe rezultaty — ciągnęła z entuzjazmem. — Nasze badania zostaną rozszerzone o następną fazę. Chcemy sprawdzić, czy siarczan magnezowy może chronić pacjentów przed częstoskurczem i migotaniem komór.

— Mam nadzieję — powiedziałem, próbując się powstrzymać przed spoglądaniem na zegarek.

Naprawdę tak myślałem. Miałem zwłaszcza na myśli pacjentów z niestabilną postacią dusznicy, stanem poprzedzającym zawał serca, kiedy krew, dopływająca do serca, jest powoli blokowana przez zatkane arterie, ale mięsień sercowy nie jest jeszcze zniszczony. Aby odwrócić ten proces albo powstrzymać nadchodzący zawał mięśnia sercowego, używamy tlenu, nitro-

86

gliceryny i środków powodujących rozcieńczenie krwi. Czasem nawet operujemy, ale najczęściej pacjenci i tak umierają z powodu zakłóceń rytmu serca, o których wspomniała Jones. Gdyby siarczan magnezowy był w stanie uchronić pacjentów przed migotaniem komór lub częstoskurczem, mogłoby to zwiększyć przeżywalność i zapobiec zawałowi serca. W niektórych wypadkach nie musielibyśmy używać leków rozpuszczających skrzeplinę, leków, których każda dawka kosztuje od trzystu do trzech tysięcy dolarów. Jedna dawka siarczanu magnezowego kosztuje tylko trzydzieści centów. Poza tym jest znacznie bezpieczniejsza.

Teraz jednak musiałem radzić sobie z nawałem pacjentów na oddziale.

— Informuj mnie na bieżąco — dodałem, podchodząc do szafki i zmieniając marynarkę na fartuch.

— Widzę, że w końcu są wyniki pracy lekarzy z każdej zmiany — wskazała

niedbałym ruchem wydruki komputerowe. — Wszyscy zabijają się, żeby je zobaczyć — powiedziała, jakby chciała usprawiedliwić swoje wścibstwo.

Znów rozdrażniło mnie jej podglądanie. Zresztą zbyt się spieszyłem, żeby okazać cierpliwość.

— Sam nie miałem jeszcze czasu, żeby do nich zajrzeć. Nie mam pojęcia, co w nich jest. A teraz, przepraszam, ale mam jeszcze parę rozmów telefonicznych, a na ciebie chyba czekają pacjenci. Powiedz Susanne, że przez trzy godziny nie będziemy mieli nowych karettek.

Na tym zakończyłem i była to zdecydowanie najmielsza od miesiąca rozmowa z tą kobietą. Żadne z nas nie wspomniało o wczorajszej rozmowie telefonicznej. Próbowła się uśmiechnąć, lecz jej się nie udało. Zauważyłem, że znów miała coś zielonego pod fartuchem, tym razem w jej uszach wisiały również kolczyki tego samego koloru. To, co nosiła, by wyglądać elegancko, było zawsze w złym guście i nie robiło na mnie najmniejszego wrażenia. Wychodząc, odezwała się dość żałośnie:

— Poinformuj mnie, proszę, jeśli będziesz miał jakieś uwagi dotyczące moich badań.

— Oczywiście.

87

Westchnąłem, kiedy wyszła. Valerie Jones była naprawdę trudną osobą. Przynajmniej dziś pojawiła się, żeby pomóc Popovitchowi.

Przez następne kilka minut przeprowadziłem rutynowe rozmowy telefoniczne z biurem przyjęć, poprosiłem Seana, by odwołał planowaną operację, przekonywałem kilku z naszych lekarzy, żeby przyszedli do pomocy chociaż na godzinę. Kiedy zaczęli do mnie dzwonić wściekli chirurdzy, których operacje musiałem odwołać, przełączyłem telefon na automatyczną sekretarkę. Oni wykrzykiwali swoją złość do urządzenia, ja usiadłem wygodnie w fotelu i zastanawiałem się, co, u diabła, mam począć z dziwnym szeptem przez telefon. Z czego mam się wycofać? Gdybym nawet chciał to wziąć poważnie, skąd miałbym wiedzieć, w co, na litość boską, byłem zaangażowany?

To musiało mieć jakiś związek ze śmiercią Kingsly'ego. Telefonującym mógł być ktokolwiek, bo nie mogłem rozpoznać głosu w słuchawce, ale pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy, był Hurst. To on podsunął Bufortowi myśl, że miałem motyw zabójstwa. Sądziłem jednak, że jego insynuacje były tylko walką taktyczną, podstępem, który zająłby mnie na jakiś czas. Może naprawdę sądził, że jestem

zabójcą? „Wiem, że to ty!” — słowa te brzmiały prawie tak, jak telefoniczna reakcja po zebraniu na oddziale, dotycząca jego zamknięcia. „To było ostrzeżenie. Wycofaj się!”. Przeraziła mnie myśl, że Hurst mógłby naprawdę być tak zdesperowany. Ale co spowodowało tę desperację? „To było ostrzeżenie”. Groził, że dostarczy Bufortowi więcej podejrzeń lub że wrobi mnie w to morderstwo? Poczulem nagłą panikę, spotęgowaną, być może, paranoją ostatnich dni i niedostatkiem snu. Psy. Ten atak na polu golfowym. „To było ostrzeżenie”.

Zacząłem głośno dyszeć. Nie! To idiotyczne. Spróbowałem;| opanować oddech. Musiałem podejść do tego racjonalnie. j

Powinienem powiadomić Buforta? A może jemu wyda się 1 to jeszcze bardziej podejrzane? Postanowiłem to przemyśleć, kiedy się uspokoję. Teraz musiałem skupić się na sytuacji na I oddziale.

88

Wstałem z krzesła i spojrzałem na stos papierów na biurku, do których zaglądała Jones. W normalnych warunkach taka praca dałaby mi doskonały biurokratyczny pretekst, żeby odgrodzić się od szaleństwa, które panoszyło się na zewnątrz.

Jones widziała na wydrukach numery i kody lekarzy w naszym pierwszym zestawieniu pacjentów i wyników ich leczenia. Miała rację co do jednej rzeczy. Wszyscy w napięciu oczekiwali na efekty i ocenę swojej pracy. Niektórzy wyszli z tego testu zwycięsko, a inni ponieśli klęskę. To było jak rozliczenie podatkowe, z którego nie można się wykpić ani usprawiedliwić. Niektórzy nazywali ten test oszacowaniem jakości, inni Wielkim Bratem.

Wydruki stanowiły jedną z niewielu papierkowych robót, na które czekałem z entuzjazmem, ale teraz nawet ona musiała poczekać. Zamknąłem papiery w biurku, by żaden z lekarzy już do nich nie zaglądał.

Po chwili udałem się na oddział, żeby stawić czoło bałaganowi. Po drodze do dyżurki pielęgniarek zajrzałem do sali resuscytacji. Zobaczyłem Popovitcha po prawej stronie oblanej potem kobiety, która miała trudności z oddychaniem. Dopiero co wprowadził długi cewnik Swana Gantza pod jej prawy obojczyk i dalej przez żyłę podobojczykową do serca. Była to bardziej skomplikowana wersja techniki, którą w niedzielę James Todd zastosował na moim pacjencie.

Patrzyłem, jak Popovitch wprawnym ruchem umieszcza cewnik, i nagle uświadomiłem sobie, że między precyzyjnie wykonanym zabiegiem a morderstwem Kingsly'ego była niewielka różnica. Lekarz wyjaśniał bladoszarej pacjentce, że na koniuszku cewnika znajduje się urządzenie, które ma za zadanie mierzyć reakcję jej

serca na lek podany w celu oczyszczenia płuc, a ja zastanawiałem się, ilu jeszcze lekarzy oprócz mnie znalazło się na liście Buforta.

Popovitch podniósł głowę i zauważył, że go obserwuję. Na szczęście nie miał pojęcia, o czym myślę.

— Dobrze, że jesteś — zaczął. — Załatwiłem sprawę wcześniejszych wyjść Kradica z dyżuru.

Jeszcze raz obejrzał pacjentkę i dołączył do mnie na korytarzu.

89

— Michael, znów będę miał na biurku notatkę ze skargą? Mrugnął porozumiewawczo.

— Mam nadzieję, że tak — odparł, pogwizdując melodię z „Ojca chrzestnego”, przeszedł obok mnie i ruszył dalej korytarzem.

Następne godziny uwolniły mój umysł od rozważań o podejrzanych i morderstwie.

Wstrzymanie napływu karetok podziałało. Lekarze i pielęgniarki byli w stanie stawić czoło piekłu na oddziale, wiedząc, że nie nadjedzie więcej pacjentów. Zamówienie sal operacyjnych i wezwanie na pomoc kilku lekarzy jeszcze bardziej poprawiło humor Susanne.

— Dzięki Bogu — powiedziała — no i oczywiście tobie.

— Miło znów widzieć twój uśmiech, mimo że ciągle jesteś taka przemądrzała.

— No cóż!

Pokazała mi kartę czterdziestopięcioletniego mężczyzny, krwawiącego z góry i z dołu. Słyszał, że podobno codzienna dawka aspiryny chroni przed chorobami serca, ale dozował ją zbyt optymistycznie i dorobił się krwotoku z przewodu pokarmowego. Kiedy dotarłem do jego noszy, był blady i cuchnął fekaliami. Czarna biegunka wyciekała z jego odbytu, a wymiociny koloru kawy zabrudziły całą poduszkę i piżamę.

— O Boże, już po mnie. Czuję to. Niech mi pan nie pozwoli odejść! Już po mnie! — wołał i rzucał głową.

— Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. — Dwie kroplówki sączyły płyn w jego opróżnione żyły. Namacałem tętno na przegubie. Niezbyt mocne, ale było. — Ma pan już puls — powiedziałem i podniosłem dolną część łóżka, by krew zaczęła spływać z

nóg w stronę serca. — To jeszcze pomoże. — Maskę tlenową zsunęła mu się na czoło. Nałożyłem ją z powrotem na nos i usta. Dwie jednostki krwi typu zero dotarły na miejsce i zawieszono je na uchwytach kroplówki. Na razie wciąż miał puls, a podany środek prawdopodobnie powstrzyma krwawienie. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Niestety nie mieliśmy dla niego łóżka połączonego z monitorem, gdyby znów zaczęło słabnąć tętno.

Zapisywałem zalecenia, korzystając z kawałka wolnego

90

L

Widziałem ją w miejscu na blacie, i słyszałem, jak Popovitch kłóci się z lekarzem stażystą z neurochirurgii.

— Posłuchaj, trzydziestopięcioletnia kobieta dostała najgorszego w życiu bólu głowy, zaraz po tym jak się kochała, a teraz powoli traci przytomność. To nie jest drzemka postspół-kowa. Trzeba natychmiast zrobić tomografię komputerową i w ciągu godziny zacząć operację, bo inaczej umrze.

Tomografia komputerowa służy do wykrywania krwawiaków mózgu. Badanie musiało być zrobione szybko, w obecności radiologa i neurologa, aby mieć pewność, że zostało prawidłowo zinterpretowane.

Stażysta się ociągał.

— Mój opiekun nie lubi, kiedy mu się zmienia jego stały grafik.

Popovitch stracił panowanie.

— Ta pani ma krwotok podpajęczynówkowy. Jeśli nie wezwiesz swego opiekuna stażu, a jej stan się pogorszy, on cię zabije. Jeśli on tego nie zrobi, to ja na pewno. A gdyby przypadkiem jeszcze po tym wszystkim coś z ciebie zostało i miałoby zamiar kontynuować karierę lekarską, my obaj postaramy się, żeby to było niemożliwe.

Tomograf miał być gotowy za trzydzieści minut.

— Bardzo pouczające, Michael — powiedziałem ponad ramieniem.

— Jeśli się na mnie poskarży, olej go.

Słyszałem, jak w korytarzu pielęgniarki witają Sylvie Green, jedną z lekarek, które wezwałem na pomoc. Niedawno wróciła z drugiego urlopu macierzyńskiego i była znana ze swojej fachowości. Potrafiła uzyskać dostęp dożylny u każdego pacjenta,

nieważne w jakim był stanie i jak trudno było wkląć się w żyłę. Jej pomoc zawsze witano z radością, a tym bardziej dziś.

Przeszła zakłopotana przez korytarz i dotarła do dyżurki Pielęgniarek.

— Jezu Chryste! — powiedziała.

— Ależ Sylvio. I to mówi grzeczna, żydowska dziewczyna! — zażartowała Susanne, podając jej kartę.

— Tak, wiem. Po dziesięciu latach pracy w katolickim szpitalu przeklinam jak siksa — stwierdziła i uśmiechnęła się

91

w moją stronę, biorąc od Susanne kartę. Poszła odnaleźć swego pacjenta.

Po dwudziestu minutach stażysta, który niechętnie wykonał polecenie Popovitcha, wrócił ze zdjęciami wykonanymi tomografem. Zadowolony z siebie, pokazywał wszystkim krwiak podpajęczynówkowy, którym zajmował się na oddziale nagłych wypadków. Popovitch spokojnie wręczył mu telefon i zasugerował, by załatwił przeniesienie chorego na neurochirurgię. Słyszeliśmy, jak z dumą załatwiał operację i wyjaśniał zdziwionym studentom, że nawiercenie dziur w czaszce spowoduje zmniejszenie ciśnienia krwi. Popovitch tylko do mnie mrugnął.

Po godzinie na oddziale było już spokojnie. No, jak na nasze warunki.

Jones odesłała dwoje pacjentów z bólem brzucha do domu. Nie miało sensu, by leżeli na korytarzu, bez objawów ostrego brzucha, bo wykonano już niezbędne badania krwi i płynów z jamy ustnej i mogą poczekać na wyniki w domu. Kazała im obserwować swój stan i przyjść na ponowne badania jutro w przychodni. Jak na ironię, w domu byli bardziej bezpieczni niż u nas. Gdyby im się pogorszyło, ktoś z rodziny zawsze może ich przywieźć z powrotem do nas, bo zapracowane pielęgniarki mogą nie zauważyć ich cierpienia, kiedy będą leżeć gdzieś na końcu korytarza. Przy takim przepełnieniu obawialiśmy się, że możemy po jakimś czasie znaleźć pacjenta martwego na noszach.

Susanne, tak jak ja, miała zdolność do gradacji ważności spraw. Teraz zademonstrowała ją najlepiej.

— Och, zapomniałam — powiedziała. — Dzwoniła sekretarka Hursta. Zostawiła wiadomość. Ma się pan z nim spotkać w sali zebrań o dziesiątej trzydzieści.

Zesztywniałem. Musiałem być bardzo ostrożny w postępowaniu z tym człowiekiem. Teraz już nie będzie to zwykła praca. Muszę się zastanowić, czy powinienem

powiedzieć o moich podejrzeniach z nim związanych Bufortowi. Spojrzałem na zegarek. Była 10.40.

— Susanne. Chyba się spóźnię. Muszę się z tego jakoś wyłgać.

92

— Hej, tu nam jesteś bardziej potrzebny. Tam na górze nie uratujesz nikomu życia.

— Mam już dość kłopotów...

— Więc co to zmienia? Zanim pobiegiesz — dodała, zatrzymując mnie w połowie drogi do drzwi — wczoraj w nocy przyjechał do nas następny niezidentyfikowany denat. Jakaś bezdomna kobieta. W pogotowiu chyba wykombinowali, że jeszcze mamy miejsce w kostnicy.

Moje myśli zdominowane były już planami, jak sprawić, bym mógł stawić czoło oskarżeniom Hursta w obecności Buforta, ale próbowałem jeszcze wysłuchać Susanne.

— Następne zwłoki? — zapytałem. Dwa niezidentyfikowane trupy w ciągu dwóch dni to dość niezwykle. — Co ją zabiło?

— Pewnie bezdomność, alkohol i to co zwykle...

— Papierkowa robota już skończona?

— Tak. Odesłaliśmy wszystko do Watta. To dziwne, ale palił się do roboty przy tym trupie. Nie mam pojęcia dlaczego.

— Naprawdę? — mrugnąłem i przypomniałem sobie, jak wczoraj Watts mnie zrugął za moje niemądre podejrzenia. Coś mi zaświtało w głowie.

— Doktor Watts sądzi, że w wypadku zwiększonej umieralności wśród bezdomnych — wyjaśniła Susanne — anatomopatolog z kostnicy miejskiej będzie mógł się domagać wyjaśnienia przyczyn ich zejść.

Nagły wzrost umieralności może być spowodowany przez nowe leki, narkotyki albo biber. Powinno się odkryć najnowszą truciznę i ostrzec wszystkich. Jeśli Watts tak chętnie przyjmował kolejną autopsję na swoje i tak zawałone robotą barki, to na pewno miał znacznie lepszy powód niż szukanie pieprzyków. Jeśli nawet denat został przywieziony do szpitala karetką, gdy był bezdomny, najczęściej od razu trafiał do kostnicy miejskiej.

— Powiedział coś o tych wczorajszych zwłokach? — zapytałem.

— Nic szczególnego, ale to chyba dlatego, że trafiły do nas dwie bezdomne osoby w ciągu doby, był trochę podekscytowany.

Mimo zakazu pod szpital podjechały jeszcze dwie karetki.

93

Susanne wróciła do pracy, a ja pobiegłem na spotkanie z Hurs-tem, próbując po drodze zaplanować następny ruch w grze z nim i Buf ortem.

Ku mojemu zdziwieniu to detektyw prowadził spotkanie. Przerwał na chwilę, kiedy zajmowałem miejsce. Spojrzenia niektórych ordynatorów wskazywały na to, że dopiero co poinformował ich o zamordowaniu Kingsly'ego. Pozostali szefowie oddziałów nie mieli wesołych min, ale nie zdziwiła ich ta wiadomość, bo na pewno już słyszeli plotki. Hurst natomiast ostentacyjnie spojrzął na zegarek i o mało co nie zaczął w niego stukać, by unaocznić wszystkim moje oburzające spóźnienie.

— Spóźniłem się, bo na moim oddziale mamy istne szaleństwo! — prychnąłem w jego stronę, nie mogąc powstrzymać złości. Zauważyłem, że kilku z ordynatorów wymieniło zmartwione spojrzenia. Obawiali się pewnie, że powtórzymy wczorajszą wymianę zdań.

Bufort był dziś grzeczniejszy.

— Właśnie przekazywałem zebranim to, o czym mówiliśmy wczoraj w kostnicy, doktorze Gamet.

Mówił z szacunkiem, jakbym był jego kolegą po fachu, i to zaufanym. To wszystko pozory. Wiedziałem, że Bufort kpi sobie ze mnie, udając grzeczność. Niewielki uśmiezek w kącikach ust sprawił, że przypomniałem sobie, co ostatnio przez niego musiałem doświadczyć.

Byłem wściekły na nich obu, ale usiadłem i nic więcej nie powiedziałem.

Bufort mówił dalej. Opisywał problemy związane z prowadzeniem śledztwa w szpitalu. Samo przesłuchanie wszystkich osób, które w niedzielny wieczór miały dyżur, zajęło im dwadzieścia cztery godziny. Miejsce popełnienia przestępstwa było wciąż nieznane. Bezowocne okazało się też przeszukanie biura Kingsly'ego. Nie znaleziono żadnych śladów. Kiedy dokładnie wyjaśnił, że ciało zostało umyte, i podkreślił fakt, że zabójca potrafił używać igły dosercowej, wszyscy się ode mnie odsunęli.

94

potwierdził, że jego wydział udzieli dzisiaj krótkiego wywiadu telewizji, ale gdyby

reporterzy chcieli rozmawiać z kimś z nas oddzielnie, mamy ich odesłać do rzecznika policji albo szpitala. Nie wolno nam omawiać żadnych szczegółów z przedstawicielami mediów.

Mimo pośpiechu, z jakim omawiał trudności napotkane w śledztwie, wciąż na jego twarzy pojawiał się ten nieznaczny, ale drażniący uśmiešek. Grał w jakąś grę i był z siebie bardzo zadowolony. Sprawiał wrażenie, że ma asa w rękawie.

Riley zaś siedział wygodnie z tyłu i wpatrywał się w sufit. Nawet z dużej odległości widziałem, jak poruszają się na jego szczęce mięśnie. Zacząłem podejrzewać, że młodszy partner Buforta tracił już do niego cierpliwość. Zdaje się, że Bufort potrzebował jawnie okazywanego podziwu swojego młodszego partnera, a Riley chyba nie spełniał jego oczekiwań, zwłaszcza w mojej obecności.

W każdym razie, nawet bez entuzjazmu kolegi po fachu, Bufort doszedł do sedna swojego przemówienia:

— Tak więc, panowie, musimy rozszerzyć śledztwo i będziemy potrzebowali waszej pomocy.

Nie wyglądał mi na takiego, który czegoś potrzebuje.

— Detektyw Riley ustali z każdym z was termin spotkania, by omówić wszelkie informacje istotne dla śledztwa, te, które wpłynęły po waszym wstępnym przesłuchaniu, i plotki na temat zabójstwa szefa do spraw administracyjnych waszego szpitala. Chcielibyśmy zwłaszcza usłyszeć coś na temat ewentualnego motywu morderstwa.

Powstrzymałem nadciągające drżenie. Bufort miał zamiar otworzyć luki, przepusty i wyrzucić całe brudy szpitalne. Czuję niesmak i zdaje się, że to samo odczuwała większość zebranych lekarzy, sądząc po wyrazie ich twarzy. Bufort Wydawał się bardzo z siebie zadowolony. Zerknąłem na niego. Byłem pewien, że ręce go świerzbią, żeby je zatrzeć z zadowolenia. Grubawy detektyw z przerośniętym ego mógł się wydawać zabawny — gdybym nie doświadczył jego złośliwości °raz zbyt pochopnego formułowania wniosków. Może to był taki gliniarz, któremu bardziej zależało na skazaniu kogokolwiek niż dotarciu do prawdy? Jeśli tak, niewinność moja czy

95

innej osoby mogła mieć dla niego niewielkie znaczenie. Patrzyłem, jak idzie do drzwi, i zastanawiałem się, czy konsekwentnie przeprowadzi szeroko zakrojone śledztwo, czy też jego wysiłki skupią się na pierwszej osobie, którą będzie mógł

oskarżyć o morderstwo. Możliwe, że Hurst zechce właśnie mnie rzucić na pożarcie.

Postanowiłem, że informowanie Buforta o anonimowym rozmówcy, który powiedział mi przez telefon: „Wiem, że to ty!”, nie ma sensu. Może uwierzy tamtemu. Nie pomagał mi w podjęciu takiej decyzji zmartwiony wyraz twarzy Riley'a. Przyjrzał mi się, nim wstał powoli z krzesła, i podszedł do drzwi, potrząsając głową.

Pozostali ordynatorzy wciąż byli spięci. Kilku z nich rozmawiało cicho, odchodząc od stołu. Hurst wyszedł z sali, nie patrząc na mnie. W głosie w telefonie nie rozpoznałem złośliwej nutki. Ale przecież Hurst nie mógł mnie próbować zrobić w morderstwo. On tylko chciał, żebym zrezygnował z pracy. Z pewnością chętnie przyjąłby rezygnację wszystkich na moim oddziale. Gdyby tacy kłopotliwi pracownicy jak ja odeszli, poradziłby sobie z młodymi lekarzami i na pewno zaproponowałby im powrót do szpitala. Obsadziłby oddział nagłych wypadków nowymi nabytkami. Oni by mu się nie sprzeciwiali. Niestety, nawet on musi wiedzieć, że ten oddział nie przetrwa bez doświadczonych lekarzy. Musiałby się gęsto tłumaczyć, bo siostrzane szpitale przejęłyby najlepszych, odchodzących stąd pracowników.

Po drodze na oddział zatrzymałem się przy automacie i nacisnąłem ogromną liczbę guziczków, by dostać gorącą czekoladę. Nie miałem pojęcia, dlaczego Kingsly zginął. Nigdy nie mogłem się też zorientować, co knuje Hurst, zanim zostałem postawiony przed faktami i musiałem się wszystkim zająć.

Automat zagulgotał i zrealizował moje zamówienie. Próbując nie wylać gorącego, brązowego płynu, skręciłem w stronę mojego oddziału i zobaczyłem członków rodziny Cummingsów, nadchodzących w moją stronę. Ich udręka się skończyła. Brat podtrzymywał bratową. Kurczowo ścisnęła jedną z tych plastikowych toreb, w których wydawano rzeczy zmarłego. Z boku dreptały dwie małe dziewczynki.

96

Zamarłem. Miałem ochotę uciec, ale oni szli prosto w moją stronę.

Pani Cummings chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Zaszło mi w ustach. Ona przełknęła ślinę i sięgnęła po moją dłoń.

Drgnąłem i o mało nie cofnąłem ręki. Wiedziałem, co teraz nastąpi.

— Dziękuję — wyszeptała. — Wiem, że pan zrobił wszystko, co się dało.

Mała dziewczynka obserwowała mnie zza spódnicy matki. Wbrew sobie pomyślałem o tym, jak ciepłe, bezpieczne ręce ojca trzymały najpierw pierwszą, potem drugą z nich, kiedy były maleńkie. Teraz ręce Cummingsa były zimne i leżały na stole do

autopsji, gdzie go umieściliśmy. W jego karcie będzie pewnie napisane, że obserwowaliśmy skoki ciśnienia pacjenta, czekając na łóżko dla niego. Wiedzieliśmy przecież, że przy streptokinazie istnieje ogromne ryzyko wstrząsu. Tego dnia jednak nie mieliśmy czasu sprawdzać ciśnienia, a dwie małe dziewczynki straciły ojca. Wszystko to w szpitalu, gdzie powinni się nim zająć fachowcy. Tak właśnie by się stało, gdyby Hurst nie ograniczył liczby łóżek.

Pani Cummings wciąż trzymała mnie za rękę. Delikatnie cofnąłem dłoń, mrużąc słowa pocieszenia, a potem, z trudem muszę przyznać, uciekłem.

Nie miałem teraz siły wracać do pacjentów, więc poszedłem do gabinetu. Carole zaczęła układać plik najważniejszych dokumentów do załatwienia, protokołów, wyników badań i pisemnych rekomendacji, czyli pobożnych intencji na papierze. Wpisywała je do komputera. Ta biurokratyczna zmiana spowodowała tylko, że mieliśmy na półkach więcej wydruków, niż kiedykolwiek widziałem w całym swoim życiu. Na jej biurku było ich pełno. Carole wyszła, pewnie po to, żeby przygotować ich kopie. Cieszyłem się, że zostałem przez chwilę sam.

Rozparłem się na krześle i pomyślałem o rządkach cyferek i zakodowanych wynikach skuteczności działania lekarzy, które zamknąłem w szufladzie biurka. Na pewno znajdę wśród nich kilka takich katastrof, jak w rodzinie Cummingsów. Część Przypadków będzie się kończyła całkowitym wyleczeniem.

97

W większości jednak nasza praca polegała na ratowaniu człowieka, ustabilizowaniu jego funkcji życiowych i daniu mu odrobiny czasu na to, by mógł wyzdrowieć.

Trafiłem na nazwisko Cummingsa na liście zgonów. W jego papierach znajdzie się pewnie wyrażenie „nieoczekiwana”, a po wynikach autopsji nawet „nieunikniona śmierć”. Zanotują też opóźnienie w uzyskaniu dla niego łóżka na oddziale kardiologicznym i powtórzy się notatka o niezbędnym monitorowaniu ciśnienia krwi u pacjenta leczonego streptokinazą. Potem pamięć o tym zaginie aż do czasu, kiedy następane życie zgaśnie w wyniku cięć budżetowych. W pewnym sensie te cięcia były w tym samym stopniu morderstwem, co wbicie igły w serce Kingsly'ego. W wydrukach komputerowych widniały nazwiska wszystkich duchów... z wyjątkiem jednego.

Wojna papierkowa, cięcia na papierze. O jedenastej przyszło polecenie służbowe, zakazujące jakichkolwiek absencji w pracy.

Hurst! Ten sukinsyn wmieszał do naszego konfliktu prawników. A ja, głupi, jak zwykle dałem się zaskoczyć. Wy tłumaczenie tego ludziom zajmie mi kilka godzin.

Poza tym my też będziemy potrzebowali prawnika.

Posłaniec, nieduży człowiek w obszernym płaszczu przeciwdeszczowym, uśmiechnął się kpiąco.

— Nie spodziewał się pan tego, co?

Zaskoczył mnie kompletnie. On naprawdę lubił swoją pracę. Trzymałem w ręku otwarty list z biura prawnego, pismo, które ten facet wręczył mi jak egipski papirus. Dopiero teraz zrozumiałem, o co chodzi.

Wybiegłem na korytarz, wrzeszcząc:

— Hej, ty.

Pielęgniarki i pacjenci spojrzeli na mnie, jakbym wymagał przyjęcia na oddział psychiatryczny. Było już za późno. Mały człowieczek z ramionami jak Joan Crawford zniknął w oddali. Popovitch i Jones, z takimi samymi papierami w ręku, wyglądali tak, jakby mieli za chwilę dostać ataku serca.

Prawo powinno zabraniać dostarczania lekarzom pism urzędowych podczas dyżuru na oddziale nagłych wypadków, zwła-

98

szcza podczas takiego piekła. Instykt i doświadczenie sprawiają, że zawsze wiemy, co robić. Kiedy ktoś to podważy, zagości w nas zwątpienie, zaczniemy się zastanawiać, nasze działanie może się skończyć czyjąś śmiercią. Nic tak nie wytrąca lekarza z równowagi jak dostarczenie mu pisma od prawnika.

— Słuchajcie — powiedziałem do Popovitcha i Jones — nie przejmujcie się. To tylko polityka. Chodzi wyłącznie o to, byśmy wycofali się z naszego ultimatum w sprawie łóżek. Wy się zajmijcie pacjentami, a ja sobie z tym głównym poradzę.

Spojrzałem na ich twarze i poczułem się jak idiota.

— Wiem, wiem! Znów was w coś wpakowałem.

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, wyjąłem z ich rąk wezwania.

— Popovitch, zacznij się odchudzać albo podziel się jedzeniem z Jones, bo wyglądacie jak Flip i Flap. — Ich pomrukiwania słyszałem w drodze do swego gabinetu.

Teraz siedziałem w bagnie po uszy.

Ostatnio miałem powtarzający się sen. Bez skutku próbowałem intubować pacjenta wśród okrwawionych pajęczyn żył i nerwów oraz zmiażdżonej tchawicy, podczas gdy chór, jak w greckim teatrze, komentował głośno: „Nie masz pojęcia, co robisz!”.

Jeśli chodziło o kruczki prawne, to rzeczywiście nie miałem o nich zielonego pojęcia. Wystąpienie przeciwko ograniczeniu liczby łóżek było słuszne, ale jedyne, co mi się udało osiągnąć, to sprowokowanie Hursta do wkroczenia na drogę prawną. Wezwania z biura prawnego mogły mieć wpływ na morale i koncentrację na oddziale równie duży jak śledztwo w sprawie morderstwa Kingsly'ego. Niech go szlag!

Zastanawiałem się, co ryzykowaliśmy. Kary pieniężne, nagany, a nawet ograniczenie wolności. Żaden z lekarzy na to nie pójdzie. Nawet gdyby zagrozili odejściem w sposób legalny, zajmie to dziewięćdziesiąt dni od wpłynięcia pisma. Wzdrygnąłem się na myśl, ile osób może umrzeć podczas tych dziewięćdziesięciu dni. Ile zgonów jest potrzebnych, by Hurst się wycofał?

Instynktownie pomyślałem, co nie zdarzało mi się już od

99

dawna, że powinienem zadzwonić po pomoc. Tak radziliśmy lekarzom odbywającym staż specjalizacyjny. Trzeba sobie radzić tak długo, jak długo jest to możliwe, a potem wzywać pomocy. Później przychodzi nam to coraz trudniej. Kiedy zostaje się lekarzem szpitalnym, ciężko przyznać się do niewiedzy. Widziałem czasem, jak doświadczony lekarz praktycznie zabija pacjenta, dlatego że nie potrafi poprosić o pomoc. Nauczyłem się przez to obawiać zbytnej pewności siebie. Gotów byłem odważnie się przyznać, kiedy coś mi nie wychodziło.

Teraz tak właśnie było.

Jeśli pozostał mi jeszcze jakiś czas, musiałem ostrzec innych lekarzy, którzy do tej pory nie otrzymali wezwania. Wyobraziłem sobie całą armię facetów w płaszczach, o ramionach jak Joan Crawford, biegających po mieście w poszukiwaniu moich kolegów.

Za oknem syreny ostrzegły mnie o zbliżającym się południu i porze powrotu karettek. Spojrzałem na zegarek. Była jedenasta piętnaście. Żałowałem, że Carole jeszcze nie wróciła.

Zadzwonił telefon. Nie podniosłem słuchawki i włączyła się automatyczna sekretarka.

— Carole, tu biuro doktora Hursta. Powiedz, proszę, doktorowi Garnetowi, że detektyw Riley musi się z nim jak najszybciej zobaczyć.

Tak więc nie będę szukał odpowiedniego czasu na spotkanie.

Obróciłem się kilkakrotnie dookoła własnej osi i zastanawiałem, co najpierw zrobić. Znów zadzwonił telefon, ale to był mój prywatny numer. Tylko jedna osoba go znała.

Podniosłem słuchawkę.

— Cześć.

— Zawsze jesteś pewien, że to ja, prawda? — mówiła spokojnym głosem Janet.

— Cieszę się, że telefonujesz.

— Kiepski dzień?

— Jest jedenasta siedemnaście, a ciągle tkwię w punkcie wyjścia.

— No cóż, wtedy właśnie wkraczam ja i pocieszam cię w stylu, do którego już się przyzwyczyłeś.

100

— Hej, jestem w końcu ojcem twego dziecka.

— Na pewno zrobisz z niego obdartusa, jakim sam byłeś, póki ja się nie pojawiłam i nie zrobiłam z ciebie porządnego człowieka.

— Tak, zrobiłem się taki porządny, że dostałem to stanowisko i wszystkie z nim związane kłopoty.

— Najczęściej to ja miewam kłopoty.

— Kocham cię.

— Takie gadanie wpędziło mnie w kłopoty.

— Sądziłem, że to ty mnie uwiodłaś.

•— No cóż, twoja cnota pozostanie dziś nienaruszona. Muszę spać w szpitalu. Dwie kobiety rodzą. Będę przy nich do świtu, więc od razu zamienię dyżur z jednym z lekarzy. Odwdzięczy mi się, kiedy już będę miała drugiego faceta i postanowię spędzić z nim noc.

— Janet!

— Och, nie mówiłam ci? Dziś rano miałam USG. Widziałam małego siusiaka u naszego dziecka. Zupełnie jak ten u ojca. Przez niego właśnie mam teraz kłopoty. Cześć.

Carole, wchodząc do gabinetu, ani trochę nie mogła zrozumieć, dlaczego się tak głupkowato uśmiecham. Wciąż trzymałem w dłoni słuchawkę.

Humor nie zmienił mi się nawet wtedy, kiedy wyszedłem na spotkanie z Rileyem i Bufortem, by zmierzyć się z próbą oskarżenia mnie o morderstwo. Uśmiechałem się jeszcze, kiedy Sylvia Green pomachała mi wezwaniem z biura prawnego i sceptycznie wysłuchiwała mojego pocieszania. Dobrego nastroju nie popsuły mi dwie karetki, które przyjechały dwadzieścia minut przed terminem, i piekło na oddziale chwilę potem.

Spodziewałem się syna.

Rozdział 7

— Doktorze Garnet, przypomnijmy pańskie zeznanie dotyczące nocy, podczas której zamordowano Kingsly'ego. Powiedział pan, że widział ofiarę żywą, ale w stanie upojenia alkoholowego, kiedy wracał pan z oddziału intensywnej terapii. O której to było godzinie? — zapytał Riley, nie okazując już zmieszania, zauważalnego wcześniej. Znajdowaliśmy się w niewielkiej salce wykładowej. Riley siedział na wprost mnie, a Bufort podpierał ścianę naprzeciwko.

— Jak już mówiłem, to było około siódmej.

— Czy bywa pan tu zwykle o tak późnej porze?

— Byłem na dyżurze. Kończy się o północy.

— Więc co pan robił w szpitalu o pierwszej?

— Przekazywanie pacjentów trochę trwa, zwłaszcza że mamy duży ruch.

— A tej nocy tak było?

— Niespecjalnie, ale mój zmiennik się spóźnił.

— Kto nim był?

— Doktor Kradic.

I tak dalej, i tak dalej. Riley zapisywał wszystko skrzątnie, jakby wcześniej mnie nie przesłuchiwał. Bufort czaił się w kącie, niczym pajak, i obserwował młodszego kolegę, snującego pajęczynę, w którą miałem się złapać.

— A co robił Kingsly?

— Szedł korytarzem na drugim piętrze. To w bloku głównym, tuż nad pomieszczeniami administracji.

— Więc wyszedł ze swego biura? — Prawdopodobnie.

— Czy często bywał tu o tak późnej porze, do tego w niedzielę?

Powinni już to wiedzieć.

— Niestety tak. Miał problem alkoholowy. Ostatnio nawet mu się pogorszyło. Wszyscy już wiedzieli, że zostawał w biurze do późna. Miał na pewno u siebie kilka butelek. Podejrzywałem, że w niedzielę pił w domu albo był gdzieś na przyjęciu, zanim przyszedł do szpitala.

— Czy sprawiał komuś kłopoty, kiedy był pijany? Mimo że niedawno Bufort ostrzegł mnie, że powinienem

być szczery, postanowiłem zbagatelizować problem. Nie chciałem, żeby jego ludzie ścigali wszystkie kobiety, o których mówiło się, że Kingsly chciał je przelecieć.

— Był raczej niegroźny. Słyszałem, że kilka razy dobierał się do jakiejś spódniczki, która mu się akurat nawinęła, ale to nic poważnego. Poza tym sekcja wykazała, że nie zginął od ciosu zrozpaczonej kobiety, broniącej swej cnoty.

— Co pan zrobił, żeby mu pomóc? — zapytał nagle Bufort. Podskoczyłem na dźwięk jego głosu, bo niespodziewanie

podszedł bardzo blisko mnie.

— Zawiadomiłem ochroniarzy. Zwykle odwozili go do domu.

— Wiem! Tylko że oni go nie znaleźli. Pytam, co wy, lekarze, zrobiliście, żeby mu pomóc? Był alkoholikiem. Kto go leczył?

Zatkało mnie. Spodziewałem się pytań dotyczących morderstwa, którego nie popełniłem, a nie rugania mnie za obojętność na problemy Kingsly'ego.

— Nie wiem — odparłem słabym głosem.

— Jak to się stało, że pozwolono, by ewidentny alkoholik pozostał bez pomocy medycznej i dalej pracował? — rzucił oskarżycielskim tonem.

— Powiedziałem już panu, że nie wiem. Jeśli mam być szczery, czuję się winny z tego powodu, ale chyba byłem zbyt

zajęty własnymi problemami na oddziale — mówiłem i jednocześnie słyszałem swoje słowa tak, jakby dochodziły z daleka. Prawda sprawiła, że poczułem się nieswojo.

— Doktorze, gdybyśmy w policji mieli pracownika w takim stanie, zostałby przeniesiony na urlop i leczony. Każdy przyzwoity zakład pracy dawno by zwolnił kogoś takiego, ale wy tolerowaliście to, że spieprzał swoją robotę. Z tego, co wiem, był zupełnie niekompetentny. Otaczało go mnóstwo ludzi i nikt nie próbował mu nawet pomóc.

Jego oburzenie podziałało na mnie. Nagle poczułem się w obowiązku wyjaśnić, dlaczego tak haniebnie się zachowaliśmy. Nie szukałem wymówek, lecz chciałem to wyjaśnić.

— Wiem, że to niewybaczalne — z trudem powstrzymałem głos od drżenia — ale chyba wszyscy tutaj myśleli tak jak ja. Miał rodzinę. Gdybym się nad tym choć chwilę zastanawiał, pomyślałbym pewnie, że jego żona lub ktoś z rodziny powinien się tym zająć. Zrobił straszny bałagan w budzecie szpitala i bardzo nam wszystkim zaszkodził, więc nie traktowałem go nigdy jak osoby potrzebującej wsparcia, a raczej jak przeciwnika.

— Nie pomyślał pan nigdy, żeby pójść do jego biura i namówić go na leczenie? Nie pomyślał pan o tym, by porozmawiać na ten temat z kolegami?

Miałem mętlik w głowie.

— Nie — powiedziałem tylko, ale to pytanie wzbudziło we mnie wyrzuty sumienia.

— Był przecież jednym z was, doktorze. Dlaczego mu nie pomogliście? — zapytał znów.

Usiadłem. Milczałem zaskoczony własnym poczuciem winy i żalem. Kiedy poczułem złość, Bufort zaczął odrzucać moje tłumaczenia jedno po drugim, jakby obierał cebulę. Zachowywał się jak doświadczony psychoterapeuta.

— Czy zechce pan odpowiedzieć na to pytanie, doktorze?

— Mówiłem już, że nie jestem dumny z tego, co zrobiłem... a właściwie czego nie zrobiłem. — Czuję się, jakby ten gliniarz obdzierał mnie ze skóry.

Teraz stał już przede mną. Pochylił się nad moim lewym uchem i powiedział:

104

— Chodzi panu o to, że nie miał pan czasu w swoim ściśle wypełnionym grafiku

zająć dla jakiegoś pijaka.

— Posunął się pan za daleko! — odparłem ostro. Wyprostował się z kpiącą miną, udając zaskoczenie.

— Czyżby? A może, skoro nie mogliście się go pozbyć, woleliście, żeby szwendał się pijany po korytarzach i nie miał na nic wpływu?

W końcu straciłem panowanie nad sobą.

— Tego już naprawdę za wiele! — Instynktownie zwróciłem się do Riley'a o pomoc i zauważyłem, że mięśnie na jego szczękach się napinają.

Młodszy detektyw odchrząknął.

— Posłuchaj, może powinniśmy wrócić do zdarzeń tamtej nocy.

Zapadła cisza zimna jak lód.

— Ja kieruję tym śledztwem, Riley — oświadczył i zaczął się przechadzać wokół mnie, bym musiał odwracać głowę, obserwując go.

Siedzący naprzeciw mnie Riley znów zacisnął zęby. Wstał i podszedł do biurka na środku pokoju. Usiadł i pochylił się nad blatem, po czym zaczął się bawić kawałkiem kredy, znalezionym przy stojącej obok tablicy.

Bufort stanął przede mną, abym lepiej go widział.

— Powiem, o co mi chodzi, doktorze — zaczął. — Zdaje mi się, że wszyscy w tym szpitalu przyjęli postawę obojętności i w ten sposób alkoholizm Kingsly'ego został zaakceptowany jak coś oczywistego. — Brzmiało to tak, jakby czytał z książki. — Taka postawa uwolniła was od myśli, że należałoby się nim zająć.

Na jego twarzy pojawił się wyraz oczekiwania, więc pomyślałem, że powinienem coś powiedzieć.

— Tak, rozumiem, o co panu chodzi.

Przyznanie się do winy nie zakończyło jednak moich cierpień. Zesztywniałem, kiedy się nade mną pochylił.

— Kto na tym zyskał? Komu mogła odpowiadać ciągła nieobecność szefa do spraw administracyjnych? Komu na tym zależało?

Przyszło mi do głowy tylko jedno nazwisko. Nadarzyła się

doskonała okazja, by powiedzieć Bufortowi o moich podejrzeniach w stosunku do Hursta i o tajemniczym telefonie. Mogłem nawet pod to podciągnąć historyjkę o napaści dobermanów i pozwolić, by detektyw sklecił z tego, co zechce. Ale choć kusilo mnie, by wydać Hursta na podobne moim tortury, milczałem. Zniechęciła mnie myśl, że postąpiłbym równie podle jak on. To nie był altruizm. Nie mogłem pogodzić się z tym, że miałbym w czymkolwiek przypominać Hursta. Jeśli nawet coś kombinował, nie miałem żadnego dowodu. Dopóki go nie miałem, nie mogłem pozwolić, by Bufort znów występował wobec mnie lub personelu mojego oddziału z takimi tanimi sztuczkami i oskarżeniami.

— Nie wiem! — odparłem, obawiając się tego, co może zrobić Hurst, kiedy będzie naprawdę zdesperowany.

Dalsza część śledztwa była już zupełnie normalna. Bufort zapytał mnie, czy wiem, kto miałby powód do zamordowania Kingsly'ego. Powiedziałem, że nie. Potem chciał wiedzieć, czy mógł się tu dostać ktoś z zewnątrz. Odparłem, że na pewno tak. Czasem bezdomni chowali się w piwnicach i poczekalniach po godzinach przyjęć, bo tam im było ciepło. Nie przywiązywaliśmy szczególnej wagi do ochrony budynku. Zwłaszcza mój oddział był otwarty i panował na nim wieczny chaos. Pomyślałem, że odbiega od tematu, bo sam przecież podejrzewał, że zabójca to lekarz, ale doszedłem do wniosku, że musi rozważyć wszystkie możliwości.

Na koniec zażądał listy lekarzy, których tej nocy widziałem w szpitalu, zwłaszcza około siódmej. Pewnie był to przybliżony czas zgonu, który podał mu Watts. Powiedziałem, że byli tam wtedy tylko lekarze stażyści na dyżurach. O nich nie pytał mnie wcale, a tego się obawiałem.

Ani razu nie zapytał mnie, czy to nie ja zabiłem Kingsly'ego. Nawet nie sugerował tego w żaden sposób. Wyglądało na to, że chciał mnie tylko przekonać, iż główniany ze mnie lekarz... i człowiek. Pozbawił mnie szansy zaprzeczenia oskarżeniu o morderstwo. Może sądził, że się tego spodziewam, i naumyślnie to pomijał, czekając, jak zareaguję. Może to miało mnie wyprowadzić z równowagi.

Riley również nie pomagał mi się zorientować, na ile poważ-

106

ne były podejrzenia policji co do mojej osoby. Po reprimendzie Od Buforta zamilkł i dalej zaciskał zęby.

Podczas poszukiwań w szpitalu nie znaleźli pomieszczenia, w którym przeprowadzono niezaplanowane mycie sufitu i ścian, ale sprzątacznik przyznał, że kiedy przyszedł do pracy w niedzielę o północy, znalazł mokrego mopa, jakby ktoś

dopiero co go używał. Był zamknięty w jego szafce w piwnicy. Sprawdzali, czy nie ma na nim śladów krwi i tkanek, które mogły wyciec z ciała Kingsly'ego, kiedy umierał.

Za oknem naszego oddziału połyskiwało przytłumione światło. Jeszcze czułem się podle, po tym jak Bufort przyparł mnie do muru. W żaden sposób nie mogłem wytłumaczyć obojętności lekarzy na alkoholizm Kingsly'ego. Jeśli Bufort miał rację, to Hurst umyślnie pozwalał pozostać tu Kingsly'emu i nie namawiał go do leczenia alkoholizmu, by samodzielnie rządzić szpitalem. Fakt, że nasz szef do spraw medycznych był tak cyniczny, w ogóle mnie nie zdziwił.

Seana Carringtona znalazłem ze stażystami przy urządzeniu do oglądania zdjęć rentgenowskich. Pokazywał im na podświetlonym ekranie dziwne i pogruchotane kości, które wywoływały pomruki zebranych. Zatrzymałem się i patrzyłem, ale kiedy mnie zauważył, uśmiechnął się.

— Uciekaj stąd, Earl, to prywatny pokaz. Sio! — rzucił dowcipnie.

Wiedziałem, co kombinował.

Słyszałem niedawno, że kupił konie wyścigowe, by skorzystać z odpisu podatkowego, i jego klacz okulała po pierwszym biegu. Sean chciał ją natychmiast zastrzelić, ale zarządzający wyścigami powiedzieli, że nie można tego zrobić. Będzie musiał zapłacić weterynarzowi 1800 dolarów plus koszty pobytu konia w lecznicy i za operację z wżernikowaniem stawu. Sean sprawdził opłatę za [C samą operację u człowieka. Wynosiła 1200 dolarów. Dostrzegł właśnie ortopedę, który miał nieszczęście przechodzić obok.

— Marty — zawołał — chodź tu i zobacz to kolano. Marty zmrużył oczy, spoglądając na zdjęcia, a po kilku

sekundach wydał opinię.

107

— To nie jest ludzkie kolano.

^ |

— A umiałbyś je zoperować?

-Ml

— Czy to jeden z twoich koni?

#|

— Zgadza się, i co? Zoperujesz tę klacz?

^

— Jestem tańszy od weterynarza, tak? — odwrócił się, żeby odejść.

— Nie, nie. Tu chodzi o twoje umiejętności. Tak kocham to zwierzę, że nie powierzyłbym go nikomu prócz ciebie. Marty się roześmiał.

— A kto będzie ją usypiał? Ty?

W oczach Seana pojawił się demoniczny błysk.

— Uśpić ją! Jasne! Nikt się nie zorientuje. — Spojrzał na jednego ze zdziwionych stażystów. — Ej, ty, chcesz zarobić pięćdziesiąt dolarów? Daj mi godzinę. Zostań tu. Nie powiemy, że jesteś weterynarzem, ale nie powiemy też, że nim nie jesteś. Będzie po wszystkim, zanim każą ci cokolwiek zrobić. Weź stetoskop i dobrze się prezentuj, a ja przyniosę strzykawkę z pentobarbitolem...

Nie usłyszałem więcej, bo objął stażystę ramieniem, odprowadził go na stronę, gdzie najwyraźniej miał zamiar przedstawić mu swój plan.

To dziwne, ale jego błazeńskie pomysły były dla mnie mniej denerwujące niż pompatyczne zachowanie naszych mniej kompetentnych, ale za to nienagannie zachowujących się lekarzy. Dzisiejsze przesłuchanie sprawiło, że nic mnie nie bawiło. On również nie był na tyle dobrym lekarzem, żeby pomóc Kings-ly'emu... a haniebne traktowanie konia rozdrażniło mnie.

Ciche pukanie długich paznokci Carole o klawiaturę komputera mieszało się ze stukaniem kropli deszczu w okno mego gabinetu. Tutaj także niewiele światła wpadało przez szyby. Na oknie po zewnętrznej stronie tworzyły się błotniste wzory.

Kiedy oboje z Carole siedzieliśmy przy biurkach, w moim gabinecie robiło się ciasno. To zdarzało się jednak tak rzadko, że nigdy nam nie przeszkadzało. Zwykle zostawialiśmy otwarte drzwi, żeby rozmawiać bez wstawania i chodzenia.

Jak tylko wszedłem, Carole dała mi kartkę. Przyszedł jeden

108

i lekarzy, żeby sprawdzić wyniki raportu. Powiedziała, że gdy weszła do pokoju, Kradic i Green myszkowali przy moim biurku i byli zaskoczeni jej pojawieniem się równie mocno, jak dziś rano doktor Jones na mój widok. Najwyraźniej Valerie powiedziała wszystkim o raporcie i dopóki nie przejrzę wyników, wszyscy lekarze będą na nie nerwowo czekać. Dobrze, że zamknąłem wydruki w biurku.

Na razie musiałem sobie poradzić z wezwaniem z biura prawnego. Udało mi się połączyć z prawnikiem zajmującym się błędami w sztuce lekarskiej, z Albany. Firma ubezpieczeniowa specjalizowała się w obronie lekarzy przed tego rodzaju oskarżeniami. Po krótkiej wymianie meteorologicznych narzekań prawnik wysłuchał

krótkiego przedstawienia naszych kłopotów i wstępnego planu działania. Powiedział, że oddzwoni do mnie jutro, żeby zaprezentować mi fachową opinię.

Kiedy zakończyłem rozmowę, zacząłem się wsłuchiwać w szum deszczu i zamyśliłem się. Prawnik mógł przygotowywać się do sprawy nawet kilka dni. Lekarz musiał poradzić sobie ze wszystkim w przeciągu kilku sekund,

Carole przestała pisać, weszła do mojego pokoju i podała pocztę. Większość stanowiły reklamy sprzętu, na który nie mogliśmy sobie pozwolić, a w jednym z listów oferowano mi ciekawą pracę w Newark. Wiedziałem, że Carole przejrzała już tę korespondencję. Stała, pocierając dłonie, i zrozumiałem, że chciała pogadać. Zawsze kiedy znalazła się w niezręcznej sytuacji lub nie wiedziała, jak ma mi coś przekazać, pocierała dłonią o dłoń.

— No, Carole, mów, o co chodzi. Uśmiechnęła się.

— Za dobrze mnie znasz. — Wzięła głęboki oddech. — Wiem, że masz teraz sporo na głowie, ale słyszałam plotki, o których chyba powinieneś wiedzieć. — Zawahała się i spojrzała na dłonie, które znów zaczęła o siebie pocierać. — Doktor Jones sypia z jednym ze stażystów — obwieściła najwyraźniej zdenerwowana.

— O Boże! — jęknąłem. Tylko tego teraz było mi trzeba, zwłaszcza od Jones.

Stażyci byli dla lekarzy specjalistów zakazanym owocem. Mężczyźni zrozumieli to już dziesięć lat temu, lecz w ciągu

109

kilku ostatnich lat przynajmniej trzy lekarki na naszym oddziale miały romans ze studentami. Za każdym razem, kiedy z którąś o tym rozmawiałem, twierdziły, że to nie moja sprawa. Dziwiły się wręcz, że uważałem takie postępowanie za niewłaściwe.

— To sprawa całego oddziału — wyjaśniałem. — Jeśli się rozstaniecie i będziecie mieli do siebie nawzajem o coś żal, to zepsuje atmosferę w pracy. Jeśli zaś chodzi o ocenę końcową stażysty, to zarówno dobra, jak i zła będzie budziła wątpliwości. Często ci, którzy nie zaliczą stażu, ciągną nas potem do sądu, jeżeli nie zgadzają się z tym, co usłyszeli. Nie wolno im dawać dodatkowych powodów do oskarżeń o wykorzystywanie seksualne. — Te trzy kobiety rozumiały, co miałem na myśli, i postąpiły rozsądnie, ale po Jones się tego nie spodziewałem.

— Z kim ona sypia? — zapytałem, czując się bardziej zmęczony niż po rozmowie z Buf ortem.

— Z Toddem — odparła Carole. Wyglądała, jakby jej ulżyło, i wróciła do siebie, żeby zająć się swoją pracą. Nigdy nie ujawniała mi źródeł takich informacji, a ja nie pytałem.

Cholera! Zdaje się, że ten facet złota rączka miał wprawę nie tylko we wkłuwaniu się w żyłę główną... Ale przynajmniej był dobrym lekarzem. Specjaliści mają o nim dobre zdanie, więc kiedy zakończy staż i otrzyma od nas końcową ocenę, nie będziemy musieli się bronić przed oskarżeniami o stroniczość. Ale i tak muszę porozmawiać z Jones. Obawiałem się tego.

Wyładowałem całą złość na reklamach z poczty. Każdą z nich zmiąłem w kulkę i wrzuciłem do kosza. Kiedy wziąłem do ręki list z propozycją pracy, zawołałem do Carole:

— Jeśli kiedyś nadejdzie pismo z propozycją pracy na Hawajach, pokaż je tylko mi.

— I wymienileś jakieś nazwiska? — zapytał Sean. Wpadł do mnie po sesji z Bufortem.

— Oczywiście. Jedno spojrzenie na bambusowy kij i wyśpiewałem mu twoje nazwisko. Powiedziałem, że masz zamiar zamordować konia.

— Coś takiego. Podobno jesteś ciągle jego głównym podejrzanym.

110

Mruknałem.

— Czy on naprawdę ma zamiar sprawdzać każdego lekarza z twojego oddziału? — zapytał Sean.

— Na to wygląda — westchnąłem. — Au ciebie? Ilu lekarzy na chirurgii regularnie wkłują się do serca?

— Tylko czterech. To chirurdzy sercowi. Tak naprawdę niezbyt często wprowadzają igły dosercowe, ale na co dzień robią znacznie bardziej skomplikowane operacje na otwartym sercu. Igła dosercowa to dla nich pryszcz.

— A co z resztą?

— Wszyscy się tego uczyliśmy podczas stażu, lecz nie praktykowaliśmy przez lata, więc niewielu potrafiłoby uzyskać tak doskonały efekt, o jakim mówił Bufort. Przynajmniej nie ci młodszy.

— O co ci chodzi?

— Wiesz, to mi coś przywiodło na myśl. Do lat siedemdziesiątych, jeśli u pacjenta dochodziło do zatrzymania akcji serca na stole operacyjnym, chirurg musiał wykonać zastrzyk dosercowy. Nie zdarzało się to często, ale przez te wszystkie lata chirurg z naszego pokolenia nabrałby na pewno niezłej wprawy.

Wiedziałem, do czego zmierza.

— Sean, chyba nie...?

— Oczywiście, że tak. Dobry doktor Hurst też już jest na liście Buforta.

— Jezu Chryste!

— Co? Sądzisz, że nie powinienem mówić Bufortowi, że Hurst potrafiłby w ten sposób zabić Kingsly'ego?

— Ale nie po to, żeby się na nim zemścić, Sean.

!— A skąd masz pewność, że to nie on jest mordercą? — zapytał zaciekawiony. — Wiesz, jak lubi wszystko tuszować. Może Kingsly miał zamiar nabruździć? A co powiesz na te nagłe oszczędności, którymi zwałił nas z nóg, i to w kilka godzin po śmierci Kingsly'ego? Skala i pośpiech, z jakim je wprowadził, nie mają sensu. Ja ci mówię, Earl, Bufort powinien mu się dobrze przyjrzeć!

Sean zakończył dyskusję, wychodząc z mego gabinetu.

Pozostawił mnie zaskoczonego tą rewelacją.

111

Nie lubiłem Hursta i nie ufałem mu. Czasem zachowywał się bezwzględnie, a czasem dziwnie, a nawet strasznie. Mimo to nigdy nie myślałem o nim jak o zabójcy. Nigdy też nie wątpiłem, że jego pierwsza reakcja na widok ciała Kingsly'ego była prawdziwa. Ale czy na pewno? Teraz zastanawiałem się nad inną możliwością. Może byłem świadkiem popisu aktorskiego, który miał odsunąć od niego podejrzenie? A jeśli to prawda, próby wrobienia mnie w to morderstwo będą się powtarzały. To nie żarty.

Zacząłem się pocić. Narastający strach podsunął mi jeszcze jedną myśl. Psy. „To było ostrzeżenie!”. Może szepczący rozmówca był wtedy na polu golfowym? Hurst? Może ktoś przez niego wynajęty? Nie! To nie miało sensu. Nawet gdyby Hurst zabił Kingsly'ego, nie ryzykowałby wrobienia mnie w morderstwo, jednocześnie próbując zabić z pomocą dobermanów. Musiałem opanować paniczny strach i pomyśleć logicznie. Poza tym jeszcze coś tu nie grało. Gdyby Hurst był zabójcą i anonimowym rozmówcą, nie mówiłby: „Wiem, że to ty!”, ani nie kazałby mi się wycofać.

Nagle wszystko to wydało mi się bez sensu. Próbowałem opanować rosnącą panikę, ale nie opuszczały mnie słowa Seana i wspomnienie Hursta oraz Buforta, nachylającego się nade mną i groźnie ostrzegającego, że powinienem mówić prawdę, bo inaczej wpakuję się w kłopoty, z których nigdy się nie wygrzebię.

Niech ich obu szlag! Nie mogę pozwolić się tak straszyć! Musiałem uwolnić się od tych dziwacznych spekulacji. Tylko jedno przyszło mi do głowy.

Poszedłem na oddział, gdzie przez godzinę zajmowałem się pacjentami. Rutyna działała na mnie uspokajająco, zastosowałem więc terapię wobec chorych i samego siebie.

Szybko spowodowałem, że młody astmatyk zaczął spokojnie oddychać. Zaleciłem inhalację rozszerzającą oskrzela. Chciał iść do domu, ale wyjaśniłem mu, że jednorazowa dawka nie przyniesie rezultatu. Potrzebował dożylnie sterydów, by zmniejszyć stan zapalny w płucach. Gdybyśmy tego nie zrobili, szybko by do nas wrócił.

Inni pacjenci nie wymagali hospitalizacji. Przynajmniej na

112

razie nie byłem zmuszony skazywać nikogo na leżenie w szpitalnym korytarzu.

Potem przywieziono starszą panią, która poprzedniego dnia zwymiotowała czarnym płynem, ale powiedziała o tym córce dopiero dziś po południu. Córka wbiegła na oddział i chodziła nerwowo podczas badań. Matka miała krwotok żołądkowo--jelitowy, lecz była w zadziwiająco dobrym stanie. W innej sytuacji — to znaczy, gdyby ten szpital pracował jak szpital — zaaplikowałbym jej leki i przyjął do nas na oddział gastrologiczny, z zaleceniem monitorowania, póki nie będzie można zrobić dokładnych badań. Ale w tej sytuacji postąpiłem tak jak dziś rano Jones — podałem leki i kazałem wracać do domu pacjentce, która powinna zostać na obserwacji i badaniach.

Próbowałem wyjaśnić to jej córce.

— Jeśli zaczniesz krwawić, szybciej zareagujemy, kiedy przywiezie ją tu karetka. Zadzwońcie na dziewięćset jedenaście i natychmiast chora znajdzie się u nas.

— Chyba pan zwariował! — krzyknęła kobieta. Oczywiście miała rację.

— Niech pani posłucha — powiedziałem, wiedząc, że muszę być z nią szczery — tutaj będzie leżała bez monitora, na końcu korytarza.

— I to ma być szpital?

Rozejrzałem się po rzędach noszy, pośród których starsza pani mogła leżeć przez nikogo niezauważona i zapaść w śpiączkę. Pamiętałem wzrok innej córki.

— Nie, właściwie nie, nie dziś — odparłem.

— Chcę rozmawiać z ordynatorem. |— Ja nim jestem.

Z przerażeniem chwyciła mój identyfikator. |— O mój Boże, to prawda! — Rozejrzała się dookoła i zapytała: — A inne szpitale?

— Niestety możliwości są niewielkie, ale możemy sprawdzić. — Wiedziałem, że to bez sensu, lecz zawsze próbowałem dać ludziom szansę. Według naszych urzędników, zachowując się tak, „podzielamy frustrację rodziny” i „pokazujemy, że jesteśmy po tej samej stronie”. Sposób, w jaki córka żuła gumę

113

i obrzucała mnie spojrzeniem pełnym obrzydzenia, wskazywał jednak na coś innego.

Podeszliśmy do komputera zawierającego rejestr łóżek w całym mieście. Zawsze to samo. Nigdy nigdzie nie ma miejsca, a oddziały nagłych wypadków są zapchane.

Wiedziałem, że połowa placówek podaje niewłaściwe dane. Niektórzy wciskali guzik „stan pogotowia”, by karetki nie przyjeżdżały podczas przerwy na kawę. Ale przeważnie było tak jak u nas: pacjenci wymagający usług odpłatnych leżeli w łóżkach zbyt długo. W całym mieście tworzyli „farmy”, które zarabiały pieniądze dla szpitala. Po reformie opieki zdrowotnej mistrz dyskretnego złodziejstwa Arnold Pinter i jego koledzy będą pozbawieni dochodów, a szpital się wyludni. Niestety, obawiałem się, że nie nastąpi to szybko i jeszcze długo wszystko pozostanie po staremu, a wielu pacjentów otrzyma taką pomoc medyczną jak Cummings.

Wpisałem funkcję poszukiwania wolnych łóżek z monitorowaniem. Komputer wskazał trzy. Dwa były na oddziałach położniczych, a jedno na kardiologii. Żadne z nich nie było odpowiednie.

Wciąż przekonany, że lepiej powiedzieć prawdę, przedstawiłem mój tok rozumowania. Powiedziałem nawet, że to samo zaproponowałbym w tej sytuacji własnej matce, i naprawdę tak myślałem.

Zapisała moje nazwisko, zadzwoniła do swojego prawnika z naszego telefonu, a potem wyszła, zostawiając u nas matkę i grożąc głośno, że niedługo odezwie się do nas jej adwokat.

Rano udało się uniknąć takiej afery.

Kazałem pielęgniarkom położyć starszą panią jak najbliżej ich dyżurki, a potem przeszedłem się po oddziale w poszukiwaniu czegoś do roboty. Korytarze wypełniali nowo przyjęci pacjenci i ich rodziny. Krzyki bólu i wołania o basen czyniły wszystko jeszcze bardziej chaotycznym, ale przynajmniej na razie nie przywożono kolejnych przypadków.

Wróciłem do gabinetu. Carole już wyszła. Zostałem sam ze swoimi myślami i mgłą, kładącą się na oknach jak farba.

Postanowiłem zadzwonić do Żaka i upewnić się, że nie

114

będzie dziś w nocy przysyłał zbyt wielu karetek. Złapałem go, kiedy już wychodził.

— Jasne — zgodził się — ale nieoficjalnie. Nawet ja nie mogę wstrzymać karetek na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

— Dzięki, Zak.

— Więc, kto go zabił? Przeszedł do sedna. Czas na zapłatę.

— Jeszcze nie wiadomo. Policja sądzi, że to któryś z lekarzy posługujących się na co dzień igłą dosercową.

— Coś takiego!

— Zgadza się.

— Ależ to cały twój oddział!

— I ja też.

— Nie żartuj.

— Niestety, nie żartuję. — Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami.

— Rany, Earl, tak mi przykro — odezwał się, kiedy skończyłem. Brzmiało to szczerze.

Podczas rozmowy z nim bezwiednie przerzuciałem raport Jones. Szefem projektu badawczego był Zak.

— A propos, jak wam idą badania? — zapytałem.

— Dość dobrze! — Mimo że zbliżał się koniec dnia, Zak mówił z entuzjazmem. — Nic nadzwyczajnego — zaczął — ale potwierdziliśmy sporo dotychczasowych

odkryć, z niewielkimi ulepszeniami.

— Jones właśnie dała mi raport o siarczanie magnezowym.

— To dobra praca. Szkoda tylko, że torsade de pointes występuje tak rzadko.

Już miałem kończyć i pożegnać się, kiedy odruchowo zapytałem:

— Zak, miałeś z nią kiedyś jakieś kłopoty?

Zdziwił się. Kiedy zajmowała się badaniami, jeżdżąc w karetkach, on był jej szefem.

— Z Jones? — upewniał się.

Poczułem się trochę głupio, ale mówiłem dalej:

— Tak, z Jones. Przez chwilę milczał.

115

— Właściwie jakie kłopoty? — odezwał się w końcu. Więc jednak coś było nie tak.

— Słuchaj, Zak. To poufna sprawa, lecz bardzo by mi pomogło, gdybyś odpowiedział na moje pytanie.

— Chodzi ci o jej pracę? — zapytał ostrożnie.

— O wszystko. Znów milczał.

Czekałem na odpowiedź i nagle pomyślałem, że Zak też z nią sypiał. Przeraziło mnie to i zastanawiałem się, skąd mi to przyszło do głowy, kiedy w końcu usłyszałem odpowiedź.

— Nigdy nie miałem z nią żadnych kłopotów — odparł wolno Zak. — Od kilku lat jest u nas najlepszym specjalistą od resuscytacji. Bez niej byśmy zginęli.

— A jak jej relacje z pracownikami? — ciągnąłem, próbując się pozbyć wrażenia, że jednak był z nią związany.

— Jakie relacje? — prychnął. — Pozostali lekarze jej nie znoszą. Jest niegrzeczna i o wszystko ma pretensje, a kiedy ktoś na nią narzeka, przyjmuje postawę obronną.

Zupełnie jak w szpitalu. To taki Kradic w spódnicy. Więc nie tylko ja miałem takie wrażenie.

— Za to technicy ją uwielbiają — dodał. — Uczy ich wszystkiego i lubią z nią jechać w trasę. Z pacjentami też sobie świetnie radzi. Nie potrafi się tylko dogadać z lekarzami. Na dodatek jej uwagi w raportach o przeżywalności pacjentów są znacznie

lepsze niż ich. Dlaczego właściwie o nią pytasz?

— Mam z nią podobne problemy. Zastanawiałem się, czy to nie jest po prostu moja wina.

— Nie obwiniaj się. Jest świetnym lekarzem i nieznośną primadonną. Na każdym oddziale można takich spotkać. Pacjenci mają szczęście, jeśli na nich trafią, a my, zwykli śmiertelnicy, musimy ich jakoś znosić. Dobranoc, panie ordynatorze. Idę do domu.

— Tylko że ja mam takich dwoje — mruknąłem, kiedy Zak odłożył słuchawkę.

Przejrzałem szybko raport Jones. Tak jak mówiła, mieli dobre wyniki, jeśli chodzi o rzadkie przypadki, a niespójne w przypadkach częstych. Metoda zapobiegania wydawała się logiczna, ale było w tym raporcie coś, czego nie mogłem

116

uchwycić, a co powodowało mój niepokój. Kiedy sprawy wrócą do normy, usiądę nad tym spokojnie i dokładnie się w to wczytam.

Janet była na dyżurze i siedziała w pokoju dla lekarzy. Ja nie miałem już nic do roboty w szpitalu. Jutro w południe czekały mnie wizyty prywatnych pacjentów z mojej poprzedniej praktyki. Zatrzymałem ich dla równowagi, kiedy przyjmowałem pracę na oddziale nagłych wypadków. To było jak schronienie przed burzą.

A jednak w tej chwili potrzebowałam zajęcia. Jeśli się czymś nie zajmę, zacznę znów myśleć o morderstwie Kingsly'ego i ponownie wpadnę w panikę. Otworzyłem szufladę biurka i zacząłem przeglądać ukryte tam wcześniej statystyki. To był doskonały środek na uspokojenie.

Zostawiłem Janet wiadomość na sekretarce. Powiedziałem, gdzie się wybieram. Włożyłem do kieszeni potrzebną mi dyskietkę, wcisnąłem pod pachę wydruki i przeszedłem się po oddziale, żeby sprawdzić wszystko przed wyjściem.

— Na razie w porządku — powiedział pogodnie Popovitch. Spojrzał na wydruki. — Powodzenia przy statystykach. Dostaniesz przepukliny od dźwigania tych papierzyk.

— Trzymaj się — dodała Jones ze słabym uśmiechem. Nie uśmiechnąłem się do niej. Pamiętałem, jak przeglądała

wydruki na moim biurku, ale najbardziej drażnił mnie jej romans z Jamesem Toddem. Dziś nie miałem zamiaru prowadzić z nią dysputy na temat etyki. Kiedy spojrzałem na tę nieustraszoną, wysportowaną kobietę, wyobraziłem sobie, jak wije się w

miłosnych uściskach najpierw z Żakiem, a potem z Toddem. To był tylko ułamek sekundy, ale zdziwiło mnie, że w ogóle mogłem mieć jakiegokolwiek erotyczne skojarzenia, związane z jej osobą. Odwróciłem się zaskoczony i zawstydzony, odrzucając myśli o niej i Jamesie. Życzyłem wszystkim miłego wieczoru i wyszedłem tylnymi drzwiami.

Na parkingu było więcej mgły niż samochodów. Przy wejściu do działu zaopatrzenia, w poświęcie sodowej lampy stała karetka. Przez tylne drzwi dwaj pielęgniarze wynosili nosze z ciałem w foliowym czarnym worku. Pewnie odwozili zwłoki Pacjenta do domu pogrzebowego. Zastanawiałem się, czy to

117

Cummings. Na górze światła szpitala tonęły w szarej mgle. W skrzydle administracyjnym było ciemno, ale w pomieszczeniu pracowników działu finansowego tak jak poprzedniej nocy paliło się światło. Widziałem nawet za szybą postać chodzącą po pokoju. Kiedy tak patrzyłem, zdałem sobie sprawę, że w pobliżu ktoś jest. Odwróciłem się i ujrzałem Gila Fernan-deza, stojącego przy samochodzie i spoglądającego w górę na to samo okno. W płaszczu przeciwdeszczowym nie wyglądał tak ekstrawagancko jak zwykle. To pewnie z powodu poświęty lamp ulicznych, ale widziałem już pacjentów w stanie przed-zawałowym o bardziej zaróżowionych policzkach.

Wskazałem kciukiem na okno.

— Może wspaniały detektyw Bufort poprawi nasz budżet, skoro już w nim grzebie.

Spodziewałem się, że pewny siebie i błyskotliwy ordynator zrozumie dowcip, lecz on zbladł jeszcze bardziej. Wsiadł za kierownicę, trzasnął drzwiami i odjechał pośpiesznie bez słowa.

Stałem, patrząc, jak tylne światła jego auta znikają z parkingu. Do tej pory nie byłem zbyt ciekaw, dlaczego Fernandez wyglądał tak, jakby mu bardzo ulżyło, kiedy dowiedział się o śmierci Kingsly'ego. To było dość dziwne, ale nie chciałem się tym zajmować.

A jednak jeszcze dziwniejszy był strach w jego oczach.

Gil Fernandez był przerażony.

Moje miejsce odosobnienia było domem z bali. Znalazłem go wiele lat temu. Była to wówczas pięćdziesięcioletnia wiejska chata o ładnej architekturze, tuż nad samotnym górskim jeziorem, otoczonym ośmioma akrami lasu. Janet lubiła wszystkim opowiadać, że zabrałem ją tam, zanim jeszcze przedstawiłem rodzicom.

Zmodernizowaliśmy ją trochę, położyliśmy dywany, zamontowaliśmy elektryczne ogrzewanie, wannę wielkości basenu i — prawdziwy luksus — toaletę wewnątrz domu. Potem rozbudowaliśmy budynek i skończyło się na tym, że chata stała się domem ze szkła i bali, długości ponad dwudziestu pięciu metrów, z wielkimi i wysokimi pokojami o ogromnych oknach. Janet zajęła się kuchnią i wtopiła w drewniane pomiesz-

118

czenie pełną kolekcję urządzeń elektrycznych. Kiedy tam jeździliśmy, mawiała o nas: panienska i drwal. To było miejsce odosobnione, służące do wypoczynku i do tego, by naprawdę być razem.

Tu również miałem komputer i faks i przyjeżdżałem, ilekroć potrzebowałem więcej niż godzinę nieprzerwanej pracy.

Pojechałem do domu po Muffy i ruszyłem na południe, w kierunku gór. Przez cały czas próbowałam nie myśleć o bałaganie i horrorze, od którego uciekałem.

Przejechałem przez dzielnicę obskurnych domów, należących do robotników, i budynków po nieudanych inwestycjach. Leżały na końcu miasta i tworzyły miejski śmietnik, gdzie ludzie wyrzucali matkę i ojca na starość. Z obwodnicy widać było rzędy tanich bungalowów, zbudowanych na miejscu upadłych farm z ubiegłego wieku. Dzieci bawiące się tu z dziadkami będą wiedziały, jak należy się zająć rodzicami. Zauważyłem staruszkę wyglądającego przez okno na nagie pola. Być może kiedyś uprawiał na nich zboże. Pewnie tuż za nim stał telewizor, pokazujący obrazki z głodujących krajów, gdzie umierają dzieci.

Umierające z głodu, cierpiące dzieci. Korytarze pełne cierpiących ludzi. Nie mogłem wyrzucić z myśli tych obrazów. Hurst. W swoim pokoju w szpitalu pomyślałem, że chciał mnie zrobić w morderstwo Kingsly'ego, bo pewnie sam go zabił, a rozmówcą szepeczącym mi do słuchawki musiała być inna osoba. Ale kto? I dlaczego? Byłem tak pewien, że to właśnie Hurst chce, żebym się wycofał z pomysłu zaniknięcia oddziału. Może kogoś innego też to złości? Może to jeden z chirurgów Seana, gdyż nie może przeboleć utraconych dochodów? A może jeden z moich lekarzy? Czy ktoś mógłby być aż tak zdesperowany z powodu pieniędzy? Może to nawet on nasłał na mnie dobermana? Cholera! Znow chorobliwa fantazja zaczęła wpędzać mnie w panikę. Jeśli miałam się jakoś wydostać z tego bagna, musiałem przestać wyciągać pochopne wnioski i zacząć analizować trzeźwo.

Zmieniłem tok myślenia i skupiłem się na czymś znajomym. W medycynie, kiedy mamy podane symptomy, sporządzamy listę prawdopodobnych schorzeń, które mogłyby mieć początkowe objawy zgodne z naszymi danymi. Potem sprawdzamy

inne symptomy, robimy badania, a na końcu dopasowujemy chorobę, która najbardziej odpowiada konkretnemu przypadkowi. Próbowałem zastosować tę procedurę do moich obecnych problemów.

Podejrzewanie Hursta namieszało mi w głowie. Musiałem również sporządzić listę i porównać fakty, a potem wziąć pod uwagę inne możliwości, także to, że ani Hurst, ani rozmówca telefoniczny nigdy nikogo nie zabili. Hurst jedynie sprawił, że policja ma mnie na liście podejrzanych, i uparł się przy likwidacji absurdalnej liczby łóżek. Reszta to tylko przypuszczenia. A co do ostrzeżenia, jeżeli pomyśleć o tym z punktu widzenia diagnosty, „wycofaj się” nie musi oznaczać zrezygnowania z zamknięcia oddziału. Jest przecież wiele innych ewentualności.

Przedemną, przy obwodnicy, pojawiły się budki z hot dogami. Spłowiełe i zardzewiałe, przypominały śmietniki przy drodze. Wielkie reklamy coca-coli sprawiały wrażenie pochodzących jeszcze z lat pięćdziesiątych. Ktoś w centrali wymyślił, że to znów bardzo modne, ale tu wyglądały, jakby czas stanął w miejscu. Nie mogłem nawet kupić nic do picia. Budki zamykali z końcem lata. Zresztą w sezonie wyglądały równie obskurnie, więc i tak się przy nich nie zatrzymywałem.

Zacząłem się zastanawiać nad innymi ewentualnościami. Powróciło wspomnienie zdesperowanej miny Fernandezza. Próbowałem umieścić go na mojej liście. Wydawał się dziwnie odprężony, kiedy Hurst obwieścił, że Kingsly nie żyje, ale nie wspomniał, że go zamordowano. Gdy później Bufort wyjawiał, że to było morderstwo, ulga zniknęła, a Fernandez zachował się jak morderca, który najpierw jest zadowolony, że jego plan się powiódł, a kiedy się okazuje, że ktoś odkrył jego tajemnicę, staje się bardzo zawiedziony. Podobnie myślałem wcześniej o zachowaniu Hursta.

Teraz jednak starałem się rozumować logicznie i nie wyciągać pochopnych wniosków. Musiałem się przyzwyczaić do myślenia o morderstwie w znany mi, kliniczny sposób.

Ciągnąłem rozważania, choć nie miałem większych nadziei, że to da jakiś rezultat. Mogło być inne wyjaśnienie zachowania Fernandezza. Zmiany nastroju mogły być wywołane zupełnie

innym, niezwiązanym z tą sprawą czynnikiem. Może jego żona obwieściła mu, że ma kochankę, albo któreś z dzieci zachorowało na raka, a może grozi mu sprawa w sądzie z powodu popełnienia błędu w sztuce lekarskiej. Inne fakty nie wskazywały jasno, że mógłby być zabójcą. Mimo że jego pierwotny spokój zniknął, nie

zachowywał się szczególnie nerwowo, kiedy Bufort w końcu przyznał, że to było morderstwo. Dlaczego teraz wpadł w panikę, kiedy podejrzenia dotyczyły głównie lekarzy z oddziału nagłych wypadków i kilku innych fachowców, którzy potrafili zrobić zastrzyk dosercowy? Fernandez może i przeszedł wstępne szkolenie na uczelni i podczas stażu, ale, jak mówił Sean, to nie wystarczało, żeby mógł tak precyzyjnie zabić Kingsly'ego.

Mgła kłębiła się na błotnistych polach, czasem jak ściana odbijała światła samochodu i ukrywała przede mną brudną drogę.

Nie było wielkiego ruchu. W lusterku widziałem jedynie parę świateł, które podążały za mną wciąż w tej samej, bezpiecznej odległości. Cieszyłem się, że kierowca z tyłu jest ostrożny. Nie chciałem, żeby mi ktoś siedział na ogonie w takiej mgle.

Zwykle na tym odcinku drogi myśli na temat szpitala już mnie opuszczały, ale tym razem uparcie wracałem do sprawy morderstwa, mając wciąż wrażenie, że coś uszło mojej uwagi. Dręczyła mnie myśl, że wszystkie te fakty są jakoś ze sobą powiązane, lecz nie wiedziałem jak. Co z Fernandezem? Nie podejrzewałem go o to zabójstwo. Hursta jednak zaszeregowałem do podejrzanych, by odsunąć od siebie przypuszczenie, że zabójcą mógłby być jeden z moich lekarzy. Znów myśl o kolegach i podwładnych, podejrzanych o morderstwo, przejęła mnie strachem.

W końcu droga z płaskich pól zeszła między skały i lasy sosnowe. Wjechałem na wysokie wzgórze i znalazłem się nagle ponad mgłą. Księżyc w pełni rozjaśniał mleczne obłoki, rzucając na okoliczne wzgórza srebrzystą poświatę. Po raz Pierwszy od tygodnia widziałem niebo. Otworzyłem okno i głęboko wdychałem czyste, mroźne powietrze. Zaśmiałem się i obudziłem Muffy, która natychmiast zaczęła wachać. Dyszała

121

niecierpliwie, gotowa ruszyć na polowanie w ciemnym lesie. Wytargałem ją za uszy i w zamian zostałem polizany. Myśli o morderstwie zaczęły odpływać.

Wkrótce zwolniłem, żeby skręcić. Znów wjechałem w mgłę i pamiętając o światłach samochodu za mną, szybko skręciłem na drogę prowadzącą nad jezioro. Kiedy wjeżdżałem w gęstniejące opary, w lusterku zobaczyłem tylne światła przejeżdżającej furgonetki. Zmierzała na północ.

Na drodze były grząskie koleiny, ale wolałem jechać tędy niż wśród mlecznej mgły, którą zostawiłem za sobą. Światła samochodu świeciły wśród gęsto rosnących drzew jak w tunelu. Teleskopy sprawiały, że na wybojach samochód bujał się jak łódź.

Kilka minut później podjechałem na trawiasty parking. Natychmiast zapaliły się światła sterowane sensorem ruchu. Muffy nie dała się utrzymać. Otworzyłem drzwi, a ona wyskoczyła i szczęśliwa pobiegła w las. Walczyłem z wydrukami i udało mi się w końcu dojść do drzwi wejściowych, zanim zgasło światło. Po ciemku szukałem kluczy. Otworzyłem drzwi, rzuciłem plik papierów na antyczny stolik, stojący przy wejściu, bardziej pasujący na rękawiczki do jazdy konnej niż na kilogramy papieru z danymi szpitalnymi. Stolik był jednak ulubionym meblem Janet, więc został na swoim miejscu. Włączyłem latarnie na trawniku i wyszedłem na zewnątrz.

Z ganku widać było gęstwinę ciemnych, zamglonych drzew. W oddali słyszałem strumień, którego delikatny szum milkł dopiero zimą, kiedy wodę skuł mróz. Muffy podeszła i podłożyła głowę pod moją dłoń, żeby ją pomiziać po uszach.

Nasze oddechy dołączały do obłoków pary, unoszących się w powietrzu. Kiedy już chciałem ją wziąć do domu, na ziemię zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu. Po kilku minutach przeszła mi ochota do pracy i zasnąłem, oglądając przez okno niebo, śnieg i mgłę.

Nie wiem, która była godzina, kiedy Muffy podniosła alarm, wybiegając z głośnym szczekaniem z sypialni pod drzwi wejściowe. Szczekała z taką pasją, że stwierdziłem, iż mam gości w środku nocy. Pewnie szopy. Ujadanie się nasiliło.

122

.— Dobra dziewczynka — mruknąłem i przyłożyłem głowę j0 poduszki, zanim Muffy skończyła odstraszać nieproszonych 20ści. Szopy pracze robiły straszliwy bałagan.

Nie były to pierwsze promienie słoneczne. Raczej należałoby je nazwać jaśniejszym odcieniem szarości. Wystarczyły jednak, by poinformować mój zaspany umysł, że pora już na kawę i zabranie się do roboty. Kawę zrobiłem z łatwością. W naszym nowomodnym zaparzaczu wystarczy zalać wrzątkiem świeżą kawę, odczekać kilka minut i przycisnąć tłok. To było w kuchni jedyne urządzenie, którego Janet nie zabraniała mi używać. Jej zdaniem jestem na tyle upośledzony technicznie, iż nie powinienem niczego gotować.

Upiłem łyk kawy i spojrzałem przez wielkie, kuchenne okno. Jezioro było czarne, a wszystko wokół niego pokrywała warstwa białego śniegu. W magicznej chwili szarość ostatniego miesiąca została przewyciężona. Jednym z najbardziej znaczących objawień przyrody był dla mnie właśnie śnieg. Nigdy nie przestałem na jego widok cofać się myślami do czasów dzieciństwa, czułem się wtedy tak, jakbym był znów mały, gotów bawić się beztrąsko w białym puchu. Jego delikatna świeżość

oznaczała, że wciąż wszystko jest możliwe.

Z uśmiechem rozpałem ogień w kuchni. Po chwili w całym domu było ciepło. Pokój komputerowy mieścił się nad kuchnią. Chciałem, żeby tam zrobiło się przytulnie. Trzask palonego drewna i huczenie ognia upewniły mnie, że w piecu dobrze się rozpało, podszedłem więc do drzwi wejściowych, żeby wziąć ze stolika wydruki. Muffy, która cały czas mi się przyglądała, stwierdziła, że to może być ciekawe. Wygięła się w łuk, Przeciągnęła i podbiegła do drzwi, żebym ją wypuścił.

Bezwiednie chwyciłem za klamkę i nagle się zatrzymałem. Na zewnątrz, na ganku i kamiennej ścieżce, dostrzegłem ślady stóp. Wyglądało na to, że ktoś zbliżył się do samych drzwi, odwrócił się i odszedł.

Rozdział 8

Wstrzymałem oddech. Muffy, czując mój niepokój, natychmiast zamarła i nasłuchiwała. Nie warknęła nawet. Wypuściłem powietrze z płuc i spróbowałem myśleć logicznie. Może to moje ślady? Nie, zaczęło padać po naszym przyjeździe. Często zaglądali tu myśliwi, ale nigdy nie zbliżali się do chaty.

Kiedy dotarła do mnie prawda, po plecach przeszedł mi dreszcz. Ktoś próbował się tu włamać, a Muffy go wystraszyła.

Suka nie była zdenerwowana, co oznaczało, że jeśli ktoś tu był, dawno sobie poszedł. Uspokoilem się trochę, choć ślady stóp popsuły mój doskonały nastrój. Przebywanie z dala od ludzi jest miłe i od czasu do czasu niezbędne dla naszej psychiki, dzika przyroda stanowi jednak doskonałą kryjówkę dla przestępców. Niedaleko miały swój rewir niedźwiedzie, ale jeżeli nikt ich nie zaczepiał, trzymały się z daleka od ludzi. Stwierdziłem już dawno, że więcej osób zginęło w wypadkach przy ładowaniu broni niż wskutek zaatakowania przez niedźwiedzia, więc nawet nie pomyślałem o tym, by kupić sobie strzelbę. Co do ludzi zaś, długa droga dojazdowa do chaty stanowiła przeszkodę. Okiennice i łańcuch na bramie broniły domu przed wandalami. Nie mogliśmy tylko nic poradzić na zawodowych złodziei, którzy chcieliby wywieźć na przykład meble. Naszą obronę przed ludźmi stanowił napis: „Uwaga, złe psy!” i Muffy ujadająca jak wściekła, kiedy pojawiali się nieproszeni goście.

124

Jo trochę przypominało magię czarownika z Oz, ale do tej pory było skuteczne. Najczęściej nie zamykałem nawet na łańcuch. Dzięki temu myśliwi sądzili, że jesteśmy w środku, a Muffy wystraszyła ich już tyle razy, że nie mieli ochoty sprawdzać. Te ślady natomiast, niknące już w mokrym śniegu, zdawały się ze mnie naśmiewać. Myśliwy nie podszedłby do drzwi. Może to jakiś dzieciak chciał się

zabawić albo ktoś z gorszymi zamiarami?

„Wiem, doktorku. Wiem, że to ty. To było ostrzeżenie. Wycofaj się!”. Znowu poczułem dreszcz. Przypomniały mi się dobermany. Na śniegu nie było jednak ich śladów.

Dlaczego ja byłem celem? Nie wiedziałem, kto zabił Kings-ly'ego i nie miałem pojęcia dlaczego. Nie rozumiałem, co to miało ze mną wspólnego. Niestety gliniarze nie chcieli w to wierzyć, i to dzięki Hurstowi. Zdaje się, że prócz mnie w moją niewinność wierzy tylko zabójca, który, dopóki jestem głównym podejrzanym, nie będzie próbował mnie zlikwidować.

Pewnie znowu przesadzałem. Czy rzeczywiście ślady stóp przed chatą miały coś wspólnego z morderstwem w szpitalu? Może to był zwykły złodziej, który chciał ukraść wideo.

Mimo wszystko wziąłem Muffy na smycz, żeby była w pobliżu, gdyby ktoś jeszcze się tu kręcił. Dzień był mroźny. Ślady stóp schodziły z trawiastego parkingu na drogę, gdzie śnieg już topniał. Muffy nie wykazała większego zainteresowania. Twarda nawierzchnia nie pozwalała stwierdzić, dokąd udał się intruz. Zacząłem się trząść, bo wciąż byłem w szlafroku i w kapciach. Spuściłem Muffy ze smyczy i poszedłem do domu się ogrzać.

Nie pozwoliłem, żeby strach przegnał mnie z powrotem do miasta, po tym jak pokonałem tyle kilometrów, żeby tu dojechać i popracować.

Poza tym przeglądanie raportów było w tej chwili jedynym lekarstwem na strach.

Carole oszczędziła mi kilku dni roboty, umieszczając wszystkie kategorie diagnostyczne na dyskietce, w uporządkowanej formie. To była rutynowa robota, ale gdybym potrzebował się Upewnić co do niektórych danych, miałem wydruki.

125

Przestudiowanie pozwów o błąd w sztuce lekarskiej uświadomiło mi, że pomyłki obejmują sześć głównych tematów: ból w klatce piersiowej, ból brzucha, niezauważone złamania, uszkodzenia nerwów, krwawienie wewnątrzczaszkowe i zapalenie opon mózgowych. Uzmysłowanie sobie naszych pomyłek przydaje nam się w dalszej pracy.

Klasyczny ból klatki piersiowej pojawiał się prawie sto dwadzieścia razy dziennie. Z tej grupy przeciętnie jedynie cztery przypadki były zawałami serca. Należało tylko wiedzieć, które cztery i czy tym razem nie będzie ponadprzeciętnych wyników. Sześćdziesiąt przypadków wyjaśniliśmy natychmiast i wysłaliśmy ludzi do domu, z

acetaminophenem na zakwasy albo lekarstwem na niestrawność. Pozostałe sześćdziesiąt to statystycznie cztery zawały serca, cztery niestabilne dusznice, które mogą przerodzić się w zawał. Aby zdiagnozować jeden zawał serca, należało dokładnie przebadać piętnaście osób z bólem w klatce piersiowej.

Na sto osób z zawałami odesłaliśmy tylko pięć. Jedna z nich zmarła w domu. Pozostałe cztery, które poczuły się znacznie gorzej po wypisaniu, wróciły do nas natychmiast. U jednego z pacjentów doszło do zatrzymania akcji serca i nie udało się go uratować. Trzej inni przeżyli.

Każdym z tych chorych zajmował się inny lekarz. W ich kartach wpisano „przeoczenie”, a nie „zaniedbanie”. Statystycznie to były przyzwoite wyniki. Mimo to poczułem się fatalnie, zdając sobie sprawę, że w tym roku znów pięć razy wyślemy do domu kogoś z zawałem serca.

Bóle brzucha, jak się spodziewałem, wyszły dość słabo. Nasze wstępne diagnozy w pięćdziesięciu procentach okazały się błędne. To była średnia krajowa. Chyba nikt nie potrafił lepiej. Faktem było, że diagnoza przy bólu brzucha jest bardzo trudna i wymaga powtórnego zweryfikowania po wstępnych badaniach. Jedynie dwóch lekarzy wybijało się ponad przeciętną. Nie wiedziałem kto to, ponieważ dane, które dostarczaliśmy do statystyk krajowych, nie zawierały nazwisk, tylko kody. Indywidualne wyniki każdego z lekarzy znali tylko oni sami i ja, bo analizowałem dane.

Jeden z lekarzy postawił poprawną diagnozę na podstawie

126

bólu brzucha w stu procentach przypadków, a jeden w sześćdziesięciu. Ten pierwszy był znacznie groźniejszy od drugiego. Każdy pacjent, u którego stwierdzał zapalenie wyrostka robaczkowego, naprawdę miał to zapalenie, co okazywało się po otwarciu brzucha. To oznaczało, że kierował na oddział chirurgiczny pacjentów z bardzo wyraźnymi objawami, natomiast tych, którym trudno było postawić jednoznaczną diagnozę, odsyłał do domu. W dobrym szpitalu, gdzie nie odsyłało do domu pacjentów, u których jedynie przypuszczano zapalenie wyrostka, chirurg czasami otwierał pięć brzuchów, zanim rozpoznanie się potwierdziło. Czyli tylko dwadzieścia procent operacji kończyło się usunięciem wyrostka robaczkowego. Lekarz, którego diagnoza była zawsze poprawna, za mało pacjentów kierował na oddział chirurgiczny. Oczywiście później wyjdzie na jaw, że po rozpoznaniach tego lekarza największy procent pacjentów ponownie wraca do szpitala wskutek zapalenia wyrostka.

W drugim wypadku lekarz wszystko diagnozował jako wyrostek. W rezultacie marnował czas, pieniądze i materiały szpitala oraz zbyt wielu pacjentów narażał na ewentualną niepotrzebną operację. Naturalnie część winy spadała na chirurga, który zbyt chętnie kroił.

Zauważyłem również jeszcze jeden problem. Za często jako powód bólu brzucha podawano obstrukcję. Powtarzałem lekarzom i stażystom wielokrotnie, że obstrukcja to nie choroba, lecz jej objaw. Może ją powodować cokolwiek, począwszy od raka, skończywszy na braku błonnika w diecie, i zazwyczaj pacjent wymaga dalszych badań. Zdaje się, że moje słowa do nich nie dotarły.

Następne były rany i zgony spowodowane naszymi pomyłkami, które przedstawiono w tabelkach z cyframi. Jeśli zrobiliśmy komuś krzywdę, zdarzało się to, statystycznie rzecz ujmując, raczej nieczęsto i nie odbiegało od sytuacji w innych szpitalach. Inaczej mówiąc, jeśli spieszyliśmy robotę w granicach normy krajowej, wciąż mogliśmy pracować i być uznawani za kompetentnych.

Od czasu do czasu, ale bardzo rzadko, udawało nam S'C dokonywać cudów. Byłem również przygnębiony jak

127

zafascynowany. Spojrzenie na całoroczny wykaz pomyłek otrzeźwiło mnie. Póki nie sprawdziłem kodu, nie znałem nawet własnych wyników. Może to ja wysyłałem do domu pacjentów z wyrostkiem?

Była dziesiąta, kiedy wyłączyłem komputer i zacząłem przygotowywać się do drogi. Przejrzałem zaledwie trzecią grupę pomyłek lekarskich.

Na zewnątrz poczułem mróz, który oczyścił moje myśli. Przynajmniej na jakiś czas przestałem się bać. Wziąłem sobie jabłko na śniadanie i pospiesznie wypilem kawę. Ślady stóp znikły na mokrej ścieżce. Było wciąż wystarczająco chłodno, by trawnik i las pozostał biały od śniegu.

Wprowadziłem Muffy do samochodu i ruszyliśmy w kierunku Buffalo. Piękno przyrody przestało mnie interesować. Zacząłem się zastanawiać nad tym, kto mógł zostawić ślady przed chatą, i nad morderstwem Kingsly'ego. Nawet w szpitalu, gdzie śmierć była codziennością, morderstwo napawało mnie odrazą. Może to była spóźniona reakcja lekarza, który musi być opanowany i dobrze sobie radzić w sytuacjach kryzysowych. Najprawdopodobniej próbowałem odsunąć od siebie problem, którego najbardziej się obawiałem, ale natarczywe pytania Buforta zmusiły mnie, żeby o tym pomyśleć. Wciąż pamiętałem żałośnie wyglądające, martwe ciało Kingsly'ego, samotne jak jego życie. Czy stałoby się inaczej, gdybym mu pomógł?

Mój nastrój zrobił się jeszcze bardziej grobowy, kiedy wjechałem we mgłę tak gęstą, że musiałem użyć wycieraczek, by ściągnąć wodę z szyb. Wspomnienia o śmierci czaiły się we mgle i zaprzętały umysł. Przypomniały mi się dwie małe dziewczynki i ich zmarły ojciec. Potrząsnąłem głową i próbowałem uwolnić się jak najszybciej od tych refleksji.

Praca w szpitalu niesie z sobą wiele sytuacji, w których człowiekowi serce pęka. Większość ludzi potrafi spokojnie zignorować horror, który przydarza się innym, i mieć nadzieję, że los będzie dla nich łaskawszy. My jednak jesteśmy na pierwszej linii frontu i widzimy często, jak okrutny potrafi być bieg wydarzeń, zmieniający całe życie w jednej chwili. Czasem wszystkie wspomnienia pojawiają się w mojej głowie i nastroją do myślenia o najgorszym.

128

Znów przypomniałem sobie ślady na śniegu. Mimo że ooprzednio odrzuciłem myśl, iż mogłyby mieć coś wspólnego

Kingsbym. teraz, we mgle, czułem się mniej pewnie niż wśród pięknych gór. Dostrzegłem jeszcze jedną możliwość. jeśli zabójca obawiał się, że ja go zdemaskuję, mogę być jego następnym celem. Czy zagrożenie stopniało wraz ze śniegiem? A może te ślady wyznaczały kolejny cel mordercy?

Kiedy dotarłem do przedmieść Buffalo, mgła trochę się rozrzedziła. W mieście nie było śniegu. Wszystko pokrywała szara maź. Przedpołudniowy miejski ruch uchronił mnie przed ponurymi myślami, które krążyły w mej głowie podczas jazdy.

Włączyłem radio, by posłuchać komunikatu o sytuacji na drogach. Wszędzie korki. Wysłuchałem prognozy pogody. Spiker zapewniał, że mamy najbrzydszy listopad od dziesięciu lat, bo słońce nie pojawi się nawet na jeden dzień. Prowadził wywiad z trzema ekspertami, którzy spierali się na antenie. Nie mogli się zgodzić, czy jest to spowodowane globalnym ociepleniem i zanieczyszczeniami, czy erupcją wulkanów, ale twierdzili, że jutro będą jeszcze gęstsze chmury niż dziś, i ostrzegali, że wskaźnik zanieczyszczenia może być tak duży, iż osoby z problemami płucnymi będą miały znacznie utrudnione oddychanie. Humor poprawiła mi trochę Janis Joplin piosenką „Me and Bobby McGee”.

Okazało się, że głównym tematem wiadomości było zamordowanie Kingsly'ego. Reportaż był krótki i przedstawiał fakty, ale nie wspomniano o igle dosercowej. Potem usłyszałem krótką wypowiedź Hursta, który zapewniał, że ta tragedia nie wpłynie ujemnie na pracę szpitala Świętego Pawła.

Podjechałem do mojego prywatnego gabinetu tuż obok szpitala. Pacjenci, których

prowadziłem od czasu, kiedy pracowałem tu jako internista, zgodzili się na krótkie wizyty, co wiązało się z zajmowanym przeze mnie stanowiskiem ordynatora oddziału nagłych wypadków. Za to w sytuacji gdy Potrzebowali nagłej pomocy, mieli mnie na miejscu, jeśli oczywiście nie byłem na jakimś przeklętym zebraniu. Znałem •eh już od tak dawna, że z wieloma się zaprzyjaźniłem.

129

Muffy nie ucieszyła się specjalnie, że zostawiam ją w samochodzie. Postanowiłem zadzwonić na geriatrię i zapytać, czy nie potrzebują jej na terapii ze zwierzętami.

Była 11.55, kiedy wszedłem do pustego jeszcze gabinetu. Barbara O'Hara, babcia emerytka, pracowała teraz u mnie, a wcześniej u pół tuzina innych ordynatorów, jako recepcjonistka. To dzięki jej przywiązaniu i znajomości pacjentów nie musiałem tu długo siedzieć. Spojrzała na mnie znad krzyżówki.

— Najpierw kawa, czy wiadomości?

— Poproszę kawę, dzień dobry.

— Dobry, bo pierwszą wizytę ma pan dopiero piętnaście po dwunastej. Chcę usłyszeć wszystko o śmierci Kingsly'ego.

Nie widziałem jej od czasu morderstwa i zapomniałem, że w przeszłości była również sekretarką Kingsly'ego. Decydując się na pracę w tym gabinecie, odeszła z działu administracyjnego.

Usiadłem na krześle, z gorącym kubkiem w dłoni, i powiedziałem jej, co widziałem w nocy, gdy znalazłem jego zwłoki, oraz to, czego się dowiedziałam u Wattsa. Nie wspominałem o dyrektorze do spraw medycznych ani o Fernandezie. Kiedy wyjaśniałem, dlaczego Bufort zaczyna węszyć wśród lekarzy z mojego oddziału, zapytała:

— A co pan o tym sądzi? Czy to ktoś od pana?

Tego pytania właśnie chciałem uniknąć. Moja odpowiedź była instynktowna.

— Nie, chyba nie. Właściwie dopiero teraz, rozmawiając z panią, zrozumiałem dlaczego.

— Więc broni pan personelu nie tylko z powodu sympatii do swoich ludzi?

Była jak prawdziwa babcia.

— Tak — uśmiechnąłem się nieśmiało. — Chodzi mi o to, że Bufort skoncentrował

się na osobach, które mogłyby to zrobić, ze względu na umiejętności, a nie szuka tych, którzy mieliby jakiś powód. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś z moich lekarzy miałby jakiegokolwiek powiązania z Kingslym i tym samym motyw zabójstwa. Jeśli takie powiązanie istnieje i ktoś je znajdzie, to fakt, że wszyscy potrafimy robić zastrzyki dosercowe, raczej nie będzie miał większego znaczenia.

130

Zastanowiła się przez chwilę.

.— Pewnie to jedna z kobiet, które molestował. Ja bym go zabiła czymkolwiek, co wpadłoby mi w ręce, gdyby naprawdę próbował mnie wtedy zgwałcić.

Wspomniała o wydarzeniu, po którym zgodziła się zrezygnować z pracy w administracji i przejść do mnie, do gabinetu prywatnego. Miała zbyt duże kwalifikacje, a ja potrzebowałem kogoś tylko na pół etatu, ale chętnie na to reflektowała, bo miała już dość polityki szpitalnej i ciągłego trzymania wszystkiego w tajemnicy. Uwolniło ją to także od troski o męża, ogród i wnuki. W jej głosie pojawiła się stanowczość, jakiej nie znałem. Nie ulegało wątpliwości, że mówiła prawdę. Jeśli Kingsly potrafił wzbudzić taką nienawiść w tej łagodnej kobiecie, lista podejrzanych na pewno się wydłuży.

Tylko że sekretarki i sprzątaczkę nie potrafią użyć igły dosercowej.

— Wie pani co, pani O'Hara, ja też tak z początku myślałem, ale autopsja wykazała, że nie został dźgnięty igłą przez kogoś, kto chciał się bronić. To zrobił lekarz, który potrafi wkłuwać się do serca.

Spojrzała zdziwiona, zamyśliła się i już miała coś powiedzieć, kiedy wszedł mój pierwszy pacjent.

Lekarz internista to najłatwiejsza w medycynie profesja. Pomiar ciśnienia, leczenie anginy, wrzodów, bólu, pocieszanie i uspokajanie, a nade wszystko słuchanie. To zupełne przeciwieństwo do ratowania życia w ciągu kilku minut. Pacjenci powoli opowiadają interniście o całym swoim życiu. Z czasem wizyty i badania pozwalają stwierdzić u nich coraz więcej chorób.

Podziwiam humor i spokój, z jakim niektórzy potrafią znieść wielkie życiowe katastrofy. Tragedia może osiągnąć każdego, ale kilku z moich pacjentów było żywym dowodem na to, że ucieczka ze świata melancholii do świata radości i przyjaźni to tylko kwestia wyboru. Życie pozbawione wielkich wzlotów i upadków również mogło być ciekawe. Z wizyty na wizytę coraz lepiej postrzegałem, kto żyje z wigorem i radością, a kto jest wiecznie w złym humorze.

Spokojny przebieg dnia działał na mnie kojąco. Nie miało

131

znaczenia, kto leczy, a kto jest leczony. Kiedy zbliżała się 15.00, odgłosy karetek zaczynały dochodzić do mojego zacisznego gabinetu. Każda z nich przypominała, że na moim oddziale wciąż panuje chaos, a ja muszę tam niedługo wrócić. Ostatniego pacjenta słuchałem jednym uchem.

O 15.01 zadzwonił telefon. Niejednokrotnie mówiłem lekarzom i pielęgniarkom, że na oddziale trzeba sobie radzić samemu i nie wolno mi ciągle przeszkadzać, kiedy dwa razy w tygodniu jestem w gabinecie prywatnym. Nasza umowa wygasła dziś o 15.00.

— Jedziesz już? — zapytała Susanne, nie czując się w obowiązku przedstawić czy zagaić.

— Nie! Mam bilet na Kubę.

— To pewnie ten sam lot, co mój. Do zobaczenia.

Chwilę później, kiedy dotarłem na swój oddział, byłem bliski zwolnienia się z pracy. Nosze stały w dwóch rzędach po obu stronach korytarza. Ledwie mogłem przejść. Smród niemytych ciał jeszcze się wzmógł od wczoraj. Hałas był nie do zniesienia. Nie mogłem nawet udawać, że potrafię coś z tym zrobić, i przeraziło mnie to. Spojrzenia osób, które pojawiły się tu z chorymi, zdradzały nadzieję, że wreszcie przyszedł ktoś, kto zrobi z tym porządek i pomoże przewyciężyć strach.

— Jasny gwint! — rzuciłem tylko.

Po chwili, gdy rodziny uznały, że jestem równie bezużyteczny jak cała reszta, znów zaczęły się kłótnie z lekarzami i pielęgniarkami. To wyzwoliło we mnie złość. Pobiegłem korytarzem pełnym wyciągniętych rąk i okrytego prześcieradłami nieszczęścia w stronę mego biura. Otworzyłem drzwi z takim hukiem, że przerażona Carole zaplątała się w kabel od dyktafonu.

— Połącz mnie z tym prawnikiem z Albany, z którym rozmawiałem wczoraj — rozkazałem, maszerując do mojego gabinetu. — Jeśli go nie ma, powiedz, że jest mi natychmiast potrzebny i nieważne, że jeszcze nie skończył lunchu.

Potem zadzwoniłem do Hursta.

— Biuro doktora Hu... — odezwała się sekretarka.

132

— Mówi Gamet, z nagłych wypadków — nie dałem jej skończyć. — Niech mu pani powie, żeby natychmiast tu zszedł!

— Przykro mi, ale jest na zebraniu zarządu i pod żadnym pozorem nie mogę mu przerywać...

— Niech zejdzie na mój oddział za dwie minuty, bo będzie mógł się na mnie poskarżyć zarządowi, kiedy zadzwonię do mediów i ostrzegę ludzi przed tym domem wariatów!

Rzuciłem słuchawką i westchnąłem. Carole stała w drzwiach i pokazywała, że ma na linii prawnika. Dyskretnie przypomniała mi jego imię i nacisnęła guzik, żeby go przełączyć na mój telefon.

— Bill! Mówi Earl Gamet. Wyjaśniłeś problem, o którym mówiłem ci wczoraj? Mam tu istne piekło. Co mi radzisz?

— Posłuchaj, oto co znalazłem — zaczął. Przez następne kilka minut zajęci byliśmy wymianą pomrukiwań, „tak” i „aha” oraz zapisywaniem szczegółów.

Na koniec poprosiłem o oficjalne pismo, zawierające to, o czym rozmawialiśmy, i podziękowałem mu. Naprawdę szczerze. Właśnie wręczył mi broń, której potrzebowałem.

Na korytarzu zobaczyłem Hursta, otoczonego przez gromadkę zdesperowanych pacjentów, ich mężów, żon, kochanków, dzieci i przyjaciół, słownie ludzi, którzy słusznie uznali mnie za bezużytecznego. Próbowałem im coś wytłumaczyć, zauważył mnie, a ja zasalutowałem mu z uśmiechem i zostawiłem go wśród nich. Czułem pełen nienawiści wzrok na plecach i od razu straciłem dotychczasową pewność siebie. Nie widziałem się z nim po rozmowie z Seanem, rozmowie, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że powinienem się go bać. Nie miałem pojęcia, czy to on zabił Kingsly'ego, czy z jakiegoś niezrozumiałego powodu pokierował naszą zwykłą przepychankę na takie tory. Nie wiedziałem też, co może mi zrobić i co knuje. Ale dopóki nie miałem pewności, o co chodzi, po próbie zrobienia ze mnie mordercy, lepiej z nim nie zaczynać.

Chciałem tylko zostawić Hursta w bałaganie, który sam spowodował. Zacząłem zastanawiać się nad następnym krokiem i sposobem wykorzystania argumentów, które mi podał prawnik. Nagle usłyszałem w głośniku swoje nazwisko. Podeszedłem do telefonu na ścianie i dowiedziałem się, że to Watts chciał się ze

mną spotkać w swoim laboratorium. Poczekalem, aż mnie z nim połączą.

— Earl? — odezwał się, podnosząc słuchawkę.

— Tak, Robert. Co się dzieje?

— Jesteś zajęty?

— Jak zawsze. Mam piekło na oddziale i właśnie wyciągnąłem Hursta na nieprzewidziane spotkanie z „zarządem” złożonym z rodzin chorych, których tu przywieziono. Niech im wyjaśnia cięcia budżetowe i likwidację łóżek.

— Chyba powinieneś przyjść do mnie i coś zobaczyć.

— Robert, zawsze chętnie przychodzę do ciebie, żeby czegoś się nauczyć, ale to nieodpowiednia chwila.

— Musisz to zobaczyć natychmiast! — rzucił krótko i odwiesił słuchawkę.

Watts nigdy tak kategorycznie nie nalegał, więc zacząłem mieć wątpliwości i podszedłem do windy. Ponieważ wydawało mi się, że będę czekał w nieskończoność, pobiegłem schodami. Po drodze zastanawiałem się, z narastającym strachem, co mój przyjaciel i mentor chciał mi tak pilnie pokazać.

Robert i ja szanowaliśmy swoje zawodowe umiejętności i w ciągu ostatnich dwudziestu lat spotykaliśmy się regularnie w sprawach służbowych. Przez osiem lat wspólnie żartowaliśmy na temat idiotyzmów szpitalnej polityki. W przerwach w pracy dowcipkowaliśmy i opowiadaliśmy o sobie i choć to nie była wielka zażyłość, czuliśmy się zaprzyjaźnieni. Wiedziałem, że lubi żeglować i to właśnie ma zamiar robić na emeryturze. Jego ostatnie dziecko dorosło, opuściło dom i niedawno zaczęło nawet staż na chirurgii. Pewnego dnia, kiedy czekaliśmy na jakieś idiotyczne spotkanie w dziale administracyjnym, pochylił się nade mną i powiedział:

— Moja żona i ja byliśmy po raz pierwszy od trzydziestu lat sami w domu. Było dziwnie.

Dwa lata temu jego żona zachorowała. Rak okrężnicy. Przerzuty na cały organizm. Zmarła po trzech miesiącach od czasu postawienia diagnozy.

Nie potrafiłem go pocieszyć. Miałem gulę w gardle, kiedy widziałem go przygnębionego i złamanego bólem. Co mogłem

134

powiedzieć? W końcu wybrałem stare irlandzkie powiedzenie, wóre usłyszałem od farmera na pogrzebie mego ojca.

__Boję z tobą nad tym, co się stało.

jego szare oczy wypełniły się łzami. Odwrócił się. Tydzień później przyszedł do pracy. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Nasze wspólne pogawędki trochę mnie do niego zbliżyły. Nie znałem go dobrze, ale niejednokrotnie razem stawialiśmy czoło śmierci i bólowi, mówiliśmy o swoich triumfach i porażkach. Od czasu do czasu, kiedy to było któremuś z nas potrzebne, mówiliśmy sobie: „Postąpiłeś słusznie”. Z nim się dobrze bawiłem i jego najbardziej lubiłem.

Wyszedł przed drzwi, w ochronnym ubraniu, i kazał mi włożyć fartuch w szatni. Nałożyłem również maskę, czepek i foliowe kapcie na nogi. Powiedział, że nie będziemy nic ciąć, więc nie muszę wkładać okularów ochronnych na moje własne, ale powinienem nałożyć dwie pary rękawiczek, bo będziemy dotykać ciała. Od kiedy pojawiła się gruźlica oporna na antybiotyki, większość środków ostrożności skupiała się na chorobach przenoszonych drogą powietrzną i wirusach powodujących AIDS lub zapalenie wątroby. Wychodząc na zewnątrz z laboratorium, ostrożnie zdejmowaliśmy ubrania ochronne i wrzucaliśmy je do koszy, by nie przenosić śmiertelnych zarazków na pozostałą część szpitala.

Wszedłem do rozświetlonego prosektorium. Zauważyłem dwa ciała. Oba były otwarte. Ich wnętrza wyglądały podobnie. Miały korpus rozcięty od klatki piersiowej do łona. Obie połówki rozwarły się, ukazując dwa czerwone naczynia, pełne żółtego tłuszczu i białych ścięgien. Płuca były niebieskie z powodu zanieczyszczenia, a w obu jamach brzusznych na płataninie lśniących jelit widoczna była fioletowa wątroba i śledziona w kolorze ochry. Piersi jednego z trupów zostały odcięte i odłożone na bok, a u drugiego między nogami zwisał zwiotczały, bezużyteczny penis.

Z ciała mężczyzny usunięto serce i położono go obok kobiety.

Watts nie otworzył jeszcze czaszek, ale u mężczyzny skóra głowy była już nacięta i odciągnięta na twarz. Niewielka okrągła piła do cięcia kości leżała na stojącym w pobliżu stoliku na narzędzia chirurgiczne. Po lewej stronie trupa mężczyzny stały

135

dwa rzędy pojemników na preparaty, zawierających różnorodne płyny, przygotowane do badań toksykologicznych. Inne pojemniki stały puste. Przeznaczone były na próbki tkanek, które Watts miał zamiar później pobrać. W otwartym naczyniu na dnie głębokiego zlewu leżało serce. Większe pojemniki znajdowały się na półkach i mogły w razie potrzeby służyć do przechowywania ważnych organów. Po prawej stronie od ciała kobiety, na stoliku, stał podobny, tyle że jeszcze zupełnie pusty zestaw

pojemników. Nad każdym ze stołów do sekcji huczały wielkie wentylatory, ale mimo ich usilnej pracy formaldehyd i inne środki chemiczne szczypały mnie w oczy. Poza tym, mimo iż miałem na twarzy maskę, czułem unoszący się w pomieszczeniu zapach martwego ciała.

Coś mnie zaskoczyło. Wyglądało na to, że Watts był już w połowie sekcji mężczyzny, gdy przerwał ją i pobieżnie przejrzał serce, płuca i wnętrzności kobiety. Cierpliwie czekałem na wyjaśnienia.

Watts wskazał zwłoki kobiety.

— To Jane Doe, niezidentyfikowane zwłoki, które przywieźli wczoraj do ciebie. Zadzwoń do kostnicy miejskiej. Naczelnny patolog powiedział mi, że ostatnio pojawiło się sporo takich trupów. Ma zamiar zmusić wszystkie szpitale, by dokładnie wykonywały sekcje zwłok ludzi bezdomnych. Ponieważ u nas był zamrożony John Doe, więc od razu nakazali mi zrobienie sekcji — mówił, nakładając gruby fartuch.

— U Jane nie dostrzegłem nic dziwnego — wskazał ciało kobiety. Potem pochylił się nad Johnem, sięgnął do wnętrza jego klatki piersiowej i odchylił to, co zostało z mostka i żeber.

Poczułem się dziwnie.

Watts złożył dwie połówki klatki piersiowej, którą wcześniej rozciął podczas sekcji. W jednej sterczał drut, podobny do używanych przy wykonywaniu marionetek, taki sam, jakiego użył wcześniej, by zademonstrować miejsce wkłucia igły, próbując odtworzyć sposób zabójstwa Kingsly'ego.

— Niestety, Earl, miałeś rację. Mały pieprzyk, który zauważyłeś, był strupem po ranie kłutej. Tylko że tym razem igłę wbito i wyjęto precyzyjnie, nie tak jak w wypadku Kingsly'ego. Wkłucie było prawie niewidoczne. Chyba nikt prócz ciebie by

136

tego nie zauważył, nawet po morderstwie w szpitalu. Głupio jni, że cię wyśmiałem, bo teraz stało się prawdopodobne, że bezdomny brudny John Doe został zamordowany tak samo, jak nasz dyrektor do spraw administracyjnych. Opóźniłem śledztwo policji o czterdzieści osiem godzin.

To było szaleństwo. Wariactwo. Mimo że w gruncie rzeczy to ja znalazłem ślad po wkłuciu, byłem pewien, że się myliłem. Zacząłem szukać jakiegoś logicznego wytłumaczenia.

— Ktoś pewnie próbował go ratować, tyle że nie zostało to odnotowane.

— Taka była moja pierwsza myśl, ale sprawdziłem wszystko w pogotowiu. Tego denata zabrano z ulicy. Już od dawna nie żył. Nie próbowali nawet resuscytacji — tłumaczył zrezygnowanym tonem. Po chwili dodał: — Wiem, że trudno się z tym pogodzić. Sam długo się zastanawiałem nad inną przyczyną. A jednak wkłucie w serce, które leży w tamtym pojemniku, jest doskonale umiejscowione i perfekcyjnie wykonane. John Doe, podobnie jak Kingsly, miał do czynienia z ręką fachowca. Oczywiście muszę pobrać najpierw próbki i stwierdzić, czy zrobiono je przed śmiercią, czy po niej. Skoro nie ma zapisu o próbie resuscytacji, choć to nie do pomyślenia, mamy do czynienia z kolejnym morderstwem. Biję się w piersi, że zlekceważyłem twoją sugestię.

Byłem podenerwowany. Od dziecka zawsze chciało mi się śmiać w poważnych sytuacjach. Tym razem nie chichotałem, ale mój żart był słownym odpowiednikiem takiego zachowania.

— Może John Doe i Kingsly razem chodzili na wódkę?

Detektyw Bufort nie był uszczęśliwiony. Wyciągnęliśmy go z działu finansów, gdzie dowodził grupką mężczyzn ubranych w identyczne szare garnitury, szare płaszcze, białe koszule i czarne buty. Tylko krawaty mieli różne. Kiedy zdjęli płaszcze, ich ubrania wyglądały jak umundurowanie i przypominali raczej grupę państwowych urzędników niż policjantów.

Zainteresowanie policji księgami rachunkowymi szpitala Pozwoliło mi wnioskować, że śmierć Kingsly'ego miała coś wspólnego z pieniędzmi. Ciekaw byłem, czy to dlatego Gil

137

Fernandez był taki wystraszony. Ale bezdomny nie został raczej zamordowany z powodów finansowych.

— Niemożliwe! — rzucił Bufort, słuchając informacji o naszym odkryciu. Kiedy zmusiliśmy go do włożenia na siebie wszystkich akcesoriów niezbędnych w prosektorium, wygląda! na jeszcze bardziej poirytowanego. Ale gdy zobaczył drut wystający z serca, rozłościł się na dobre.

— Nedorzeczne! — krzyknął i spojrzał na Watta. — Na pewno się pan myli. To burzy wszystko, co ustaliliśmy do tej pory. Pan się myli — powtórzył, prawie jękając się ze złości.

— Moją jedyną pomyłką — żałośnie wydusił z siebie Watts — było zignorowanie sugestii doktora Gameta. To on zauważył strup już dwa dni temu. Wyśmiałem go i

poszedł sobie. Sam nie rozumiem, dlaczego tak głupio się zachowałem.

Bufort odwrócił się, by spojrzeć na mnie.

— Zgłosił pan to dwa dni temu! Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

— Detektywie Bufort! — przerwał mu Watts. — Przecież powiedziałem, że to opóźnienie jest z mojej winy. Gdyby doktor Garnet nie był taki czujny...

— Doktorze Watts, nie interesuje mnie pański szlachetny i dość oczywisty odruch bronienia kolegi — rzucił w jego stronę Bufort, nie odrywając ode mnie wzroku. — Mnie interesuje fakt, że doktor Garnet zatrzymał ważne dla śledztwa informacje.

Jego twarz poczerwieniała, a źrenice powiększyły się tak, że tęczęwki stanowiły już tylko niewielką brązową obwódkę.

— Zaraz, zaraz — zaprotestowałem. — Zgłosiłem anatomopatologowi niezbyt prawdopodobną możliwość, że pieprzyk, znajdujący się obok mostka u niezidentyfikowanego denata, może być strupem po wkłuciu igłą dosercową. Dlaczego któryś z nas miałby powtarzać takie nieprawdopodobne historie policji, póki nie sprawdziliśmy tego dokładnie? I tak by nam pan nie uwierzył. Nawet teraz nie chce pan tego przyjąć do wiadomości.

Moje słowa brzmiały dość słabo, bo sam miałem problem z zaakceptowaniem tego, że bezdomny mógł zostać zamordowany igłą dosercową.

138

Bufort odwrócił się do Wattsa.

— Moim zdaniem wyniki pana pracy są niewiarygodne, doktorze. Wszystkie fakty ustalone podczas śledztwa wskazują, że nie ma to żadnego sensu. Z całej szacunkiem, choć doceniamy pańską pomoc w sprawie morderstwa Kingsly'ego, nie jest pan przecież biegłym patologiem sądowym. Na pewno doskonale pan stwierdza przyczyny śmierci naturalnej, ale teraz, kiedy ogłasza pan, że ten bezdomny został zamordowany w ten sam sposób co Kingsly, odnoszę wrażenie, że pan się na tym w ogóle nie zna.

Lodowaty wzrok Wattsa spoczął na Buforcie. Wielu biednych głupich stażystów i lekarzy również próbowało czasami podważyć jego umiejętności kliniczne. Już wcześniej widziałem u niego pozę gotującej się do ataku kobry.

— Czy zechciałby pan powtórzyć to oskarżenie? — poziom jadu w głosie zaniepokoił nawet mnie i odruchowo położyłem mu dłoń na ramieniu. Drżał ze złości. Z celowym ociąganiem sięgnął na półkę i włączył stojący na niej dyktafon.

Bufort przełknął ślinę. Był twardym gliniarzem, nadętym bubkiem o wąskich horyzontach, może nawet niekompetentnym. Z pewnością był także przebiegłym biurokratą. Dyktafonu bał się chyba bardziej niż pistoletu. Oficjalna wypowiedź, nawet grzecznym tonem, mogła zostać dokładnie odsłuchana, wyjęta z kontekstu i wykorzystana przeciwko niemu przez prasę albo nawet kogoś z jego wydziału, z kim miał na pieńku.

Spojrzał najpierw na mnie, potem na Watta, a po chwili powiedział ostrożnie.

— Zastanówmy się nad tym, co pan powiedział, doktorze Watts. Jeśli pozwoli mi pan skorzystać z telefonu, wezwę tu funkcjonariusza, który spisze zeznania pańskie i doktora Gar-neta. Potem zajmie się tym specjalista z laboratorium.

Wyszedł dopiero późnym popołudniem. Od oparów formaldehydu, smrodu trupów i duchoty w niewielkim pomieszczeniu rozboleła mnie głowa. Kiedy znalazłem się wreszcie na otwartej przestrzeni głównego holu, natychmiast usłyszałem swoje nazwisko w komunikacie z głośnika.

— Gdzie pan był?! — zapytała telefonistka, gdy dotarłem do telefonu. Kobiety z centrali telefonicznej zawsze zwracały

139

się do nas jak poirytowane matki, ale jeszcze nigdy żadna aż tak na mnie nie napadła.

— W prosektorium. Tam nie ma głośników.

Kobieta chyba nawet nie chciała się zastanowić nad moją odpowiedzią. Po chwili ciszy, podczas której pewnie rozważała wielkość mojego przewinienia, oświadczyła:

— Następnym razem niech pan nam powie, gdzie idzie.

— Tak, mamusiu. Mogę już wysłuchać wiadomości, którą pani ma dla mnie? Obiecuję, że już będę grzecznym chłopcem.

— Mądrała! Dobrze. Po pierwsze, Susanne potrzebuje pana na oddziale. Poza tym szuka pana doktor Hurst, ale chyba najważniejszy telefon jest z geriatrici.

Cholera, Muffy siedzi tam od przedpołudnia, kiedy ją przyprowadziłem, żeby nie tkwiła zamknięta w samochodzie.

— Coś jeszcze?

— Tak, proszę zatelefonować do żony.

To świetny pomysł, pomyślałem, przypominając sobie, że mam jeszcze jakieś życie

poza szpitalem. Poczułem się lepiej.

Krótki telefon do Susanne potwierdził moje przypuszczenie, że wciąż tkwimy w chaosie.

— Przyjęliśmy czterdziestu pacjentów. Niektórzy z nich są już drugi dzień na korytarzu.

Nie zdziwiło mnie to.

— Hurst jest na ciebie trochę wściekły, bo wpakowałeś go w rozmowę z rodzinami pacjentów. Zdaje się, że ma ochotę wypróbować na tobie swoje nadwątlone umiejętności w dziedzinie chirurgii, i to bez znieczulenia.

W normalnych warunkach śmiałybym się z tego.

— Obawiam się, że nie są aż tak nadwątlone — wymknęło mi się.

— Słucham?

— Przepraszam, Susanne, mówię sam do siebie. — Wolałem nie dokładać swoich podejrzeń do szpitalnych plotek. — Dzięki za ostrzeżenie. I tak nie miałem zamiaru do niego dzwonić. Coś jeszcze?

— Szuka cię kilku dziennikarzy. Chyba się dowiedzieli, że to ty znalazłeś ciało.

Z prasą na pewno nie chciałem mieć do czynienia.

140

— O rany! — zawołałem. — Kazano nam wysłać reportów do Hursta i Buforta. Powiedz wszystkim na oddziale, że to właśnie mają zrobić, kiedy przyjdą pismaki.

Tego nakazu usłuchała z radością.

— Już im to powiedziałam, reporterom i personelowi. Doszłam do wniosku, że góra tak właśnie postanowi.

— W tym bałaganie czujesz się jak ryba w wodzie. Zaśmiała się, ale przez chwilę nic nie mówiła, co nieczęsto

przydarzało się Susanne. Postanowiłem dać jej czas. Wciąż milczała.

— To wszystko. O, przyjechała karetka, muszę iść — powiedziała i rozłączyła się.

Świetnie. Jeśli Susanne nie może mi czegoś powiedzieć, to powinienem się martwić. Kolejne wątpliwości zaczęły dręczyć mój umysł.

Telefon Janet był wciąż zajęty. Pozostała tylko Muffy. Kiedy po nią przyszedłem do wschodniego skrzydła, na oddział geriatryczny, siedziała w dumnej pozie na siedzeniu dla psiaków, w otoczeniu grupki wiekowych wielbicieli. Podbiegła do mnie, dumnie zbiegła po schodach i ruszyła w stronę wyjścia, czując powrót do domu.

Nieczęsto zdarzało mi się być w domu o szóstej. Trawnik z tyłu był już zupełnie szary od mgły. Dom wydawał się jeszcze ciemniejszy. Za to budynek sąsiadów lśnił światłami z werandy. Nie chciało mi się wchodzić do mieszkania i siedzieć samotnie. Muffy ucieszyła się z dodatkowego spaceru. Trawnik był ładnym miejscem, ogrodzonym żywopłotem i roślinami uspionymi na zimę. Kiedyś była to prywatna droga, prowadząca na pole golfowe, to samo, na którym w poniedziałkowy wieczór spotkałem dwa psy. Teraz droga była wspólną własnością Wszystkich właścicieli domków na naszej ulicy.

Nie musiałem się specjalnie wysilać, żeby sobie przypomnieć dobermanów. Odsuwałem od siebie myśl, co by się stało, gdyby Właściciel ich nie zawrócił. Ciekawski interesujący się moją chatą pod lasem, też nie opuszczał moich myśli. Próbowałem przekonać sam siebie, że nie powinienem wyciągać pochopnych

141

wniosków, ale samotny spacer w ciemności sprawiał, że się bałem.

Mgła była gęsta. Na twarzy czułem zimne krople, które jednak działały na mnie kojąco. Muffy, uszczęśliwiona, znaczyła swoje ulubione miejsca, a ja analizowałem wydarzenia ostatnich kilku godzin.

Nic nie miało sensu. Nie mogłem wyjaśnić sobie, dlaczego Kingsly i bezdomny przybłąda mogli zostać zabici w ten sam sposób. Co do tego zgadzałem się z Bufortem. Bomba Wattsa pokrzyżowała szyki Bufortowi i zmyliła trop... a może właśnie nie, co chyba byłoby jeszcze gorsze. Wciąż miałem wrażenie, że żadne kłopotliwe fakty nie przeszkodzą detektywowi w poprowadzeniu sprawy do takiego zakończenia, jakie on sobie założył. Niech niebiosy mają w opiece wszystkich niewinnych, którzy mu wejdą w drogę, a zwłaszcza mnie.

Zupełnie nie wiedziałem, co o tym myśleć. Zacząłem się obawiać Hursta, ale jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, co on mógł mieć wspólnego z bezdomnym denatem. Nie próbowałem nawet wymyślić motywu takiej zbrodni. Równie niedorzeczne wydawały mi się próby przypisania tego czynu komukolwiek innemu spośród pracujących w szpitalu lekarzy. Musiało istnieć jakieś inne wyjaśnienie. Uczepiłem się myśli, że ktoś musiał próbować go ratować, ale jeśli nie było to pogotowie

ratunkowe, to kto?

Watts nie napisze raportu, dopóki nie zbada pozostałych organów i wszystkich preparatów pod mikroskopem i nie porówna rezultatów z wynikami badań uryny, kału, krwi i treści żołądka denata, przeprowadzonych w laboratorium chemicznym. Na razie wiemy tylko, że ktoś wprowadził igłę do jego serca. Zdaniem Wattsa dopiero po zrobieniu wszystkich badań będziemy wiedzieli na pewno, czy to igła go zabiła, czy może wprowadzono ją do serca i wyjęto z niego już po śmierci. Ale jeśli nie robiono mu resuscytacji, to jaki, prócz morderstwa, byłby powód użycia igły dosercowej?

Muffy obwąchiwała zielsko rosnące w pobliżu betonowej drogi, a ja próbowałem pomyśleć o czymś przyjemniejszym. Głowa znów mnie rozboleła.

Powoli zacząłem skupiać się na myśli, że za chwilę wraca do

142

doirm Janet. Zaraz miał się zacząć jeden z niewielu naszych wspólnych wieczorów. Wyglądałem go jak rozbitek tratwy ratowniczej.

Muffy wyszukała odpowiedni krzak i złożyła swój depozyt na kawałku nieskoszonego trawnika, między skrzynką przyłącza telefonicznego i bramą naszych sąsiadów. W tym rejonie nie obowiązywały prawa miejskie, bo nikt nie potrafił się zdecydować, do kogo właściwie należy ten kawałek ziemi, więc nie musiałem zaczynać upokarzającego przedstawienia z foliowym woreczkiem. Na razie Muffy mogła spokojnie zostawiać tutaj swoje niespodzianki.

W drodze powrotnej suka ograniczyła zatrzymywanie się i wywąchiwanie ciekawych informacji. Zaczęła ciągnąć mnie z całej siły w stronę domu.

Z napiętą smyczą biegłem za nią, ale miałem kłopoty z nadążaniem. Zaledwie trzydzieści sekund szybkiego biegu sprawiło, że nie mogłem złapać oddechu, a serce waliło jak młotem. Najwyraźniej miałem za mało ruchu.

Nagle wpadłem na pomysł, skąd w sercu włóczęgi mogła znaleźć się igła dosercowa. Odpowiedź przyniosła mi ulgę. Oczywiście! — pomyślałem. To musiało być to. Nie mogłem tego natychmiast sprawdzić. Musiałem poczekać, aż w szpitalu na dyżurze będą Kradic i nocna zmiana stażystów. A właściwie łatwiej mi będzie złapać ich rano, kiedy będą wychodzić. Teraz pewnie śpią.

Muffy skręciła na nasz podjazd. Podbiegła do oświetlonych już tylnych drzwi i uważnie je obwąchała. Samochód Janet stał w garażu, a światło w kuchni obiecywało ciepłe i miłe powitanie. Muffy skakała wokół mnie niecierpliwie, kiedy otwierałem

drzwi. Potem wbiegła do domu pierwsza, żeby się przywitać. Wnętrze wypełniał zapach przypraw z gulaszu, który gotowała Janet. Czekałem cierpliwie, aż Muffy się przywita, a potem dostałem buziaka.

— Tęskniłeś za mną? — zapytała zalotnie.

— Tak, za tobą i za tym, jak mu tam, w środku — powiedziałem, poklepując jej wzdęty brzuch. Zazdrosna pud-iica próbowała odepchnąć mnie od żony. Zaczęliśmy się śmiać.

143

Janet spojrzała na spoglądające na nas oczy, błagające o pieszczoty.

— Muffy, czeka cię niespodzianka.

Pogłaskaliśmy suczkę, a potem Janet wyrzuciła nas z kuchni i wróciła do przygotowywania posiłku. Muffy i ja poszliśmy do salonu. Włączyłem taśmę z nagraniem Joego Cockera i roz-siadłem się wygodnie, słuchając: „Try a Little Tenderness”. Chrapliwy głos cofnął mnie o dziesięć lat, do czasu kiedy zarzekałem się, że nigdy się nie dam udomowić. Muffy rozłożyła się obok mnie, zajmując większą część kanapy, a głowę położyła mi na kolanach, w nadziei na maleńkie mizianie. W kuchni Janet śpiewała w duecie z Joem Cockerem. Wykrzykiwała właśnie: when love grows weary. Odchyliłem głowę, uśmiechnąłem się i upajałem tą sielanką.

Po raz pierwszy od śmierci Kingsly'ego byliśmy razem. Wiedziałem, że muszę powiedzieć Janet o moich kłopotach. Odsuwałem od siebie zmartwienia i strach, by nie psuć doskonałego nastroju. Postanowiłem poczekać do końca kolacji.

Taki spokojny wieczór to balsam dla duszy. Zwykły gulasz, piwo dla mnie i woda sodowa dla Janet i jakimś cudem cisza... nikt nie dzwonił ani do mnie, ani do niej.

Po kolacji usiedliśmy sobie w salonie, nie odzywając się. Piliśmy kawę. Stopy Janet znalazły się na moich kolanach, a ja masowałem je od niechcenia.

— Co chcesz mi powiedzieć? — zapytała śpiącym głosem.

— Pewnie nie słyszałaś wiadomości. W poniedziałek rano w szpitalu znaleziono martwego dyrektora do spraw administracyjnych, w jego biurze.

— Co? Kingsly'ego? — Otworzyła szeroko oczy. Poznała go w szpitalu i widziała kilka razy podczas oficjalnych uroczystości.

— Niestety, tak. To dlatego wróciłem tak późno z dyżuru.

— Kto go zabił?

— Nikt nie wie. Policja kręci się po całym szpitalu.

— Boże! To okropne! Jak zginął? :|H

144

W

— Tego nie ma w wiadomościach. To poufna informacja.

Wbito mu w serce igłę dosercową.

— Dobry Boże! To dziwne. Kto użyłby igły dosercowej do zabicia człowieka?

— Tego właśnie próbuje się dowiedzieć policja.

— Jak sądzisz, kto to był?

— Nie mam pojęcia.

Odchyliła głowę i zamknęła oczy. Ulżyło mi, że nie zadawała więcej pytań. Powiniennem jej powiedzieć o wszystkim? Właściwie po co? Jak do tej pory to same podejrzenia i nieuzasadnione obawy — takie nocne majaki. Ktoś szeptem ostrzega mnie przez telefon. Gliniarze grają w jakieś dziwne gierki. W szpitalu stosuje się chwyt poniżej pasa. Po co ją martwić niesprawdzoną teorią spisku, dziwacznymi opowieściami o ataku dobermanów i nocnych najściach złodziei. Nie miałem dowodu na to, że ktoś chciał nam zrobić krzywdę. Nie miałem ochoty dzielić się z nią moją paranoją.

— Czy to wszystko ma z tobą coś wspólnego? — zapytała w końcu.

— Niewiele — skłamałem. — Hurst zlikwidował sto łóżek w poniedziałek. Teraz mój oddział to pole walki.

Nie otworzyła nawet oczu. Pochodziła z rodziny lekarzy. Byli nimi dwaj jej bracia i ojciec. Kiedy zbieraliśmy się na rodzinnych uroczystościach, mieliśmy jedną zasadę: Nie mówić o medycynie!

Tę samą zasadę wprowadziła w naszym domu. Ja również nie chciałem spędzać tej niewielkiej ilości czasu, który mieliśmy dla siebie, na roztrząsaniu kłopotów zawodowych, ale oczywiście zdarzało się, że każde z nas coś na ten temat wspominało.

— To dlatego pojechałeś do chaty w lesie — zapytała podstępnie. Wiedziała, że skorzystam z każdego pretekstu, żeby się wybrać na dłuższą przejażdżkę. — Znów mi powiesz, że musiałeś skorzystać z tamtego komputera? — dodała z uśmiechem i

szturchnęła mnie stopą w żebra.

— Hej, uważaj, uderzyłaś mnie w rękę do miziania.

— To zrób z niej użytek! — rozkazała i połaskotała mnie stopą. Zacząłem się śmiać.

145

— Przestań! — zaprotestowałem.

Janet jeszcze szybciej przebierała palcami od nóg po moich żebrach, a ja się śmiałem i błagałem, by przestała.

Położyła mi nogi na kolanach i zacząłem je posłusznie masować. Siedziałem na kanapie, wesoły i zadowolony. Na razie koszmarne myśli odeszły w cień.

Janet była światłem mego życia. Spotkaliśmy się dziewięć lat temu w Londynie. Byłem na konferencji medycznej w sprawie funkcjonowaniu oddziałów nagłych wypadków. Mieszkałem w przytulnym hoteliku o nazwie Brown's przy Berkley Street. W jadalni przydzielono mi najlepszy stolik. Pewnego popołudnia, kiedy w hotelu było nadzwyczaj tłoczno, kierownik sali podszedł do mnie i zapytał, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby dosiadł się do mnie ktoś z Nowego Jorku. Pomyślałem, że przyprowdzi do stolika lekarza w podeszłym wieku, a ku mojemu zaskoczeniu była to Janet. Miała wtedy na sobie obcisłą, beżową garsonkę, która pasowała do blond włosów i jasnej karnacji. Najbardziej jednak przykuwały moją uwagę niebieskie, pełne blasku oczy, od których nie mogłem oderwać wzroku. Nasz obiad przeciągnął się trochę. Spędziliśmy razem kilka godzin, podczas których dowiedziałem się, że przyjechała do Anglii na rok, w ramach wymiany, i studiuje położnictwo wysokiego ryzyka w szpitalu Świętego Krzyża. Cały następny tydzień wspólnie zwiedzaliśmy galerie i teatry.

Po dwóch tygodniach zostaliśmy kochankami. Rok później przyjęła posadę na Uniwersytecie Buffalo i pobraliśmy się.

Zaczęła się wiercić i musiałem wrócić do miziania.

Z rodzeniem dzieci chciała poczekać do czasu, kiedy ustabilizuje się jej sytuacja i prywatna praktyka nabierze rozpędu. Jestem siedem lat starszy i pracowałem już w zawodzie od dwunastu lat, ale zgodziłem się poczekać. Wydawało mi się, że Janet potrzebuje czasu, żeby poczuć się przy mnie bezpiecznie, a potem może zdecyduje się na potomstwo. Nie dziwiłem jej się. Wszyscy nasi znajomi byli po rozwodzie. Teraz wyglądało na to, że nasz związek może przetrwać.

— Wiesz, dużo szczęścia przypadło w udziale naszej dwójce — powiedziałem

rozmarzonym głosem, a potem dotknąłem

146

;ej brzucha i dodałem: — a właściwie trójce, a wszystko to dzięki szefowi sali, który nas posadził przy jednym stoliku.

Znów zaczęła się wiercić niespokojnie.

— To, co w życiu najważniejsze, nie może zależeć od szczęśliwego trafu — odparła łagodnie.

— Co?

— Dałam mu pięć funtów i poprosiłam, żeby mnie posadził razem z tobą.

— Co takiego?

— Czułam się wtedy tak jak teraz. Zanieś mnie na górę do łóżka.

Otworzyła oczy w kolorze intensywnego błękitu. Nie było w nich żadnych oznak senności.

— Jeszcze można? — zapytałem, kładąc rękę na wypukłym brzuchu.

Położyła swoją dłoń na mojej i przycisnęła ją.

— Nie martw się. Jestem specjalistą. Nauczę cię.

Następnego dnia wstałem wypoczęty, mimo że obudziłem się o wpół do szóstej. Usłyszałem zamykanie drzwi garażowych i poczułem pustkę panującą w domu. Janet nie pozwoliłaby na to, żeby ciąża w czymkolwiek jej przeszkodziła. Obawiałem się o nią, bo nie uznawała żadnych wysyłanych przez jej ciało sygnałów, że powinna odpoczywać. Wykpiła mnie, mówiąc, że gdyby przestała tak intensywnie pracować, na pewno by zwariowała.

Tego ranka, kiedy wziąłem prysznic i ubrałem się, usiadłem, z kawą i Muffy, by zaplanować swój dzień pracy.

Było jeszcze ciemno. Najpierw zatelefonowałem do szpitala, żeby złapać Kradica i nocną zmianę stażystów.

— Oddział nagłych wypadków.

— Dzień dobry. To ja. Czy jest lekarz stażysta, chciałbym z nim porozmawiać. — Wahalem się trochę, czy zwrócić się z tym pytaniem bezpośrednio do Kradica. Zważywszy na to, że ma tendencje do przyjmowania postawy obronnej, pewnie by

sądził, że sprawdzam jego pracę, choć być może, miałem nadzieję, jego odpowiedź zawierałaby proste wyjaśnienie,

147

dlaczego bezimienny denat miał w sercu nakłucie od igły. Moje wahanie miało gorsze podłoże. Nie chciałem sam przed sobą się do tego przyznać, ale zaczynałem odnosić się z rezerwą do lekarzy z mojego oddziału, zwłaszcza do tych, którzy sprawiali pewne trudności. Wiedziałem, że dopóki nie schwytają mordercy Kingsly'ego, podejrzliwość w stosunku do nich pozostanie we mnie.

— Jest zajęty, ale proszę chwilę poczekać. Zadzwońię do pokoju doktora Kradica...

— Zaraz! Proszę go nie budzić... — Było już za późno. Pozostało mi tylko słuchanie brzęczenia w telefonie. Czułem się głupio, że nie udało mi się uniknąć rozmowy z nim, jak wcześniej planowałem. Z ulgą stwierdziłem, że telefon nie odpowiada.

Recepcjonistka znów się włączyła.

— Chyba nie ma go w pokoju, doktorze. Mam wezwać przez pager?

Pewnie jadł właśnie śniadanie. Lepiej dla niego, żeby tak było.

— Nie, proszę mi dać stażystę. Jest wciąż zajęty? Znów sygnał w telefonie, przez jakiś czas nikt nie odpowiadał, ale po chwili ktoś podniósł słuchawkę.

— Oddział nagłych wypadków. Claymore przy telefonie.

— Panno Claymore, tu doktor Gamet. Próbuję znaleźć stażystę.

— Stażysta jest z pacjentem, ale doktor Kradic powinien teraz spać w swoim pokoju. Mam do niego zadzwonić?

— Nie, już próbowałem. Mogłaby pani poprosić stażystę do telefonu?

— Jedną chwilkę.

To przełączanie i czekanie, jak w samolocie kołującym nad nieczynnym lotniskiem, przeciągało się zwykle w ciągu dnia. W końcu ktoś odebrał.

— Mówi doktor Todd.

Nie jęknąłem głośno, ale chyba usłyszał, że westchnąłem bardziej gwałtownie niż zwykle. Oficjalnie sypanie z personelem szpitala nie było czymś, za co mógłbym napiętnować stażystę, ale na pewno zwiększało moje wątpliwości co do jego dyscypliny pracy, a w tym wypadku również dobrego gustu.

Próbowałem mówić swobodnie.

— Dzień dobry, doktorze Todd. Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale chciałbym się dowiedzieć, czy doktor Kradic robił jakieś ćwiczenia na bezimiennych denatach w poniedziałek rano? Chodzi mi szczególnie o ćwiczenia z igłą dosercową.

— Ja na pewno nie. Nie było mnie wtedy. Tej nocy zastępowała mnie Laura Tran. Były urodziny mojej narzeczonej i miałem uroczystą kolację.

Nie jest jej chyba zbyt wierny, pomyślałem. Najpierw zrobiło mi się żal jego biednej narzeczonej, a potem zastanawiałem się, czy Jones wiedziała i czy w ogóle ją to coś obchodziło. Może to nawet podniecało panią doktor.

— Może pan wie, gdzie jest doktor Tran? — zapytałem, wracając do tematu.

— Na Tahiti.

— Co?

— Na Tahiti. Wyjechała we wtorek. To dlatego się zamieniliśmy. Teraz ja mam za nią dyżur, a dzięki temu ona ma dodatkowo jeszcze jeden dzień urlopu.

Za dużo płacimy tym stażystom.

— Kiedy wróci?

— Za dwa tygodnie od dziś. Stanowczo za dużo.

Zawahałem się, a potem doszedłem do wniosku, że Kradic i tak się o tym dowie. Nieważne, co sobie pomyśli.

— Niech pan posłucha, doktorze Todd, gdybym nie spotkał doktora Kradica, mógłby go pan o to zapytać, kiedy będzie wychodził z dyżuru rano?

Był zaskoczony.

— Oczywiście, ale doktor Jones przyszła dziś wcześniej. Może ją pan zapyta? Boże, nie!

— Nie, nie trzeba, niech pan tylko zapyta... — Znow było za późno. Już mnie przełączył.

— Tak, doktorze Gamet — zaczęła lodowato.

— Och, Valerie, szukam tylko doktora Kradica. Doktor Todd ma dla niego

wiadomość...

— Ja mogę mu ją powtórzyć — powiedziała i zabrzmiało to

149

jak rozkaz, żebym jej zlecił sprawę. — Za chwilę wróci ze śniadania i będzie przekazywał pacjentów.

Jezu, ale była podejrzliwa. Pewnie to z powodu niechęci do Kradica i dlatego, że musiała przejmować od niego pacjentów, ale tak naprawdę nie wiedziałem, co ją wprawiało w taki humor.

— Dziękuję, Valerie. Przepraszam, że cię niepokoiłem, ale doktor Todd sobie z tym poradzi. — Odłożyłem słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Nie miałem zamiaru ryzykować, że ona będzie podpuszczać Kradica, wpytując go o wkłucie się w serce. Cholera! Wystarczy, że to pytanie wyszło ode mnie, jeśli nawet przekazałem je przez stażystę. Znów pomyślałem, że muszę być ostrożny i uważać, co komu mówię. Potem dla odmiany przyszło mi do głowy coś nieprzyzwoitego. Może Jones przyszła wcześniej, żeby się pieprzyć z Toddem jeszcze przed śniadaniem? Niech to! Muszę z nią porozmawiać jak najszybciej.

Byłem zmęczony, a nic nie osiągnąłem. Tahiti! Co za doskonały pomysł. Poczułem zazdrość, zwłaszcza że musiałem zrobić coś z pozwami z kancelarii adwokackiej.

Nasz słono opłacany prawnik z Albany dał mi dobre karty, ale musiałem rozegrać tę partię ostrożnie. Będę miał tylko jedną szansę na to, żeby odwieść Hursta od pomysłu ciągnięcia nas po sądach. Dziś powinienem się wykazać finezją, która nie miała nic wspólnego z medycyną, lecz musiała wystarczyć, by obronić naszych pacjentów przed biurokratycznymi oszustwami.

Po trzech filiżankach kawy, dwóch rogalikach, przejrzeniu starej prasy i dwudziestu minutach spędzonych w wannie miałem już gotowy plan. Na automatycznej sekretarce Carole zostawiłem wiadomość, żeby zebrała cały personel dziś po południu o piątej.

Było wpół do siódmej. Pora, bym się udał z Muffy na codzienny obchód. Pogoda zmieniła się dokładnie według przewidywań ekspertów. Pod ciężkim zachmurzonym niebem było niezwykle ciemno jak na tę porę dnia. Gęsta mgła uniemożliwiała zarówno widzenie, jak i oddychanie. Temperatura też pewnie spadła poniżej zera, bo wszystko było pokryte warstwą szronu. Moje skórzane podeszwy ślizgały się na

150

oblodzonym betonie, ale Muffy nie miała problemu z poruszaniem, dzięki napędowi na cztery koła. Przez chwilę udawałem podstarzałego Nurejewa, próbując utrzymać równowagę, a Muffy pociągnęła mnie za sobą, napinając smycz.

Usłyszałem samochód, zanim cokolwiek zobaczyłem. Gdybym nie zsunął się wskutek nagłego szarpnięcia się Muffy, pewnie by we mnie uderzył.

Był czarny, nie zapalił świateł. Wyłonił się z ciemności za nami i tylko ryk silnika pozwolił mi się zorientować, że powinienem rzucić się do przodu i sturlać na bok. Opony prawie otarły się o moją twarz. Uderzyłem biodrem o beton, upadając całym ciężarem ciała. Okrzyk bólu wyrwał się z moich ust i poczułem mdłości. Zanim otworzyłem oczy, samochód przejechał obok mnie i zniknął już na końcu ulicy.

Z przerażeniem patrzyłem, jak dojeżdża do skrzyżowania, zawraca i z rykiem silnika przyspiesza, zmierzając znów w moją stronę.

Rozdział 9

Ból w biodrze nadchodził falami, a wraz z nim potrzeba zwymiotowania. Leżałem chwilę, zanim zacząłem się ruszać. Widziałem kratkę na chłodnicy samochodu, jadącego w moją stronę. Ślizgał się na oblodzonej jezdni. Wiedziałem, że nie zdążę wstać. Zaczął skręcać na chodnik, gdzie leżałem. Udało mi się przeturlać dalej, pod zwisające gałęzie cedru, tworzącego w tym miejscu żywopłot. Chwyciłem pień drzewa, przycisnąłem się z całej siły do niego i poczułem, jak koła niemal dotknęły moich pleców i nóg. Gęste gałęzie uniemożliwiły kierowcy przejechanie mnie.

Samochód ruszył na koniec ulicy i zniknął w ciemności i mgle. Puściłem żywopłot, przeturlałem się z powrotem na betonowy chodnik i próbowałem wstać. Poślizgnąłem się i znów upadłem. W biodrze poczułem większy ból. Siedziałem na betonie i wpatrywałem się w mgłę, gdzie słyhać było jeszcze odgłos silnika samochodu, znikającego w mroku. Potem usłyszałem pisk opon w ciemności.

Zakręca czy zawraca?

Silnik znów zawył.

Zorientowałem się, że mam puste ręce. Zaczął docierać do mnie coraz głośniejszy skowyt i poczułem dreszcz strachu. Skowyt zamienił się w wycie przerażonego zwierzęcia.

— Muffy! — ryknąłem, zapominając o własnym bólu.

152

Słyszałem z tyłu jadący w moją stronę samochód.

Piskliwy skowyt Muffy nasilił się. W oknach sypialni sąsiadów pozapalały się światła.

Nie — błagałem — proszę, nie.

Próbowałem wstać.

Ryk samochodu sprawiał wrażenie, że maszyna jest tuż za mną. Szybko obejrzałem się za siebie, ale nie zobaczyłem nic prócz ciemności — jeszcze nie.

Podniosłem się wreszcie, żeby się rozejrzeć. Muffy jest czarna. W ciemności w ogóle jej nie widać. Tyle razy przewróciłem się o nią podczas nocnych wędrówek do toalety — myślałem, wstając i kuśtykając w stronę, skąd dochodziły jej piski. Wciąż jej nie widziałem w mdłym świetle latarni. Hałas zbliżającego się samochodu narastał.

Skamlanie ucichło, a po chwili usłyszałem je znowu... dochodziło z czarnej dziury w żywopłocie z cedru.

Podskoczyłem w jej stronę, sięgnąłem rękoma i szukałem po omacku, aż natrafiłem na sukę.

Kątem oka zobaczyłem za sobą samochód. Miał wyłączone światła i szybko zbliżał się w moją stronę.

Znów pokuśtykałem przed siebie.

— Muffy, Muffy — powtarzałem, uginając się pod jej ciężarem i szukając jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie mógłbym uciec z tej wąskiej uliczki.

Samochód przyspieszył i był tuż za mną.

Prawą nogę precyzyjnie przecisnąłem przez plątaninę nagich gałęzi bzu. Czułem się tak, jakbym grał w piłkę nożną i próbował się przebić przez obronę przeciwnika, tylko że żywopłot nie puścił. Razem z Muffy upadłem na ziemię i poleciały na nas suche badyle.

Samochód sunął w naszą stronę i nie zamierzał się zatrzymać.

Wciąż myślałem tylko o Muffy. Wypadła mi z rąk, kiedy uderzyłem o ziemię. Tu, pod żywopłotem, było jeszcze ciemniej. Czołgałem się w jej stronę, próbując ją uspokoić. Powtarzałem jej imię. Biedna suczka piszczała już tylko żałośnie.

Dotknąłem jej. Cała drżała. Trzęsa się, jakby jej było zimno. Próbowała się do mnie zbliżyć, ale upadła. Znalazłem w ciemności głowę. Znów pisnęła, a potem polizała mnie przyjaźnie Po dłoni.

Pomacałem łapy. Nic. Wciąż do niej mówiłem, głaskałem i szukałem rany. Wsunąłem rękę w ranę na brzuchu i dotknąłem wnętrzości. Dopiero wtedy zorientowałem się, co się stało. Pod moją dłonią w brzuchu Muffy wszystko zaczęło się skręcać jak stado węży. Jej skowyt znów rozbrzmiewał w porannej ciszy osiedla.

Odsunąłem dłoń. Nie wiedziałem, czego dotknąłem, ale próbowałem przytrzymać jej wnętrzości, by nie wypadły na trawnik.

Coraz więcej świateł zapaliło się dokoła.

Piski Muffy ucichły. Ktoś zaczął krzyczeć:

— Pomóżcie mi! Pomóżcie mi!

Zanim zemdlałem, zrozumiałem, że to ja krzyczę.

Najpierw jak przez sen usłyszałem syreny. Wydawało mi się, że są gdzieś daleko i nie mają nic wspólnego ze mną. Drażniły mnie. Chciałem znów zasnąć i nie miałem ochoty się obudzić. Po chwili ktoś wył mi prosto do ucha i musiałem otworzyć oczy. Usta miałem pełne wymiocin. Otaczali mnie sąsiedzi, większość z nich owinięta była szlafrokami. Dwaj sanitariusze z karetki próbowali zdjąć ze mnie Muffy. To ona tak skomlała ze strachu i bólu. Przez wypełniającą usta treść żołądka próbowałem powiedzieć: „nie”, ale nie wydobyłem z siebie głosu.

Spróbowałem jeszcze raz i w końcu mi się udało.

— Przestańcie! — krzyknąłem.

Mężczyźni zignorowali moje wołanie i dalej próbowali ją odciągnąć. Szarpnęli z całej siły i podnieśli ją do góry. W panice suka ugryzła jednego z nich w rękę.

— Cholera! — wrzasnął i upuścił ją. Pisnęła i próbowała wstać.

W końcu udało mi się wrzasnąć głośno:

— Zostawcie ją!

Przestraszeni sanitariusze odsunęli się. Na czworakach podszedłem do niej. Pocieszałem, powtarzałem jej imię, głaskałem ją, mówiąc, że wszystko jest już dobrze. Znów przyłożyłem dłoń do jej rozprutego brzucha.

Sanitariusze spojrzeli na mnie, jakbym oszalał. Starszy zamarł, nie wiedząc, co robić.

Wyższy powiedział:

— Hej, nie powinien się pan ruszać.

Teraz starszy stwierdził chyba, że jego kolega ma rację, i obaj krzyknęli przerażeni:

— Nie ruszaj się!

Ale ja i tak już zlekceważyłem wszystkie zasady ich scenariusza pierwszej pomocy. Z wyjątkiem bolącego biodra, czułem się dobrze.

Rzucili się na mnie jak drapieżnicy i próbowali odciągnąć od Muffy, unieruchomić szyję, sprawdzić ciśnienie i puls, wypowiedzieć wszystkie przepisowe kwestie.

— Proszę się położyć, proszę się uspokoić, niech pan puści psa!

— Posłuchajcie, nic mi nie jest. Pomóżcie mi ratować zwierzę. Przecież mówię, że nic mi nie jest.

— Nie możemy, proszę pana — powiedział starszy z nich. — Potracił pana samochód. Musimy pana zawieźć do szpitala. Tam pana zbadają.

Ścisnął mnie coraz mocniej. Muffy, czując walkę, znów zaczęła warczeć.

— Panowie, spójrzcie na mnie. Jestem ordynatorem w szpitalu Świętego Pawła, na oddziale nagłych wypadków. Wiem, co chcecie zrobić, i doceniam to, ale naprawdę nic mi nie jest. — Zatrzymali się na chwilę. Musiałem ich przekonać, żeby ominęli przepisy, a na pewno bardzo je nagięli. Wiedziałem, że jeśli mnie usłuchają, stracą pracę.

— Proszę spojrzeć. Szyja mnie nie boli, mogę nią poruszać. Zemdląłem. Nie uderzyli mnie w głowę. Boli mnie biodro, ale mogę się poruszać. Nie krwawię i wiem, jaki jest dzień tygodnia, jaki miesiąc. Mój pies potrzebuje natychmiastowej pomocy! Pomóżecie mi?

Wyższy chwycił kołnierz do unieruchomienia pacjenta i chciał mi go nakładać. Pewnie unieruchamianie było jego specjalnością. Starszy patrzył na mnie. Z nich dwóch raczej on bardziej chciał mnie włożyć do karetki i zawieźć do szpitala. Pewnie byłem wysmarowany błotem i cały w wymiocinach. Jego partner, ten z kołnierzem, chyba się wahał. Przyjrzał mi się uważnie. Zaryzykowałem.

155

— Czy ja pana przypadkiem nie uczyłem na zajęciach z pierwszej pomocy na uniwersytecie w zeszłym roku?

Wszystkich ich uczę wcześniej czy później, bo co roku mam zajęcia na uniwersytecie w ramach programu podwyższania kwalifikacji, wymyślonego przez Żaka. Miałem tylko nadzieję, że ten facet nie urywał się z zajęć.

Przyjrzał mi się jeszcze uważniej.

— Jasny gwint, to pan. Co tu się, do cholery, stało?

Ci ludzie ponad wszystko szanowali stanowiska i wiedząc, że to wykorzystuję, czułem się trochę winny. Powinni mi kazać siedzieć cicho i robić swoje, jak ich nauczono.

— Potem wam powiem. Na razie musimy zawieźć psa do lecznicy dla zwierząt w Buffalo. Tam mają sprzęt do przeprowadzenia operacji i może ją uratują.

Muffy zorientowała się, że rozmowa z krzyków przekształciła się w spokojną pogawędkę i uspokoiła się, ale wciąż powar-kiwała, leżąc mi na rękach.

Starszy spojrział sceptycznie, lecz mój były uczeń okazał się trochę bardziej wyrozumiały.

— No, doktorze, chcielibyśmy pomóc, ale sam nie wiem. Rozumie pan, to pies. No, nie wiem... — jego obawy były w pełni zrozumiałe.

— Posłuchajcie, wyjaśnię to z Żakiem. Ponoszę za wszystko pełną odpowiedzialność. Powiem mu, że was zmusiłem.

Starszy mężczyzna jeszcze miał wątpliwości.

— Da nam to pan na piśmie? — zapytał. Pomogło, ale wciąż się wahali.

— No i oczywiście sam się wypiszę do domu — dodałem.

To wystarczyło. Na pewno najbardziej bali się odpowiedzialności za moją ewentualną utratę zdrowia. Szybko podpisałem papiery, że jestem idiotą i nie wiem, co dla mnie dobre, rezygnując z ich pomocy.

Muffy ciężko dyszała. Z każdym oddechem z jej pyska wydobywało się piśnienie. Rana, którą teraz widziałem w światłach karetki i w szarym, niewyraźnym świetle nadchodzącego dnia, była zadziwiająco równa. Chyba musiała rozciąć brzuch na żywopłocie, kiedy samochód ruszył na nas po raz pierwszy.

156

Kilku sąsiadów, drżąc w swoich szlafrokach, zapytało, jak się czuję. Ktoś zaproponował, że zamknie dom. Z zestawu pierwszej pomocy wzięłem sterylny gazik

i położyłem go na brzuchu Muffy. Trzymałem mocno w jednym miejscu, gdy dwaj mężczyźni przenosili ją ostrożnie na nosze. Już nie protestowała. Nie wiedziałem, czy moje słowa, że już wszystko będzie dobrze, to prawda. Podniosłem się i szedłem obok Muffy do karetki. Czułem, że kolana się pode mną uginają, i miałem nadzieję, że żaden z sanitariuszy tego nie zauważy, ale kątem oka dostrzegłem, że wyższy sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, czy jest tam moje pisemne oświadczenie.

Kiedy wchodziłem przez tylne drzwi karetki, zauważyłem znaczek z boku pojazdu. To była jedna z tych prywatnych firm, którymi zawiadywaliśmy. Na jazdę do weterynarza akurat się nadawała. Ulokowałem Muffy z tyłu, podczas gdy obaj sanitariusze usiedli z przodu.

— Włączyć syreny, doktorze?

— Do diabła, dlaczego nie? Nacisnął guzik.

Jeszcze nigdy klient lecznicy dla zwierząt w Buffalo nie zajechał z taką pompą. Zatelefonowaliśmy z karetki, żeby byli gotowi na nasze przyjęcie. Doktor Sophie miała personel w gotowości. Była moją starą przyjaciółką z uniwersytetu. Na niektóre zajęcia chodziliśmy razem. Wszyscy stanęli zdziwieni na widok karetki ze światłami ostrzegawczymi i syrenami, ale natychmiast przewieźli Muffy na salę operacyjną. Szkoda, że na moim oddziale nie robi się tego tak szybko, myślałem.

Podziękowałem sanitariuszom i zapewniłem, że nie zapomnę zatelefonować do Żaka i usprawiedliwić ich.

Kiedy wyjechali, poczułem się bezradny. Nie miałem nic do roboty. Byłem ubrudzony krwią i osoczem Muffy. Czułem się trochę niezręcznie, ale usiadłem w poczekalni. Oczekujący tam "pacjenci" powąchali moją koszulę i odsunęli się. Ich właściciele byli niezadowoleni, że wepchnąłem się bez kolejki. Większość personelu zostawiła swoich pacjentów i pobięła uczestniczyć w operacji.

— Wypadek samochodowy — powiedziałem, mając nadzieję, że mi wybaczą, a nawet zaczną współczuć, lecz obrzucili

157

mnie tylko spojrzeniami pełnymi powątpiewania, jakby chcieli powiedzieć: Nie jesteśmy naiwni.

Rozsiadłem się na krześle. Były znacznie bardziej wygodne niż na moim oddziale.

W końcu mogłem się zastanowić nad tym, co się właściwie stało.

Ktoś próbował mnie zabić. Bez wątplenia. Napadł na mnie z premedytacją. Ta myśl

przeraziła mnie równie mocno jak fakt, że otarłem się o śmierć.

Żyłem tylko dlatego, że było ślisko, że przewróciłem się, zanim samochód uderzył we mnie, kiedy jechał w moją stronę po raz pierwszy. Nie było żadnego logicznego wyjaśnienia, dlaczego nic mi się nie stało. Nie mogłem się pocieszać myślą, że sam się uratowałem... Ani przez chwilę nie zapanowałem nad tym, co się działo. Gdyby nie głupie, ślepe szczęście, nie żyłbym już od jakiegoś czasu.

Sprawdziły się moje najgorsze obawy. Z niewyjaśnionego powodu stałem się celem mordercy.

Teraz nie mogłem się już łudzić, że osobnik na polu golfowym był przypadkowym spacerowiczem, a ślady na moim ganku pozostawił nadgorliwy strażnik leśny.

I ten szept, którym ktoś ostrzegał mnie, bym się wycofał. Faktu, że nie wiedziałem, o co mu chodzi, o mało nie przypłaciłem życiem.

Moja panika zaczęła sięgać zenitu i zrozumiałem, że trzęsę się jak przysłowiowy liść na wietrze. Do tej pory nie mogłem bezpośrednio wiązać ostrzeżenia ze śmiercią Kingsly'ego. Z desperacją próbowałem wymyślić inne wytłumaczenie.

W zawodzie lekarza zawsze istnieje prawdopodobieństwo natknięcia się na wariata, zwłaszcza na takich otwartych oddziałach jak mój. W ciągu dwudziestu lat nie zdarzyło się jednak, żeby ktoś próbował mi zrobić krzywdę. Złość, wściekłość, obarczanie mnie odpowiedzialnością za to, co przyniósł zły los, tak... z tym się już spotkałem. Grożono mi nawet, ale nigdy nikt nie próbował mnie skrzywdzić.

Kiedy byłem jeszcze w szkole, słyszałem historię pewnego psychiatry. Był celem kobiety, u której stwierdzono erotomanię-Kilkakrotnie odrzucił jej niedwuznaczne propozycje, więc

158

II

skontaktowała się ze swoją rodziną, która miała powiązania z mafią, i wysadzili w powietrze jego samochód. Jakimś cudem udało mu się uniknąć śmierci. Wyjechał z miasta i zmienił nazwisko.

Teraz ktoś wziął się na mnie. Nie wiedziałem tylko, czym mu się naraziłem. Może to ktoś z mojego oddziału, komu nadepnałem na odcisk. Nie, to mało prawdopodobne. Miałem do czynienia z niezadowolonymi rodzinami pacjentów, częściej jako ordynator oddziału niż jako lekarz prowadzący, ale nigdy nie podano mnie do sądu za zaniedbanie. To oznacza tylko tyle, że moje pomyłki podczas pracy

mieściły się w granicach normy. Takie wyjaśnienie nie mogło ukoić bólu osoby, która straciła kogoś bliskiego, ale przynajmniej zmniejszało chęć odegrania się na mnie. Kiedy coś poszło źle, było to zwykle wynikiem postępującej choroby, a nie mojej pomyłki czy zaniedbania. Mimo wszystko żal i ból pozostawał nawet we mnie. Do tej pory nigdy się nie bałem, że ktoś zażąda, bym za to zapłacił. Odrobina szczęścia i ostrożność sprawiały, że nikt nie miał powodów do zemsty na mojej osobie.

W zawodzie psychiatry było inaczej. Tutaj nawet niewielki błąd, prawdziwy czy wyimaginowany, mógł przynieść katastrofalne skutki. Miałem do czynienia z kilkoma przypadkami psychozy, ale nie ostatnio, a przynajmniej nic takiego nie byłem w stanie sobie przypomnieć... Nie mogę jednak wykluczyć, że może kiedyś zlekceważyłem objawy poważnie chorego pacjenta i wysłałem go do domu. Mogłem nawet nie wiedzieć, że doprowadziłem do czyjejś śmierci. To największy koszmar, jaki może się przydarzyć lekarzowi na oddziale nagłych wypadków. A co z psychopatami, których leczyłem, nie wiedząc o ich obsesji? Może rozpoznałem u któregoś zapalenie migdałków i rozwścieczyłem do tego stopnia, że chce mnie zabić?

Nie. To niemożliwe, żeby coś takiego przydarzyło mi się akurat teraz, w trzy dni po śmierci Kingsly'ego. Przecież pracuję od dwudziestu lat. Najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że atak na mnie związany jest z zabójstwem. Znow zacząłem zastanawiać się nad tym, dlaczego morderca King-'ego chce teraz zabić mnie?

159

Siedziałem niedbale na krześle w poczekalni. Przestałem się trząść, ale teraz zeszywniałem. Kiedy się poruszyłem, zrozumiałem, że wstać będzie mi znacznie trudniej, niż usiąść. Jęknąłem, podnosząc się z krzesła. Zwierzęta w poczekalni zaczęły szczekać, na co pewnie ich właściciele również mieli wielką ochotę.

Pokuśtykałem do recepcji i poprosiłem panią, by zatelefonowała na blok operacyjny i zapytała, jak długo jeszcze to potrwa. Wyglądała na rozdrażnioną, ale wiedziała chyba, że jesteśmy z Sophie dobrymi znajomymi, bo, choć z ociąganiem, zadzwoniła.

— Jeszcze trzydzieści minut! — poinformowała mnie.

Natychmiast zajęła się pisaniem na maszynie i nawet na mnie nie spojrzała. Nie powiedziała, jak postępuje operacja, a ja nie miałem odwagi o to zapytać, bo jeśli wieści były niepomyślne, nie chciałem ich usłyszeć od kogoś takiego jak ona.

Pokuśtykałem z powrotem na krzesło. Zwierzęta kręciły się niespokojnie. Usiadły po chwili, lecz przyglądały mi się nieufnie. Właściciele starali się je uspokoić i spoglądali nerwowo na zegarki. Wróciłem do swoich myśli.

Jeśli to nie morderca Kingsly'ego, to kto?

Jedynym niezwykłym posunięciem z mojej strony było postanowienie zamknięcia oddziału. Nie mogłem jednak uwierzyć, że osoba przy zdrowych zmysłach mogłaby mnie chcieć zabić z powodu decyzji, którą uznała za efekt mojej niepoczytalności. Potem przypomniałem sobie cichą, ale widoczną złość Kradica podczas zebrania personelu oddziału. Czy jego nierozsądne zachowanie kryło w sobie coś głębszego, mrocznego? Może rozzłościłem go, publicznie rugając za spóźnienie w niedzielę? Nie wiedziałem tego na pewno i to mnie przerażało. Czy na oddziale są inni lekarze, których nie byłem pewien? Może przez te wszystkie lata pracowałem z psychopatą? A co z Hurstem? Może to on zamordował, a teraz chciał zabić mnie, bo odkryłem, że to było morderstwo? Prawdopodobnie myślał, że jestem zbyt bliski poznania jakiejś tajemnicy, która może go pogrążyć. Wrócił wcześniejszy strach o to, do czego jeszcze może być zdolny.

160

Znów zadrzałem, a potem odsunąłem od siebie te myśli. Chciałem się skupić na faktach i wnioskować logicznie. Nie mogłem się poddać podejrzeniom i przypuszczeniom. Ale strach mnie nie opuszczał. Dopóki nie dowiem się, kto próbował mnie zabić i dlaczego, ta niepewność będzie miała wpływ na moje postępowanie.

Jeśli w ogóle było jakieś „dlaczego”. Może zabójca nie potrzebował żadnego powodu, może był jednym z tych szaleńców, którzy zabijają dla samej przyjemności zabijania? Nazywa się to fachowo psychopatia mordercza.

Zwierzęta, znajdujące się w poczekalni, musiały znów wyczuć moje zdenerwowanie, bo zaczęły warczeć i cofnęły się trochę. Właściciele wyglądali na zniecierpliwionych moim wpływem na ich ulubieńców.

Czy ktoś mnie śledził? Zastanawiałem się nad tym, wracając myślami do tej nocy, kiedy zobaczyłem za samochodem światła innego wozu. Może Muffy wyczuła pierwszą próbę... a może nie? Dziś zabójca nie zachowywał się jak ktoś, kogo może spłoszyć szczekanie psa. Gdyby ta sama osoba, która prowadziła dziś samochód, była wtedy pod moimi drzwiami i próbowała mnie zabić, nie spłoszyłby jej pies. Mój prześladowca mógł równie dobrze zabić najpierw Muffy, a później mnie.

Może wtedy nie miał zamiaru mnie zabić? Więc dlaczego mnie śledził? Co zrobiłem w tym czasie, że zdecydował się na morderstwo?

Janet! Zapomniałem do niej zatelefonować. Nie chciałem, żeby się dowiedziała o Muffy od sąsiadów.

Poprosiłem recepcjonistkę o telefon.

— Proszę, doktorze — rzuciła chłodno. Byłem pewien, że głośny zwrot „doktorze” miał być ostrzeżeniem dla innych w poczekalni, że nie każdy może skorzystać z telefonu.

Dodzwonienie się do szpitala, w którym pracowała Janet, było równie trudne, jak telefonowanie na mój oddział. Tam na dodatek wszystko było skomputeryzowane. Wesóły głosik informował mnie, żebym nacisnął odpowiedni numer, jeśli chcę się połączyć z danym oddziałem. Kiedy w końcu przemówił do mnie ludzki głos, okazało się, że to sprzątacze czyszczący salę między kolejnymi porodami.

161

— Doktor nie ma. Pojechać do domu. Szybko.

— Cholera!

— Słucham?

— Przepraszam i dziękuję.

Zatelefonowałem do domu. Odebrała Janet. Szlochała do słuchawki. Jeszcze nigdy nie słyszałem, jak płacze.

— Janet, co się stało? — natychmiast pomyślałem o dziecku.

— Przyjedź, proszę do domu.

— Co się stało?

— Po prostu przyjedź... proszę! Odłożyła słuchawkę.

Nie zapytała nawet o Muffy. Musiało stać się coś złego.

Poprosiłem recepcjonistkę, żeby zadzwoniła do mnie do domu, jak tylko Sophie skończy operować Muffy. Poszcęściło mi się z taksówką, podjechała natychmiast, ale podczas jazdy mój lęk narastał.

Dwa samochody policyjne migotały czerwonymi i niebieskimi światłami przed drzwiami do naszego domu. Wręczyłem kierowcy zwitek banknotów, wybiegłem z taksówki i wparowałem do mieszkania.

Pierwszą rzeczą, która przykuła moją uwagę, był smród. Fekalia rozsmarowano w całym holu i na schodach. Janet, blada i skulona, siedziała na kanapie obok policjanta w mundurze. Mężczyzna trzymał salaterkę. Następny zapach. Janet wymiotowała.

— Janet! — krzyknąłem i ruszyłem w jej stronę. Detektyw siedzący naprzeciw niej wstał szybko, jakby chciał ją przede mną ochronić.

— W porządku, to mój mąż.

Janet wzięła mnie za rękę i ścisnęła słabo, a potem chwyciła salaterkę i znów zwymiotowała.

Objąłem ją i czułem, jak drży. Przez dzwoniące zęby wykrztusiła:

— Przepraszam.

Drżała na całym ciele. Podała mi miskę. Gliniarz w mundurze odetchnął z ulgą.

162

— Zatelefonowała do mnie do pracy pani Sharp — zaczęła mówić. Pani Sharp była naszą osiedlową aktywistką. — Powiedziała, że tobie nic się nie stało, ale z Muffy jest kiepsko. Zwolniłam się i przyjechałam do domu. Zastałam to.

Jej bezradny wyraz twarzy, kiedy rozglądała się dokoła, sprawił, że wszystko wokół wydało się jeszcze straszniejsze. Parter domu wyglądał okropnie. Nie wiedziałem, czy coś zabrano, ale pokój, w którym siedzieliśmy, przypominał pobojuwisko. Wszystko było porozbijane, porozrywane, pocięte i wysmarowane ekskrementami. Ktoś pozrywał tapetę ze ścian w przedpokoju i wyrwał z sufitu żyrandol. Teraz wisiały w jego miejscu tylko dwa kable. Na podłodze leżały resztki żarówek, drobiny szkła. Sprzęt stereo, z którego korzystałem wczoraj, leżał rozbity w kominku. Ktoś rzucił nim o ścianę.

— Na górze jest jeszcze gorzej — stwierdziła Janet i załamała rękę. — Ten gnojek zdemolował cały pokój dziecienny. — Znów zaczęła się trząść. Objąłem ją ramieniem i przytuliłem mocno, lecz ona opierała się, siedziała sztywno.

— Chcę wiedzieć, co tu się, do diabła, dzieje! — zawołała i ponownie wzięła salaterkę.

Gliniarz w mundurze wstał i wyszedł do kuchni. Instalacja wodna była nienaruszona. Słyszałem, jak myje ręce. Detektyw pochylił się w naszą stronę.

— My też.

Zignorował moje próby porozmawiania z Janet, wziął notes i zaczął pytać.

— Więc kiedy pani przyjechała, zastała tylne drzwi zamknięte i nie było śladów włamania?

Cholera. Wtedy na ulicy usłyszałem za sobą głos. Sądziłem, że to jeden z sąsiadów powiedział: „Pójdę zamknąć dom”. Nie spojrzałem nawet na niego. Myślałem o Muffy.

— O Boże — mruknąłem.

Detektyw westchnął. Janet obrzuciła mnie spojrzeniem mówiącym: znów się wtrącasz i próbowała skończyć relację. Zdaje się, że mówienie pomagało jej opanować wymioty.

Przerwałem jej mimo wszystko.

— Wiem, jak się dostali do środka — oznajmiłem.

Detektyw zainteresował się tym natychmiast.

163

— To lepiej nam wszystko wytłumacz — powiedziała i podała mi salaterkę, ale wciąż na nią spoglądała i przełykała często ślinę.

— Naprawdę — mówiłem dalej. — To na pewno była osoba, która zaofiarowała się zamknąć dom.

Spojrzała przestraszona.

— Co?

— Komu pan kazał zamknąć dom? — zapytał detektyw i wstał z krzesła.

— Nie wiem.

Janet odsunęła się i już trzymała dłoń na ustach. Chyba mruknęła coś na temat idioty, ale ja wyjaśniałem detektywowi, patrzącemu na mnie z coraz większym niedowierzaniem, co się stało. Opowiedziałem o tym, jak ktoś próbował mnie przejechać samochodem, jak starałem się uratować psa. Chyba nie zyskałem tym jego aprobaty.

— Nie zgłosił pan na policji próby przejechania samochodem?

— Nie miałem na to czasu. Janet trzymała się za głowę.

Detektyw otworzył swój notatnik. Wyglądał, jakby chciał mi wypisać mandat za głupotę.

— Kim są „oni”?

— Ludzie, którzy próbowali mnie zabić.

— Zabić! — usłyszałem dwa zaskoczone głosy. Janet i gliniarz przysunęli się do siebie, jak gdyby wspólnie chcieli stawić czoło mojemu szaleństwu.

— Mówiła pani, że mąż miał wypadek — zwrócił się do Janet, ignorując mnie. Skuliłem się, pomyślawszy, ile razy sam w ten sposób traktowałem pacjentów. Z drugiej strony Janet, jak typowa żona, również zaczęła mnie nie dostrzegać.

— Tak mi powiedzieli sąsiedzi — odparta. — Wypadek. Nikt nie mówił nic o próbie zamordowania go.

W końcu detektyw zwrócił się do mnie. — Chyba powinien pan zacząć od początku. Janet zabrała ode mnie salaterkę, jakby już niczego nie mogła mi powierzyć. Wpatrywała się w nią niezdecydowana. Do mieszkania weszło więcej gliniarzy. Niektórzy z nich

164

nieśli walizki zawierające z pewnością sprzęt do pobierania próbek i odcisków palców oraz innych śladów, które mogły pomóc znaleźć sprawcę. Kobieta w mundurze miała kamerę. Inny gliniarz trzymał odkurzacz. Otwarta walizka, którą postawiono naprzeciw mnie, zawierała równo ułożone pliki papieru i plastikowych toreb, pudełko jednorazowych rękawic, zwoje taśmy i sznurka.

Janet już się zdecydowała. Znów zaczęła wymiotować.

Za to teraz detektyw miał chwilę wahania. Chciał, żebym złożył zeznania, ale wymioty Janet przyciągały jego uwagę,

Spojrzałem na poszarpane resztki tapety, zwisające ze ściany. Nasze fotografie i obrazy leżały rozrzucone i podeptane na podłodze, a rozbite szkło świeciło okruchami w całym pokoju. To było coś więcej niż naruszenie prywatnej własności. To był objaw szaleństwa.

Odwróciłem się do detektywa.

— Złożę zeznania, ale powinien tu przyjechać detektyw Bufort z wydziału zabójstw. Na pewno jest teraz w szpitalu Świętego Pawła.

Dłuższą chwilę zajęło mi przekonanie gliniarzy, że tak właśnie powinni zrobić, ale w końcu jeden z nich zatelefonował.

— Mamy tu lekarza, który twierdzi, że ktoś chciał go zabić i że pan powinien tego posłuchać. Nazywa się Gamet.

Nastąpiła chwila ciszy. Podał mój adres. Potem spojrzął na mnie zaskoczony. Bez słowa odwiesił słuchawkę i zdziwiony powiedział sam do siebie:

— Detektyw Bufort za chwilę przyjedzie.

Gliniarz patrzył na mnie z szacunkiem. Pewnie należał się on każdemu, kto wzbudzał zainteresowanie Buforta. Janet była jak otumaniona.

— W coś ty nas, do diabła, wpakował? Nic nie mówiłeś, że masz cichych przyjaciół w wydziale zabójstw. Powiedziałeś, że dochodzenie w sprawie morderstwa Kingsly'ego dotyczy cię w niewielkim stopniu.

Wyczułem sarkazm w słowie „morderstwo”. Taki ze mnie wrażliwy facet.

— Prawie cię nie widywałem od trzech dni — tłumaczyłem się. — Poza tym nie lubisz rozmawiać o medycynie...

165

— Medycynie! — wrzasnęła. — Ktoś chce cię zabić! To nie medycyna!

Wszyscy kręcący się po domu policjanci zamarli. Nasz detektyw mruknął coś o tym, że poczeka na Buforta na zewnątrz, w razie gdyby detektyw nie mógł trafić.

Janet była bardziej urażona niż zła. Zbierało jej się na płacz. Objąłem ją i próbowałem przytulić, ale odsunęła się, mówiąc:

— Wczoraj miałeś mnóstwo czasu. Powinieneś był mi powiedzieć.

— Posłuchaj, przepraszam. Przykro mi, że tak się stało. Wiesz, że broniłbym cię z narażeniem życia, ale nie wiedziałem do końca, że jestem w takich tarapatach.

Spojrzała na mnie sceptycznie. Sięgnąłem znów po jej rękę. Pozwoliła się objąć, lecz wciąż trzymała w dłoniach salaterkę. W końcu się uspokoiła.

— Co tam się dzieje w szpitalu? — zapytała.

— Policja sądzi, że zabójcą jest lekarz z mojego oddziału — odpowiedziałem nieśmiało.

Zesztywniała i westchnęła z niedowierzaniem.

— Dlaczego, na Boga, mi tego nie powiedziałeś? — rzuciła, a potem zrezygnowanym tonem dodała: — Mieliliśmy na to cały wieczór.

Odpowiedź wydała mi się głupia. Wstydiłem się, a mimo to wydusiłem z siebie.

— Nie chciałem zepsuć nastroju. — Co za żalosna wymówka. Poczułem, jak Janet mi się przygląda, ale mówiłem dalej. — Od tak dawna nie byliśmy razem, a wieczór był taki cudowny, nie chciałem tego popsuć. Poza tym nie miałem żadnego dowodu, że coś tak straszego może mieć cokolwiek wspólnego z nami.

Odsunęła się, spojrzała mi w oczy, by się przekonać, że byłem tak smutny, jak jej się wydawało, i zachichotała nerwowo przez łzy. W końcu odłożyła salaterkę i pochyliła się, by mnie mocno uściskać. Przycisnęła dłoń do mego karku i z ustami tuż przy moim uchu szepnęła:

— Jesteś idiotą, romantycznym durniem, ale cię kocham.

— Przepraszam! — powiedziałem. — Nie mam bladego pojęcia, co zrobiłem, że wpakowałem nas w takie bagno.

166

.— Dobrze się czujesz? — zapytała łagodnie.

— Nic mi nie jest.

— A Muffy?

— Jest na sali operacyjnej. Ma rozciętą ścianę jamy brzusznej. Nie krwawiła nawet specjalnie. Nie widziałem wielkich uszkodzeń, przynajmniej na oko. Poza tym nie ma więcej ran. Zadzwoń, kiedy operacja się skończy.

Janet wiedziała równie dobrze jak ja, że muszą sprawdzić wszystkie organy w jamie brzusznej, upewnić się, czy nie ma w nich żadnych perforacji, bo nawet najmniejszy wyciek mógłby być dla suki śmiertelny.

— Rozejrzyjmy się i sprawdźmy, co zginęło — zaproponowała.

Jak zwykle praktyczna. Uważała, że trzeba żyć dalej, nie warto roztrząsać tego, na co już nie mamy wpływu. Tylko tak lekarz może się uchronić przed nocnymi koszmarami. Janet w ten sposób radziła sobie z czekaniem na to, co nieuniknione.

Pozostała część domu wyglądała podobnie jak salon i hol, ale wycieczka po pokojach przyprawiała mnie o mdłości. Wszystkie lampy potłuczono, wyposażenie rozbito, a tapicerkę zdarto lub pocięto. Niewielkie stoliki i krzesła przewracano. To, co szklane, leżało rozbite na podłodze, a ściany były pomazane.

Najgorzej wyglądało w pokoju dziecięcym.

Janet zaczęła go przygotowywać kilka tygodni temu. Pracowała po trochu, kiedy

miała na to czas. Wiedziała najlepiej, że jeszcze wszystko mogło się zdarzyć, płód miał dopiero cztery miesiące, ale te czynności sprawiały jej przyjemność. Postanowiła zacząć wcześniej, żeby większość pracy wykonać samodzielnie. Jak do tej pory, udało jej się pomalować stolik do przebierania niemowlaka i kołyskę, które kupiłem w częściach i samodzielnie złożyłem. Zrobiła też kapę na łóżeczko i pasujące do niej zasłonki. Zerwali je, oddali na nie kał, a potem pomazali nimi ściany w całym domu. Kołyskę i stolik dla niemowlaka rozbili dokumentnie.

Zawrzało we mnie. Pieczołowicie przygotowane gniazdko miłości i doskonałego bezpieczeństwa zostało zbezczeszczone.

Chciałem dorwać te bestie. Fakt, że zbliżyli się tak bardzo

167

do naszego nienarodzonego syna, wyzwolił we mnie uczucia ojcowskie, jakich wcześniej nie znałem. Gotów byłem zabić każdego, kto im zagrażał.

Najbardziej denerwujące było to, że niczego nie ukradziono. Chwilę potrwało, nim Janet udało się sprawdzić stan biżuterii. Oboje posprzątaaliśmy trochę rozrzucone rzeczy i stwierdziliśmy, że nie zginęło nic cennego. Wobec powyższego to, co zrobiono z mieszkaniem, kompletnie nie miało sensu. Kiedy dotarłem do gabinetu na górze, stanąłem zaskoczony. Szuflady z papierami były otwarte i wszystkie wydruki porozrzucane, ale nie było śladu destrukcji ani fekaliów. Wyglądało na to, że ktoś przeszukał pomieszczenie dokładnie. Czyżby intruz nie znalazł tego, czego szukał, i dlatego zdemolował pozostałe pokoje?

Kiedy wróciliśmy na dół, Janet była opanowana i cicha. W ten sposób tłumiała wzbierającą furię. Zatrzymała się przy ścianie pokoju dziecinnego i dotknęła przeciętej tapety.

Jeden z gliniarzy zauważył to i podszedł do niej.

— Dziwne, co? My też zwróciliśmy na to uwagę. To zbyt gładkie cięcie jak na nóż. Wygląda bardziej na brzytwę, ale żeby zrobić takie długie, wygięte cięcie, trzeba by mieć jedną z tych starych brzytew, wie pani, taką z uchwytem.

Janet odsunęła się i oglądała cięcia, jakby podziwiała dzieło w Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Cicho rzuciła własną interpretację tego, co zobaczyła.

— A może skalpel?

Rozdział 10

Bufort przyjechał niezadowolony jak diabli. Najwyraźniej potraktował to wezwanie jako część mojej kampanii, mającej na celu sabotowanie jego śledztwa.

Usiadł, skrzyżował nogi, nic nie mówił. Słuchał mojej opowieści i od czasu do czasu zapisywał coś w swoim notatniku. Znów czułem się jak wredny typ, który opowiada brednie i utrudnia wymierzanie sprawiedliwości w przyspieszonym tempie.

Kiedy przedstawiałem szczegóły spotkania z samotnym człowiekiem i jego dobermanami na polu golfowym, a potem relacjonowałem przebieg rozmowy telefonicznej z szepczącym mężczyzną i opowiadałem o śladach na śniegu, pozostawionych przed naszą górską chatą, Janet znów zaczęła się martwić.

Musiałem przyznać, że w czasie podawania szczegółów tych wszystkich zdarzeń, o których jej wcześniej nie wspomniałem, czułem się dość głupio, wręcz pomyślałem, że straszny ze mnie palant.

Milczenie Janet było jak niemy krzyk, który mówił, że za daleko się posunąłem, ukrywając przed nią tak ważne fakty.

— Wygląda na to, doktorze Gamet — powiedział chłodno Bufort — że zwrócił pan na siebie uwagę, a teraz nawet Wzbudził złość bardzo niebezpiecznej osoby.

Janet nie była tak delikatna.

169

— Ty idioto! Zabawiałeś się jak, pożałuj Boże, prywatny detektyw i ściągnąłeś na nas nieszczęście.

Skrzywiłem się. Bufort uśmiechnął się zadowolony. Potem spróbował mnie bronić.

— Ależ, pani Gamet — zaczął.

— Nazywam się doktor Graceton, detektywie — rzuciła chłodno.

Bufort otworzył oczy ze zdziwienia. Tym razem ja się uśmiechnąłem. Detektyw westchnął.

— Miałem tylko zamiar powiedzieć, iż wątpię, że pani mąż wie, co takiego nedorzecznego uczynił i z jakiego powodu ktoś chce go koniecznie zabić.

Też mi pomoc. Jego ton pasował do tego, co powiedziała przed chwilą Janet. Mógł równie dobrze oświadczyć bez ogródek: Pani mąż to skończony idiota. Ten człowiek nie wie, co robi.

— Właściwie powinien pan napisać raport o tym, co pan zrobił i co powiedział w

ciągu ostatnich czterech dni — rzucił uszczęśliwiony, patrząc na mnie, i rozsiadł się wygodnie. Był zadowolony, że próbowałem protestować, bo to pozwoliło mu uciąć krótko: — Wszystko, doktorze. Proszę napisać o każdym kroku, każdym spotkaniu i, co najważniejsze, proszę dokładnie przekazać wszystko, co pan powiedział i do kogo się pan zwracał.

— Chyba pan żartuje! To zajmie kilka godzin, a może nawet dni.

Zwróciłem się do Janet, ale ona mi nie pomogła, była zajęta opanowywaniem śmiechu.

— No, nie, chyba pan żartuje. Mam na głowie oddział w stanie agonalnym i prywatną praktykę. Ostatnio z niczym nie nadążam.

Nie pomogło. Janet nawet kiwała głową, wyrażając poparcie dla tego absurdalnego pomysłu. Wiedziałem, na czym zależało im obojgu najbardziej... żebym przez jakiś czas był bardzo zajęty i nie wtykał nosa, gdzie nie trzeba.

Czułem się, jakby mama mnie zbesztala i kazała odrabiać lekcje. Miałem wrażenie, że za chwilę powiem: ale to niesprawiedliwe, ja nic nie zrobiłem, i obrażony na cały świat

170

pójdę do swojego pokoju. Tylko że ja nie miałem już swojego pokoju. Nie miałem nawet chwilowo swojego domu.

Bufort zobaczył moje wahanie i ruszył do ataku.

— Niech pan posłucha, jest pan w niebezpieczeństwie. Ktoś usiłuje pana zabić i nie obchodzi go, że przy okazji ucierpią pana bliscy. Niech się pan opamięta. Czyha na pana wariat, z którym nie ma żartów. Musi pan z nami ściśle współpracować. Dopóki go nie złapiemy, pan i pańska rodzina jesteście w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nie możecie się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Jeśli będzie pan postępował według naszych wskazań, może uda nam się pana ochronić.

Gnojek. Był zadowolony z siebie, ale wiedziałem, że ma rację. Potem mnie i Janet zdjęto odciski palców.

W końcu wszyscy, z wyjątkiem Buforta, sobie poszli. Kręcił się w tym, co zostało z naszej kuchni, podczas gdy Janet i ja siedzieliśmy w salonie i zastanawialiśmy się, co robić. Powiedział, że zanim wyjdzie, chce poznać nasze plany.

Wziąłem Janet za rękę. Uścisnęła lekko moją dłoń. Nie była już zła, ale równie wystraszona jak ja.

— Co chcesz zrobić? — zapytałem potulnie.

— Trzeba jak najszybciej doprowadzić dom do porządku. Uśmiechnąłem się do niej. Znów przybrała postawę lekarza,

ale wiedzieliśmy, że zaleczenie szkód moralnych zajmie wiele czasu.

— Zadzwoń do Douga Perkinsa — powiedziałem i z ulgą stwierdziłem, że Janet znów się uśmiecha. Doug był naszym stałym współpracownikiem. Robił cuda z drewna i w ciągu dwudziestu czterech godzin był w stanie zorganizować całą ekipę. Jego ludzie byli pracowici, szybcy i nie bali się młotka i piły. Doug był młody, zupełnie łysy i silny jak tur, ale miał doskonały gust. — Mam go z tobą umówić na konkretną godzinę? — zapytałem.

— On wie, co ja lubię — potrząsnęła głową — nie muszę się z nim spotykać. Powiedz mu tylko, żeby doprowadził dom do takiego stanu, w jakim był. Daj mu carte blanche. Mam w nosie naszą firmę ubezpieczeniową.

171

— A ty?

— Będę w szpitalu i zamieszkać u rodziców. — Zawołała do Buforta: — Dobrze, detektywie?

Potraktował jej pytanie jak zaproszenie do przyłączenia się do nas.

— Chyba tak.

— Nie zrozumcie mnie źle, panowie. Robię to, żeby chronić dziecko. Gdybym nie była w ciąży, zostałabym tu, żeby pomóc. Czy to jasne?

Obaj z Bufortem skinęliśmy. Rozumieliśmy ją doskonale.

— Teraz, kiedy omówiliśmy, co ze mną, detektywie — powiedziała i zawahała się — niech mi pan powie, co ma pan zamiar zrobić, żeby chronić mego męża?

Patrzyła na niego, jakbyśmy byli na przesłuchaniu. Wyglądał niczym oskarżony w sądzie.

— No, więc, jeszcze nie wymyśliłem... Natychmiast machnęła ręką, żeby przestał mówić.

— W cokolwiek mój małżonek się wpakował, pan jest teraz za niego odpowiedzialny. Czy to jasne, detektywie? Zrobi pan wszystko, żeby go ochronić!

Bufort skrzywił się, jakby bolał go brzuch, westchnął i powiedział to, na co oczekiwała.

— Tak, proszę pani.

Janet skinęła głową, by mu dać do zrozumienia, że to była właściwa odpowiedź. Dotknęła jego ramienia.

— Rozejrzyjmy się jeszcze po domu, żeby sprawdzić, czy nie zginęło coś, czego wcześniej nie zauważyłam.

Kiedy zniknęli w holu, zadzwoniłem do Douga. Złapałem go podczas roboty, bo w tle słychać było kakofonię dźwięków przypominających walenie młotkiem i piłowanie. Wyjaśnił, że jest na dachu chaty, na południe od naszej.

— Komórka nie pasuje do twojego image'u — zażartowałem.

— Przy takich klientach jak ty, którzy chcą mieć wszystko na wczoraj, nie mam wyboru.

Czułem się bezpieczniej, wiedząc, że Doug niedługo się tym wszystkim zajmie. Słuchał mojego opisu strat. Zadał kilka szczegółowych pytań, a potem ściszył głos.

172

— Earl, nic ci nie jest? To nie wygląda mi na zwykły rabunek.

Zawahałem się, nim odparłem. Nie chodziło o to, że się boję mu powiedzieć, właściwie nawet miałem zamiar go ostrzec, ale wszystko brzmiało tak dziwnie.

— Doug — wydusiłem w końcu. — Osoba, która to zrobiła, najprawdopodobniej użyła skalpela i zdaje się, że zabiła już jedną osobę w szpitalu. Powiedz swoim chłopakom, żeby byli ostrożni.

Odpowiedziało mi gwizdnięcie, a potem Doug pokazał klasę, za którą go tak lubię.

— Earl, jeśli nie masz nic przeciwko temu, każę kilku chłopakom się do ciebie przeprowadzić, póki to się nie skończy, tak na wszelki wypadek. No, wiesz, to tylko interes.

— Nie musisz.

— Chcę.

— Dzięki, Doug.

— Poczekaj z tym, aż zobaczysz rachunek. Muszę chronić klientów, tak jak się

pilnuje dzieci w szkole.

Powiedziałem mu, że może wziąć klucze od pani Sharp. Odparł, że to żaden problem i że tym razem wstawi nam porządne zamki, a potem odłożył słuchawkę.

Janet i Bufort skończyli obchód. Moja żona była pewna, że niczego nie zabrano. Bufort nalegał, żebyśmy zbyt długo tu nie zostawiali, i zapewnił, że natychmiast przyśle ochronę policyjną, po czym wyszedł.

Janet zaczęła spisywać listę lamp, mebli i urządzeń elektrycznych, które musimy kupić. Żadne z nas nie miało czasu na zakupy, a Doug już wcześniej zajmował się naszą chatą w górach i domem w mieście i wiedział, że będzie musiał się zająć sprawami, które inni klienci załatwiali sami. Wydawało mi się, że w skrytości ducha był dumny z tego, że tak mu ufamy.

Powiedziałem Janet o propozycji Douga. Ulżyło jej, że ktoś tu będzie ze mną mieszkał. Może gliniarze Buforta byli w porządku, ale kiedy znajdą się tu ludzie Douga, nasz dom będzie najbezpieczniejszy w całym Buffalo.

Zadzwoił telefon. Myślałem, że to weterynarz, i ucieszyłem się. Niestety, to tylko Carole.

173

— Wszystko w porządku?

— Tak, skąd wiesz?

— Pogotowie. Poczta pantoflowa.

Powinienem był się domyślić. Widocznie sądzili, że to wypadek.

— Zobaczmy cię dziś? — zapytała.

Spojrzałem na zegarek. Była dopiero jedenasta. Minęło mniej niż cztery i pół godziny od czasu, kiedy wyszedłem z domu, nie zdając sobie sprawy z tego, co mnie czeka.

— Tak, niedługo przyjadę. Przygotowałaś coś dla mnie na biurku?

Nie odpowiedziała. Poczułem natychmiast ukłucie strachu.

— Co się stało? — rzuciłem. — Powiedz! Wzięła głęboki oddech.

— Ktoś się włamał do twojego biura wczoraj w nocy. Rozbili okno od strony parkingu i tamtędy weszli. Zrobili straszny bałagan, rozrzučili teczki i wydruki. Brakuje chyba tylko jednej rzeczy... naszych dyskietek zapasowych.

Nie mogłem powiedzieć słowa. Zaszło mi w gardle. Musiałem kilka razy się wysilić, żeby przełknąć ślinę. Janet obserwowała moją reakcję i zaczęła się denerwować. Myślała pewnie, że to coś złego o Muffy.

— To z mojego biura — mruknąłem do niej, a potem odzyskałem głos. — Carole, co było na tych dyskietkach?

— I tu dobra wiadomość. To nie było nic, czego nie mogłabym odzyskać. Zapasowy zapis protokołów z jakichś wykładów. Są na naszym twardym dysku. Tego nie uszkodzili.

Po kilku ostrzeżeniach ochrona szpitala umieściła komputery w sejfach na stalowych szynach, przytwierdzonych do ścian nośnych, żeby je można było zamknąć na noc. Jeśli ktoś chciałby się włamać, musiałby mieć wielki wytrych i mnóstwo czasu. Poza tym narobiłby piekielnego hałasu.

— Ochrona nic nie widziała? — zapytałem.

— Nie. Złodziej uciekł niedługo po wybiciu szyby. Pewnie się przestraszył, że hałas zwróci czyjąś uwagę.

— Nikt na oddziale nic nie słyszał?

— Nie, twój gabinet jest za daleko. Nie spodziewam się.

174

żeby ktoś mógł cokolwiek usłyszeć. To doktor Kradic odkrył włamanie.

— Co?

— Tak, był dziś około wpół do siódmej na parkingu, żeby się przewietrzyć, i zobaczył u ciebie wybite okno. Od razu zgłosił to ochronie.

Znów nie mogłem wykrztusić słowa.

— Doktorze Garnet? — powiedziała Carole, najwyraźniej zdziwiona przedłużającym się milczeniem. Moje myśli zaś powędrowały ku wcześniejszym refleksjom na temat Kradica, w poczekalni u Sophie.

To wyjaśnia, dlaczego nie mogłem się do niego dodzwonić dziś rano. Wielu lekarzy z mojego oddziału, również ja, wychodziło na parking o tej porze. Zwłaszcza jeśli nie spali całą noc. Nad ranem było już za późno, żeby się położyć, a chłodne powietrze pomagało nie zasnąć i czekać na drugą zmianę. Ale Kradic mógł równie dobrze włamywać się wtedy do mojego biura, a potem zgłosić to, żeby odsunąć od siebie

podejrzenie. A skoro nie dostał tego, co chciał znaleźć w biurze, może próbował mnie zabić na ulicy?

— Doktorze Garnet? Jesteś tam, Earl? — zapytała znów Carole.

Zawahałem się. Nie wiedziałem, ile mogę jej powiedzieć. Powinna wiedzieć przynajmniej tyle, żeby zachowywać się ostrożnie.

— Carole. Gabinet w moim domu, a prawdę mówiąc, cały dom, został dziś rano zdemolowany. Tutaj pewnie też nie znaleźli tego, czego szukali. Chyba niczego nie brakuje. Powinnaś jednak zamykać biuro nawet wtedy, kiedy wychodzisz na chwilę. Może znów spróbują.

— Mój Boże! — westchnęła. — Kto to robi?

— Nie mam pojęcia, ale musimy też ostrzec ochronę, żeby byli szczególnie ostrożni. Nikt nie może się dostać do naszych pomieszczeń bez pozwolenia, nawet sprzątaczkę. Upewnij się, czy detektyw Bufort dowiedział się o włamaniu. Wyjechał stąd kilka minut temu i chyba niedługo będzie z powrotem w szpitalu, żeby przesłuchiwać ludzi. Jeśli nie przyjedzie, zadzwoń do niego.

175

— Oczywiście — powiedziała szybko, na pewno zdziwiona, dlaczego ktoś z wydziału zabójstw był u mnie w domu po włamaniu. Nie zapytała jednak o to.

— Jeszcze coś? — rzuciłem, próbując opanować strach i skupić się na sprawach codziennych.

— Nic nowego — odparła Carole. — Zapomniałeś, że kazałeś mi zwołać zebranie oddziału na piątą?

Zapomniałem? Cholera. Zupełnie jakby podano mi rozkład dnia kogoś obcego.

— Powiedzmy, że nie było to najważniejsze dla mnie dziś rano. Carole, przyjdę na zebranie. Coś jeszcze?

— Nic takiego. Voyzchek chciała kopię zeszłorocznych dyżurów psychiatrii. Mam jej dać wydruki?

To dziwne. Voyzchek rządziła oddziałem psychiatrycznym, ale to Gil Fernandez przygotowywał rozkład dyżurów. Wiedziałem, że się nie lubią, ale na pewno łatwiej by jej było poprosić jego o dokumenty.

— Dobrze — zgodziłem się, zastanawiając, po co jej ta lista sprzed pięciu miesięcy.

— Co jeszcze?

— Hurst zwołał zebranie zarządu z udziałem Buforta na jutro rano.

Po tym co przeszedłem, uodporniłem się na takie problemy.

— To już wszystko?

— Mam ci opowiedzieć, jak wygląda biuro?

— Nie, lepiej nie. Powiedz Susanne, że będę za godzinę. Odłożyłem słuchawkę, myśląc o Muffy. Jej operacja powinna

się już skończyć, chyba że zeszła. Kiedy rozmawiałem przez telefon z Carole, Janet poszła na górę. Pewnie pakowała swoje rzeczy, żeby się przeprowadzić do rodziców do Lackawanna, małego miasteczka leżącego niedaleko. Kiedy zeszła na dół, sprawdziłem, w jakim jest nastroju, przyglądając się jej torbie. Była stanowczo za duża.

— Zdaje się, że przygnębił cię ten telefon — skomentowała, nie pytając, co się stało.

O Boże, nie chcę jej tego mówić, pomyślałem, nie po tym, co się dziś stało.

— Zwykle bzdury w pracy — skłamałem i natychmiast poczułem się jak cudzołóżnik, który znów nie mówi prawdy-

176

Znajdowaliśmy się w tym, co zostało z naszej kuchni. Janet stała przy ladzie, podnosząc koniec wyciągniętego spod listwy linoleum. Przygotowywała się na przyjęcie wieści o Muffy, a ja telefonowałem do Sophie.

— Dzień dobry, mówi doktor Gamet. Dzwonię, żeby się dowiedzieć o moją sukę, Muffy.

— Och, tak, panie doktorze. Doktor Sophie chciała się z panem skontaktować. Zaraz pana połączę.

Wyłączyła się. W słuchawce brzęczała idiotyczna muzyczka. Coś było nie tak. Gdyby Muffy nic się nie stało, recepcjonistka sama przekazałaby mi wieści. Potem przypomniało mi się, jaka była dla mnie wcześniej oschła. Może to jakiś jej sposób, żeby mnie torturować. Nie, pomyślałem, złe wieści zawsze przekazuje prowadzący. Ja też tak robię.

— Przełącza mnie — powiedziałem do Janet. Odwróciła się do okna i wpatrywała w

dal. Nie wiedząc

o tym, patrzyła na miejsce, gdzie wszystko się zdarzyło. Coś przytknęło w telefonie.

— Żyje, ale ma posocznicę — rzuciła prosto z mostu Sophie. Wiedziała, jak cierpią ludzie, którzy nie wiedzą, co się dzieje. — Ma niskie ciśnienie, oddaje niewiele moczu i gorączkuje. To samo, co u twoich dwunożnych pacjentów, i rokowania są równie niedobre.

U ludzi oznacza to osiemdziesiąt procent zgonów. Muffy miała niezłe kłopoty.

— Jakie antybiotyki jej dajesz?

— Zwykła terapia trójfazowa. Ampicylina i gentamycyna z metronidazolem, w razie gdyby przyplątały się beztlenowce. Jedyna dobra wieść to taka, że przejrzelśmy dokładnie jej wnętrzności i nie znaleźliśmy żadnych większych perforacji.

Znów niedopowiedziana została kwestia mikroperforacji, które w tym wypadku są możliwe. Śmiertelność z powodu bakterii pochodzących z kału jest bolączką współczesnej medycyny. Ich nazwy przypominają panteon przerażających greckich bogów. Proteus, Clostridium, Pseudomonas. Obrzydliwe stworzenia. Kiedy pozwoli im się wyjść poza jelita, do jamy brzusznej, rozmnożą się do wielkości całej armii i wraz z krwią rozprzestrzenia po organizmie. Zaatakują serce, płuca, nerki i mózg.

177

Antybiotyki, które wybrała Sophie, były odpowiednie nawet dla ludzi. Gwarantują dwadzieścia procent przeżyć.

— Mam ci dostarczyć triaxone? — To cephalosporin czwartej generacji, który zabija wszystko, co mu się nawinie, i nie ma specjalnych efektów ubocznych prócz wyczyszczenia portfela. Stażyści nazywają to „gorillacillin”.

— To dobry pomysł... ale musisz załatwić we własnym zakresie i na własną odpowiedzialność. Moi pacjenci nie dostają takich środków. — Sophie chodziło o to, że triaxone był antybiotykiem testowanym i przeznaczonym dla ludzi, a nie dla psów. Nieoczekiwana reakcja zawsze była możliwa. Dawała mi do zrozumienia, że sam ponoszę ryzyko.

— Podrzucę ci to.

Odwiesiłem słuchawkę i dopiero się zorientowałem, że jej nie podziękowałem.

Janet z ostatnich słów rozmowy wywnioskowała, w jakim Muffy jest stanie.

Podeszła, objęła mnie i pocałowała gwałtownie w usta. Poczułem nagły przeblask

pożądania, zupełnie nie na miejscu. Zawsze kiedy coś zagrażało memu życiu, miałem ochotę się kochać. Objęliśmy się i pozwoliliśmy, by nasze pożądanie odpłynęło. Janet przysunęła usta do mego ucha.

— Zachowaj ten nastrój na później i bądź ostrożny! — szepnęła.

Zatelefonowałem do apteki opodal mojego prywatnego gabinetu.

— Karlo, potrzebuję przysługi. Mojego psa potrącił samochód. Żyje, ale ma posocznicę. Chcę dla niej kupić triaxone.

— Dla psa?

— Tak, jest naprawdę w złym stanie.

— No, przykro mi, jedyne, co mogę zrobić, to wypisać to na ciebie, a co ty z tym zrobisz, twoja sprawa. Gdzie mam to wysłać?

Podąłem adres Sophie i dzienną dawkę obliczoną na wagę Muffy. Potem zadzwoniłem do pani Sharp, żeby ją ostrzec, iż niedługo pojawią się tu ludzie Douga, i poprosiłem, żeby im dała zapasowy klucz, który zawsze u niej zostawiam.

Obraziłaby

178

się, gdybym nie przekazał jej najświeższych wiadomości, pomyślałem, że całe życie tej kobiety to wywąchiwanie plotek, odkrywanie sekretów sąsiadów, więc nie chciałem jej zasmucać i opowiedziałem wszystko, co się nadawało do publicznej wiadomości.

Niedługo i tak będzie się kręciła po trawniku i zaczepiała każdego, kto miałby dla niej choćby naj nędzniej szą plotkę. Dwa kroki za nią będzie dreptał jej chudziutki, przygarbiony mąż. Zaokrąglone plecy i długi nos nadają mu ptasi wygląd, upodabniając do czapli brodzącej w trawie. W jesiennym szarym świetle dnia oboje wyglądają, jakby wypełzli spod kamienia.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zawahałem się przed następną rozmową. Sama myśl o niej sprawiała, że miałem sucho w gardle.

Musiałem zatelefonować do Kradica. Jeśli to on jest potworem, który za tym stał, musiałem go wykurzyć z nory. Nie wiedziałem jednak, o co ten człowiek mógłby być na mnie wściekły. To prawda, że drażni go wielu ludzi. Nie miałem nawet słabego przeblysku, z jakiego powodu mógłby się tak zawziąć na mnie. Nie miałem również dowodów na to, że to on był sprawcą ataku na moją osobę. Musiałem mieć jakiś dowód, jeśli miałem powiedzieć o nim Bufortowi.

Postanowiłem zapytać go o włamanie. Albo może powinienem poprosić, żeby przyszedł do mnie przed zebraniem, i porozmawiać o ćwiczeniach z igłą dosercową na zwłokach ludzi bezdomnych? Tak czy siak, spróbuję go na czymś złapać, może powie coś, co wskaże, że to on mnie zaatakował. Jeśli to on, przynajmniej coś wyczuję.

Zadzwoiłem do szpitala, poprosiłem o podanie mi jego numeru domowego i połączenie mnie z tym numerem. Numer był zajęty. Spróbowałem jeszcze raz, ale pojawiło się to samo denerwujące piszczenie.

Nie miałem zamiaru się poddawać, więc połączyłem się z informacją.

— Mówi doktor Earl Gamet, ordynator oddziału nagłych wypadków ze szpitala Świętego Pawła. Usiłuję dodzwonić się do doktora Alberta Kradica, ale jego numer jest wciąż zajęty.

179

Mogłaby pani przerwać rozmowę i przekazać mu, że muszę z nim porozmawiać?

— Oczywiście — odparła.

Podałem jej numer Kradica i czekałem. Ręce mi się pociły, kiedy nastrojałem się do mówienia oficjalnym tonem, a bałem się jak diabli.

— Przykro mi, proszę pana, ale zdaje się, że telefon jest odłączony.

Cholera! Pewnie spał. Jutro znów będę musiał się zastanawiać nad przebiegiem tej rozmowy.

Posprzątałem trochę, znalazłem czyste ubrania i przygotowałem się do wyjścia. Kiedy podszedłem do tylnych drzwi, żeby je zamknąć, w pobliżu domu zobaczyłem zaparkowany samochód policyjny. Już? Podziwiałem wpływ Janet na takich ludzi jak Bufort. Wyszedłem na zewnątrz i zbliżyłem się do samochodu, w którym znudzony policjant czytał gazetę. Ledwie na mnie spojrzał, gdy mu się przedstawiałem. Moja ochrona. Powiedziałem mu o planowanym przyjeździe ludzi Douga.

— Jak go rozpoznam? — zapytał bez większego zainteresowania.

— Duży facet. Bardzo duży. — Dzięki Bogu.

Jedynym świadectwem, że moja podróż do szpitala, która zwykle odbywała się przed świtem, teraz odbywała się w południe, był jaśniejszy odcień szarości, która panowała wokół, i znacznie większe korki. Kierowcy z Buffalo po trzech tygodniach paskudnej pogody zmieniają się w prostacką tłuszcę. Po dziesięciu minutach

przepychanki na ulicy pokazywałem każdemu środkowy palec. Zanim trafiłem na przeklęty szpitalny parking, zrobiło mi się gorąco, jakby nagle zmieniła się pogoda. Nieruchawy parkingowy wskazał mi wolne miejsce, które rezerwował dla spóźnionych lekarzy, którzy nie mogli już znaleźć miejsca do parkowania. To było miejsce awaryjne, tuż obok wejścia dla personelu. Nie musiałem się przejmować spóźnieniem, bo byłem przewodniczącym komisji dyscyplinarnej; przecież nie będę się tłumaczył sam sobie.

Zaparkowałem, wysiadłem z samochodu i otworzyłem bagaż-

180

nik- Wyjąłem wydruki komputerowe i dyskietki, nad którymi pracowałem w wiejskiej chacie. Zawahałem się. Nie umieściłem ich w bagażniku specjalnie. Miałem po prostu zwyczaj nosić przy sobie niewielkie biuro. Kiedy wysiadałem z samochodu, z przyzwyczajenia zamykałem wszystko w bagażniku.

Czyżby to wyniki pracy personelu były celem włamywaczy? Może właśnie dlatego ktoś jechał za mną na wieś? Chyba z tego samego powodu był dziś rano w moim biurze i w domu. Ta myśl wydała mi się idiotyczna. Owszem, większość lekarzy denerwowała się wynikami pracy, ale do tej pory zawsze udawało im się opanować ciekawość. Chęć współzawodnictwa, która gdzieś w nich siedziała, sprawiła, że wszyscy chętnie zgodzili się na pomiar wyników pracy przez firmę ubezpieczeniową. Starzy przyjaciele i koledzy lubili ze sobą rywalizować, choć ich codzienna praca sprawiała, że i tak musieli bez przerwy udowadniać swoje umiejętności. Głosowanie nad pomysłem oceny pracy lekarzy przebiegło prawie jednomyślnie. Tylko jedna osoba nie głosowała za, ale nie wiedziałem kto, bo głosowanie było tajne.

Jeśli jednak ktoś miał wątpliwości co do dobroczynnego działania tego projektu, mógł to wyrazić słowami, a nie z taką furią przewracać do góry nogami moje mieszkanie. Musiałem się dowiedzieć czegoś więcej o Kradicu, ale również, wbrew sobie, czułem potrzebę sprawdzenia, czy inni członkowie personelu nie byli zdolni do tak brutalnego działania. Ciemne sprawki, nie do pomyślenia jeszcze kilka dni temu, zaczynały mnie przerażać. Przypomniałem sobie, że Jones szperała w moich rzeczach i była zdenerwowana, kiedy ją na tym przyłapałem. Może to ona nie wytrzymała nerwowo i włamała się do mego biura? Ale czego szukała? Czy te dane z dyskietek zawierały tak straszne tajemnice, że kiedy ktoś zobaczył mnie wychodzącego z nimi ze szpitala, poczuł, że musi mnie zabić, nim dogrzebię się w nich czegoś ważnego?

Może czyjeś wyniki są związane w jakiś sposób z morderstwem Kingsly'ego i również tej bezdomnej ofiary? Może zabójca wcale nie jest z mojego oddziału? Wciąż nie wiedziałem, co mogło łączyć Kingsly'ego z którymkolwiek z członków

mojego personelu i co spowodowało, że ktoś zapragnął go

181

zamordować. Sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, jeśli włamanie do mego gabinetu i zdemolowanie domu miało coś wspólnego z danymi w statystykach. Nasuwała się myśl, że powód do zbrodni może mieć któryś z lekarzy, oznaczonych na wydrukach kodem.

Stałem wciąż przy samochodzie, trzymając jedną rękę na otwartym bagażniku. Odruchowo rozejrzałem się dookoła. Cały parking był pełen samochodów i spowity mgłą. Niedaleko stała taksówka, z której wysiadał starszy mężczyzna. Po chwili szedł o lasce w stronę szpitala. W oddali widziałem kilka postaci poruszających się we mgle. W pobliżu mnie nie było nikogo. Spojrzałem na plik wydruków komputerowych i dyskietek. Musiałem je gdzieś schować. Jeśli one były powodem włamania i ataku na mnie, to znaczy, że napastnik chciał mnie powstrzymać przed ich dokładnym przeczytaniem. Zmarszczyłem czoło. Te dane zostały przesłane do nas z Ministerstwa Zdrowia i wielu ludzi miało do nich dostęp. Co takiego było w tych cyfrach i symbolach, że jedynie ja mogłem to odkryć, porównać i zinterpretować tak, żeby wskazać zabójcę? Jeśli te dane miały mi coś powiedzieć, może były również w stanie pomóc mi wyplątać się z tego wszystkiego i odsunąć grożące niebezpieczeństwo.

Jak dotąd nikt nie znalazł ich w samochodzie, więc to było najbezpieczniejsze miejsce. Postanowiłem włożyć je z powrotem i zamknąłem bagażnik, a potem sprawdziłem zamek.

Włączałem właśnie alarm, kiedy zobaczyłem Gila Fernan-deza. Szedł jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, między skrzydłem psychiatrii a głównym budynkiem szpitala. Nie miał na sobie płaszcza. Teraz, w dziennym świetle, wydawał się jeszcze bledszy. Jego czoło świeciło się, jakby miał gorączkę albo spocił się z wysiłku. Nie miał w butonierce swojej szkarłatnej chusteczki. Na dodatek jego garnitur był cały wygnieciony, a krawat gdzieś zniknął. Zamiast kroczyć jak nonszalancki podrywacz, jakiego czasem udawał, przemykał się chyłkiem, niczym więzień skazany na galery.

— Gil, wszystko w porządku? — Nie odpowiedział. — Gil?

Podniósł głowę. Obrzucił mnie nieobecny spojrzeniem. Podeszedłem do niego. Wyglądał z bliska jeszcze gorzej. Od-

182

niosłem wrażenie, że w ogóle nie był w domu, a już na pewno nie kąpał się i nie

zmieniał ubrania od wczoraj. Dla lekarza z mojego oddziału zostawanie na noc w szpitalu, przynajmniej od czasu do czasu, to coś zupełnie naturalnego, ale większość z nas przynajmniej do południa znajdowała chwilę na prysznic. Broda Fernanda, zwykle idealnie przystrzyżona, wymagała teraz pielęgnacji.

— Gil, źle się czujesz?

Spojrzał na mnie. Próbował się uśmiechnąć na powitanie, ale zamiast tego w oczach zalśniły mu łzy. Nie mógł się powstrzymać. Broda mu się trzęsła, a łzy popłynęły potokiem.

— Przepraszam — mruknął, odwrócił się i pognął do swojego samochodu.

— Gil! — krzyknąłem za nim i zacząłem szybkim krokiem iść w jego kierunku. Nerwowo szukał odpowiedniego klucza.

Zauważył, że idę.

— Odejdź! — zawołał.

Zupełnie mnie zaskoczył. Stałem jak wryty.

— Nie możesz mi pomóc — powiedział bardziej normalnym tonem.

Zanim zdążyłem zaprotestować, otworzył drzwi samochodu, wskoczył do środka i włączył silnik, a potem, zupełnie jak poprzedniej nocy, ruszył z piskiem opon z parkingu.

Wydawało mi się, że Gil się boi, a ja bałem się o niego, mimo że przed chwilą kazał mi iść do diabła. Przypadek? Może. Omal nie straciłem życia, przypisując dotychczasowe wydarzenia przypadkowi, ale to dość często używany wyraz, a ja przecież nie mogłem Gilowi w niczym zagrażać. Co mogło go doprowadzić do takiego stanu? Nie wiedziałem, co robić. Lekarze, którzy zapadali na jakąś chorobę, nieważne czy fizyczną, czy umysłową, cierpieli z dwóch powodów, po pierwsze dlatego, że nie znali jej przyczyn, a po drugie dlatego, że byli idiotami i odmawiali przyjęcia pomocy.

Fernandez potrzebował pomocnej dłoni. Nie wiedziałem jednak, do kogo się zwrócić. Istniała między nami lekarzami jakaś niewidzialna bariera, mimo że pracowaliśmy razem od lat. W dziwny sposób izolowaliśmy się od siebie. Zastanawiałem się, czy Gil jest żonaty. Chyba tak, ale nie wiedziałem na

bliższych znajomych. Pewnie nie w szpitalu. Ordynatorzy raczej nie mają kolegów w miejscu pracy.

Odwrociłem się w stronę budynku. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zacząłem obawiać się niektórych ludzi, ale nie Fernandeza.

Na oddziale recepcjonistki i pielęgniarki powitały mnie z uśmiechem i ucieszyły się, że nic mi nie jest.

Popovitch i Sylvia Green podeszli do mnie i zaczęli obmacywać mi kości.

— Może powinniśmy go prześwietlić?

— Nie, lepiej dajmy spokój, może się wykończy.

— Właściwie to chyba masz rację, ale ja biorę jego samochód.

— Do pracy, konowały — powiedziałem i już w lepszym nastroju ruszyłem do mego gabinetu.

Dobry nastrój nie trwał jednak długo. Carole zamknęła drzwi na klucz, tak jak jej kazałem. Otworzyłem, wszystko wyglądało po staremu, ale jej nie było w środku. Jedynym dowodem włamania była płyta pilśniowa wstawiona w okno. Zmartwiły mnie wiadomości na skrawkach papieru, które znalazłem na moim biurku. Pierwsza była od Buforta. Nie marnował czasu, od kiedy przestał mnie traktować jako głównego podejrzanego. Teraz zawziął się na pozostałych pracowników oddziału.

„Szczegółowe przesłuchanie wszystkich lekarzy z pańskiego oddziału zacznie się jutro. Potrzebujemy do tego celu niewielkiego pokoju tuż przy izbie przyjęć. Moja sekretarka ustali grafik wizyt z pańską sekretarką”.

Żadnych grzeczności typu: „Czy mógłby pan...” albo „kiedy będzie panu wygodniej...”. Po prostu zwyczajnie: „Zaczynamy jutro...”. Coś strasznego! Najpierw moi ludzie dostali wezwania do sądu, a teraz będą przesłuchiwać jako podejrzeni w sprawie o morderstwo. Co jeszcze miało im się przytrafić w najbliższym czasie?

Odpowiedź kryła się w drugiej wiadomości. Pochodziła od

184

domniemanego partnera łóżkowego pani Jones, Jamesa Todda. napisana była odręcznie, pospiesznie i niedbale, na odwrocie formularza historii choroby.

Szanowny Doktorze Gamet!

Miałem dziś rano scysję z doktorem Kradikiem, kiedy prosiłem go, by do pana

zadzwoił. Wrzeszczał na mnie w obecności całego personelu i stażystów. To było bardzo nieprzyjemne. Proszę, żeby pan do mnie zatelefonował natychmiast po przeczytaniu tej informacji. I tak nie będę w stanie już dziś zasnąć. Nie wiem, czy będę mógł jeszcze pracować z doktorem Kradikiem.

Jim Todd

Zupełnie o tym zapomniałem. Początek dzisiejszego dnia wydawał mi się odległym w czasie wydarzeniem, niezwiązanym w żaden sposób z teraźniejszością.

Najwyraźniej Todd przekazał Kradicowi wiadomość, że prosiłem go o telefon, i oberwało mu się za nic. Zastanawiałem się, czy biedny stażysta wspomniał, że pytałem go o ćwiczenia z igłą doser-cową na trupach ludzi bezdomnych. Może i zachował się głupio, wiążąc się z Jones, ale nie zasłużył sobie na taką burę. W obecnej sytuacji brakowało mi tylko tego, żebym musiał szukać zastępstwa za stażystę, nawet takiego, który sypia ze swoją przełożoną.

Szybko wystukałem napisany przez Todda numer telefonu i przy każdym naciśnięciu przeklinałem Kradica.

Todd odebrał natychmiast.

— Mówi doktor Todd.

— Garnet z tej strony. Przykro mi, że nie mogłem do pana wcześniej zadzwonić, ale dopiero przed chwilą dotarłem do biura. Jaki problem miał pan rano z doktorem Kradikiem?

— To było dość nieprzyjemne, doktorze Garnet, i bardzo ranie zaskoczyło.

— Co się stało? —| zapytałem łagodnym tonem. Nawet przez telefon słyszałem, z jakim wysiłkiem mówił. Jeg° S

185

był przynajmniej o pół oktawy wyższy niż zwykle. Kiedy stażysta skarży się na lekarza etatowego, to poważna sprawa.

— No cóż, nie byłoby pewnie aż tak źle, gdyby doktor Jones nie zrobiła z tego afery.

Jego głos był już wyższy o całą oktawę.

— Doktor Jones? — powtórzyłem, próbując przybrać spokojny ton.

— Tak — odparł, jakby trochę mniej nerwowo, ale ze złością. — Kiedy zaczęło się przekazywanie pacjentów, odwróciła się do mnie i powiedziała: „Doktor Gamet

prosił, żebym ci przypomniała, że masz coś powiedzieć doktorowi Kradicowi". No cóż, wszyscy wiemy, jak tych dwoje się nie znosi, może dlatego, że oboje są tak dobrymi lekarzami. Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że Kradic natychmiast się nastroszył, jeszcze zanim mu powiedziałem, że pan telefonował. — Todd cedził słowa ze złością. Cokolwiek przykrego i poniżającego powiedział mu Kradic, Todd był chyba znacznie bardziej wściekły na Jones za to, że napuściła na niego doktora Kradica.

Niech ją szlag. W statystyce szpitalnych kłótni ona stała najwyżej, ale przy Kradicu zachowywała się najgorzej. Zawsze znienacka zadawała mu ciosy, a on, zaskoczony, bronił się agresją. Jej strategia polegała na tym, że robiła wszystko, by go zdyskredytować w moich oczach, lecz tym razem wykorzystała do tego celu stażystę. Pewnie nawet nie wiedziała, po co chciałem się z nim skontaktować, ale skorzystała z okazji, żeby go rozwścieczyć. Kradic zresztą nie był wcale lepszy. Zachowywali się jak dwa kocury. Nawet kiedy ich rozdzielono, szukali się nawzajem, żeby znów walczyć. A jednak wciągnięcie w to Todda było z jej strony przesadą, zwłaszcza że z nim sypiała.

— Przykro mi, doktorze Todd. Zapewniam pana, że porozmawiam z obojgiem o ich zachowaniu.

— Obawiam się, że to nie wszystko, doktorze Garnet. Co znowu?

— Niech pan mówi — zachęcałem go, starając się panować nad sobą.

— Kiedy poprosiłem doktora Kradica, żeby do pana za-

186

dzwonił, od razu zapytał mnie dlaczego. Wspomniałem o igłach dosercowych i ćwiczeniach na bezdomnych, a on dosłownie wybuchł. Krzyczał, że próbuje pan przypisać mu zabójstwo Kingsly'ego, że chce pan zrobić z niego kozła ofiarnego.

— Skąd wiedział o igle w sercu Kingsly'ego? — przerwałem mu. Do tej pory Bufortowi udało się utrzymać ten szczegół w tajemnicy. Jak dotąd nie był jeszcze tematem plotek szpitalnych. Wiedzieli o tym tylko ordynatorzy i ściśle grono wtajemniczonych osób. Powiedziałem Carole i pani O'Hara, ale one chyba nic nie wypaplały.

Todd był zaskoczony moim pytaniem.

— Dziś rano ta informacja była w prasie. Nie czytał pan gazety?

Cholera! Dziennikarze szwendający się po szpitalu. Pociągnęli w końcu kogoś za

język. Spodziewałem się, że pismaki wcześniej czy później dowiedzą się o wszystkich pikantnych szczegółach, ale miałem nadzieję, że Hurst i Bufort trochę dłużej będą w stanie utrzymać tę sprawę w tajemnicy. Potem przypomniało mi się, że powiedziałem o tym Żakowi. Kto wie, komu powiedzieli inni ordynatorzy?

— Nie mamy z żoną czasu na poranną prasę — odparłem niepewnie.

— W każdym razie — ciągnął z ulgą, najwyraźniej zadowolony, że może z siebie zrzucić te wszystkie brudy, którymi go dziś obrzucono — doktor Popovitch był bardzo zaniepokojony jego zachowaniem i pobiegł za nim, ale go nie znalazł. Doktor Popovitch ostro skrytykował zachowanie pani doktor Jones przy stażystach i kazał jej trzymać swoje rozgrywki z Kradikiem z dala od naszego oddziału. Co najdziwniejsze, doktor Jones czuła się po wszystkim parszywie. Sam pan wie, jak lubi drażnić Kradica, lecz nawet ona uznała, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Pobladła i na chwilę znikła. Chyba była w toalecie i wymiotowała. Po powrocie poprosiła Popo-vitcha, żeby ją zastąpił, bo musi się położyć w pokoju lekarzy. Dopiero po godzinie wróciła do siebie.

Kiedy mówił o Jones, głos mu złagodniał, obniżył się. Ciekaw byłem, czy próbuje znaleźć wytłumaczenie na jej

187

niedopuszczalne zachowanie. Pewnie uznał to za bezmyślną pomyłkę, próbował sobie tłumaczyć, że niechcący posunęła się za daleko, a to już na pewno był w stanie wybaczyć, zwłaszcza że w ten sposób nie pozbawiłby się seksu. Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli każę Jones trzymać się od niego z daleka, zrobię mu większą przysługę, niż mogłem przypuszczać, bo jego samego nie stać na zerwanie tego związku.

Szybko, gasząc w sobie chęć bronienia tej niezbyt niewinnej owieczki, powiedziałem:

— Zajmę się tymi brudami. Nie będą już pana więcej niepokoiли.

Zamilkł na kilka sekund.

— To dobrze — odparł zrezygnowany.

— Niech się pan wyśpi — życzyłem mu, kończąc rozmowę. — Zobaczymy się dziś wieczorem. Do tego czasu rozprawię się z Jones i Kradikiem.

Odwiesiłem słuchawkę i znów zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem zwolnić tych dwoje. Do tej pory przymykałem oko na ich zachowanie, z uwagi na

profesjonalizm, doskonałe rezultaty, gotowość do pracy w weekendy i w nocy, czyli na tych zmianach, których nikt nie chciał brać. Niechętnie przyznałem sam przed sobą, że bez ich umiejętności i mobilności mielibyśmy na oddziale poważne kłopoty. W rezultacie, choć obawiałem się toczącej się między nimi walki, podziwiałem jednocześnie cudowne umiejętności w przywracaniu do życia, co stosunkowo często im się udawało, i niezłomne pokonywanie barier ludzkich możliwości. Doceniałem fakt, że niejednokrotnie wyręczali mnie w pełnieniu dyżurów, które musiałbym przepracować sam, gdyby nie zgodzili się przyjść do pracy. Większość z tych niechcianych przez nikogo dyżurów stanowiły noce, zwłaszcza podczas świąt. Wiedziałem też, że nie ma chętnych na ich zmianę, zwłaszcza przy takiej liczbie godzin dyżurów. W zamian za ich poświęcenie postanawiałem jakoś wytrzymać z nimi i nie podcinać im skrzydeł. Ale czy jeszcze było warto?

Zgniotłem kartkę od Jamesa Todda i ze złością wyrzuciłem ją do kosza.

188

Dawniej załatwianie takich spraw było moim największym problemem personalnym. Teraz siedziałem w biurze i zastanawiałem się, czy po kłótni z Jones Kradic nie wyszedł ze szpitala, żeby pojechać pod mój dom i mnie zabić.

— Zatrzymanie akcji serca — wrzasnął nasz nowy stażysta.

Wpadł w panikę. Kiedy godzinę temu wyszedłem ze swego gabinetu, wziąłem się do leczenia pacjentów, żeby przestać myśleć o tym, kto chciał mnie zabić. Z powodu wilgotnego, chłodnego płaszcza mgły, rozciągającego się nad całym Buffalo, mieliśmy nawał pacjentów z problemami z oddychaniem. Wykorzystałem wolną chwilę, by nauczyć czegoś stażystów.

Kobieta na noszach patrzyła na nas z rozpaczą w oczach, szukając pomocy. Powietrze nie dochodziło do płuc przez oskrzela. Nie mogła oddychać. Klatka piersiowa podnosiła się i opadała. Nie mogła nawet mówić. Szarpała dłońmi swoje ubranie i pojękiwała ze strachu. Żółte od nikotyny palce i zagięte paznokcie, które nazywaliśmy szponami, wyraźnie wskazywały na ostatnie stadium rozedmy płuc. Długie lata palenia papierosów kończyły się w kilka rozpaczliwych sekund.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytałem rozkazującym tonem, żeby pobudzić stażystę do działania.

— Ventolin?

— Dobra odpowiedź, ale na ventolin już jest za późno. Ona ma zablokowane oskrzela, potrzebuje tlenu.

— Nie odrzuci rury, jeśli spróbujemy, zanim ustanie akcja serca?

— Dobre pytanie, ale ja wolałbym uniknąć zapaści i pomóc jej oddychać. Zaintubujemy ją, zanim przestanie jej bić serce. Przygotuj sprzęt.

Z ulgą zabrał się do czegoś, co doskonale już wyćwiczył. Wiedziałem, że przeniósł się do nas z anestezjologii.

Susanne spojrzała, co robimy, i natychmiast przygotowała strzykawkę z pancuronium, succinylcholiną i ketaminą. Nasza Pacjentka tylko poruszała ustami, jak wyrzucona na brzeg ryba. Miała już podłączoną kroplówkę.

189

Mówiłem głośno, co robię, żeby pomóc stażystce zorientować się we wszystkim.

— Najpierw trzeba podać dawkę krótko działającej substancji kuraropodobnej, żeby powstrzymać drganie pęczkowe mięśni, zanim ją zupełnie porażymy.

Wstrzyknąłem pancuronium.

— Nigdy nie paraliżuj pacjenta, dopóki mu nie podasz czegoś na rozluźnienie. Chociaż nie może oddychać ani się poruszać, jest wciąż przytomna, inaczej mówiąc, żywy trup. Na pewno jest przerażona. W tym celu podamy ketaminę.

Wstrzyknąłem.

Zaczęliśmy sztuczne oddychanie jeszcze przed intubacją.

— Działa ona uspokajająco, znosi uczucie bólu i rozszerza oskrzela. Dajmy jej czas, żeby zadziałała. Teraz ją porażymy — powiedziałem i wstrzyknąłem succinylcholinę.

Po kilku drganiach, złagodzonych przez pancuronium, kobieta leżała spokojnie, nie mogąc poruszyć żadnym mięśniem, nawet przeponą. Nie mieliśmy innego wyjścia poza intubowanie, bo inaczej by zmarła.

— Pacjentka do pana dyspozycji, doktorze — powiedziałem i odsunąłem się, pozwalając mu intubować. Biorąc pod uwagę jego dotychczasowe doświadczenie na innym oddziale, na pewno sobie z tym poradzi, pomyślałem. Ale stażysty z anestezjologii, którzy zdobywali doświadczenie podczas operacji, byli przyzwyczajeni do powolnej, spokojnej, rutynowej pracy. Tutaj musieliśmy sobie poradzić z takim samym zabiegiem znacznie szybciej i w gorszych warunkach.

Podszedł i ułożył głowę chorej. Trzykrotnie wtoczyłem w jej płuca powietrze za pomocą maski z workiem. Odłożyłem maskę. Stażysta otworzył usta chorej prawą

dłonią, a lewą włożył laryngoskop. Zagiętym końcem ze światełkiem odgiął język kobiety i oświetlił struny głosowe, przez które miał wetknąć rurkę do tchawicy. Pielęgniarki przycichły. Stażysta poprawił oświetlenie gardła.

— Dobrze pan widzi struny głosowe? — zapytałem, by potwierdzić rutynowe czynności.

— Tak. — Wziął rurkę do intubacji dotchawicznej prawą dłonią i włożył jej koniec do ust pacjentki, nad językiem,

190

i przesunął tuż obok laryngoskopu. Zatrzymał rękę, kiedy koniec rurki wszedł w niewielki otwór prowadzący do tchawicy. — Już! — obwieścił.

Pielęgniarki znów zaczęły rozmawiać.

Przymocował worek do rurki, nacisnął kilka razy, wpuszczając do płuc powietrze, i nasłuchiwał, czy dociera do środka.

— Powietrze jest w płucach! — rzucił, jakby sam był zaskoczony sukcesem zabiegu.

— Oczywiście, doktorze, dobra robota.

Wiedziałem, że po tej pacjentce nabierze pewności siebie. Respiratory przestaną go przerażać.

Wlaliśmy do rurki ventolin, a przez kroplówkę podaliśmy sterydy, które miały zmniejszyć stopień zapalenia oskrzeli. Potem zajęliśmy się załatwianiem przeniesienia na intensywną terapię. Pozwoliłem, by stażysta zajął się wentylacją chorej i przekazał pacjentkę na górę. Z radością i dumą szedł obok uratowanej kobiety, która powoli nabierała kolorów.

Nigdy wcześniej nie przyszłoby mi nawet do głowy, że będę przychodził na oddział, żeby przy pacjentach odprężyć się i odpocząć.

Po raz pierwszy na zebranie przyszli wszyscy, pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie było zebrania z powodu pozwu do sądu. Nawet Sylvia Green, która miała właśnie dyżur, wpadła na chwilę do sali posiedzeń. Siedziała obok telefonu, gotowa biec w każdej chwili na oddział. Poprosiłem Carole, żeby przeprowadziła dwie ważne rozmowy telefoniczne: z Kradi-kiem, który nareszcie położył słuchawkę na widełkach, i z doktor Jones. Przekazała im moje polecenie o konieczności przyjścia na zebranie. Zjawili się posępni, nieprzystępni. Siedzieli po przeciwnych stronach stołu. Jones unikała mego wzroku. Kradic udawał, że nie zwraca na mnie uwagi. W końcu poczuł, że go obserwuję, i odwrócił się rozdrażniony, ale się nie spieszyłem, bo

on zawsze patrzył na mnie tak, jakbym go denerwował.

Najpierw rzucono kilka zabawnych uwag na temat mojego wypadku, jak to zwykle w pracy.

191

— Nie dało się inaczej załatwić zwolnienia?

— Jak wyglądał ten drugi samochód?

Najwyraźniej nikt prócz mordercy nie wiedział, że to nie był zwykły wypadek. Żarty się skończyły, kiedy wspomniałem o wezwaniu do sądu.

— Przejdziemy do tego punktu później. Najpierw chciałbym porozmawiać o morderstwie Kingsly'ego. Tym wszystkim, którzy nie mają najświeższych informacji, powtarzam, że znaleźliśmy go w poniedziałek rano. Ktoś zabił go za pomocą igły dosercowej. Nie wiadomo, z jakiego powodu. — Zamilkłem na chwilę. — Ze względu na sposób, w jaki go zamordowano, wszyscy, którzy potrafią wprowadzać igłę do serca, są podejrzani. Każdy zostanie przesłuchany. Policja zjawi się na oddziale jutro.

Na sali dało się słyszeć więcej głosów zdziwienia niż oburzenia.

— Chyba żartują.

— To bez sensu.

— Chryste!

Skinąłem, żeby się uciszeli.

— Wiem, zgadzam się z wami, ale dopóki nie znajdą jakiegoś śladu prowadzącego do wykrycia mordercy, lepiej uważajcie. Jeśli zdarzy się coś niezwykłego, musicie natychmiast poinformować mnie.

Początkowe oburzenie zmieniło się w wyraźny opór.

— Nie chodzi mi o to, żebyście zaczęli szpiegować kolegów. Nic podobnego. Musimy przecież wszyscy pamiętać o tym, że kiedy to się nareszcie skończy, my dalej będziemy razem pracować i mam nadzieję, że nadal będziemy sobie nawzajem ufali.

Moja próba nadania temu szerszego wymiaru brzmiała nie-przekonywająco. Spróbowałem im to wytłumaczyć dokładniej.

— Posłuchajcie, co mam na myśli. W ten poniedziałek znaleziono na ulicy bezdomnego. Nie żył już od jakiegoś czasu. Przywieziono go na nasz oddział. W karcie nie wpisano żadnej próby resuscytacji, a sekcja zwłok wykazała, że ktoś wprowadzał mu do serca igłę. Czy ktoś na naszym oddziale przeprowadzał ćwiczenia z igłą dosercową?

192

Zadałem to pytanie, patrząc prosto na Kradica. Przełknął ślinę, a potem spojrzął nerwowo w dół. Pozostałe osoby na sali odpowiedziały: „nie” lub kiwały przecząco głową. Wszyscy, z wyjątkiem Jones. Ona siedziała, wpatrując się w środek stołu.

— Doktor Jones? — zapytałem głośno, by zwrócić na siebie jej uwagę.

— Ja też nie — odparła niechętnie, nie patrząc nawet na mnie.

Odwrociłem się do Kradica.

— A ty, Albercie?

Uniósł gwałtownie głowę. Wyglądał na zaskoczonego, ale może dlatego, że zwróciłem się do niego po imieniu, co nieczęsto się zdarzało.

— Oczywiście, że nie — skrzywił się i z jeszcze większą niechęcią dodał: — Nie rozumiem, po co właściwie pan o to pyta.

— Jak już wspominałem, podczas autopsji bezdomnej ofiary znaleziono ślad po użyciu igły dosercowej, a nie ma żadnego zapisu o resuscytacji. A ponieważ w żaden logiczny sposób nie możemy wyjaśnić, skąd wzięło się to wkłucie, musimy przypuszczać, że to również było morderstwo, tak jak w wypadku Kingsly'ego.

Kradic wyglądał na przestraszonego. Inni siedzący przy stole wyrazili zaskoczenie.

— Jeszcze jeden?

— Dobry Boże!

— Co tu się, do diabła, dzieje?

Ja zaś wpatrywałem się w Kradica. Teraz był jeszcze bardziej wściekły. Pochylił się i zwrócił się do mnie, przekrzykując innych.

— Sugeruje pan, że gliny o to też nas podejrzewają? — zapytał podniesionym głosem.

Wszyscy lekarze ucichli.

— Ostrzegalem was juz. Jutro policja rozpoczyna przeslychania w sprawie morderstwa Kingsly'ego. Nie wiem, co planuja w sprawie bezdomnego.

Kradic byl czerwony jak burak.

— Jezu Chryste! Jesteśmy jak zwierzęta w potrzasku! —

193

mówił i stukał palcem wskazującym w stół. — Nie wiem jak pozostali, lecz ja zatrudnię adwokata! — Wstał z krzesła i tym samym palcem, którym przed chwilą stukał w stół, wskazał teraz mnie. — A pan im pozwala na nas polować jak na zwierzynę!

Potem usiadł z powrotem i uciszył się.

Jego oskarzenie zawisło w powietrzu. Zaległa cisza. Niektórzy patrzyli na mnie wyraźnie zdenerwowani, a inni bali się spojrzeć mi w oczy.

Miałem sucho w ustach, kiedy zacząłem mówić.

— Nie muszę wam chyba przypominać, że to bardzo poważna sprawa. Może każdy z was powinien zasięgnąć porady prawnej, zanim zaczniecie rozmawiać z policją.

Nikt się nie odezwał, ale tym razem nikt na mnie nie patrzył, z wyjątkiem Popovitcha. Uśmiechnął się smutno i próbował mi pomóc.

— Przepraszam — zaczął mówić i wzrok wszystkich spoczął na nim — lecz zdaje mi się, że doktor Gamet nie jest w stanie zmienić tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni. Policja szuka mordercy i dopóki nie znajdzie, cały nasz oddział oraz kilku pojedynczych lekarzy w tym szpitalu będzie pod baczna obserwacją. Może to nie jest w porządku i na pewno nie wpłynie pozytywnie na naszą pracę, ale nic na to nie możemy poradzić. — Rozejrzał się dookoła, spoglądając na twarze kolegów, a potem dodał surowo: — Nie możemy winić osoby, która przekazuje nam informacje, i nalegam, byście wszyscy odcięli się od niczym nieusprawiedliwionego wybuchu złości doktora Kradica.

Większość szybko przeszła na jego stronę, lecz kilka osób w dalszym ciągu zdradzało zaniepokojenie. Jones wykrzywiła się na Popovitcha, pewnie wciąż była na niego wściekła za głośną, publiczną naganę, jakiej udzielił jej rano. Zwróciłem się do niego.

— Dziękuję, Michael, a teraz przejdźmy do tego absurdalnego pozwu.

Opowiedziałem im, jaki mam plan, ale chyba większość z nich wątpiła, że uda mi się

go przeprowadzić. A ja wciąż nie miałem pojęcia, kto próbuje mnie zabić.

194

Kiedy wróciłem wieczorem do domu, miałem wrażenie, że dotarłem na obóz harcerski, a nie do miejsca, gdzie usiłowano popełnić zbrodnię. Podjeżdżając, zorientowałem się, że w domu są ludzie Douga, gdyż przed budynkiem parkowało kilka półciężarówek. Wszedłem do kuchni i poczułem zapach ciepłej pizzy.

— Witamy, panie doktorze — usłyszałem chór męskich głosów.

Ktoś otworzył lodówkę. Była pełna piwa. Podano mi puszkę. Zdaje się, że Doug nakazał swoim pracownikom dbać przede wszystkim o mój dobry nastrój.

Kilku z nich pamiętałem z prac renowacyjnych w chacie na wsi. Pozostali przedstawili się i przywitali wesoło. Pomyślałem, że Doug to świetny facet. Wielu z nich miało rodziny, które musieli na dziś wieczór porzucić, żeby się mną zająć. Powitano mnie ciepło. Pochlebiali mi to.

— Dzięki, chłopaki.

— Hej, nie ma sprawy. Cała przyjemność po naszej stronie. Cieszymy się, że się panu nic nie stało.

Doug zaprosił nas do salonu. Okazało się, że kupił nowy telewizor z dużym ekranem i podłączył go do wciąż działającego wideo. Nacisnął guzik „play”. Zaczęła się „Casablanca”, biało-czarna, oryginalna wersja filmu o miłości i chwale. To był mój ulubiony film.

— Skąd wiedziałeś?

Odpowiedzią był uśmiech zadowolenia. Na pewno zatelefonował do Janet.

— No, doktorku, siadaj. Już zaczęliśmy. Teraz będzie fragment, w którym on mówi: „Ze wszystkich spelunek w mieście i na całym świecie musiała wejść akurat do mojej”.

Usiadłem. Widziałem sławną, niezbyt przystojną twarz, która spoglądała na mnie z ekranu, i zrobiło mi się raźniej. Poczułem się jak w niebie.

Było już po północy, kiedy z porodówki zadzwoniła do mnie Janet.

— Jak ci się mieszka? — zapytała.

— Lepiej by mi było z tobą.

— Kłamczuch.

195

— Dobrze się czujesz?

— Tak, a ty?

— Poczuję się lepiej, kiedy wszystko wróci do normy.

— Jak tam Muffy?

— Po drodze z pracy wpadłem do lecznicy. Jest na środkach uspokajających, ale ciśnienie i wyniki moczu są coraz lepsze. Zostawiłem jej jedną z naszych poduszek. Nie obudziła się, kiedy tam byłem, ale jeśli w ogóle się obudzi, pozna nasz zapach na poduszce.

— Jutro rano ją odwiedzę. Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc, Janet. Kocham cię.

Rozdział 11

Hurst rozpoczął zebranie punkt siódma. Prawie wszyscy wezwani byli obecni. Nie zaskoczyło mnie to specjalnie. Z ulgą stwierdziłem, że pojawił się na nim również Gil Fernandez. Wykąpał się, ostrzygł brodę, ale wciąż był przybity, a chustka w jego butonierce była mniej nastroszona niż zwykle.

Obok niego siedziała policjantka w mundurze. Na kolanach miała maszynę do stenografowania. Po drugiej stronie stołu siedział drugi umundurowany policjant, który również miał przed sobą stenograf. Zajął miejsce między Bufortem a Rileyem. Wokół Buforta leżało chyba z tuzin skoroszytów, a na podłodze przy jego krześle stały dwie walizki.

Usiadłem obok Wattsa. Pochylił się do mnie i szepnął:

— Jeśli to są wyniki finansowe, morderstwo będzie rozpatrywane jako zabójstwo w obronie własnej.

Hurst wstał, odchrząknął, a my ucichliśmy.

— To nadzwyczajne zebranie zostało zwołane na prośbę detektywa Buforta, chciałbym jednak zabrać głos i przypomnieć państwu, że szpital wciąż jest pod nadzorem policji i nie wolno nikomu rozmawiać o szczegółach dotyczących śmierci pana Kingsly'ego. Ta wielka tragedia wystarczająco nami wstrząsnęła. Nie potrzebujemy dodatkowo rozgłosu w prasie. — Powoli odwracał głowę i wzrokiem

przebiegł po wszystkich zebranych. Byłem przekonany, że chodziło mu bardziej o złą prasę działań

197

policyjnych niż o wpływ przecieku na pracę Buforta. — Tym z państwa, których to zainteresuje, chciałbym przypomnieć, że msza za pana Kingsly'ego odbędzie się w poniedziałek o pierwszej w kaplicy szpitalnej.

Niektórzy ordynatorzy skinęli głowami, żeby dać do zrozumienia, iż przyjęli to do wiadomości. Ze smutkiem pomyślałem, jak niewielu z nich pojawi się w kaplicy. Hurst usiadł i skinął na Buforta.

Ten siedział bez ruchu przez kilka sekund, jakby czekał, aż niepodzielnie skupimy na nim naszą uwagę. Dwoje umundurowanych policjantów wzięło pióra i przygotowało się do pisania. Nawet Riley wyjął swój notes.

— W sprawach o zabójstwo pierwszą zasadą jest to, że ślady i dowody, znalezione w ciągu kilku godzin po zabójstwie, są najważniejsze. Potem trop się urywa — powiedział z napięciem w głosie. Zaskoczyły mnie głębokie cienie pod jego oczyma. Nie byłem już głównym podejrzanym. Ciekawiło mnie to, czy miał wrażenie, że śledztwo wymyka mu się z rąk. — Na początku śledztwa wszystko szło dość dobrze — ciągnął. — Odkryliśmy prawdopodobny motyw zabójstwa Kingsly'ego i skupiliśmy się na kilku podejrzanych. — Spojrzał szybko na mnie, a potem mówił dalej: — Ale ostatnie wydarzenia, o większości których poinformowano nas dopiero przedwczoraj — zmarszczył brwi i spojrzał na Wattsa — sprawiły, że konieczne stało się rozszerzenie obszaru śledztwa. Rzadko zdarza nam się zwoływać tego typu zebrania, lecz jestem zmuszony przeprowadzić je, by nadgonić stracony czas. Mam nadzieję, że po zapoznaniu się z dotychczasowymi faktami niektórzy z was zrozumieją, że mają informacje czy przypuszczenia, które pomogą nam znaleźć mordercę pana Kingsly'ego.

A niech to. Był zdesperowany. Chyba znów znajdował się w punkcie wyjścia. Potem zauważyłem coś dziwnego. Kiedy Bufort mówił, żaden z jego współpracowników na niego nie patrzył. Riley i dwójka policjantów w mundurach obserwowali uważnie ludzi siedzących przy stole.

Bufort wstał.

— Jednym z tropów, który miał nas doprowadzić do poznania mordercy Kingsly'ego, były jego sprawy zawodowe.

198

pozostałe, takie jak: życie osobiste i powiązania, które miał poza szpitalem, nie zaprowadziły nas daleko. Poza tym, o czym już pewnie wszyscy wiedzą, sposób, w jaki go zabito, sugeruje, że zrobił to ktoś ze szpitala, i to ktoś o specjalistycznym przygotowaniu.

Hurst zaczął się kręcić. Ciekaw byłem, czy Bufort pytał go o umiejętność wprowadzania igły dosercowej. Policjant, siedzący naprzeciw Hursta, obserwował go przez chwilę, a potem zaczął coś pisać w notesie.

— Z ksiąg rachunkowych szpitala — ciągnął Bufort — dowiedzieliśmy się tego, co wszyscy w szpitalu dawno wiedzieli: finanse są w fatalnym stanie. Każdy oddział jest zadłużony. Nikt nie wie, kto właściwie kontrolował wydatki szpitala. Jak dotąd jedni ludzie wypełniali formularze na potrzebny sprzęt, odczynniki i leki, a inni wypełniali zamówienia dla dostawców. Nikt nie wie, dlaczego wybrany został taki a nie inny dostawca. Chyba nikt nie sprawdzał, czy istniała możliwość zakupienia rzeczy taniej lub lepszej jakości.

Przerwał. Jego słowa zaczęło powtarzać całe grono zebranych. Wszyscy byli jednakowo zaskoczeni. To, co powiedział, przypominało omawianie spraw finansowych na posiedzeniu zarządu, a nie śledztwo w sprawie morderstwa. Riley wraz z dwoma kolegami obserwowali — każdy inną — część stołu, przy którym siedzieli ordynatorzy. Hurst zaczął się mocniej kręcić.

— W budżecie szpitala brak stu dwudziestu milionów dolarów. To dużo, nawet jak na taki zakład pracy. Kingsly i dyrektor do spraw finansowych pan Thomas Laverty samodzielnie kontrolowali budżet.

Wszyscy rozejrzeli się dookoła. Laverty'ego nie było wśród nas. Policjanci obserwowali twarze zebranych, a ja znów zauważyłem, że skrzętnie zapisują nasze reakcje.

— Okazji do defraudacji jest wiele — kontynuował wypowiedź i zaczął zwyczajem policyjnych przesłuchań chodzić za krzesłami Rileya i drugiego policjanta. — Z czasem pan Kingsly był coraz bardziej... powiedzmy, nie w pełni władz umysłowych. Urzędnicy z działu finansowego wysyłali czek, by pokryć przychodzące rachunki. Zadłużali szpital, ale dlaczego nie

199

mieliby tego robić? Przecież wiele szpitali jest dzisiaj zadłużonych. Banki pobierały odsetki od pożyczek, a kredyty dla placówek opieki zdrowotnej to dojna krowa dla bankowców, więc nie narzekali. Pod koniec roku jest deficyt. Zarząd krzyczy, a potem przegłosowuje pożyczanie pieniędzy, by spłacić odsetki, nieuregulowane

rachunki i jeszcze bardziej zadłużyć szpital. Bank ma teraz odsetki od odsetek, ale zakłada, że jeśli nawet szpital splajtuje, inny szpital go wykupi i pokryje długi. Więc na razie nikt nawet nie myśli o spłacie kredytu. Po pewnym czasie cały ten bałagan staje się codziennością i nikt nie przywiązuje do tego wagi. Przyzwyczajenie pozwala nam wierzyć naiwnie, że wszystko jest w porządku, a defraudacja wciąż trwa.

Wszyscy słuchali bez mrugnięcia. Hurst wyglądał, jakby miał zaraz mieć drugi atak serca. Pierwszy, dziesięć lat temu, był powodem jego odejścia z chirurgii. Zacisnął dłoń w pięści, zagryzał wargi. Pochyliłem się i złapałem go za rękę. Wyrwał się. Zauważyłem, że policjantka zapisała coś w notesie.

— Nie wiemy jeszcze wszystkiego — przemawiał Bu-fort — i nie skończyliśmy przeglądać dokumentacji wypłat dla pracowników, ale mamy już przykłady nadużyć. Pierwszą rzeczą, na jaką się natknęliśmy, były rachunki za grafiki i obrazy z Renaissance Art Galery. Ponad dwieście tysięcy dolarów. Opisano je jako sztukę użytkową, ale nikt nic na ten temat nie wie. Nie wiemy, dokąd powędrowały te dzieła. W domu Kingsly'ego nie ma po nich śladu. — Przestał mówić, popatrzył na zdziwionych słuchaczy i odczekał chwilę, nim podał następną nowinę. — W wydrukach z banku współpracującego ze szpitalem jest konto, na którym przez cały czas były przetrzymywane pieniądze. Zwróciliśmy na nie uwagę, bo inne konta są bez przerwy zadłużone. To konto, które nie jest opisane i nie wiemy, do czego służy, ma numer zero zero sześćdziesiąt siedem.

Wyszło szydło z worka. Ujawniono konto, bo wydało się podejrzanym dlatego, że jedynie na nim były jeszcze jakieś pieniądze.

Nie potrzebował już chwili ciszy, by wzmocnić dramatyzm swojej wypowiedzi. Milczeliśmy zaskoczeni tym, co nam

200

ujawnił. Przez te wszystkie lata znosiliśmy cięcia. Nawet sugestia, że wśród nas był złodziej, działała jak zapalnik. Wszyscy nagle wpadli w złość. Niektórzy wstawali, inni siedzieli i wpatrywali się w niego, a na ich twarzach pojawiło się najpierw niedowierzanie, które po chwili zmieniło się w oburzenie. Lekarze zaciskali dłoń w pięści. Riley i pozostali gliniarze wciąż notowali. Nazwiska? Reakcje? Brak reakcji? Sean pierwszy zdołał coś z siebie wykrztusić.

— Chce pan powiedzieć, że ta łazęga sprzeniewierzyła fundusze szpitala? — zapytał, z trudnością opanowując wściekłość, która pobrzmiwała w jego głosie.

Bufort najwyraźniej nie spodziewał się tak silnej reakcji. Sam był zaskoczony tym, co zobaczył.

— Jeszcze niewiele wiemy — powiedział ostrożnie — ale jeśli ktoś może nam pomóc w uzyskaniu informacji, prosimy o zgłoszenie się. Najbardziej interesuje nas, co to za konto o numerze zero zero sześćdziesiąt siedem.

Kiedy mój umysł znów zaczął funkcjonować, zapytałem:

— Jak pan sądzi, ile pieniędzy przechodziło przez to konto?

— Ponad milion dolarów rocznie — oświadczył bardzo wolno, jakby każde z tych słów mogło wybuchnąć.

Odwrociłem się do Hursta.

— To tyle samo, ile kosztuje nas sto łóżek. Wiedział pan o tym?

Trzymał się stołu tak mocno, że stawy dłoni mu pobielały. Pobladał również na twarzy.

— Oczywiście, że nie! Nie wierzyłem mu.

— Czy to właśnie dlatego tak się pan uparł na jak najszybsze zlikwidowanie deficytu i z tego powodu zarządził pan cięcia? Miał pan zamiar obciąć nam fundusze, żeby pokryć nadużycia Kingsly'ego?

Na dźwięk mego oskarżenia usta zaczęły drżeć mu tak mocno, że gdybyśmy byli sami, na pewno rzuciłby się na mnie bez wahania.

— Więc niech pan teraz przyjmie to do wiadomości, Hurst — powiedziałem, zanim się uspokoił na tyle, by móc mówić — pacjenci z mojego oddziału nie będą ofiarami, które

201

muszą zapłacić za to, żeby kryć martwy tyłek Kingsly'ego. Pański pozew może pan spuścić w toalecie.

Nie miałem na razie zamiaru tego użyć, ale teraz postanowiłem wyjąć z kieszeni płaszcz zwiniony w rulon wydruk. Faks z firmy prawniczej z Albany, współpracującej z naszą firmą ubezpieczeniową, głosił wszem wobec, że ich prawnicy nie dopuszczą do postawienia nas przed sądem. Przeczytałem najważniejszą część faksu wśród krzyków Hursta i protestów Carringtona i Wattsa, którzy kazali mu się zamknąć.

— Szczególnie wzbronione jest jakiegokolwiek działanie władz miasta lub szpitala, lub osoby prywatnej, zmierzające do zmuszenia lekarza do pracy w warunkach

zagrożających życiu i zdrowiu pacjentów oraz w warunkach, które nie odpowiadają standardom opieki zdrowotnej. Firma ubezpieczeniowa potępia długi czas oczekiwania na łóżko przez pacjentów oddziału nagłych wypadków. Oczekiwanie w takich warunkach zagraża zdrowiu, a nawet życiu, oraz zdecydowanie kłóci się ze standardami opieki zdrowotnej, które szpital ma obowiązek utrzymywać. Podstawowym warunkiem uchronienia lekarzy od błędów w sztuce lekarskiej jest przywrócenie odpowiednich warunków do pracy. Jakakolwiek zwłoka w ich przywróceniu w trybie natychmiastowym będzie miała swój skutek w anulowaniu umowy ubezpieczeniowej bez prawa do roszczeń. Prawdopodobieństwo kosztownych spraw w sądzie z powodu zaniedbań ze strony szpitala jest zbyt wielkie, a my odmawiamy poniesienia takiego ryzyka...

Wszyscy patrzyli teraz na mnie zupełnie ogłupiali. Nawet gliniarze nie wiedzieli, o co chodzi.

— Co to znaczy? — zapytał Sean.

— To znaczy, że jeśli szpital nie ma odpowiednio funkcjonującego oddziału nagłych wypadków, firma ubezpieczeniowa wycofa się z naszych ubezpieczeń od błędów w sztuce. Bez takiego ubezpieczenia, według naszego wewnętrznego prawa, lekarz nie może pracować.

— O rany!

— No, w końcu!

— Świetnie!

Głos Hursta zniknął w chóralnych wrzaskach ordynatorów.

202

— To ci się nie uda! — prychnął błąd na twarzy.

— Więc może to? — powiedziałem i podałem mu inny dokument.

Rozmowy ucichły. Wszystkie oczy zwróciły się na Hursta, który przeglądał kolejny dokument. Pewnie po przeczytaniu go spróbuje mnie poprosić o omówienie tego na osobności, żeby potem próbować załagodzić sprawę i obiecać mi, że nie polecą żadne głowy. Uniemożliwiłem mu to następnym zdaniem. Nie spuszczać wzroku z Hursta, powiedziałem głośno:

— Panowie, dokument okazany przeze mnie doktorowi Hurstowi mówi o tym, że nasza firma ubezpieczeniowa podejmuje się bronić każdego lekarza, pozwanego do sądu z powodu zamknięcia niebezpiecznego dla pacjentów oddziału nagłych

wypadków. Uznali, że taniej będzie bronić nas przed władzami szpitala i nie dopuścić do popełnienia niezawinionych błędów w sztuce, niż później za nie płacić. Mimo że będziemy musieli dokonać pewnych finansowych poświęceń, doktor Hurst i jego biurokraci raczej nie pójdą z nami do sądu, żeby nas zmusić do pracy w niebezpiecznych warunkach tylko po to, by wyczyścić księgi rachunkowe.

Teraz spojrzałem po kolegach. Cztery dni temu byli cicho. Nie zareagowali na likwidację łóżek i cięcia. Kilku z nich na pewno poparło pozwy do sądu.

Arnold Pinter próbował delikatnie złagodzić ich oburzenie.

— Nie sądzisz, że to nie jest temat odpowiedni na to zebranie? Powinieneś chyba zapomnieć o tym idiotycznym pomysle zamykania oddziału. Przecież...

— Zamknij się, Arnold! — wrzasnął Sean Carrington. — Ja podpisuję się pod tym i żądam wprowadzenia takich samych zasad na swoim oddziale.

Inni ordynatorzy przyszli z pomocą mnie i Carringtonowi.

— Tak.

— Zgoda.

— Brawo!

Kilku z nich poklepało mnie po plecach, gratulując posunięcia. Ich uśmiechy poprawiły nastrój, ale nie wszystkich.

Fernandez wpatrywał się w przestrzeń. Nie dawał żadnego znaku, świadczącego o tym, że wie, co się dzieje. Równie biały

203

na twarzy jak Hurst, wstał i zaczął iść w kierunku drzwi. Ze strachem dostrzegłem, że dłoń mu drży, kiedy sięgał do klamki. Chyba nikt na sali nie zauważył, że wychodzi, z wyjątkiem policjantki. Widziałem, jak obserwuje go i notuje coś skrzątnie.

Odwróciłem się z powrotem do stołu.

Saswaldowi właśnie przegrzewały się obwody, kiedy główkował, jak szybko zmienić opcję polityczną i jak zwykle wyjść na swoje.

Z przyjemnością zwróciłem na niego uwagę wszystkich.

— Z kim teraz trzymasz, Sas? Machał rękoma w powietrzu.

— No cóż, ja... oczywiście, muszę dokładnie omówić tę kwestię z moim personelem,

a potem ustosunkuję się...

— Daj sobie spokój, Sas. — Mam cię! Wiedziałem, że znęcanie się nad nim w obecnej sytuacji było raczej małostkowe, ale i tak byłem bardzo zadowolony z siebie.

Wyobraziłem sobie naklejkę na samochód z napisem: NIE HAMUJĘ NA WIDOK POLITYKÓW, JEŚLI NAWET UDAJĄ LEKARZY. WOLEĘ ZOBACZYĆ ICH MÓZG NA ASFALCIE. Potem przypomniało mi się, że sam o mało tak nie skończyłem, i trochę otrzeźwiałem. Odwróciłem się od mamroczącego coś jeszcze Saswalda i spojrzałem na Hursta.

— Czterdzieści osiem godzin, Hurst. Tyle masz czasu na przywrócenie tych cholernych łóżek. Potem zamykamy oddział.

Spojrzał na mnie, lecz nic nie powiedział. Patrzyłem mu prosto w oczy. Byłem pewien, że posunąłby się do zniszczenia szpitala, żeby ukryć aferę z Kingslym. Może był również w stanie zabić kogoś z tego powodu. Wydawało mi się, że przez ten spór o łóżka miał mnie teraz ochotę udusić.

Arnold z ponurą miną usiadł na krześle.

Riley przerwał chwilę mego triumfu cichym pokaszliwaniem i odwrócił się do Buforta, dając nam do zrozumienia, że powinniśmy zająć się tematem zebrania. Wszyscy usiedli przy stole, wciąż jeszcze mrucząc coś do siebie. Riley i dwoje policjantów w mundurach powrócili do obserwowania naszej grupy. Zdaje się, że nikt inny się nie zorientował, iż jesteśmy tak uważnie obserwowani.

204

— Przesłuchujemy właśnie dyrektora do spraw finansowych. To wyjaśniało nieobecność Laverty'ego.

— Nie jesteśmy jeszcze pewni, w jakim stopniu jest w to zamieszany. Nie wiemy również, czy te fakty doprowadziły bezpośrednio do śmierci waszego kolegi. Jesteśmy jednak przekonani, że mają z nią związek.

Zauważyłem, że policjant obserwujący Hursta znów coś zanotował. Ciekaw byłem, czy z powodu mojego wystąpienia Hurst będzie przesłuchiwany w sprawie próby zatuszowania nadużyć.

Bufort spokojnym tonem ujawnił następne odkrycie.

— Jak już wspominałem, dwa dni temu całkowicie zmieniliśmy tok myślenia i kierunek śledztwa. Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się od doktora Wattsa, że prawdopodobnie popełniono jeszcze jedno morderstwo za pomocą igły dosercowej.

Kiedy wszyscy westchnęli zaskoczeni, Watts skrzywił się, niezadowolony, że ujawniono jego nazwisko. Oparł się plecami o krzesło i zaplótł przed sobą ramiona.

Bufort spojrział na niego obojętnie.

— Martwy bezdomny człowiek, przywieziony na oddział nagłych wypadków, ma ślady po wkłuciu igły dosercowej. Próbuujemy znaleźć wyjaśnienie tego faktu, ale biorąc pod uwagę to, jak zginął pan Kingsly, musimy uwzględnić możliwość istnienia jakiegoś związku między tymi dwoma zabójstwami, choć jeszcze nie wiemy, co to może być.

Cisza wciąż trwała, póki nie dodał tego, czego najmniej bym sobie życzył.

— Wczoraj rano do domu i biura doktora Gameta dokonano włamania. On sam był celem zabójcy, który usiłował przejechać go samochodem.

Tym razem ja wpatrywałem się w stół. Usłyszałem głosy przerażenia i oburzenia.

— O Boże!

— To straszne!

— Mój Boże.

Poczułem, jak siedzący obok mnie Watts zeszywniał.

— Ten atak — wyjaśniał Bufort — nie był obliczony tylko na przestraszenie doktora, który ledwie uszedł z życiem. Znów

205

nie mamy pojęcia, jak to wydarzenie powiązać z morderstwem Kingsly'ego. Nawet sam doktor Gamet nie wie, dlaczego go zaatakowano.

Arnold i Saswald skinęli pospiesznie... pewnie zgadzając się z opinią Buforta, że ja nic nie wiem.

— Na razie — ciągnął Bufort — musimy założyć, że te nadzwyczajne wydarzenia są w jakiś sposób ze sobą powiązane. Proszę się ze mną skontaktować, jeśli komuś przyjdzie do głowy coś, co mogłoby nam pomóc. Proszę również wszystkich o nadzwyczajną ostrożność.

Kiedy zebranie się skończyło, Arnold i Saswald posłali mi spojrzenia pełne pogardy. Dawali do zrozumienia, że gdybym był ostrożniej szy, ominąłby mnie taki los. Oni nie mieli zamiaru popełniać tych samych błędów, które stały się moim udziałem. Tyle że nie wiedziałem, co takiego, do cholery, zrobiłem. Nadęte bubki.

Sean wstał, uścisnął mnie serdecznie i wyszedł. Kilku innych ordynatorów mruknięto słowa współczucia, kiedy odchodzili od stołu, ale wyraźnie czułem, że fakt, iż jestem w niebezpieczeństwie, powodował, że czuli się dość niepewnie. Rozzłościło mnie to i już miałem ochotę rzucić na głos, że to nie jest zaraźliwe, musiałem jednak przed samym sobą przyznać, że mają rację. Niezdrowo było przebywać w moim towarzystwie.

Kątem oka dostrzegłem, że Watts marszczy czoło. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, odwrócił się. Na jego opinii zależało mi najbardziej, ale teraz coś go chyba trapiło i najwyraźniej nie chciał mi o tym powiedzieć.

Rozdział 12

To był jeden z tych dni, kiedy słońce zaczyna znikać już o pierwszej. Mgła i niskie chmury otuliły miasto jak wata cukrowa. Nawet sensory w lampach ulicznych uznały, że światło dzienne jest niewystarczające. Jedne się włączyły, inne nie, a pozostałe mrugały niezdecydowanie. Wszystkie razem tworzyły dziwaczny wzór, jakby część miasta wykazywała oznaki życia, inna słabła, a pozostała zamierała.

Przebijające się przez mgłę i chmury światło słoneczne było jak przytłumiona poświata, taka jaką czasem widzimy we włączonym telewizorze, kiedy skończy się program. Domy, skromne prostopadłości, zbudowane jak najdalej od ulicy, były dziś prawie niewidoczne. Nieliczne samochody, przejeżdżające obok mnie, zdradzały tylko szum kół po asfalcie lub odgłos pracy silnika. Wyłaniały się z mgły równie nagle jak potem w niej nikły. Za każdym razem, kiedy pojawiał się taki odgłos, sztywniałem i schodziłem na chodnik, a potem próbowałem otrząsnąć się i odprężyć.

Nie dla relaksu poszedłem na spacer, a przynajmniej nie do końca z tego powodu. Gdzieś w głębi duszy denerwowało mnie, że nie mogę dorwać tego padalca bez twarzy. Niejasne uczucie nie pozwalało mi skupić się na pracy. Próbowałem od rana kilku sprawdzonych metod, które miały mi pomóc przestać o tym myśleć. Po jakimś czasie czułem się jak aktor, który bez

207

przerwy zmienia kostiumy, a żaden z nich nie pasuje do jego roli.

Zajrzałem na oddział. Straszny bałagan. Zapytałem, czy potrzebują pomocy. Nie, potrzebowali łóżek. Zadzwoniłem do Janet. Była zajęta na sali operacyjnej. Przynajmniej ona była bezpieczna, jeśli operowanie kobiety chorej na AIDS może być bezpiecznym zajęciem. Jej kolegę stażysta zranił w dłoń skalpelem, kiedy ten trzymał ją w otwartym brzuchu kobiety z HIV. Możliwość zarażenia się zależy od tego, ile krwi pacjentki przedostało się do jego rany, ale jeśli nawet ilość była

znikoma, to mimo że po trzech miesiącach, a potem po sześciu testy są negatywne, już przez całe życie, kiedy będzie się kochał ze swoją żoną, nie przestanie się zastanawiać, czy jej nie zarazi.

Pod podeszwami chrupnęła mi potłuczona butelka po piwie. Odsunąłem butem kawałek szkła i pomyślałem o naszej tapecie. Strząsnąłem z buta drobne okruchy i ruszyłem dalej, ale nie mogłem pozbyć się czarnych myśli.

Zadzwoiłem do lecznicy dla zwierząt. Bez zmian. Nadszedł w moim życiu ponury okres, czekania, nadziei i strachu. Wiele razy widziałem, jak przeżywają to inni.

Wcześniej w swoim gabinecie próbowałem zająć się raportem. Carole umieściła materiały z dyskietek w pamięci komputera, który codziennie wieczorem zamykała na klucz. Sam nigdy nie potrafię niczego znaleźć w komputerze, ale z jej pomocą udało mi się przejrzeć trochę danych w biurze, praca jednak była tak monotonna, że nie mogłem się skupić. Jeśli w tych danych kryła się odpowiedź na moje pytania, to niestety, nie mogłem jej znaleźć. Były wzloty i upadki, niskie i wysokie notowania, ale większość utrzymywała się w normie, nic podejrzanego, przynajmniej ja nic nie zauważyłem. Może nie powinienem doszukiwać się w tym jakiegokolwiek logiki? Przecież nikt postępujący racjonalnie nie zdemolowałby tak mojego mieszkania. To musiał zrobić jakiś wariat.

Udało mi się spisać moje poczynania i rozmowy z ostatnich kilku dni. Bufort po przejrzaniu tego stwierdził tylko elokwentnie, że naprawdę nie mam pojęcia kto i z jakiego powodu mi zagrażał.

Byłem zadowolony, bo napisałem raport na komputerze i nie

208

musiałem go przepisywać odręcznie wiele razy, więc udało mi się wyprowadzić w pole Janet i Buforta, jeśli chodzi o ich plan zajęcia mnie czymś przez kilka dni. Kiedy skończyłem, poprosiłem Carole, żeby go poprawiła i wysłała Bufortowi.

Potem chodziłem po biurze i doprowadzałem ją do szaleństwa. Delikatnie dała mi do zrozumienia, że mam sobie iść i poproszkadzać pani O'Hara, ale na dziś nie miałem zaplanowanych żadnych wizyt pacjentów. W końcu poszedłem przez parking do prywatnego gabinetu i zastałem panią O'Hara, wypełniającą formularz z wynikami badań laboratoryjnych. Poprosiła mnie o skomentowanie kilku wyników, które odbiegały od normy, i skierowanie pacjenta na dodatkowe badania lub powtórzenie tych samych. Jej też przeszkadzałem.

Tak więc poszedłem na spacer we mgle i próbowałem zostawić z boku myśli o tym,

co się wydarzyło, i odnaleźć w swej podświadomości to, co tak bardzo mnie dręczy. Okryty mgłą i chłodnym, wilgotnym powietrzem, zastanawiałem się, co pominąłem. Powróciłem myślami do porannego zebrania i niejasne uczucie niepokoju przerodziło się w wyraźny obraz Femandeza. Ale tym razem nie jego strach i podenerwowanie mnie zaintrygowały. Dopiero teraz dotarło do mnie to, czego wcześniej nie zauważyłem. Nie zwróciłem na to uwagi, bo nie mieściło się w mojej koncepcji. Zawsze mówiłem moim lekarzom, jeśli szukacie objawów negatywnych, na pewno je pominiecie. Musiałem porozmawiać z Fernandezem. To nie miało większego sensu, lecz wiedziałem, że coś było nie tak.

Obróciłem się na pięcie i pognałem w kierunku szpitala. Było coraz ciemniej. We mgle światła budynku migotały, jakby płynął w moim kierunku statek.

Zostawiłem płaszcz w szatni dla lekarzy. Kapąła z niego woda, tak jak ze wszystkich powieszonych tam okryć. W całej szatni śmierdziało jak we wnętrzu sportowych butów. Ze ścian odpadał tynk, rozsadzany przez rozwijające się w pomieszczeniu niebieskozielone grzyby i pleśń. Może cięcie funduszy spowoduje cenne innowacje w pracy szpitala. Sami zaczniemy produkować penicylinę.

Pobiegłem korytarzem w stronę oddziału psychiatrycznego. Nie wiedziałem, jak zmusić Femandeza do powiedzenia

209

prawdy. Przyszło mi tylko do głowy, że powinienem go zaskoczyć pytaniami. Kiedy byłem już blisko jego gabinetu, przypomniało mi się, jak na mnie wczoraj krzyknął na parking, i nabrałem wątpliwości co do powodzenia mojego zamysłu.

Zatrzymałem się przed kawiarenką szpitalną. W porównaniu z szarą poświatą na zewnątrz to miejsce wydawało się oazą ciepła, światła i cudownych aromatów. Gorąca zupa i bagietka z łososiem wydały mi się nagle znacznie ważniejsze, niż wyduszenie informacji z zagubionego psychiatry.

Stałem w kolejce i po chwili kobieta za ladą zwróciła na mnie uwagę.

— To co zwykle? — szepnęła ponad głowami oczekujących przede mną osób.

Skinąłem z wdzięcznością, podszedłem do kasy, żeby zapłacić i zastanawiałem się, czy mogę w inny sposób poradzić sobie z Fernandezem.

Moje zamyślenie przerwała Bessie. Miała teraz osiemdziesiąt jeden lat i pracowała jako wolontariuszka. Kiedy zatrudniłem się w tym szpitalu, była przełożoną pielęgniarek na moim oddziale. Jej wiedza i doświadczenie pochodziły jeszcze z czasów drugiej, wojny światowej. W momentach kryzysowych była niezwykle

opanowana, a po pracy zawsze miała ochotę na drinka albo partyjkę pokera.

— Sześć pięćdziesiąt, doktorze. Kiedy pan i pańska żona nauczycie się robić dzieci?

Janet była jej lekarzem prowadzącym, kiedy dwa lata temu miała operację z powodu raka jajnika. Już po trzech tygodniach Bessie była zdrowa i chętna do pracy.

— Droga pani — powiedziałem — to pytanie oznacza, że nie była pani na rutynowych badaniach u Janet. W końcu się domyśliliśmy, jak to się robi. Chyba na studiach byliśmy na wagarach podczas stosownych wykładów, ale Janet przeczytała o wszystkim w książce. Nasz pierworodny będzie na świecie w kwietniu.

Uśmiech zadowolenia i zaskoczenie na twarzy Bessie było szczere.

— Cieszę się — stwierdziła i uściśniła moją dłoń, kiedy

210

wydawała mi resztę. — Proszę pozdrowić Janet i powiedzieć, że niedługo się u niej zjawię.

— Koniecznie, Bessie. Widzisz, co cię ominęło, dlatego że nie poszłaś na badanie?

Uśmiechnęła się znów i już zajęła się innym klientem.

Podszedłem do wolnego stolika, mijając grupę emerytowanych chirurgów. Zbierali się tu codziennie po południu, żeby wspominać dawne operacje i szczególne przypadki, których dokumentację pokrył kurz. Dwadzieścia lat temu byli w kwiecie wieku i szczytowej formie. Byli moimi nauczycielami. Kiedy osiem lat temu zostałem ordynatorem, jeden z nich, Jack Graham, pracował jeszcze u mnie, choć ledwie nadażał za nowymi technikami i tempem pracy. Jego praktyka stawała się niebezpieczna dla pacjentów. Moim pierwszym zadaniem na nowej posadzie było zwolnienie go. Pamiętam, że zareagował tak, jakbym mu powiedział, że ma raka... albo coś gorszego. Został skazany na życie bez swojej pracy.

Przywitałem się z nimi po nazwisku. Dla nich byłem zwykłym lekarzem interny. Trzech mężczyzn skinęło, ale Jack Graham spojrział na mnie tylko, a w jego oczach widziałem oskarżenie.

Przeszedłem obok stołka przy barze, gdzie dwadzieścia lat temu dostałem filiżankę kawy, a szef pospiesznie zapoznał mnie z moimi obowiązkami. Po chwili pobiegł na salę operacyjną, a ja poszedłem na mój oddział, gdzie odbyłem pierwszy dyżur pod opiekuńczym skrzydłem tęgiej Bessie. Teraz znajdowałem się w pół drogi do dnia, kiedy mój podopieczny powie mi, że to już koniec, że pora wrócić do domu. Ciekawiło mnie, czy będę winił za to młodego lekarza, czy może ironię losu.

— Jack ciągle zwała na ciebie winę za swój podeszły wiek? — zapytał Watts, siedzący sam przy stoliku. Najwyraźniej bawiło go to, co zobaczył.

— Chyba za wszystko, co się wiąże z upływającym czasem — odparłem i spojrzałem na jego niedopitą kawę i magazyn żeglarski, leżący tuż obok ramienia. Usiadłem przy nim. — Jak tam twoje wielkie marzenie?

211

— Spełni się, kiedy tylko wiosną puszczą lody. Ja odpłynę stąd razem z krą.

Zatrzymałem łyżkę zupy w połowie drogi do ust.

— To niedobrze — powiedziałem szczerze. Nie dawałem sobie większej szansy na przetrwanie wśród panoszącej się wszędzie biurokracji, bez jego dowcipu, uczciwości i umiejętności zwalczania przeszkód, co pomagało mi nieraz zachować resztki zdrowego rozsądku. Poza tym wiedziałem, że ma jeszcze dwa lata do emerytury. — Dlaczego chcesz odejść?

— Mam już tego dość. Razem z kartką świąteczną wyślę szefom rezygnację. Będą mieli czas do wiosny, żeby znaleźć kogoś na moje miejsce.

Zachowywał się dość sztywno, co mnie nawet nie zaskoczyło. Przyjął funkcję szpitalnego sumienia i pełnił ją przez trzydzieści lat. Jako osoba stawiająca ostateczną diagnozę, używał skalpela po to, by poprawić stan opieki zdrowotnej, by lekarze uczyli się na swoich błędach, by wiedzieli, czy ich rozpoznanie było prawidłowe, czy nieprawidłowe, czy udałoby się uniknąć śmierci, czy nie. Nie można było odwołać się od jego wyroku ani uciec od wymierzonej kary. Watts był naszym aniołem stróżem.

Wszystko to zmieniło się, kiedy umarła jego żona. Pracował dalej, ale nie było już w nim pasji i zadowolenia z doskonałego jej wykonywania.

— Udało mi się z kilkoma inwestycjami — dodał — i w niedługim czasie będę miał z tego spore pieniądze. Nie muszę pracować jeszcze przez dwa lata. Dość już tego.

Kiedy trzy lata temu przedstawiał mi ten sam plan, było w nim wiele radości, teraz czułem pustkę. Wpatrywał się w fotografię na otwartej stronie magazynu. Widniała na niej żaglówka na otwartym morzu, z krzepkim, siwym mężczyzną i z kobietą, stojącymi przy sterze

Moja bagietka nagle wydała mi się sucha.

— Co cię tak zmartwiło pod koniec dzisiejszego zebrania?

— O co ci chodzi? — zapytał.

Udawał, że nie rozumie. Przestraszyłem się.

— Dziwnie wyglądałeś po tym monologu Buforta. Wzruszył ramionami, jakby nie wiedział, co mam na myśli'

212

— Przestań, Robert, już widziałem u ciebie takie spojrzenie. Wyraźnie dostrzegłem, że coś ci nie gra. Pomyślałem, że coś zauważyłeś. Co to takiego?

Siedział spokojnie, jak szuler oceniający swoje karty i próbujący zdecydować, czy grać dalej, czy powiedzieć pas.

— Zdziwiło mnie, że ktoś próbował cię zabić — odrzekł w końcu.

Czekałem na dalsze informacje.

— Hej, to wszystko. Przysięgam! Krojenie trupów obcych ludzi to jedno, ale kiedy mój kolega o mało nie został jednym z moich pacjentów, to zupełnie inna sprawa!

Brzmiało to szczerze, lecz i tak mu nie wierzyłem. Wiedziałem jednak, że nie zmuszę go do mówienia. Przez te wszystkie lata nauczyłem się, że kiedy się na coś uprze, nie popuści.

— A co z tym bezdomnym? — zapytałem tylko. Z ulgą zmienił temat.

— To dziwne, testy na obecność trucizny nic nie wykazały poza wysokim poziomem alkoholu, lecz to był alkohol, a nie jakaś mieszanka, którą powinno się wlewać do samochodów.

Chodziło mu o płyn do chłodnicy i denaturat.

— Nie mam jeszcze pozostałych testów. Wysłaliśmy je do innego laboratorium, ale jak na razie wszystkie wyniki są właściwie negatywne.

— Właściwie?

— Tak. Miał katar sienny, a jakiś początkujący lekarz, pewnie z przychodni zdrowia, myślał chyba, że to przeziębienie.

— Rozumiem, że z próbek tkanek udało ci się zdiagnozować alergię, ale od kiedy znasz myśli ludzi, z którymi się stykał? — Zdawałem sobie sprawę, że chciał, abym go o to zapytał, bo miał zamiar nauczyć mnie czegoś.

— Znalazłem śladową ilość terfenadyny i odrobinę erytromycyny — powiedział i

uśmiechnął się.

Wiedziałem, co to znaczy. Terfenadina była lekarstwem na katar sienny, ale alkoholicy, których znajdowano na ulicy, raczej woleli wydawać wyżebrane pieniądze na alkohol. John Doe musiał dostać lekarstwo w klinice. Erytromycyna ma podobne działanie do penicyliny i podaje się ją osobom uczulonym na penicylinę. Ten lek wymagał recepty, a tylko

213

niedoświadczony internista mógł przepisać antybiotyk na katar sienny, chyba że pacjent chciał taką receptę od niego wydebić i udawał inne objawy infekcji. Co gorsza, nie wolno by}0 przepisywać tych dwóch leków jednocześnie. Jeśli podano mu trochę więcej niż leczniczą dawkę, mogła wystąpić śmiertelna arytmia.

— Myślisz, że to arytmia wywołana lekami?

— Nie, ale słusznie przyszło ci to do głowy. W takich wypadkach zwykle nie ma żadnych śladów. Wszystkie organy miał w normie. W organizmie nie znalazłem żadnych innych leków. Lecz nie zapominajmy o jednej rzeczy. W jego sercu jest ślad po tym, co najwyraźniej było przyczyną śmierci. — Wskazał palcem lewą część klatki piersiowej. — Drobinę tkanek wzdłuż wkłucia wskazują silne krwawienie wewnątrzkomórkowe, a nie ma żadnych zmian, które normalnie występują, kiedy igła zostaje wbita już po śmierci.

Watts znów na swój niezrównany sposób przedstawił kliniczny opis dziwnej śmierci bezdomnego. Igła została wkłuta w żywe, zdrowe, bijące serce mężczyzny i szybko go zabiła. Mechaniczne działanie końcówki igły lub wstrzyknięcie czegoś zatrzymało akcję serca. Tak czy siak, to było morderstwo. Igła na pewno nie znalazła się w sercu już po śmierci tego człowieka. Został zabity tak jak Kingsly.

— Powiedziałeś Bufortowi?

— Po tym co nam ostatnio odstawił? Pieprzę go! Dostanie mój raport na piśmie, tak jak wymagają przepisy.

Zaskoczył mnie. Jego specjalnością było przekazywanie złych wiadomości w ciekawy sposób. Bufort wyglądał dziś na osobę, która pogodziła się z tym, co i tak już nieodwracalne.

— A ja mogę to zrobić? — zapytałem. — Bufort powinien się o tym jak najszybciej dowiedzieć.

Zawahał się, a potem cicho odparł:

— Oczywiście. Proszę. — Po chwili dodał: — Zadzwoiłem do kilku zaprzyjaźnionych szpitali, żeby sprawdzić, czy ktoś nie znalazł na ciałach bezdomnych śladów po wkłuciu igły dosercowej i kazałem im mieć oczy otwarte.

— Mój Boże! I co?

— Nic nie mieli. Zdaje się, że skończyły się już nagłe zgony

214

bezdomnych. — Wziął gazetę, wstał i powiedział: — No, do roboty.

Patrzyłem, jak niesie tacę w stronę wyjścia. Wrzucił ją do pojemnika, a potem uśmiechnął się i pomachał mi na pożegnanie. Jako dobry nauczyciel powinien być teraz zadowolony z dobrze przeprowadzonej lekcji, a tymczasem Watts się czymś martwił.

Fernandeza nie było w gabinecie. Jego sekretarka, ubrana jak gwiazda, powiedziała, że pewnie poszedł do domu, ale nie była pewna i najwyraźniej miała to w nosie.

Mój plan taktyczny spalił na panewce. Postanowiłem udać się do domu na obiad i pooglądać filmy na wideo w towarzystwie chłopców Douga. Zabrałem płaszcz, który nie był ani trochę bardziej suchy, za to śmierdział paskudnie i wisiał na mnie jak pomarszczona skóra.

Zajrzałem po drodze na oddział. Natychmiast tego pożałowałem.

Sylvia Green miała łzy w oczach. Pielęgniarki zamilkły, gdy tylko wszedłem. Wszyscy wpatrywali się w podłogę. To było bardzo niepokojące. Czekałem. Nikt się nie odezwał. Sylvia wyglądała, jakby już miała zamiar płakać i za to jej byłem wdzięczny. Stało się bowiem jasne, że muszę zareagować.

—| No, w porządku, powiedzcie, co się dzieje?

Pielęgniarki spojrzały po sobie, ale żadna się nie odezwała.

— Dobrze się czujesz? — zwróciłem się do Sylvii. Spojrzała na mnie, a na jej twarzy pojawiła się złość.

— Nie, nie czuję się dobrze! —| odparła z wściekłością w oczach. Wzięła formularz z półki i ruszyła korytarzem w stronę pacjentów.

Cisza stała się jeszcze bardziej uciążliwa, kiedy odeszła.

— Posłuchajcie, muszę wiedzieć, co się stało. Lisa Gray powiedziała nieśmiało:

— Chodzi o zabójstwa.

— Co to znaczy?

Spojrzała na koleżanki, jakby szukała u nich pomocy. One wciąż obserwowały podłogę.

215

— Ci dwaj detektywi zebrali nas w pokoju i zaczęli zadawać mnóstwo pytań — zdecydowała się mówić dalej.

Wszyscy jakby bardziej intensywnie wpatrywali się w podłogę. Zdenerwowałem się.

— No i co? Co się stało? Cisza.

— Lisa! — prosiłem.

— Dobrze. Ale niech pan obieca, że się nie wścieknie.

— Lisa! — tym razem w moim głosie pobrzmiwał rozkaz.

— Dobrze już, dobrze. Jak mówiłam, zadawali mnóstwo rutynowych pytań. No, wie pan, w jakim systemie pracujemy, kto ma kiedy dyżur. — Wzruszyła ramionami. — Zapytali o lekarzy. Na początku to były niewinne pytania, jak kto pracuje, na jakiej zmianie, kiedy... co robi. Potem chcieli wiedzieć, kto jest naprawdę dobrym fachowcem od różnych rzeczy.

— Różne rzeczy to inaczej wprowadzanie igły dosercowej?

— Tak, ale nie wiedziałyśmy, że oni wykorzystają...

— A ty podałaś nazwisko Sylvii?

— No, tak, to znaczy, sam pan wie, jaka jest w tym dobra — broniła się Lisa. — jesteśmy z niej dumne.

— Z kogo jeszcze byliście takie dumne?

— Podałyśmy im kilka nazwisk.

— O Jezu! Kogo? Zawahała się.

— Lisa!

— Popovitcha, Kradica, Jones i... — wzięła głęboki oddech — pana.

Teraz wiem, co dręczyło Susanne.

— Jeśli o mnie chodzi, nie ma problemu, nie interesują się już mną, ale czy inni wiedzą o tym zaszczycie, jakim ich wyróżniłyście?

— Nie, tylko Sylvia.

— Dlaczego?

— Chyba tylko ją przesłuchali.

— Przesłuchali! Tutaj? Kiedy była na dyżurze? — Powiedziano mi, że przesłuchania odbędą się w odpowiednim dla policji czasie, ale naiwnie sądziłem, że zaczną od lekarzy,

216

którzy skończą dyżur, że poproszą ich o przyjscie na wyznaczoną godzinę i nie będą robić zasadzki na tych, którzy są w pracy.

— Nie, nie tu. Zabrali ją do pokoju przesłuchań przed jej dyżurem. Kiedy wróciła, powiedziała nam, o co ją pytali. To było najgorsze, co mogli zrobić... pytali ją o śmierć matki.

Miałem wrażenie, że się przesłyszałem.

— O śmierć jej matki?

Skinęła, a zdziwienie innych pielęgniarek było równie duże jak moje.

Rok temu, po świętach Bożego Narodzenia, jej matkę przyjęto do naszego szpitala z poważną grypą i pogarszającą się chorobą serca. Miała problemy z oddychaniem, niestabilny puls i ból w klatce piersiowej. Była osiemdziesięciosiedmioletnią kobietą, więc przygotowaliśmy się na najgorsze. Ku naszemu zdziwieniu jej stan poprawił się i po kilku tygodniach wróciła do domu. Dwa dni później zemdląca. Miała obrzęk płuc, a po drodze w karetce zatrzymanie akcji serca. Kiedy ją przywieziono, było już za późno.

Nie chodziło o to, że ktoś coś zaniedbał, ale nie zrobiono wszystkiego, co było można. Nie wzięto pod uwagę możliwości zrobienia echokardiogramu, by lepiej określić pracę serca, i podania inhibitora ACE, by zmniejszyć obciążenie serca.

Do echa była kolejka ze względu na cięcia budżetowe, a o dodatkowych lekach po prostu nie pomyślano.

Nie było powodu do wytoczenia nam sprawy, ale Sylvia była rozgoryczona. Trzymałem ją za rękę, kiedy siedziała po tym wydarzeniu w pokoju pielęgniarek.

Opowiadała mi, jak jej rodzina pogodziła się z rychłą śmiercią matki, lecz po poprawie stanu zdrowia wszyscy nabrali nadziei, i kiedy ją wypisano ze szpitala, myśleli, że najgorsze już za nimi.

Właśnie podczas tej rozmowy przeszedł koło nas Kingsly. Sylvia spojrzała na niego, kiedy szedł odwrócony do nas plecami, i zaczęła szlochać.

— Ten skurwysyn obciął limit na echo, a od tego zależało życie mojej matki. Może gdyby nie on, żyłaby dłużej. Choć trochę dłużej.

217

Nie mogłem wtedy wydusić z siebie słowa pociechy. Ogarnęła mnie złość na myśl, że ktoś wykorzystał te słowa przeciwko niej. Skąd się dowiedzieli?

Wybiegłem z pokoju pielęgniarek i poszedłem do gabinetu, gdzie Sylvia przygotowywała się do zszycia sporej rany ciętej na twarzy młodej dziewczyny.

Poczekalem, aż skończy, przeprosiłem pacjentkę i wyprowadziłem ją na korytarz.

— Sylvio, tak mi przykro. Jestem wściekły. Gliniarze zachowali się skandalicznie!

— Masz rację. Objąłem ją i uściśnąłem.

— Słuchaj, nie wiem, czy to coś pomoże, ale zrobię awanturę i nie pozwolę tym durniom męczyć ciebie ani żadnego z nas.

Spojrzała na mnie trochę uspokojona.

— Nas?

— Tak, siedzieli mi na karku od poniedziałku, aż do momentu kiedy ktoś mnie próbował przejechać.

— O mój Boże! Myślałam, że to był wypadek. Kto to zrobił?

— Nie mam pojęcia.

— Jeśli tylko napad może mnie wymazać z listy podejrzanych, to wolę na niej zostać

— powiedziała z sardonicznym uśmiechem na wciąż jeszcze wystraszonej twarzy.

— Muszę cię o coś zapytać. Komu jeszcze powiedziałaś po śmierci twojej mamy o zmniejszeniu limitów na wykonywanie echa?

Zacięła usta tak, że przypominały cienką linię.

— Hurstowi! — rzuciła.

Kiedy wychodziłem z budynku, ledwie dosłyszałem z głośnika kod czterdzieści cztery. Takim sygnałem wzywano do zachodniego skrzydła. Nic niezwykłego, oznaczało to tylko, że coś się stało z pacjentem na oddziale psychiatrycznym i banda pielęgniarzy musiała tam biec i przywrócić porządek, zwykle siłą. Wiele razy w ciągu dnia słyszałem to wezwanie i nigdy nie zwracałem na nie uwagi.

218

Było dziesięć po piątej, a na parkingu zupełnie ciemno. W oddali odgłosy burzy mieszały się z rykiem samochodów ludzi powracających z pracy. Wzmógł się hałas sprawiając, że tego dnia powrót do domu był jeszcze bardziej męczący i posępny. Powietrze było tak gęste, że miałem wrażenie, iż przed wdychaniem powinno się je dobrze pogryźć.

Na ścianach szpitala odbiło się światło błyskawicy, a potem znów wszystko pochłonęła ciemność, ale zanim to nastąpiło, zauważyłem na dachu ciemną postać, która wyglądała jak gargulec z katedry. Ktoś stał na dachu zachodniego skrzydła, które miało tylko osiem pięter.

Następna błyskawica rozświetliła białe postaci, skradające się w stronę ciemnej figury człowieka. W gasnącym blasku zobaczyłem, jak mężczyzna robi krok naprzód tak spokojnie, jakby wsiadał do windy. Ciemność ukryła jego upadek, ale nawet huk piorunów nie zmniejszył głośnego uderzenia ciała o chodnik tuż przede mną.

Za nim, tańcząc na wietrze, leciała niewielka plamka w szkarłatnym kolorze. Kolejna błyskawica oświetliła krwistoczerwony, lekki przedmiot, nim spadł i zniknął w rozbryzganym dokoła błocie i krwi.

Rozdział 13

Samobójczy skok szefa oddziału psychiatrycznego z dachu szpitala stał się tematem dnia w telewizji, radiu i gazetach codziennych Buffalo. Nawet w szmatławcu z Nowego Jorku, zatytułowanym „Kronika Policyjna”, zwykle skupiającym się na przestępstwach popełnionych na ich własnym terenie, zarezerwowano trzecią stronę na tę historię i umieszczono kiepskiej jakości zdjęcie zwłok Gila... a właściwie tylko jego stóp, które wystawały spod prześcieradła.

„Psychiatra skacze z dachu!”. „Samobójstwo!”. „Zabójstwo!”.

Opisy zamieszczone pod tymi tytułami zawierały wyjęte z kontekstu cytaty.

„Ostatnio był jakiś przygnębiony”. „Przestał o siebie dbać”. „Ostatnio źle wyglądał”.

Teraz wszyscy twierdzili, że już wcześniej coś podejrzewali, ale nikt nic nie zrobił. W

środoisku medycznym nazywamy to retroskopia, przewidywaniem po fakcie.

Nie mogłem czytać tych relacji. Wciąż wyobrażałem sobie tę chwilę, kiedy mózg jeszcze funkcjonował i Gil miał świadomość zetknięcia z ziemią i nieuchronnej śmierci za kilka sekund. Nie mógł już nic odwrócić.

Media natychmiast odświeżyły szczegóły śmierci King-sly'ego, o której pisały przez poprzednie cztery dni. Większość reporterów sugerowała związek między tymi dwoma zgonami

220

i pozostawiała wyobraźni widzów odpowiedzi na zadawane pytania. Jak dotąd nie wspomniano o nadużyciach finansowych, ale nie minie wiele czasu, nim ta informacja również pojawi się na pierwszych stronach gazet lub w telewizji.

W niedzielę pochowaliśmy doktora Gila Fernandez, a wraz z nim śledztwo dotyczące zamordowania Kingsly'ego.

Cmentarz miejski był wielką oazą zieleni, wokół której rozciągało się miasto. Rosły na nim drzewa i całe połacie przyciętej równo trawy. Byłoby to doskonałe miejsce na pikniki dla całych rodzin. Można tu było znaleźć nawet kilkusetletnie nagrobki. Bogaci i biedni, czarni, żółci i biali, których przodkowie przybyli tu z odległych kontynentów, leżeli w tej ziemi razem. Mężczyźni i kobiety byli równi wobec śmierci, choć za życia im się to raczej nie udało.

W mojej głowie kołatały się pytania, których nie zdążyłem zadać Fernandezowi, i za każdym razem, gdy na zamkniętą trumnę spadała łopata ziemi, dręczyły mnie coraz mocniej.

Czy pieniądze na nieopisanym koncie, które znalazł Bufort, to były zyski, wypracowane przez psychiatrię, którymi tak się chwalił Fernandez? Co miał na myśli, kiedy twierdził, że psychiatria ma własne sposoby na utrzymanie się?

Gil, czy to były brudne pieniądze? Gdyby było inaczej, przecież wstałbyś podczas zebrania i z dumą obwieścił Bufortowi, że to wasze konto, by wyprowadzić go z błędu — myślałem w duchu i doszedłem do wniosku, że tego właśnie brakowało mi podczas naszego ostatniego zebrania.

Przypomniało mi się również, że Vozchek poprosiła nas o rozkład dyżurów z lipca. Wydało mi się dziwne, że nie zwróciła się do Fernandez, przecież to właśnie on sporządzał ten rozkład. Może zauważyła coś i chciała to sprawdzić tak, żebyś się nie zorientował? Bufort już chyba coś podejrzewał i kiedy powiedział, że zaczyna grzebać w pensjach, czułeś, że w końcu cią pnyłapią na nadużyciach — rozmawiałem

w myślach z Gilem.

Pastor powiedział kilka słów. Znowu ziemia spadła na trumnę.

Chyba już wiedziałem, jak to robili. Musiało chodzić o pacjentów z odpłatnością pokrywaną w całości z ubezpieczeń państwowych.

221

Psychiatrzy zatrudnieni na etacie mogą brać pieniądze zarówno za pacjentów, których sami przyjmują, jak i za tych, których w ich imieniu przyjmują stażyści. Wpisywali sesje, na których nie byli, i dawali do podpisu stażystom. To się zdarzało każdemu psychiatrze kilka razy w tygodniu. Kiedy rozliczenie wykazywało zbyt duże kwoty, nikt nie był w stanie dokładnie policzyć, ile sesji przeprowadzonych przez lekarzy stażystów nadzorował konkretny specjalista. Nadzorowane leczenie i tak było fikcją, a stażyści cieszyli się ze swojej niezależności, mogli się bawić w etatowych lekarzy, a tak zwani dobrzy nauczyciele trzymali się od nich z daleka, gdyż im to również odpowiadało. Kiedy rozliczenie wykazywało, że mieli dużo tych sesji, mogli otrzymać na uniwersytecie stałą posadę.

Panie z działu wypłat przygotowywały w imieniu psychiatrów pełniących funkcje lekarzy prowadzących comiesięczne wykazy godzin pracy dla całego personelu. Tak więc, Gil, mogłeś wykazywać sesje, których nigdy nie przeprowadziłeś. Kilka godzin dziennie w ciągu tygodnia, pomnożone przez liczbą pracujących u ciebie psychiatrów... Jeśli personel liczy dwunastu członków, godzina kosztuje sto dolarów, to dwie lub trzy godziny fikcyjnych sesji z łatwością dawały dodatkowy milion dochodu — rozważałem.

Ostatnia garść ziemi przykryła grób. W powietrzu zawisł obłoczek kurzu, który po chwili się rozwiął. Grabarze skończyli robotę, ale nie pastor. Jego słowa płynęły jednak obojętnie obok mnie.

Taki zabieg był możliwy tylko przy pensjach psychiatrów, bo twoi lekarze wykazują na koniec miesiąca godziny przepracowane samodzielnie i te nadzorowane. Z tego dwie trzecie idzie do rąk lekarzy jako wypłata. Nadwyżka pokrywa koszty leczenia. Twoi lekarze i tak byli zadowoleni, bo mieli więcej pieniędzy, przecież nikt nie kwestionuje podwyżek w dziale, gdzie wciąż wzrasta wydajność pracy. „Popatrzcie, ile jestem wart — mówili na pewno psychiatrzy — pracowałem przecież tak ciężko”- Zwiększona liczba godzin w dokumentach była traktowana jako nagroda za dobrą pracę.

Ciszę zakłócił samolot przelatujący nad naszymi głowami-

Ciekawe, czy teraz firmy ubezpieczeniowe będą dzwoniły

222

do pacjentów oddziału psychiatrycznego i pytały o dokładny opis sposobu leczenia i liczbę spędzonych z lekarzem godzin. Biurokraci mogą sobie sprawdzać, czy taki i taki lekarz leczył jakiegoś pana Jonesa na zapalenie płuc, ale nie będą kontrolować sesji na oddziale psychiatrycznym. Nawet kiedy podejrzewa się nadużycia, nic nie można w tej sprawie zrobić, bo taka jest specyfika chorób psychicznych. Tak więc najczęściej ubezpieczyciele opierają się na skargach samych pacjentów, a one dotyczą głównie zastraszania czy wykorzystywania seksualnego.

W ten sposób, Gil, udało ci się trochę skubnąć tu i tam i dopóki twoi pracownicy nie pytali o nic pacjentów, byłeś bezpieczny.

Ale zrobiłeś się nieuważny. Teraz już wiem, dlaczego Voyz-chek chciała ode mnie wykaz dyżurów. Była wtedy na wakacjach, zamieniła się z kimś w ostatniej chwili, powiadomiła nas o tym i wyjechała. Na pewno jednak nie zdążyła zmienić dyżurów w waszych dokumentach. Dopóki wszystko się zgadza, nikt z nas nie sprawdza rozkładu pracy. Lecz gdy znów zrobiłeś swój genialny wykaz i włączyłeś do niego jej nazwisko, trochę się zdziwiła. Mogła nie pamiętać godzin sesji nadzorowanych, ale na pewno się zorientowała, że ująłeś takie, które musiałyby odbyć na plaży w Acapulco.

Jak to się właściwie zaczęło, Gil? Przewodzący lekarz postanawia odbierać biurokratom i oddawać lekarzom? Potrzebowałeś funduszy na badania, programy specjalne i wyposażenie? Mam nadzieję, że tak. Przynajmniej na pewno tak było na początku.

Gdyby tylko o to chodziło, nie wybrałbyś śmierci. Teraz byłbyś bohaterem... w tarapatkach, ale bohaterem. Ogłoszono by cię skrytym obrońcą chorych umysłowo, działającym przeciwko urzędnikom na wysokim szczeblu i wydzierającym od nich środki na zbożny cel leczenia naprawą potrzebujących. Gdyby na tym się skończyło, zostałbyś z nami, grał dalej rolę Zorra występującego przeciwko technokratom i chodził w glorii człowieka, który walczy z systemem.

Najwyraźniej jednak sprawy mają się inaczej.

Chmury rozstąpiły się na chwilę. Grupę żałobników oświetlił promień, który i tak zaraz zniknął.

223

Ojciec Fernandez skulony z bólu płakał w ciszy. Ręce miał spracowane. Wyglądał

na mężczyznę, który przez całe życie pracował na powietrzu, pewnie harował, by zapewnić synowi odpowiednie wykształcenie, jakiego nikt nigdy w rodzinie Fernandezów nie miał. Tak przynajmniej słyszałem. Obok niego siedziała kobieta z twarzą ukrytą za welonem. Cicha, jakby nieobecna. To była żona Gila. Zadziwiająco młoda i szczupła. Skrzywiłem się, pomyślawszy o żalu i złości, które ukrywała pod maską opanowania i spokoju. Nie wiedziałem, czy gdzieś obok siedziała jego matka, z trudem znosząc uroczystość, czy może już dawno nie żyła. Nie czytałem napisów na nagrobku.

Współczucie, jakie miałem dla ojca i żony Fernandezów, było zaledwie niewielką częścią tego, co poczułem, kiedy zobaczyłem przerażenie i nieznośny ból na twarzy jego syna. Pomyślałem, że chłopak może mieć jakieś dziesięć czy jedenaście lat. Stał przy grobie, kruchy i wrażliwy. Wyglądał, jakby chciał krzyczeć, prosić ojca, by powrócił. Nikt wśród żałobników nie kochał i nie potrzebował Fernandezów tak bardzo jak ten chłopiec, a już na pewno nikt nie mógł się czuć bardziej zdradzony niż to dziecko. Przez całe życie będzie się zastanawiał, dlaczego ojciec postanowił tak nagle go opuścić. Tego kroku nigdy zapewne nie zrozumie. Nigdy nie pojmie, dlaczego miłość do syna nie była wystarczającym powodem, by żyć dalej.

Wyszedłem z cmentarza, nienawidząc Fernandezów.

Był niedzielny ranek i niewielki ruch na ulicach. Szpital znajdował się jakieś dwadzieścia minut drogi od cmentarza, ale wiedziałem, że złość zawiedzie mnie tam w dziesięć. Teraz potrzebowałem trochę czasu dla siebie.

Podczas ceremonii Hurst podchodził po kolei do każdego z ordynatorów i prosił, żeby zjawili się u niego w biurze, bo musi omówić strategię działania i sposoby wydobywania szpitala z zapaści. Mówił, że trzeba zacząć działać już od jutra. Mogło się wydawać, że przekazywał kolegom wyrazy współczucia, on natomiast skorzystał z okazji i rozmawiał z nami na cmentarzu, gdyż wiedział, że przez szacunek do rodziny zmarłego nikt nie zrobi mu sceny i nie każe iść do diabła.

Idąc chodnikiem, wróciłem myślami do mojej cichej rozmowy z Fernandezem.

224

To był pewnie pomysł Kingsley 'ego. Najpierw namówił cię do roli Zorra, a potem zagrał ostro.

Obrazy i szkice zaproponował ci jako nagrodę za twoje poświęcenie dla szpitala i szlachetną działalność. Być może mówił: „ Ty najbardziej z nas zasługujesz na te dzieła sztuki, poza tym będziesz umiał je docenić. Jesteś wart takiej nagrody ”.

I niestety, mój drogi psychiatro, twoje ego kupiło to wszystko i pozwoliło, by wniosłe marzenia o byciu bohaterem przysłoniły to, co naprawdę się działo.

Kiedy Kingsly cię zdobył, zażądał duszy i ciała. Pewnie coraz mniej pieniędzy szło na opiekę medyczną czy badania, a coraz więcej do jego kieszeni. Na pewno go nienawidziłeś i obawiałeś się, że kiedyś w pijackim zamroczeniu zrobi coś, co ujawni niecny proceder i twoją w nim rolę. Czy to właśnie dlatego na każdym zebraniu zarządu chwaliłeś się, że psychiatria najwięcej zarabia na rzecz szpitala? Mówiłeś to, by go ostrzec, że też masz nad nim władzę. Chciałeś go zmusić, by oddał część tych pieniędzy na badania i leczenie.

Twoja pozycja stawała się jednak coraz bardziej niepewna. On miał to, czego chciał: dojną krowę. Ty zaś przestałeś być Robin Hoodem. Tylko niewielka część nieuczciwie uzyskanych pieniędzy szła na badania naukowe. Większość tego, co ukradłeś, ładowała w kieszeni żalostnego alkoholika, który zwabił cię w chwili, gdy rządziła tobą chciwość i twoje głupie ego.

Nie potrzebowałeś pewnie dużo czasu, by się zorientować, że nie masz wielu możliwości działania, kiedy dochodzenie Buforta zaczęło zmierzać w twoją stronę. Żyłeś w ciągłym stresie od iluś lat. Zastanawiam się, czego bardziej nie mogłeś już znieść... kradzieży czy własnej głupoty. Sądzę, że gdyby nie uczucie porażki, zniósłbyś nawet więzienie.

Nie, tak naprawdę zabiła cię chyba perspektywa dożywotniej utraty prawa wykonywania zawodu, bo takie byłyby konsekwencje twojego postępowania. To i zszargana reputacja. Adoracja wdzięcznych pacjentów zmieniałaby się w krzyk oburzenia. Twoje artykuły poszłyby na śmietnik. Nigdy nie brano by ich Poważnie w naukowym świecie. Nikt już by o tobie więcej nie wspomniał. Najgorsze, że Gil Fernandez, sławny psychiatra, nagle zostałby złodziejem, szubrawcem siedzącym w więzieniu

225

lub przebywającym na warunkowym zwolnieniu. Naukowy światek kolegów po fachu poszukałby sobie nowego bohatera.

Zatrzymałem się na światłach i przyznałem sam przed sobą, że nie wiem, jak Fernandez przekroczył niewidzialną barierę uczciwości i zgubił sam siebie.

Światła się zmieniły, a wraz z nimi moje myśli. Wciąż miałem w pamięci skrzywioną z bólu twarz jego syna i rękę wyciągniętą ponad grobem, jakby chciał sięgnąć w stronę ojca.

W kieszeni płaszcza dłonie zwinęły mi się w pięści, nim dotarłem do podjazdu szpitalnego. Ze zmarszczonym czołem pokonałem kamienne wejście i automatyczne drzwi. Ochroniarz był zbyt zajęty jedzeniem paczka, by sprawdzić moje dokumenty. W holu wychudzony starszy pan popychał przed sobą stojak na kroplówkę, manewrując wśród stanowisk z kartkami okolicznościowymi pod sklepem z pamiątkami. Kółka popiskiwały cicho. Moje własne kroki zakłóciły ciszę, która panuje zwykle w szpitalu podczas weekendu. To złożenie broni, traktat pokojowy po całym tygodniu, podczas którego lekarze w białych fartuchach biegają po korytarzach wśród tłumów pacjentów, chcących koniecznie zrobić odpowiednie badania. Obie strony potrzebują przerwy przed powrotem do tych samych czynności w poniedziałek.

Kiedy ja czekałem na windę, staruszek z kroplówką przestał manewrować wśród stojaków z kartkami. Sięgnął po jedną z nich i dokładnie ją obejrzał. Było tam mnóstwo kiczowatych pocztówek z napisami, ale może znalazł właśnie tę, której jeszcze nie widział. Odgłos nadjeżdżającej windy rozległ się w całym holu. Staruszek spojrzął w jej stronę. Oczy i twarz miał żółte. Obserwował mnie, kiedy wsiadałem do środka, a ja patrzyłem na niego, gdy zamykały się drzwi. Pomyślałem, że niedługo umrze. Pewnie mi zazdrościł, że mam dokąd iść.

Humor nie poprawił mi się ani trochę, kiedy szedłem pustymi korytarzami w stronę biura Hursta. Wszędzie widziałem Fer-nandeza, zapadającego w nicość, a ten staruszek w holu trzymał się przy życiu, korzystając z każdej podarowanej mu chwili. Dla niego ciekawe było nawet obserwowanie, jak jakiś nieznany mężczyzna wsiada do windy.

Mimo że byłem wściekły na Fernandezę za to, że opuścił

226

syna, mimo że podejrzewałem, iż był w stanie dopuścić się nadużyć finansowych, sprzeniewierzeń, i wstyd mi było za niego, nie mogłem posunąć się tak daleko, by posądzić go o morderstwo. Kiedy stan pacjenta wydawał się zagadkowy, kiedy stażyści z całych sił starali się szukać symptomów, które nie pasowały do rzeczywistości, aby łatwo dopasować diagnozę, instynktownie przestawałem im ufać. Teraz z tą samą pewnością podchodziłem do sprawy Fernandezę. On nie mógł być zabójcą. Choć zebranie zwołał Hurst, kiedy wszedłem na salę, zobaczyłem Buforta, który ze zwycięską miną ogłaszał:

— ...Śledztwo zostanie zamknięte — triumfował. — Ponieważ nie będzie procesu, szpital...

— Chyba się pan zagalopował — rzuciłem. Wszyscy spojrzeli na mnie zaskoczeni.

— Dopiero co pochowaliśmy Fernandeza — powiedziałem z zaangażowaniem. — Patrzyłem na jego rodzinę, stojącą nad trumną, i nie życzę sobie, żeby pan teraz tańczył na jego grobie, radując się ze zwycięstwa.

— Doktorze Garnet! — krzyknął przerażony Hurst. Inni spojrzeli nerwowo po sobie.

— Co pan tu właściwie robi? — zapytałem Buforta. — Powiedziano nam, że będzie to zebranie dotyczące przyszłości szpitala. Mamy się zastanowić, jak postawić go na nogi. — Wciąż stałem. Sean położył mi dłoń na ramieniu, żeby mnie nakłonić, bym usiadł na krześle tuż obok niego.

— Detektyw Bufort jest tu na moją prośbę — odparł Hurst. — Chciałem wam pomóc uwolnić się od bólu po tej tragedii i uznałem, że najlepiej zrobimy, kiedy wyjaśnimy wszystko dokładnie.

Bufort teatralnym gestem wskazał na mnie, jakbym był nadjeżdżającą w jego stronę ciężarówką.

— Ależ, doktorze Garnet, pan z nas wszystkich najbardziej powinien się cieszyć, że to już się skończyło. Fernandez chciał pana zabić i zranił poważnie pańskiego psa. Rozumiem, że to wszystko pana bardzo przygnębiło, ale może pan spokojnie wracać do domu. Już po wszystkim. Pan i pańska rodzina jesteście bezpieczni.

— Po co on chciałby mnie zabić? Przecież to nie ma sensu!

227

Wzruszył ramionami.

— Może Kingsly zaczął go szantażować, choć najwyraźniej był jego współnikiem. Może zarzucał Fernandeza anonimowymi listami z żądaniem pieniędzy, które miał wysyłać pod adres skrytek pocztowych? Kto wie? Wiele razy prowadziłem śledztwo w podobnych sprawach. W każdym razie Fernandez nie był pewien, czy to Kingsly, ale na pewno podejrzewał, że to on. Wiedział, że nie może ryzykować wpadki, a Kingsly coraz więcej pił. Istniała możliwość, że się w końcu wygada, więc go zabił. Kiedyś wspomniał pan na parkingu w obecności Fernandeza, że sprawdzają księgi rachunkowe szpitala. — Zatrzymał się, podszedł do teczki i wyjął z niej kilka kartek. — Przeczytałem to w pańskim raporcie — ciągnął, trzymając dokumenty wysoko, by wszyscy na sali widzieli. — Nagle Fernandez zrozumiał, że popełnił błąd. Pewnie pomyślał, że to pan go szantażuje, bo Kingsly wygadał się panu po pijanemu. Postanowił pana zabić i to szybko.

Zamarłem. Bufort użył mojego własnego raportu z rozmów, które przeprowadziłem po śmierci Kingsly'ego, żeby mnie nakłonić do zaakceptowania swojej teorii. Nawet specjalnie go ze sobą wziął. Powinienem dać się przekonać z łatwością. Machał mi raportem przed nosem, żebym zmienił zdanie i ucichł.

— Fernandez już był śmiertelnie przerażony, a teraz bał się, że spełni się jego najgorszy, koszmarny sen. Instynkt podpowiadał mu, żeby wyjechać za panem z miasta. Pewnie nie posiadał się ze szczęścia, kiedy się okazało, że jest pan sam w chacie na wsi. Tam łatwo mógł pana skrzywdzić. Gdyby myślał logicznie, pewnie zrozumiałby, że jako jego szantażysta nie byłby pan taki głupi. Na pewno spanikował. Ta jedna uwaga na temat kontroli wystarczyła do tego, by nabrał przekonania, że jest pan niebezpieczny i może go wydać. — Zamilkł, najwyraźniej bawiła go ta teatralna formuła relacjonowania, jego zdaniem, prawdopodobnych zdarzeń. Po chwili mówił dalej. — Przy pierwszej próbie mu się nie udało. Przestraszył go pies. Do drugiej próby przygotował się lepiej. Ocalał pan zupełnie przypadkowo. — Odwrócił się do mnie plecami i położył mój raport na stosie dokumentów należących do Hursta. Wyglądało na to, że skończył.

228

— Lecz po co robić to igłą dosercową? — zapytałem cicho, bardziej Seana niż Buforta, a ten obrócił się na pięcie.

— Dlaczego nie? — odrzekł. — Prawie się udało. — przyglądał mi się uważnie. — Tylko traf sprawił, że znalazł pan tę igłę. Tym razem miał pecha. Chciał wprowadzić igłę i ją wyjąć, ale Kingsly albo walczył o życie, albo drżał konwulsyjnie przed śmiercią i igła się złamała. Pan i doktor Watts zgodziliście się z tym scenariuszem.

— A co z tym bezdomnym człowiekiem? Bufort zaczerwienił się.

— Bezdomni codziennie umierają, doktorze! Wie to pan równie dobrze jak ja. Nikt nie robi z tego problemu. Pan też chyba wcześniej się tym zbytnio nie martwił.

— Nie, ponieważ do tej pory żadnego z nich nie zamordowano za pomocą igły dosercowej.

— Bezdomni pijacy umierają z różnych powodów. Niektórzy mają nawet w żołądku płyn do mycia szyb.

Popełniłeś błąd, Bufort — pomyślałem. Wszedłeś na moją działkę.

— Ten nie miał żadnych pozostałości trujących substancji. Cofnął się o krok. Jego wyraz twarzy zdradzał, że miał

zamiar zrobić z siebie głupca i wdawać się ze mną w dyskusje na temat medycyny.

— Ma pan rację, doktorze, ale nawet w telewizji podano już informację, że znaleziono śladowe ilości substancji, które powodują zatrzymanie akcji serca.

Dobre posunięcie, Bufort. Najlepiej zwalić to na lekarzy. Jeśli na tym cię zagnę, to i tak wszyscy pomyślą, że jestem aroganckim dupkiem.

— Sekcja zwłok wykazała, że śmierć spowodowała igła dosercową. Być może pozostałe czynniki również się do tego przyczyniły, ale igłę wkłuto żywemu człowiekowi i w ten sposób zatrzymano bicie jego serca.

— W porządku, doktorze. To znaczy, że Fernandez zabił również bezdomnego. Pewnie bezdomny spał w pomieszczeniu, w którym doktor zamordował Kingsly'ego. Fernandez zbyt późno się zorientował, że ma naocznego świadka, ale jego również udało mu się pozbyć. Po pewnym czasie wyniósł ciało

229

na ulicę, skąd zabrało je pogotowie. Sam pan powiedział, doktorze, że bezdomni czasem chowają się przed zimnem w pomieszczeniach szpitalnych.

Siedziałem, nie mogąc wydusić słowa.

Spojrzałem po twarzach pozostałych zebranych. Spoglądali na zegarki, szurali nogami, kręcili się na krzesłach. Ktoś mruknął nawet:

— Skończmy to gadanie. Już po wszystkim.

Podobne głosy słyszałem tuż za sobą. Hurst skinął zgodliwie, zachęcając do dalszych protestów. Jeśli zorganizował to zebranie tylko po to, żeby obalić wszelkie głosy przeciwko teorii Buforta, to mu się udało. Wszyscy siedzący w pomieszczeniu lekarze mieli już dość moich pytań.

Bufort skłonił się w milczeniu, patrząc na mnie.

— Czy nie jest prawdą, że pijacy i bezdomni często są znajdowani w piwnicach szpitala podczas zimnych nocy?

Nic nie odparłem, lecz on nie miał zamiaru pozwolić mi milczeć.

— Co, doktorze Gamet?

— Tak — potwierdziłem.

Zaczął zamazyście pakować swoje rzeczy.

— Chciałbym panu podziękować za współpracę, doktorze. Bez pana nie udałooby się nam zakończyć śledztwa sukcesem.

O mało nie rzuciłem, że w naszej profesji czyjś mózg rozbryzany po całym parkingu to nie żaden sukces. Spojrzałem na Wattsa. On tylko machnął ręką, żebym dał spokój. Nie było nawet mowy o ponownej sekcji innych bezdomnych. Moi koledzy zaczęli odsuwać krzesła od stołu z zamiarem wstania. Wszyscy chcieli już wyjść z sali. Ja też.

Zobaczyłem Rileya stojącego w drzwiach, z twarzą skupioną i napiętą. Gdy zbliżyłem się do niego, chciał coś do mnie powiedzieć, ale spojrzał na Buforta i odsunął się, schodząc mi z drogi. Byłem już w połowie korytarza, kiedy usłyszałem z tyłu głos Hursta.

— Doktorze Garnet. Mogę pana prosić na chwilę? Wkładając płaszcz, szedł w moją stronę. Często po zebraniu,

schodząc do szpitalnego holu, prowadził rozmowy, których nie chciał zamieszczać w protokole.

230

— Odwołałem planowane operacje w szpitalu, byśmy mogli uczcić pamięć biednego Kingsly'ego — zaczął mówić, idąc obok mnie. — Dzięki temu możecie zająć łóżka z chirurgii do wtorku. Pod warunkiem, oczywiście, że wycofacie się z groźby zamknięcia oddziału.

Spodziewałem się tego. Oznaczało to, że prawnicy Hursta nie znaleźli sposobu, by nas zmusić do pracy. Przynajmniej na razie. To miało im dać trochę czasu.

— Oczywiście. — Zatrzymał się. Moja pospieszna zgoda chyba zbiła go z tropu, dopóki nie odwróciłem się do niego i nie dodałem: — Na czas trwania dnia pamięci biednego Kingsly'ego.

Natychmiast uzbroił się w kły i pazury. Nie czekałem na uderzenie. Ruszyłem do wyjścia, zostawiając go ze zmrużonymi ze złości oczyma, wciąż udającego jaszczurkę. Obejrzałem się za siebie na zakręcie korytarza. Hurst wciąż mnie obserwował.

Zapewniłem na dzień znośne warunki na swoim oddziale, ale nie wiedziałem, co zapewniłem sobie.

Skierowałem się w stronę głównego wyjścia, a jednak nawet w niedzielę nie mogłem opuścić budynku, nie zaglądając na oddział. Po drodze zastanawiałem się, dlaczego

Hurst i Bufort tak bardzo chcieli jak najszybciej zamknąć śledztwo. Podejrzałem, że każdy z nich kierował się innym powodem. Bufort nie miał innego podejrzanego prócz Fernandez, na którego można teraz z łatwością zrzucić winę. Hurst zaś już pewnie miał dość tego skandalu... albo sam był zabójcą.

Kiedy uchyliłem drzwi prowadzące na oddział, zobaczyłem Jones. Usłyszałem, jak zapewnia starszą panią z wyrazem ulgi na twarzy, że jej syn wyzdrowieje. Młody człowiek, leżący obok nich na noszach, nie wyglądał źle, ale był podłączony do przenośnego monitora, kroplówek i butli z tlenem i gotów do przewiezienia na intensywną terapię. Pielęgniarki składały narzędzia, przygotowane do zabiegów.

— Co się dzieje? — zapytałem siostrę stojącą przy okienku dyżurki.

— To kolejny cud naszej doktor Jones — powiedziała z podziwem. — To jeden z dializowanych pacjentów, który trafił do nas z rozedmą płuc. Nie wiem, jak to zrobiła, ale

231

utrzymała go przy życiu, póki nie przyjechali z nefrologii i nie zrobili mu dializy.

Pielęgniarka była zachwycona, ja również. Niewielu lekarzy na oddziale miało dość umiejętności i odwagi, by przeprowadzić taką akcję. Patrzyłem, jak Jones po raz ostatni poklepuje po ramieniu matkę mężczyzny, wygłasza kilka słów pocieszenia do chorego i kieruje się w stronę dyżurki, gdzie stałem z pielęgniarką. Uśmiech zadowolenia przygasł trochę na jej twarzy, kiedy mnie zobaczyła, ja natomiast, jak zwykle w jej obecności, miałem ambiwalentne uczucia.

— Piękna robota, Valerie — powiedziałem pospiesznie. — Moje gratulacje!

Była szczerze zdziwiona, że jestem w szpitalu.

— Wpadłem na chwilę po spotkaniu na górze — wyjaśniłem, nie czekając na pytanie. Chciałem ją zapewnić, że jej nie szpieguję.

Zawahała się, ale po chwili przybrała uśmiechniętą minę.

— Dzięki — odparła. Podeszła do lady i zajęła się wypisywaniem karty.

— To wspaniały lekarz — zwróciła się do mnie matka pacjenta, idąc za noszami, które transportowano właśnie na intensywną terapię.

— Tak, to prawda — odparłem, nie mogąc w głębi duszy połączyć w jedno świetnego specjalisty i rozpuszczonego bachora, którego czasem mi przypominała. Zauważyłem, że, podobnie jak większość primadonn, z mniejszym entuzjazmem

zajmowała się nieskomplikowanymi przypadkami i spychała je często na stażystów. To był jedyny zarzut, jeśli chodzi o sprawy zawodowe. Obawiałem się, że w ten sposób może przeoczyć coś bardzo istotnego, lecz jak dotąd nic takiego się jej nie przytrafiło. Wręcz przeciwnie, podczas ośmiu lat pracy na moim oddziale nigdy się nie zdarzyło, żeby na jej zachowanie narzekał pacjent czy jego rodzina. Nikt, nawet ja, nie mógł się pochwalić w tej kwestii czystą kartoteką. Zdaje się, że kiedy rozmawiała z nimi, robiła wrażenie osoby w pełni panującej nad sytuacją i dlatego czuła się bezpiecznie.

— Poza tym wszystko dobrze? — zapytałem ją, mimo że stała do mnie tyłem. Tak właściwie nawet nie chciałem, żeby mi odpowiadała.

232

No i nie odpowiedziała.

Przypomniało mi się, że nie rozmawiałem z nią o doktorze Toddzie, ale dziś, po pogrzebie Fernandez, nie była najlepsza po temu okazja. Obiecałem sobie, że zajmę się tym jutro.

Wyszedłem ze szpitala i odszukałem wzrokiem mój samochód na parkingu.

Pod wycieraczką na przedniej szybie znalazłem kartkę. W środku była informacja: „Proszę się ze mną spotkać za pół godziny w barze Podkowa”.

Brakowało podpisu, ale wiadomość napisano na papierze listowym policji Buffalo i na dole wydrukowane było nazwisko detektywa Riley.

Bar Podkowa znajdował się niedaleko szpitala, ale nie było to miejsce, do którego często wstępowałem. Dziesięć lat temu przywożono nam pacjentów z tego baru w każdy weekend. Zwykle byli to narkomani. Przesiadali tutaj studenci z uniwersytetu, ale nie przypominali niewinnie palących trawkę luzaków, jakich znałem w latach sześćdziesiątych. Ci młodzi ludzie pojawiali się tu po ostre narkotyki. Praktykę toksykologiczną przeszedłem na nastolatkach, które tkwiły w nałogu kosztującym około tysiąca dolarów tygodniowo. Kiedyś przywieziono na nasz oddział nastolatkę. Była naga i nieprzytomna. Przeprowadziłem resuscytację i uratowałem jej życie po przedawkowaniu pigułek, kokainy i alkoholu. Miała młode ciało. Piersi i biodra dopiero co zaczęły się rozwijać. Wyglądała jak dziecko. Intubowałem ją i zrobiłem płukanie żołądka. Wymiotowała węglem drzewnym, którego użyłem do zneutralizowania tego, co wzięła. Zwróciła do mnie pucołowatą buzię małej dziewczynki, którą jeszcze wciąż była, a ja zapytałem zdziwiony:

— Skąd bierzesz na to pieniądze?

W jej oczach pojawiło się spojrzenie osoby starszej, niż mogłem sobie wyobrazić.

— Zgadnij! — powiedziała bez skrępowania.

Rok później zmarła, zanim dojechała do szpitala. Wypisałem akt zgonu. Była już tak wyniszczona, że nie rozpoznałem jej,

233

póki nie zobaczyłem swojej notatki w karcie choroby. Kiedy powiedziałem o tym jej rodzicom, nie zareagowali. Ojciec bez słowa podpisał papiery i wyszedł. Po kilku chwilach sztywno i równie milcząco wyszła za nim matka, ciemnowłosa, nieczuła kobieta, podobna do swej córki.

Teraz wojna narkotykowa rozprzestrzeniła się po całym mieście. Pacjenci z ranami zadanyimi nożem i narkomani po przedawkowaniu zwożeni są ze wszystkich jego stron.

W Podkowie zmieniło się trochę na lepsze. Właściciel dodał kilka nowych kwiatów doniczkowych, kilka lusterek i zmienił kolor ścian na ciemny zielony. Był to kolor ostatnio modny i pojawiał się w wielu domach, ale ja za nim nie przepadałem.

Jak tylko wszedłem, poczułem zapach dymu papierosowego pomieszanego ze stęchłym piwem. Czterech facetów w płaszczach przeciwdeszczowych obejrzało sobie mnie dokładnie, kiedy stałem wewnątrz i przyzwyczajałem wzrok do różowego neonu oświetlającego bar. Wyglądali na policjantów albo żołnierzy jakiegoś gangu. Ponurzy weterani wspominali przy piwie dawne bitwy i niespełnione okazje. Riley siedział sam.

— Czy tu wciąż coś się dzieje? — zapytałem, siadając obok niego.

— Bywają tu tylko byli gliniarze i przestępcy. Jak w klubie. Emerycy opowiadają zmyślane historie i piją, by zagłuszyć wspomnienia. Czego się pan napije, doktorze?

Do diabła z tym wszystkim. To nie był najlepszy dzień. Potrzebowałem czegoś mocniejszego.

— Poproszę black russian.

Riley spojrzał z ulgą i zadowoleniem. Pewnie czuł się swobodniej w towarzystwie faceta, który lubi się napić czegoś mocnego.

Spojrzał na barmana, kulturystę w czarnej koszulce i z kucykiem, zamówił podwójne drinki i wychylił bursztynową zawartość ze stojącej przed nim szklanki, z której popijał, czekając na mnie. Musiało to być coś bardzo mocnego.

Za chwilę na barze pojawiły się zamówione drinki. Obaj pokręciliśmy się na krzesłach, upiliśmy z zadowoleniem odrobinę i usiedliśmy wygodnie naprzeciw siebie.

234

— O co chodzi? — zacząłem.

Riley upił jeszcze łyk. Płomień w moim żołądku przypominał mi, że nie jadłem obiadu.

— Na początek chciałbym prosić, żeby ta rozmowa pozostała w tajemnicy. Spotykamy się nieoficjalnie.

— Dlaczego? — zapytałem, choć znałem już przyczyny jego postępowania. Chciałem jednak, żeby, oczywiście nieoficjalnie, o nich opowiedział.

Pociągnął jeszcze łyk i mówił dalej:

— Bo mój szef to zakichana primadonna i gdyby wiedział, że robię mu koło pióra, zaraz by mnie oddelegował z powrotem na ulicę, do kierowania ruchem.

Uśmiechnąłem się, słysząc jego szczere słowa, i wzniosłem swoją szklankę, po czym się napiłem. Znowu poczułem pieczenie w żołądku. Przypomniało mi się, że śniadania również nie jadłem.

— Nie mogłem zignorować pytań, które pan wcześniej zadał — powiedział Riley. — Fakt, że pan nie chce się zgodzić, by zrzucić wszystko na doktora Fernandez, sprawia, że ja również nie mogę się na to zgodzić. — Ucichł, napił się i ciągnął: — Czy ma pan coś na poparcie swoich wątpliwości?

Poczułem, że szklanka w mojej dłoni robi się zimna. Duchy wszystkich tych młodych ludzi, którzy zaćpali się tu na śmierć, spowodowały, że chłód przeszedł mi po plecach.

— Nie — przyznałem.

— Więc dlaczego jest pan taki pewien, że to nie on, jak twierdzi Bufort, zabił Kingsly'ego i bezdomnego pijaka? Miał motyw. Wie pan, że znaleźliśmy dzieła sztuki schowane na strychu jego wiejskiej chaty. Żona powiedziała nam, że wisały u nich w domu jeszcze kilka miesięcy temu. Nagle je zabrał i twierdził, że sprzedał.

— Ponieważ morderstwo w jego wypadku nie miało żadnego sensu. Sprzeniewierzenie pieniędzy, owszem, arogancja, chciwość, tak. Potem wstyd i utrata dobrego imienia. W to wszystko mogę uwierzyć. — Umilkłem, rozejrzałem się po

opustoszałym barze, a potem zwróciłem się znów do Riley a. — Poza tym ktoś przeszukał mój gabinet w domu. Fernandez niczego ode mnie nie potrzebował. On musiał się tylko obawiać danych

235

z biura Kingsly'ego i Laverty'ego, a te znaleźliście. — To było najistotniejsze. Sprawa wydawała się zupełnie nielogiczna. Pochyliłem się w kierunku Riley'a. — Gdyby Fernandez zabił Kingsly'ego, żeby nie wydały się jego nadużycia, na pewno od razu przeszukałby biuro i zniszczył wszystkie dowody. Chaos w papierach szpitala jest powszechnie znany. Nikt by nic nie zauważył. Mógł przecież przeszukać pomieszczenie po zamordowaniu Kingsly'ego i przeniesieniu jego ciała.

— Może szukał, ale nic nie znalazł?

— Trudno było je znaleźć?

— Nie rozumiem.

— Ile czasu zajęło wam odnalezienie podejrzanego konta i pokwitowania na dzieła sztuki?

— No cóż, niezbyt długo to trwało. Nie wiedzieliśmy, czego szukamy, a we wszystkich papierach był taki bałagan, więc zajęło nam to kilka dni.

Siedziałem i kręciłem szklanką. Fernandez wiedziałby, czego szukać. Wiedziałby również o bałaganie w papierach, bałaganie, dzięki któremu trudno byłoby się dokopać do obciążających go informacji, gdyby zniszczył te najważniejsze. Nie, nie mógł ryzykować morderstwa. A co z Thomasem Lavertym? Przecież jako dyrektor do spraw finansowych musiał maczać w tym palce. Fernandez musiałby jego również uciszyć.

Riley odezwał się ostrożnie.

— Chciałbym, żeby zdradził mi pan, o czym myśli. Uśmiechnąłem się. Tak zawsze zwracałem się do lekarzy

stażystów, próbujących w myślach znaleźć właściwe rozwiązanie czy diagnozę. Chciałem poznać ich tok rozumowania.

— Dobrze — zgodziłem się. — Fernandez nie zabił Kingsly'ego. Nie zrobiłby tego w pośpiechu, nie mając możliwości znalezienia tego, czego naprawdę potrzebował, to znaczy dowodów. Gdyby Fernandez chciał go zamordować, zaplanowałby wszystko tak, by zniszczyć przy okazji dowody nadużyć. Logiczne byłoby również to, że kolejną ofiarą powinien stać się Laverty, a nawet nie próbowano tego uczynić. Z

punktu widzenia Fernandesa wkłucie igły dosercowej i pozostawienie nagiego szefa w jego własnym biurze wydaje się pozbawione

236

sensu. Nie zyskałby w ten sposób tego, na czym mu zależało. Powinien wcześniej przeszukać dokładnie biuro przez kilka kolejnych nocy, żeby znaleźć to, czego potrzebował, i potem ewentualnie zająć się Kingslym.

— Może tak się właśnie stało. Może Kingsly wpadł do biura nagi, po kolejnej próbie dorwania jakiejś kobiety i przyłapał Fernandez na przeszukiwaniu jego szuflad. Wtedy Fernandez złapał pierwszą rzecz, jaką miał pod ręką, i go dźgnął.

— No nie, przecież psychiatra nie nosi przy sobie igły dosercowej. Do diaska, nikt tego ze sobą nie nosi. Trzymamy je w zestawie zabiegowym do zawałów serca i tia chirurgii. — Uśmiechnąłem się znów. — Zapomina pan, detektywie, że zabito go gdzieś indziej, bo w jego biurze nie było krwi.

Riley się uśmiechnął.

— Tylko sprawdzam, doktorze. Takich amatorów jak pan trzeba od czasu do czasu otrzeźwić. — Zaczął machać pustą szklanką, żeby zauważył go barman. Rozejrzałem się po barze. Przypomniałem sobie, że kiedyś siedzieli tu ci wszyscy narkomani. „Puste krzesła przy pustych stołach”, to była kwestia z musicalu „Le Miserables”.

Tyle że ci studenci sami się zabili. Nagle przyszło mi coś do głowy.

— Trucizna!

Mój nagły wybuch przestraszył Riley'a.

— Trucizna? — zapytał oszołomiony. Spojrzał z poczuciem winy na wciąż pustą szklankę i odstawił ją na bar.

— Tak, Kingsly nie został otruty. Zmarszczył brwi.

— No i co? Wszyscy dawno to wiemy.

— No właśnie — zacząłem i umilkłem, po czym pochyliłem się, z satysfakcją wcielając się w nową rolę. Zadziwiająco, co może zrobić kilka łyków black russian na pusty żołądek. Ściszyłem głos i trochę melodramatycznie powiedziałem: — Gdyby to Fernandez zamordował Kingsly'ego, zrobiłby to za pomocą trucizny.

Detektyw wyraźnie zainteresował się tym, co usłyszał.

— Niech pan powie coś więcej.

— Fernandez jest psychofarmakologiem.

— He?

— To znaczy, że specjalizuje się w lekach psychosomatycznych. Co więcej, zajmował się badaniami nad nowymi, jeszcze niedopuszczonymi na rynek lekami tego typu. Badał ich wpływ terapeutyczny i toksyczny na pacjenta oraz, co ważne, działanie tych środków w połączeniu z innymi lekami zwykłymi i psychosomatycznymi.

— Dlaczego to takie ważne?

— Dlatego że mógł z łatwością zamordować za pomocą tych leków.

Black russian już nie piekła mnie w żołądku, choć może to żołądek przestał reagować. Riley nawet nie zauważył, jak barman postawił obok jego łokcia nową, pełną szklankę.

— W swoich badaniach Fernandez odkrył, że pewne leki, którymi się interesował, są zbyt toksyczne, by można je dopuścić do sprzedaży. Na pewno znalazł pośród nich mieszkankę silnie trującą. Nawet dopuszczone do obrotu leki trójcykliczne, stosowane w leczeniu depresji, mogą doprowadzić do zatrzymania akcji serca, jeśli sieje przedawkuje. Kto wie, jakie działanie innych leków, niedopuszczonych do sprzedaży, odkrył podczas tych badań? Te wszystkie specyfiki były dostępne tylko dla niego, do poszczególnych badań, ale na pewno nie było ich na liście środków toksycznych. Kingsly byłby doskonałym celem takiego zabójstwa ze względu na jego pijaństwo. Najpierw jednak Fernandez musiałby znaleźć obciążające go dokumenty. Potem z łatwością podsunąłby mu ulubiony alkohol, ostatni w jego marnym życiu. Atak serca gotowy. Kto w takiej sytuacji potrzebuje igły dosercowej?

Riley odsunął się trochę. Obracał szklankę w dłoniach, jakby próbował rozpalić ogień. Wiedziałem, że to pomaga mu ułożyć sobie w głowie mój scenariusz wydarzeń.

Wychyliłem drinka, czekając na jego werdykt.

W końcu przestał kręcić szklanką i wyłożył swoje przemyślenia.

— Musi pan być ostrożny, doktorze, bardzo ostrożny — powiedział cicho... zbyt cicho, a potem dodał to, czego sam, pod wpływem alkoholu, zaczynałem się domyślać: — Jeśli ma

pan rację, a obawiam się, że to, co pan powiedział, ma więcej sensu niż konkluzje geniusza, z którym pracuję, to na wolności jest zabójca, który sądzi, że samobójstwo Fernandezza zamknęło sprawę. Teraz zabójca czuje się bezpieczny, więc na razie pan nie ma się czego obawiać. Kiedy jednak wyrazi pan głośno, co myśli, wszystko natychmiast się zmieni. Zabójca dostrzeże w panu zagrożenie, będzie pan jego pierwszym celem.

Rozdział 14

Kiedy wychodziłem z Podkowy, było dopiero wpół do drugiej. Popołudniowe światło nieznacznie rozjaśniało mrok. Słońca nie widziałem od kilku tygodni i chyba się domyślałem, jak pod koniec swego istnienia musiały się czuć dinozaury. Może chorowały z powodu zaćmienia? A tak właściwie, czy za tymi chmurami było jeszcze jakieś słońce?

Pod koniec rozmowy Riley zachował się jak prawdziwy biurokrata. Jasno dał mi do zrozumienia, że z przyjemnością przeciwstawi się szefowi, ale będę musiał ujawnić coś więcej niż przeczucia, żeby zabrał się do tej sprawy.

Nim dotarłem do szpitala, znów zaczął padać zimny deszcz. Krople przypominające lodowatą maź spadały na moje okulary.

Zatrzymałem się przy samochodzie i zdałem sobie sprawę, że do końca dnia nie mam nic do roboty. Miałem ochotę zobaczyć się z Janet, ale była w szpitalu na dyżurze. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy, włączyłem stacyjkę, żeby uruchomić telefon samochodowy. Wybrałem numer porodówki. Poinformowano mnie, że doktor Graceton jest w trakcie operacji. Zadzwoiłem do lecznicy dla zwierząt i dowiedziałem się, że Muffy jest na środkach uspokajających, nie ma gorączki, ale wciąż jest słaba. Nie mogłem więc nawet pojechać tam i pocieszyć mojego psa.

Siedziałem, wpatrując się w przednią szybę, zalewaną przez

240

deszcz. Nie umiałem sobie radzić bez kobiety. Parking pokrywała gęsta mgła. Nie widziałem wokół siebie nic prócz kilku zaparkowanych w pobliżu samochodów.

Gdzieś tam czaił się zabójca. Czy na razie byłem bezpieczny? Może nie. Na pewno nie. Nie będę bezpieczny, póki się nie dowiem, dlaczego w ogóle stałem się jego celem. Na dodatek wciąż nie wiedziałem, na czym ma polegać ta ostrożność, którą mi wszyscy doradzali.

Znów pomyślałem o wydrukach statystycznych. Jeśli powody zagrożenia były ukryte gdzieś w tych wydrukach, to nie byłem bezpieczny.

Korzystałem z komputera w naszej chacie nie tylko dlatego, że to dobry pretekst do wyjazdu, ale również z tego powodu, że cierpiałem na informatyczny debilizm i Carole nie pozwalała mi używać naszego komputera w biurze, kiedy sama nie była przy tym obecna. Kiedyś próbowałem znaleźć jakieś dane samodzielnie i w efekcie wyczyściłem cały twardy dysk. Teraz Carole nie podawała mi nawet hasła. Rutynowo kopiowała wszystkie informacje na osobne dyskietki, przystosowane do pracy na moim sprzęcie w chacie na wsi. Potrafiłem pracować na terminalu w dyżurce pielęgniarek. Program był specjalnie przetestowany na mnie, bo doszli do wniosku, że jeśli ja potrafię go użyć, to każdy będzie umiał to zrobić. Mimo to dostanie się do sieci informacji szpitala bez pomocy Carole było dla mnie zbyt trudnym zadaniem, gdybym nawet znał hasło do naszego komputera. Nie chciałem do niej dzwonić i prosić o pomoc. To nie miało być zwykłe przeglądanie informacji, w którym pomogła mi dwa dni temu. Teraz miałem zamiar tak przejrzeć te liczby, żeby wpaść na trop zabójcy. Carole musiałyby pracować cały czas ze mną i wiedzieć, czego szukam. Postanowiłem, że dopóki się nie dowiem, o co chodzi, nie będę narażał jej ani nikogo innego.

Samotność w lesie w taką pogodę nie była najprzyjemniejszą perspektywą, ale potrzebowałem znów mego komputera. Jeśli cokolwiek uda mi się ujawnić tej nocy, to najlepiej poradzę sobie z tym na moim starym sprzęcie. Włożyłem kluczyki od samochodu do kieszeni, wysiadłem i poszedłem w stronę biura. Wydruki i dyskietki z firmy ubezpieczeniowej wciąż były

241

w bagażniku, ale do zrealizowania pomysłu, który właśnie dojrzywał w mojej głowie, potrzebowałem jeszcze kilku dyskietek.

Zatrzymałem się przy szatni i zajrzałem na moją półkę z pocztą. Za wieszakami na płaszcze był na ścianie regał na korespondencję, z półkami oznaczonymi nazwiskiem lekarza. Po raz pierwszy z łatwością dostałem się do mojej części. Zwykle przegródka nad moją, należąca do Jones, była tak zapchana, że papiery wystawały z niej. Dziś nie było dla niej poczty. Na mnie czekała tylko informacja o promocji jakiegoś sprzętu medycznego.

Na oddziale było rojno, ale pielęgniarki uśmiechały się zadowolone. Strumień salowych i pielęgniarzy płynął, popychając przed sobą wózki i nosze, wpływał do windy i opróżniał nasze korytarze, rozwożąc pacjentów na inne oddziały, do prawdziwych łóżek, w których dawno powinni się znaleźć. W końcu Hurst je udostępnił. Opustoszały korytarz i stosy noszy świadczyły o tym, że przez cały tydzień okupował to miejsce tłum ludzi. Oddział przypominał pokój nad ranem po

dzikiej prywatce. Niewielka grupka sprzątaczy miała za chwilę zabrać się do pracy.

— Gratulacje, szefie! — powiedziała Sylvia, która miała przyjść dopiero na nocną zmianę, ale pojawiła się kilka godzin wcześniej.

Pielęgniarki wzdychały z ulgą. Nie chciałem im mówić, że to tylko na jeden dzień.

— Gdzie jest Jones? — zapytałem. Powinna jeszcze tu być.

— Był do niej telefon, jakaś sprawa osobista. Poprosiła, żebym przyszła wcześniej. Dziecko już spało. Mąż był w domu i nie miał nic do roboty. Nie było sensu, żebyśmy siedzieli oboje i gapili się na małego aniołka. Poza tym ktoś musi zarobić na jej chesne na uniwersytecie.

Jak zwykle pełna wdzięku. Wiedziałem, że wolałaby spędzić ten czas w domu, przyglądając się śpiącej córeczce. Podobnie jak większość dojrzałych rodziców, ona i jej mąż uwielbiali upewniać się nawzajem, że to prawda, że na pewno mają dziecko. Jones nie ma dzieci i nie wie, jakim wyrzeczeniem dla Sylvii było zastąpienie jej, nawet w ciągu tych kilku godzin.

242

Po minucie od mego wejścia do biura zadzwonił telefon.

— Doktorze Garnet. Jest pan natychmiast potrzebny w kostnicy. Kod dwa trzy.

Chwilę trwało, nim informacja do mnie dotarła.

— To jakiś żart?

— Nie, proszę pana. Kilka sekund temu mieliśmy telefon. Powiedziano nam, że jest pan w swoim gabinecie i poproszono, byśmy do pana zadzwoniły. Kod dwa trzy.

— Kto telefonował?

— Nie powiedział.

— Dlaczego?

— Mówił, że to bardzo pilne.

W normalnych warunkach po usłyszeniu tego kodu biegłbym już na miejsce i nie zadawał pytań. Jednym z makabrycznych żartów szpitalnych jest pomyłkowe wysłanie żywego pacjenta do kostnicy. Może jeden z gości Wattsa nagle wstał?

— Idzie pan, doktorze?

— Tak, ale proszę kazać ochronie pójść tam za mną. Wziąłem stetoskop i ruszyłem korytarzem w stronę drzwi.

Zobaczyłem po drodze pielęgniarkę.

— Sandy, bierz zestaw do resuscytacji i idź za mną do kostnicy!

Stała zaskoczona. Chyba też pomyślała, że to głupi żart.

— Mówię serio! — krzyknąłem i pospiesznie udałem się w stronę drzwi. Schwyciłem aparat do wentylacji płuc i sprzęt do intubacji, wiszący w korytarzu, w razie nagłej potrzeby.

Klatka schodowa, wiodąca do piwnicy, była pusta. Biegłem po schodach. Za sobą słyszałem echo własnych kroków. Miałem złe przeczucie. Ktoś mógł się dowiedzieć, że jestem w niedzielę w swoim gabinecie, jeśli wcześniej mnie obserwował.

Cienka linia świecących żarówek nad moją głową prowadziła w kierunku laboratorium Watta. Nikogo nie powinno tu być podczas weekendu. Nasłuchiwałem i spoglądałem w kierunku, gdzie zapraszał mnie rząd świateł. Czułem się jak mucha, na którą poluje pająk. Wziąłem głęboki oddech i z ulgą przypomniałem sobie, że ochrona i pielęgniarka zaraz tu będą. Ruszyłem dalej.

Za korytarzem był przedpokój należący do pomieszczeń

243

prosektorium. Po obu stronach wąskiego przejścia stały nosze. Nad tą częścią korytarza nie było oświetlenia, ale dochodziło tu światło z korytarza, więc z łatwością zauważyłem, że jedno nosze były zajęte. Trup przykryty prześcieradłem zawsze robił na mnie większe wrażenie. Najwyraźniej Watts zaplanował sobie sekcję na weekend. Obszedłem zwłoki i zbliżyłem się do wejścia do laboratorium. Po prawej miałem wielkie, drewniane drzwi ogromnej zamrażarki, skąd brano ciała i po wszystkim wstawiano z powrotem. Były otwarte na oścież. Odruchowo zamknąłem je. Matka zawsze mnie uczyła, że trzeba zamykać lodówkę. Przed sobą miałem podwójne drzwi wahadłowe do sali, w której odbywały się sekcje. W szparze pod drzwiami widziałem światło. Zapukałem, czując się głupio, zwłaszcza że wciąż kątem oka spozierałem na leżącą za mną postać przykrytą prześcieradłem.

— Halo! Jest tam kto? Robert?

Nie usłyszałem odpowiedzi, lecz z pomieszczenia dochodziło szybkie, ciągłe popiskiwanie, które, choć wydało mi się znajome, nie pasowało do miejsca.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do jasno oświetlonego prosektorium.

Watts leżał jak ptak z rozrzuconymi kończynami na stole do autopsji. Był nagi od pasa w górę i podłączony do przenośnego monitora. Nie oddychał. Z boku głowy miał sporą ranę, ale nie po tym poznałem, że raczej nie żyje. Martwy wzrok, mokra plama w kroczu i zapach świeżego kawy wyraźnie mówiły, że nastąpiła śmierć. Poszarpane wstążki, pojawiające się na monitorze, oznaczały migotanie komór serca. Jeszcze mogłem go uratować.

Na końcu lady, która ciągnęła się wzdłuż ścian w całym pomieszczeniu, był zlew. Z kranu leciała woda. Wylewała się ze zlewu na podłogę. Za chwilę całe pomieszczenie będzie zalane. Co tu się, do diabła, dzieje? Nie miałem czasu się zastanawiać... nie mogłem zwlekać, jeśli miałem uratować Roberta.

Pospiesznie, ale ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć na mokrej podłodze, podszedłem do monitora i chwyciłem elektrody. Już były rozgrzane. Ktoś nastawił je na 360 dzuli. To nie miało

244

sensu, ale rutyna zwyciężyła. Mimo że nie było to już raczej potrzebne, dotknąłem szyi i potwierdziłem brak tętna. Umieściłem elektrody na odpowiednich miejscach na klatce piersiowej i byłem gotów porazić go prądem, by uzyskać normalny rytm serca. Te czynności wykonywałem automatycznie. Pochyliłem się nad Wattsem, chcąc się upewnić, czy elektrody stykają się z ciałem. Dziwne myśli plątały mi się po głowie. Co za potwór to wszystko przygotował, zrobił z Wattsa obiekt doświadczalny, manekina, a potem przygotował sprzęt do resuscytacji jak na ćwiczeniach?

Stanąłem krok dalej, położyłem palce na czerwonych guziczkach. Choć byłem sam, odruchowo rozejrzałem się dookoła. Zawsze strasznie besztaliśmy stażystów, jeśli nie sprawdzili przed uderzeniem silnym prądem, czy ktoś jeszcze nie dotyka pacjenta. Takie zaniedbanie groziło dwoma zawałami. Bezwiednie mruknąłem nie wiadomo do kogo:

— Odsunąć się.

Ostre światło odbiło się od stalowej powierzchni stołu do sekcji i mokrej podłogi. Może właśnie ten błysk, kiedy rozejrzałem się dookoła, wstrzymał mój bezmyślny pośpiech.

— Cholera! — krzyknąłem, odkładając elektrody na swoje miejsce, jakby nagle zmieniły się w węże.

Musiałem odizolować Wattsa i siebie od stali i wody. Jeśli tego nie zrobię, prąd porazi mnie, a nie jego, i zatrzyma bicie mojego serca.

W oddali, na drugim końcu korytarza, słyszałem wyraźny brzęk nadjeżdżającej windy. Potem doszedł do moich uszu podniecony krzyk ochroniarza i Sandy, biegnących długim tunelem i pchających przed sobą, piszczący przy każdym ruchu kół, sprzęt do resuscytacji.

By zyskać na czasie, odchyliłem głowę Wattsa, zasłoniłem mu usta swoimi i wdmuchnąłem dwukrotnie powietrze do płuc. Potem ułożyłem dłonie na klatce piersiowej i piętnaście razy pospiesznie nacisnąłem. W pewnej chwili poczułem pod dłońmi suchy trzask jego żeber, ale jeśli przeżyje, na pewno mi to Wybaczy. Pielęgniarka i dyszący ciężko gruby ochroniarz wepchnęli zestaw reanimacyjny do laboratorium.

— Sandy, ogłosz dziewięćdziesiąt dziewięć. Pan musi coś

245

wymyślić, żeby zyskać materiał izolacyjny — mówiłem, kontynuując cykl reanimacyjny. Za każdym razem, kiedy wdmuchiwałem powietrze, klatka piersiowa Wattsa podnosiła się. — Niech pan weźmie tę tablicę!

Ochroniarz podszedł do zestawu reanimacyjnego. Była przy nim spora tablica, która służyła do podnoszenia ludzi z urazami kręgosłupa. Sandy zadzwoniła i już po chwili była przy mnie. Zaczęła uciskać klatkę piersiową. Ja dzięki temu mogłem nałożyć Wattswowi maskę. Umieściłem w jamie ustnej rurkę, która podtrzymywała odciągnięty język, by nie blokował wlotu powietrza, i zacząłem pompować. Ochroniarz przytargał tablicę. Sandy uciskała serce. Ja wentylowałem. Wysiłek związany z uciskaniem klatki piersiowej sprawił, że bluzka Sandy się rozchyliła. Nie miała na sobie stanika.

— Dobrze, oto co zrobimy — powiedziałem, żeby odwrócić uwagę mężczyzny od Sandy. — Na trzy przestaniemy, pociągniemy go w naszą stronę, a pan wsunie pod niego tablicę.

Policzyliśmy, ale w czasie przesuwania Wattsa po wąskim stole o mało nie spadł na podłogę. Ochroniarz uderzył w żarówkę nad naszymi głowami i niewiele brakowało, że i mnie zdzieliłby tablicą, kiedy próbował jednocześnie umieścić ją pod pacjentem i obserwować, co się dzieje pod bluzką Sandy. Nogi nam się ślizgały na mokrej podłodze i wylądowaliśmy na brzuchu Wattsa, lecz przynajmniej zrobiliśmy co trzeba.

— Dobra, Sandy, uciskaj dalej — rzuciłem i pompowałem powietrze, a ochroniarz znów spoglądał na jej piersi.

— Hej, ty! — krzyknąłem. — Przestań się gapić. Poczzerwieniał. Sandy popatrzyła na niego z pogardą, ale nic

nie powiedziała, koncentrując się na swojej pracy.

— Trzeba odizolować czymś nasze stopy. Jesteśmy zbyt mokrzy, żeby użyć prądu. Zakręć wodę — rozkazywałem — i weź materac z noszy na korytarzu. Przynieś go tu. Pospiesz się!

Patrzyłem na monitor. Postrzępione wstążki wciąż się na nim pojawiały, były jednak coraz słabsze. Mieliśmy mało czasu.

Ochroniarz pobiegł bez gadania. Nie przeszkadzało mu chyba, że będzie w korytarzu sam na sam z trupem.

Sandy zrobiła się czerwona i ciężko dyszała.

— Chcesz się zamienić? — zapytałem.

246

— Nie! Tylko trzymaj ode mnie z daleka tego kretyna.

— Jesteś po prostu niezwykle seksowna, kiedy ratujesz życie ludzkie.

— Świntuch. Uważaj, bo powiem Janet. Przekomarzaliśmy się tak często, ale to nie

miało żadnego

znaczenia.

Sandy, ciągle naciskając, rozejrzała się dookoła.

— Co się tutaj stało?

Wciąż pompowałem powietrze do płuc.

— Nie wiem. Znalazłem go w takim stanie.

— W takim stanie? — Zaskoczona przerwała swoją pracę. Ochroniarz wszedł, niosąc materac. Rzucił go nam pod stopy. Stanęliśmy na nim. Spojrzeliśmy ostatni raz na monitor.

Linia była coraz słabsza. Sięgnąłem po elektrody. Położyłem je i rzuciłem okiem na otoczenie.

— Odsunąć się!

Sandy wykonała polecenie, pozostając na materacu. Nacisnąłem czerwone guziki.

Uderzenie prądu wygięło ciało Wattsa w łuk. Opadł na tablicę, jak kawałek polędwicy na rzeźnicki stół. Patrzyłem na monitor. Zygzaki zmieniły się teraz w prostą linię. Nic więcej.

— Dawaj, Watts, no, dawaj! — W dalszym ciągu linia prosta. Ciągły dźwięk z urządzenia wyśmiewał się z naszych wysiłków.

— Cholera! Uciskaj w dalszym ciągu. Sandy znowu rozpoczęła masaż serca.

— Podaj ten wysoki stołek. Jest tam! — krzyknąłem do ochroniarza.

Przy targał go.

— Wejdz na taboret, Sandy. Będziesz miała mocniejszy ucisk.

Ścisnąłem worek bardzo mocno jeszcze cztery razy, a potem rzuciłem go i zacząłem szukać w zestawie reanimacyjnym rurki i laryngoskopu. Znalazłem odpowiedni rozmiar, uruchomiłem laryngoskop i przytrzymałem głowę Wattsa.

— Przestań na chwilę! — poleciłem.

Sandy przerwała masaż. Ochroniarz wstrzymał oddech. Palcami prawej dłoni otworzyłem usta Wattsa, włożyłem końcówkę laryngoskopu lewą ręką i oparłem ją o podstawę języka.

247

Widziałem struny głosowe. Były czyste, żadnych wymiotów. Włożyłem rurkę do intubacji. Na monitorze linia była prawie zupełnie prosta.

— Dobra, uciskaj.

Podczas gdy masowała serce, przymocowałem worek, żeby wtłoczyć za jego pomocą więcej powietrza. Na monitorze pojawiła się pierwsza normalna linia.

— Czekać — szepnąłem. To mogło być to. Kilka wzniesień, a potem płaska linia. Tak się czasem zdarzało. Znow wzniesienie, znow poszarpana linia, potem płaska i ponownie szła w górę. — Masz tętno?

Sandy dotknęła szyi. Na monitorze linia wznosiła się i opadała. Pielęgniarka potrząsnęła głową i przystąpiła do masażu.

— Trzeba mu pomóc. — Chwyciłem trzy ampułki adrenaliny, wciągnąłem je do strzykawki, a potem wstrzyknąłem do intubacji. Po chwili wtłoczyłem płyn, pompując powietrze. Usłyszałem następne piśnięcie i następne. Na monitorze pojawiały się wznoszące linie. Usłyszałem głośny szcęk drzwi. Nasze wezwanie

odniosło skutek. Nadeszła pomoc. Ekipa wbiegła z butlami z tlenem. Technik podłączył respirator i bez słowa przejął ode mnie wentylację. Do płuc zaczął się dostawać czysty tlen.

— Co się stało? — zapytał.

— Nie wiem.

Krótki sygnał, potem następny, kilka poszarpanych linii na monitorze i w końcu serce jak diesel na mrozie zaczęło pracować coraz spokojniej, regularnie.

— Tak!

— Mam puls.

— Świetnie.

— Mamy go!

Sandy zajęła się zestawem reanimacyjnym.

— Podłącz ksylokainę, dobrze, Sandy? Siedemdziesiąt miligramów w bolusie, a potem dwa miligramy na minutę we wlewie kroplowym.

Stażysta dotknął mojego ramienia.

— Earl, nie nadmuchałeś mankietu? Nie zrobiłem tego.

— Nie, przepuszcza?

248

Nie odpowiedział. Wkłuł strzykawkę pełną powietrza przez rurkę biegnącą na zewnątrz tuby umieszczonej w krtani Wattsa. To sprawiło, że niewielki balon nie pozwolił tlenowi uciec i zmuszał go do wpływania do płuc.

Do sali wpadło jeszcze dwóch stażystów.

— Przynieście krew i gazę — powiedziałem.

Zmierzyłem Wattswi ciśnienie. Nie było złe. Sto na sześćdziesiąt i rosło.

Coraz większa liczba stażystów, pielęgniarek i studentów kręciła się wokół przywróconego do życia Wattsa. Zabezpieczali kroplówki, podłączali monitory, ścierali rozlaną krew i inne płyny. Pacjent nabrał nawet trochę kolorów, ale potrzebny był respirator. Tego, czy mózg Wattsa pozostał sprawny, nie dało się od razu ustalić.

Przyszedł Stewart Deloram z intensywnej terapii. Zdałem mu relację z resuscytacji.

Wyjaśniłem tylko, że znalazłem Wattsa, nie ujawniając dziwnych szczegółów. Mężczyzna przewiesił sobie pasek od przenośnego defibrylatora na ramieniu i odsunął się. Z rumorem, piskiem i klikaniem, wśród rozmów i odgłosów kroków, cała załoga ruszyła w stronę drzwi, obok pacjenta na noszach. Wyszedłem za nimi na korytarz i obserwowałem nosze, oplecione kroplówkami, otoczone mrugającymi monitorami, znikające w ciemności jak odjeżdżający pociąg. Dotarli do końca korytarza i skręcili w stronę windy.

Stałem sam w przedpokoju. Z tyłu, z sali sekcji, dochodziły odgłosy kapania. Z boku poczułem powiew chłodu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że zamrażarka jest znów otwarta na oścież. Tym razem widziałem jej wnętrze. Wszystkie półki były puste. Już chciałem zamknąć drzwi, kiedy zobaczyłem ślady butów w środku. Oparłem się na noszach. Leżało na nich pobrudzone, stare prześcieradło. Kilka sekund zajęło mi przypomnienie sobie, że przed dwudziestoma minutami było tu jakieś ciało.

Szybki telefon do przełożonej pielęgniarek, pani Quint, spotęgował mój strach. Nikt nie zmarł w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Na weekend nie były przewidziane żadne sekcje zwłok.

— Przynajmniej na razie — dodała, pomyślawszy o Watt-sie. — A propos, świetnie się pan spisał. — Umilkła, a potem zapytała: — Czy to prawda, że znalazł go pan tam podłączonego do monitora? Wiem to od Sandy.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Opowieści o ginących zwłokach i ukrytych mordercach nie odwiodą Hursta od pomysłu ogłoszenia mnie szpitalnym wariatem. Starłem się więc, by to, co powiem, nie zabrzmiało dziwacznie.

— Nie wiem, kto po mnie telefonował i kto go tam podłączył, ale pewnie stchórzył albo w ogóle nie powinien był się tam znaleźć. Może to jakiś nałogowy palacz. — Poczekiałem w milczeniu, jak to przyjmie. Cisza po drugiej stronie oznaczała sceptycyzm. — Może to była pielęgniarka — dodałem cicho, licząc na to, że odwrócę jej uwagę.

Usłyszałem głęboki wdech.

— Chyba nie, doktorze Gamet, nie powinien pan posądzać moich dziewczyn i chłopców.

Niektóre z tych dziewczyn miały już około pięćdziesiątki, chłopcy zresztą też, ale przecież wielu z nich wciąż wymykało się gdzieś na papierosa, a palenie w szpitalu było zabronione. Nie chodziło mi jednak o przestrzeganie regulaminu, cieszyłem się, że rozmowa zesłała na problem dyscypliny i nie musiałem opowiadać o znikających trupach.

Pozwoliłem jej pogadać, a potem próbowałem ją ułagodzić.

— Proszę się nie denerwować. Pewnie jedna z pani dziewczyn uratowała doktorowi Wattswowi życie, ale nie może o tym nikomu powiedzieć.

Cisza w słuchawce oznaczała: „być może”. Ciągnąłem temat.

— Cokolwiek ta osoba tam robiła, na pewno jest bohaterem. Wciąż cisza. Wiedziała, że piłem do tego, że czasem jej

chłopcy i dziewczęta posuwali się do czegoś więcej niż zaspokojenia nałogu nikotynowego, a papierosa zapalali dopiero po wszystkim. Dawno temu, jeszcze jako stażysta, sam brałem w tym udział, a pewnie pół wieku temu pani Quint również.

— Dziwne — powiedziała tylko i odwiesiła słuchawkę. Dzwoniłem z telefonu na ścianie w laboratorium Watta.

Kiedy odwiesiłem słuchawkę, dotarło do mnie, że pewnie

250

starłem odciski palców, które zostawiła na niej osoba usiłująca ściągnąć mnie tu. Teraz chciałem już tylko stąd wyjść. W ciemnym korytarzu za drzwiami prosektorium, czując nad sobą ciężar całego szpitala, po drugiej nieudanej próbie zabicia mnie, naprawdę zaczynałem się bać.

Nieznany zabójca wciąż na mnie polował. Pewnie już szykował następny atak. Czy to Hurst? Ale co go obchodziły wyniki statystyk mojego oddziału? Może to Kradic? Wiedziałby, jak podejść Watta, ale ten nie miał nic wspólnego z Kradi-kiem. Za to on miał wiele wspólnego z tymi statystykami. Tak właściwie to mógłby być również ktoś inny z oddziału. Zacząłem się zastanawiać, czy śmierć Kingsly'ego i statystyki mają w ogóle ze sobą cokolwiek wspólnego. Musiałem się stąd wydostać. Dyszałem ciężko. Miałem zupełnie sucho w ustach. Bałem się. Podczas studiów uczyliśmy się na wykładach z psychologii, jak działanie adrenaliny wpływa na wybór między atakiem i ucieczką. Tym razem wybrałem ucieczkę.

Zmusiłem się jednak do zrobienia jeszcze jednej rzeczy. Podeszedłem do drzwi zamrażarki i przyjrzałem się uważnie śladom butów. Na początku zlewały się wszystkie w jedną niewyraźną plamę, ale potem ciepłe powietrze, wchodzące przez otwarte drzwi, owiało je i stały się lepiej widoczne. Widziałem wyraźnie dwa rozmiary butów.

Zacząłem uciekać. Im bliżej byłem drzwi wyjściowych na klatkę schodową, wiodącą do światła i świeżego powietrza, tym szybciej biegłem. W ciemności za sobą nic nie

słyszałem, ale i tak z hukiem otworzyłem drzwi i pogałem na górę, pokonując trzy stopnie naraz.

Mówiono nam na wykładach, że adrenalina wyzwala poczucie nieuniknionej zagłady. Ja teraz dostałem sporą jej dawkę i przeżyłem największy w swym życiu atak paniki. Wybiegłem szybko na hol szpitalny i dopiero w połowie drogi zwolniłem. Ten sam starszy pan, przymocowany do wieszaka z kroplówką, i równie leciwa pani ze sklepu z pamiątkami obejrzeni się, słysząc moje głośnie wejście. Pewnie pomyśleli, że uciekłem z psychiatrii, ale zanim pani chwyciła telefon, pomachałem jej stetoskopem.

— Wszystko w porządku, jestem lekarzem — powiedziałem

251

i pobiegłem na oddział. — To nagła sprawa! — krzyknąłem jeszcze na pożegnanie i poczułem się jak idiota.

Udało mi się dojść do mego gabinetu, nie spotykając po drodze pielęgniarek, które zapewne zauważyłyby moją niezwykle bladą i spoconą twarz. Gdyby mnie zobaczyły, natychmiast przymocowałyby do mnie kilka monitorów i wezwały ekipę od zawałów. W gabinecie wyjąłem z kosza starą torbę papierową i zacząłem do niej oddychać. Nie wiem, jak długo torba leżała w koszu, ale wciąż czułem stęchły zapach cebuli i ryb. Wdychanie własnego dwutlenku węgla powoli zwolniło bicie serca i rozluźniło skurcz palców. Pomagałem setkom pacjentów przezwyciężyć panikę, lecz teraz zrozumiałem doskonale, dlaczego wszyscy myślą, że za chwilę umrą.

Z klatki piersiowej zniknął piętnastokilogramowy ciężar, a oddech się uspokoił. Dobra, pomyślałem, nic mi nie jest. Potem dopadł mnie zapach ryby i stres minionych wydarzeń. Zwymiotowałem do torby.

— Ta historia z jurną pielęgniarką na pewno przekona Buforta bardziej niż pomysł, że zabójca wciąż biega po szpitalu — mówił przez telefon Riley.

Kiedy posprzątałem po sobie, postanowiłem dla odmiany natychmiast o wszystkim zameldować. W razie gdyby udało mi się kiedykolwiek zdobyć jakiś dowód potwierdzający tę historię, nie czepialiby się mnie za ukrywanie faktów.

Doszedłem do wniosku, że przykryte prześcieradłem ciało było całkiem żywe, kiedy przechodziłem obok niego w drodze do kostnicy. W otwartej zamrażarce mogły być jeszcze dwie osoby, gotowe mnie wykończyć, o ile najpierw sam się nie zabiję prądem. Zupełnie bezwiednie zamknąłem je, kiedy szedłem do Wattsa. Miały na nogach kalosze, pewnie po to, żeby uniknąć porażenia prądem, kiedy zaczną mi

pomagać przenieść się na tamten świat. Przykryty prześcieradłem kumpel pewnie chciał je wypuścić, kiedy hałas windy, zwiastujący nadejście Sandy, pokrzyżował ich plany.

Riley przerwał moje wywody.

252

— Bufort na pewno wolałby usłyszeć tę historyjkę, niż przyznać się, że nie miał racji.

— Wiem — odparłem grzecznie. — Niech pan tylko o tym pamięta, dobrze? Jeśli coś kiedyś z tego wyjdzie, pan będzie miał zanotowane, że to zgłosiłem.

Nie odpowiedział od razu. Może wyczuł, jak bardzo byłem rozczarowany jego niechęcią do przeciwstawienia się Bufor-towi, a może zastanawiał się, czy nic mu z tego powodu nie grozi.

— Dobrze, doktorze — powiedział w końcu, ale wiedziałem, że na pewno przekaże tę informację Bufortowi drogą biurokratyczną, co oznacza, że nie dotrze do niego przez kilka tygodni. — Aha, doktorze...

Czekałem.

— Dlaczego zabrali się za Watta? — zapytał w końcu.

— Może był przynętą — rzuciłem natychmiast, lecz coś jeszcze mi się przypomniało. Byłem już tak podejrzliwy, że musiałem się zastanowić, czy powiedzieć o tym Rileyowi. Wyczuł, że się namyślał.

— Doktorze, o co chodzi?

— Watts zaczął wydzwaniać do innych izb przyjęć, żeby sprawdzić, czy nie natrafili na niewyjaśnione ślady po igle dosercowej w ciałach przywiezionych bezdomnych — odrzekłem niechętnie.

Po kilku sekundach ciszy zapytał:

— Coś znalazł?

— Nie, niczego się nie dowiedział. Chyba przestano tak często przywozić z miasta zwłoki bezdomnych.

— Mimo wszystko, doktorze, to śmiała myśl.

— Pójdzie pań tym tropem?

Czułem, że zastosuje jakiś unik, żeby to przemyśleć.

— Jak pan wspomniał, Watts nic nie znalazł — odparł chłodno.

Już miałem z obrzydzeniem odłożyć słuchawkę.

— Dobra — dodał po chwili — chyba się myliłem, ktoś rzeczywiście czyha na pana.

Coś takiego, pomyślałem z goryczą. Był moją jedyną nadzieją w policji, a i tak zastanawiałem się, czy znów ktoś będzie

253

musiał umrzeć, zanim zaryzykuje niesubordynację i przeciwstawi się Bufortowi.

— Zawiadomię samochód patrolowy z pańskiej dzielnicy — ciągnął chłodnym tonem — i powiem im, żeby częściej zaglądali w okolice pana domu. Niech pan będzie ostrożny i zadzwoni do mnie jutro. Może uda się nam wymyślić coś jeszcze.

Przełknąłem złość, podziękowałem mu i odwiesiłem słuchawkę bez zbędnych komentarzy.

Usiadłem przy biurku, przerzucałem kartki i myślałem o Wattsie i bezdomnym. Setki pytań cisnęły się do mojej głowy. Pospiesznie przeprowadziłem kalkulację. Jeśli do każdego szpitala przywieziono tyle samo bezdomnych co do Świętego Pawła, czyli przeciętnie dwoje miesięcznie, to w ciągu roku Buffalo straciło wielu bezdomnych obywateli. Watts nie mógł mieć racji. Tych ludzi nie mogło być tak dużo. Mimo to pamiętam, jaką miał przygnębioną minę, kiedy rozmawialiśmy o tym w kawiarence szpitalnej. Był ze mną szczerzy, dokuczał mu ponury nastrój. Z całym przekonaniem mówił, że koniecznie trzeba to sprawdzić. Przez wiele lat znajomości z nim nauczyłem się, że niemądrze jest odrzucać jego pomysły, nie przyjrząwszy im się dokładnie. Rzadko się mylił. A jeśli nawet więcej zmarłych, których już dawno pochowano, miało niezauważone przez nikogo ślady po wkłuciu igły dosercowej, a przy rutynowej sekcji łatwo było je pominąć, to i tak nie miałem pojęcia, w jaki sposób to wszystko może łączyć się ze śmiercią Kingsly'ego albo ze mną.

Jak powiedział Riley, to była bardzo ciekawa hipoteza, lecz raczej mało prawdopodobna. Otwieranie grobów do ponownej sekcji bez jakichkolwiek dowodów byłoby szaleństwem. Musiałem to przyznać.

Zadrzałem. Znów wybrałem numer szpitala Janet.

— Doktor Graceton ma następną cesarkę. Czy przekazać jakąś wiadomość?

Janet zgodnie z planem miała bardzo pracowity weekend. Zgadzała się z moimi

podejrzeniami, że to nie Fernandez był zabójcą, i postanowiła w dalszym ciągu zachowywać się bardzo ostrożnie.

254

— Niech jej pani tylko powie, że telefonowałem i że wszystko u mnie w porządku.

— Tak, jasne. — Proszę powiedzieć, że spróbuję zadzwonić później.

Połączyłem się z lecznicą dla zwierząt. Tym razem rozmawiałem z jedną z asystentek Sophie.

— Dobra wiadomość, doktorze. Temperatura spadła. Muffy zaczyna już trochę pić i po raz pierwszy się załatwiła.

Dzięki Bogu za „gorillacinę”.

— Świetnie. Mogę do niej przyjechać?

— Nie. Obudziła się i nie chcemy, żeby się zbyt uaktywniła. To by jej zaszkodziło. Niech lepiej zostanie tylko z nami, doktorze.

Z żalem podziękowałem i odwiesiłem słuchawkę. Zabrałem dyskietki, po które przyszedłem, i opuściłem szpital. Na razie wszyscy moi bliscy byli bezpieczni, a u mnie poziom adrenaliny powodował zmiany nastroju — od chęci ucieczki do chęci walki. Nim dotarłem do samochodu, miałem już gotowy plan.

Doug siedział ze mną nad szklanką piwa i słuchał, co mam zamiar zrobić. Przysiadł bez ruchu w kącie kuchni, kiedy opowiadałem mu, co się wydarzyło. W całym domu armia jego ludzi hałasowała młotkami i piłami, sprawiając, że czułem się bezpieczny. Pracowali w czasie weekendu, żebyśmy mogli jak najszybciej wprowadzić się z powrotem do domu.

Popołudniowe słońce, wpadające do kuchni, odbijało się od łysej głowy Douga. Kiedy przedstawiałem plan, sam odniosłem wrażenie, że mój pomysł jest dość dziwny i nierealny. Doug jednak siedział bez ruchu, co upewniało mnie, że traktuje to naprawdę bardzo poważnie.

— Nie chcę, żeby twoi chłopcy się narażali. Musisz mi to obiecać.

Nie widziałem jego oczu, ale zauważyłem, że skinął powoli.

— Zależy mi tylko na tym, żeby byli na miejscu i zadzwonili po gliniarzy, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Podąłem mu wizytówkę Riley'a, znaną pod kartką, na której napisał, że chce się

ze mną spotkać.

Doug wziął wizytówkę, bawił się nią i spoglądał w zapadającą

255

na dworze ciemność. Poznał już przemoc. Opowiadał mi o czasach, kiedy, pracując na kontraktach, z bronią w ręku bronił miejsc pracy przed związkowymi bojówkarzami, którzy w dalszym ciągu działają w związkach, ale teraz chodzą w garniturach, z laptopami.

— Najslabszym punktem planu jest czas wykonania. Nagłe odezwanie się Douga zaskoczyło mnie. Przez chwilę

się bałem, że mi powie: „Nie mam czasu na takie bzdury”.

— Będiesz zupełnie sam — ciągnął — zanim nadejdzie pomoc, nie zdołasz się obronić. Musimy znaleźć coś bliżej.

Popierał mnie.

Czując się pewniej z jego poparciem, zacząłem myśleć bardziej ofensywnie.

— Daj mi na chwilę tę wizytówkę.

Sięgnąłem do telefonu. Tym razem zadzwoniłem do informacji, gdzie podali mi numer innego posterunku policji, bliżej miejsca akcji. Rozumieli, o co chodzi, zgodzili się być w pogotowiu. Bez problemu zapewnili mnie, że będą ze mną współpracować. Oczywiście gliniarze z posterunku na wsi nie wiedzieli, że nie jestem detektywem Rileyem z policji w Buffalo.

Doug poszedł wybrać ludzi, których będziemy potrzebowali do realizacji planu. Wziąłem wysokie, nieprzemakalne buty, ciepłą bieliznę i grube skarpety. Ubrałem się w luźne spodnie, żeby ktoś, kto mnie obserwuje, nie zobaczył, gdzie się wybieram. Pod płaszcz włożyłem gruby sweter na narty, żeby mi było ciepło. W torbie lekarskiej, a właściwie w teczce, schowałem wysokie buty i dyskietki. Upewniłem się, czy mam klucze i pieniądze, których na pewno będę potrzebował. Na koniec wcisnąłem stopy w grubych skarpetach do eleganckich butów. Dla każdego obcego wyglądałem teraz jak typowy mieszcuch. Z Dougiem spotkałem się ponownie w kuchni, sprawdziliśmy zegarki. Mężczyźni, którzy mieli z nim iść, zaczęli się przygotowywać do drogi.

Nie byłem głodny, ale zmusiłem się do zjedzenia odrobiny gorącej zupy. To miała być ciężka noc. Wystarczy, że będę musiał walczyć z mrozem. Zupa była pozbawiona smaku, lecz gorąca. Wypiłem ją jak kawę i wyszedłem z domu.

Moim pierwszym zadaniem było pozostawienie mylących

256

śladów. Było już zupełnie ciemno, a w powietrzu czuło się orzeźwiający mróz. Poszedłem ulicą na południe aż do skrzyżowania z główną drogą. Tam złapałem pierwszą lepszą taksówkę. Miasto wciąż się bawiło w niedzielny wieczór, by móc stawić czoło ponuremu poniedziałkowemu rankowi. Było jeszcze dość wcześnie. Kazałem się zawieźć na stację kolejową. Przez okno spoglądałem na budynki, których witryny od dawna przysłaniała dykta. W okolicy zostało jeszcze kilka czynnych sklepów, w których paliło się światło, ale niewiele było w nich towaru i wyglądało na to, że niedługo również zbankrutują i zostaną zabite dyktą.

Stacja, niewielki budynek z czerwonej cegły, była żywym świadectwem upadku transportu kolejowego, kiedyś kwitnącego w tym mieście. Teraz stały tu głównie taksówki. Zapłaciłem taksówkarzowi bez targowania się, chwyciłem teczkę i wysiadłem. Podszedłem do pierwszej taksówki na postoju. Podłoga z tyłu była przykryta starymi, poplamionymi papierami. Minąłem kilka bardziej czystych i nowoczesnych samochodów, ale nie chciałem się kłócić z kierowcą pierwszej, więc bez narzekania wsiałem do jego mocno już zużytego wozu. Zresztą przystanek autobusowy był i tak tylko parę ulic dalej.

Kierowca chyba pomyślał, że wiezie turystę nieznanego miasta, bo znów musiałem obejrzeć tę samą dzielnicę zabitych dyktą wystaw sklepowych, nim dotarłem do miejsca oddalonego od stacji kolejowej ledwie trzy minuty spacerem. Właściciel taksówki uniósł brwi, zdziwiony, kiedy zobaczył napiwek. Nie poprosiłem o rachunek.

Ukryłem się na stacji autobusowej. Była to zbyt mocno oświetlona hala, zaprojektowana dla przewijającego się tłumu ludzi. Echo odbijało wszystkie odgłosy. Tej nocy nikt nie przyjeżdżał ani nie wyjeżdżał. Znużone sprzedawczynie z nadzieją obejrzały mnie od góry do dołu, kiedy tupiałem po wykafelkowanej podłodze. Czułem ich rozczarowanie na widok, że kieruję się prosto w stronę wyjścia na ulicę Ellicott. Na zewnątrz skręciłem w prawo, przeszedłem kilkaset metrów do ulicy Clinton i skręciłem na zachód. Dotarłem do bocznych drzwi wielkiego hotelu, usytuowanego przy placu Lafayette. Kiedyś był to imponujący gmach, ale teraz jakby trochę

257

wyblakł, zwłaszcza w porównaniu z innymi odnowionymi budynkami, stojącymi wokół. To doskonałe miejsce na kryjówkę i chciałem, by moi prześladowcy sądzili, że tam właśnie jestem.

Wszedłem do holu. Wnętrze było zakurzone, a dywan wytarty. Znudzeni tragarze nawet na mnie nie spojrzeli. Przyzwyczaili się już do pustych pokoi.

Przeszedłem obok recepcji i nie patrząc nawet w tę stronę, ruszyłem z powrotem do obrotowych drzwi wejściowych, które pisnęły kilka razy. Ochroniarz spojrzął na mnie podejrzliwie znad lektury „Wiadomości Policyjnych”, rozparty na niezbyt mocnym drewnianym krześle.

Wyszedłem znów na zewnątrz i po trzech minutach doszedłem do ulicy Main, gdzie jeździły tramwaje. Tu miałem się upewnić, że nikt mnie nie śledzi.

Po wydarzeniach w kostnicy byłem już zupełnie pewien, że poluje na mnie więcej niż jedna osoba.

Nie obchodziło mnie, co sobie pomyślą o tym, że szwendam się bez celu po mieście. Chciałem, żeby widzieli, jak uciekam, i sądzili, że próbuję się ukryć gdzieś w mieście albo że chcę wyjechać z miasta na odległość, na jaką może mnie z niego wywieźć tramwaj lub autobus. Musiałem ich ogłupić w takim stopniu, by mieć czas na zastawienie pułapki. Zresztą samo zmylenie przeciwnika nie wystarczyło. Musiałem ich zgubić, a w tym miejscu właśnie istniała do tego sposobność, jeśli jeszcze w ogóle mnie śledzili.

Wrzuciłem dziesięć centów do automatu, wyjąłem bilet na najdłuższą trasę i stanąłem na przystanku, z którego tramwaje jechały na północ. Czekając, spojrzałem na ratusz miejski, wysoki trzydziestopiętrowy budynek nad centrum Buffalo. Okna w nim były wąskie i ostro zakończone, osadzone we wnękach. We mgle przypominały starą łuszczącą się skórę. Kilkanaście metrów wyższej części budynku miało kształt wielościanu, a ostatnie kilka metrów stanowiły mniejsze okta-gony, poustawiane jeden na drugim, tworząc pofałdowany garb. Żółte i czerwone wzory zdobiły niegdyś kamień w kolorze piasku, a całość przypominała rzeźbę w stylu art deco. Budynek jednak był bardzo zaniedbany i wyglądał tak, jakby boczne

258

części miały za chwilę odpaść. Jak na ironię, na górze znajdowały się biura Żaka i jego personelu oraz centrum dowodzenia, skąd po wezwaniu na numer 911 kierowano karetki do różnych szpitali w mieście. Teraz okna biur zamiast widoku na całe miasto miały pod sobą tylko mgłę. Zadrżałem i spojrzałem znów na pogrążoną w ciemności ulicę za mną. Wciąż byłem sam i ucieszyłem się, usłyszawszy w oddali wesoly dzwonek nadjeżdżającego tramwaju.

Kiedy znalazłem się w środku, trochę się uspokoiłem. Tramwaj miał trzy wagony wypełnione do połowy pasażerami. Kilka następnych przystanków usytuowano w

dzielnicy teatrów. Czuję się lepiej, patrząc na oświetlone ulice i słysząc śmiech ludzi wsiadających do wagonów i wysiadających z nich. Po chwili wjechaliśmy do podziemnego tunelu, gdzie tramwaj przyspieszył, a ja zacząłem się przygotowywać do wyjścia. Wsiadłem przy Summer-Best. Na stacji metra było prawie tyle samo osób, ile widziałem w tramwaju. Najpierw pomyślałem, że samo czekanie na metro jest dla nich wieczorną rozrywką. Kiedy jednak przyjrzałem się torbom trzymanym przez brudne, sterane kobiety, zrozumiałem, że to ich dom.

Stałem na końcu peronu blisko schodów. Naprzeciw zobaczyłem dokładnie takie samo zbiorowisko ludzi. Po obu stronach peronu gromadziło się coraz więcej osób, ale panowała cisza charakterystyczna dla miejsc, gdzie stoją obok siebie ludzie sobie obcy. Obserwowałem nowo przybyłych pasażerów, stojących po mojej stronie peronu, ale nikogo podejrzanego nie dostrzegłem. Nic dziwnego, skoro nie miałem pojęcia, kto mnie mógł obserwować.

Nadjechała kolejka kierująca się na północ. Nie wsiadłem. Wsiadło z niej kilka osób, ale natychmiast ruszyli schodami na górę. Większość stojących na peronie wsiadła do środka, drzwi się zamknęły i kolejka ruszyła. W tunelu znikły światła ostatniego wagonu i ucichł hałas. Zostałem na peronie z bezdomnymi kobietami, które zaczęły patrzeć na mnie podejrzliwie. Nieprzyjemna cisza trwała, póki w oddali nie rozległ się odgłos nadjeżdżającej kolejki z przeciwnego kierunku. Pobiegłem ku schodom, przemierzyłem pośpiesznie przejście nad tunelem i zszedłem na drugą stronę, akurat kiedy otworzyły

259

się drzwi wagonu. Szybkie spojrzenie za siebie upewniło mnie, że żadna z bezdomnych nie ruszyła za mną. Nikogo innego tam nie było. Poczułem ulgę. Zgubiłem moich prześladowców.

Czując się jeszcze trochę niepewnie, wsiadłem na następnej stacji, pobiegłem po schodach na górę, znalazłem taksówkę i dałem kierowcy sporą ilość gotówki, której nie zarobiłby w taką noc w tym mieście.

Początkowe podniecenie przygodą minęło, gdy wyjeżdżaliśmy z miasta. Opustoszała autostrada prowadziła na południe przez pola uprawne w kierunku gór. Bungalowy, które wcześniej wydawały mi się obskurne, teraz sprawiały wrażenie ciepłych i bezpiecznych. Przez okna oświetlonych kuchni widziałem wesołe dzieci, bawiące się wśród siwowłosych dziadków. Przypomniały mi się niedzielne popołudnia, spędzone na farmie ojca. Rodzina i sąsiedzi gromadzili się wtedy, by podzielić się zmartwieniami i pocieszyć nawzajem.

W porównaniu z tym widokiem moja taksówka tworzyła pożałowania godny obrazek. Na podłodze było jeszcze więcej przemoczonych i zabłoconych gazet niż w poprzedniej. Kierowca zaczął się martwić, w co się wpakował, i spoglądał na mnie od czasu do czasu, nerwowo zagryzając wargę.

Kiedy układaliśmy z Dougiem ten plan w kuchni, wszystko wydawało się proste i łatwe. Teraz, kiedy siedziałem w ciemności, czułem, jak marzną mi nogi, a nasz plan robi się coraz bardziej żałosny.

— Czy mógłby pan włączyć ogrzewanie z tyłu? — zapytałem.

Nic nie powiedziawszy, niechętnie nacisnął kilka guzików na desce rozdzielczej i posłał w moją stronę wicherę gorącego powietrza, która uniemożliwiła oddychanie i sprawiała, że było mi jeszcze bardziej zimno w nogi.

— Dziękuję.

Nie zwrócił uwagi na mój sarkazm. Przeszedł mu już entuzjazm spowodowany stową, którą wręczyłem mu w Buffalo. Nie dziwiłem się wcale, że jadąc ze mną sam na sam autostradą, zaczynał się bać. Niedawno w mieście ktoś zabrał się do mordowania taksówkarzy. Podobno w ostatnim miesiącu zabito trzech, a przynajmniej tak pisali w gazetach.

260

Rozumiałem, co czuł.

Jadący w przeciwną stronę samochód chlapanął w maskę taksówki błotnistą mazią, którą rozbryzgiwały koła przejeżdżających autostradą aut.

W teoretycznych rozważaniach wydawało się, że jeśli najpierw pojedę na północ, to będę bezpieczny, a Doug i jego ludzie zdążą przygotować wszystko na mój przyjazd. Mimo to oglądałem się cały czas za siebie i wcale nie czułem się pewnie.

Koła taksówki trafiły na sporą muldę błota i przez chwilę rzuciło nas na boki, póki mój ospały kierowca nie odzyskał panowania nad wozem. Słyszałem, jak mrucał coś pod nosem, ale nie śmiał oderwać wzroku od drogi, by spojrzeć na mnie w lusterku. Trzymał kierownicę tak mocno, że stawy zaciśniętych na niej palców omal nie świeciły w ciemności.

Moje myśli były równie rozchwiane jak tor jazdy taksówki. Ataku powinienem się spodziewać od osoby związanej ze mną w jakiś sposób. Zdawało mi się, że ktoś doskonale zna moje życie osobiste i sposób pracy. Nachodzenie mnie w górskiej chacie, atak w uliczce przed domem, przeszukanie domu, wezwanie mnie do kostnicy

chwile po tym, jak wszedłem do biura w niedzielę, poza godzinami pracy, to wszystko stanowiło dowód, że ktoś doskonale wie, co, gdzie i kiedy robię. Kimkolwiek byli napastnicy, mogli, niezauważeni, z bliskiej odległości obserwować moje posunięcia. I wyglądało na to, że mogą reagować natychmiast. Osoba, czy, jak mi się wydawało, osoby, które pragnęły mej śmierci, same wszystko przygotowywały i w odpowiednim momencie same wykonywały robotę. Przynajmniej będę wiedział, z kim mam do czynienia, kiedy nadejdzie moja ostatnia chwila, pomyślałem z goryczą.

Szczegółowo przygotowana pułapka z ciałem Watta zdradzała zabójców. Przynajmniej jedna z osób musiała się znać na najnowocześniejszych technikach resuscytacji, bo wiedziała, jakie będą moje rutynowe posunięcia, i miała nadzieję, że porażę się prądem i nastąpi zatrzymanie akcji serca. Myśleli, że się usmażę. Poczulem szybsze tętno.

Najwyraźniej moja śmierć miała wyglądać na wypadek. Wiedzieli, że Bufort obwinia Fernandesa za śmierć King-sly'ego i bezdomnego. W innym wypadku po co ryzykowaliby

261

przygotowanie przedstawienia w kostnicy, jesh nie chcieli, by wyglądało to na dziwaczną pomyłkę lekarza, a nie na jeszcze jedno morderstwo? Mogłem sobie wyobrazić, jak zinterpretowaliby to Bufort i Hurst. Powiedzieliby: „Tragiczna pomyłka. Najwyraźniej doktor Watts miał zawał, kiedy robił coś przy zlewozmywaku. Pewnie uderzył się w głowę, upadając. Doktor Garnet w pośpiechu próbował go ratować, ale zapomniał wyłączyć wodę i odizolować pacjenta. To wielka strata dla szpitala”. Po wszystkim pozostałoby wiele pytań bez odpowiedzi, ale przecież Bufort i Hurst by ich nie zadawali.

Tylko ktoś, kto uczestniczył w naszym porannym spotkaniu, mógł wiedzieć, że Bufort obciążył Fernandesa. Może to Hurst? Ale jeśli to on zabił Kingsly'ego, po co miałby zabijać mnie? Dlatego że nie chciałem się zgodzić ze zdaniem Buforta? A jeśli nawet potrafił jeszcze użyć igły dosercowej, to czy był na bieżąco z resuscytacją, w takim stopniu, by zrealizować tak karkołomny plan?

To nasuwało następne pytanie: Dlaczego ktoś, ktokolwiek to był, uparł się, że jednak trzeba mnie zabić? Dlaczego nie zdecydowali się przeczekać i pozwolić ograniczonemu umysłowi Buforta zamknąć śledztwo? Nie wiadomo dlaczego wciąż byłem dla nich zagrożeniem i najprawdopodobniej natknąłem się na coś, co może ich wydać. Spojrzałem na leżącą obok mnie teczkę.

Mój plan wyjazdu do chaty na wsi miał dwa powody. Po pierwsze chciałem ich trzymać od siebie z daleka, by mieć czas na odkrycie tajemnicy zawartej w danych statystycznych, a po drugie zwabić ich w pułapkę, w której ja jestem przynętą.

Na przednią szybę spadło więcej błota, które rozpląnęło się jak rozbite jajko. Wycieraczki rozsmarowały czarną maź po szybie. Najwyraźniej opłata za kurs nie pokrywała zużycia płynu do spryskiwaczy. Kierowca tylko pochylił się do przodu, by lepiej widzieć drogę przez czysty kawałek szyby. Wyglądał jak Quasimodo.

Moje pytania mogły mieć wiele odpowiedzi. Może istniało jakieś powiązanie między wzrostem śmiertelności bezdomnych w całym mieście a morderstwami w szpitalu? Może dane z mego oddziału kryją jeszcze czarniejsze tajemnice, pogrze-

262

bane w Bóg jeden wie ilu grobach tych biedaków. Nie! To szalony pomysł. Kompletna paranoja. Ale kiedy taksówka zbliżała się do miejsca przeznaczenia, paranoja tej sytuacji stawała się faktem.

Zacząłem znów myśleć o tym, jaka jest nasza szansa. Według założeń Douga mordercy musieli obserwować chatę z daleka, żeby ludzie jadący za nami autostradą nie zauważyli ich samochodu ukrytego w lesie. Założyliśmy również, że nie włamią się do chaty, bo mogliby zauważyć to sąsiedzi.

W taką zimną noc musieli mieć jakieś schronienie albo samochód, który można by od czasu do czasu uruchomić i rozgrzać się, albo namiot z jakimś ogrzewaniem, a może ognisko.

Przynajmniej tak sobie to wszystko ułożyliśmy w mojej kuchni. Teraz, ledwie dysząc, z ustami wysuszonymi gorącym nawiewem, i zziębniętymi stopami, w których powoli traciłem czucie, zaczynałem myśleć, że nasz plan opierał się na zbyt wielu założeniach. Jeśli one nie okażą się właściwe, to nie przeżyję dzisiejszej nocy.

Pejzaż wzdłuż drogi zmienił się z terenów rolniczych na ciemne wzniesienia i góry. Samochód wychylał się raz w prawo, raz w lewo, jak metronom uspokajający moje myśli. Chwilami droga znikwała pod białym prześcieradłem śniegu.

— Cholera! — mruknął mój jowialny szofer i zwolnił. Miałem wrażenie, że ma ochotę zostawić mnie na środku

drogi.

— Jeszcze tylko jakieś dwadzieścia minut — rzuciłem mu na pocieszenie.

Nie raczył nawet odpowiedzieć, ale jechał dalej.

Zacząłem się przygotowywać, starając się odsunąć od siebie ponure myśli. Wyjąłem zimowe obuwie, zdjąłem eleganckie buty, rozmasowałem stopy i wsunąłem je w kozaki, w których natychmiast zrobiło mi się cieplej w nogi. Poczulem się lepiej. Przemoczone buty włożyłem do teczki. Zamknąłem ją z hałasem i już byłem gotowy. Znów zacząłem myśleć, że plan chyba jest zbyt śmiały. Przez następne dziewiętnaście minut miałem pozostać w takim grobowym nastroju.

Dla odmiany spojrzałem za siebie, jakbym tego nie robił już

263

sto razy. Samochody, które towarzyszyły nam z Buffalo, już dawno skręciły w mniej oddalone i jak na taką noc mniej szalone miejsca. Nawet z daleka nie było widać świateł. Miejscowe auta wjeżdżały na autostradę, a po chwili zjeżdżały z niej. W pewnej chwili moją uwagę przykuło czerwone światło. Pojazd nadjeżdżał z dużą prędkością, z włączonymi syrenami. Minęliśmy właśnie kurort narciarski Holi Mont. Tutaj był posterunek policji, na który wcześniej telefonowałem. Przez chwilę myślałem, że chłopcy Douga nie wytrzymali i wezwali gliny wcześniej, niż się umawialiśmy. Niedługo jednak moim oczom ukazała się żółta kasetka. Przejżdżając obok nas z dużą prędkością, obsypała śniegiem bok taksówki i popędziła w ciemność. Zwolniła tylko raz na zakręcie. Czerwone światła oświetliły żółte tylne drzwi karetki. Zaczęła się ślizgać, a taksówkarz się zorientował, że trzeba zwolnić. Zanim pokonaliśmy zakręt, czerwone pulsujące światło już zniknęło za wzgórzem. Powodzenia, życzyłem im w myślach. Ten, kto korzystał z ich pomocy w tej głuszy, z dala od szpitali, naprawdę potrzebował dużo szczęścia.

Byliśmy jakieś piętnaście minut od wybranego przeze mnie celu, a ja już czułem się głupio. Cały pieczołowicie przygotowany plan niezauważonego przez nikogo przyjazdu do chaty w górach był jednak oczywisty. Jeśli się domyśla, że tam właśnie pojechałem, stwierdzą tylko jedno: to skończony idiota. Na tym polegała przynęta. Miałem nadzieję, że przyjadą za mną, czując się bardzo pewni siebie, i nie będą zbyt ostrożni. Nie spodziewają się, że zastawiłem na nich pułapkę.

Nie czułem się wcale lepiej, ale miałem nadzieję, że jest jednak szansa na to, by nasz plan się powiódł. Lecz mimo to zastawienie pułapki, doprowadzenie do tego, żeby policja złapała ich na gorącym uczynku, kiedy będą próbowali mnie zabić, było dość ryzykowne. W końcu na horyzoncie pojawiła się wieś.

Piętnaście minut do celu.

W oddali paliło się niewielkie światło, a gdzieś na świeżym śniegu odbijały się kolorowe błyski dość wcześnie zawieszonych bożonarodzeniowych dekoracji.

Rozświetlona scenka świąteczna była centralnym punktem opuszczonego

264

parkingu. Rzuciła zielone, czerwone i niebieskie cienie na spadające płatki śniegu. Widok przypominał mi sceny z dzieciństwa, pełne magii i nadziei.

Jeśli dzisiejsze posunięcie się nie powiedzie, mogę nigdy nie zobaczyć swego syna.

To uczucie uderzyło mnie zniecacka jak piorun. Nigdy wcześniej tego nie czułem. Przez kilka ostatnich dni postępowałem pod wpływem strachu, obaw, zwątpienia i złości. A teraz miałem się spotkać twarzą w twarz z tymi ludźmi i czułem wściekłość.

Siedziałem bez ruchu w ciemnej taksówce. Pragnąłem szczęścia dla Janet, siebie, naszego domu i mającego się urodzić dziecka. Nigdy tak tego nie przeżywałem. Nawet wtedy, gdy w zrujnowanym domu stałem nad kołyską mego dziecka, byłem gotów zabić tego, kto to zrobił, ale wiedziałem, że pozwolę policji złapać sprawcę i aresztować. Tym razem było inaczej. Teraz nie trząsałem się z powodu chłodu. Miałem w sobie siłę i skupienie, które znają tylko szaleńcy i żołnierze idący na wojnę.

Stałem się częścią zabójczej gry. Żeby z niej wyjść, postanowiłem przygotować pułapkę, ale wciąż byłem częścią tej gry. Zawsze czułem odrazę i niechęć do dzikich, niespodziewanych wybuchów złości. Całe życie spędzałem na składaniu kawałków, które pozostały po takim wybuchu.

Może to był po prostu instynkt samozachowawczy, stary jak rasa ludzka, może każdy człowiek przygotowywał się tak do walki z szarżującą w jego stronę bestią. Wiedziałem, że nie pozwolę nikomu pozbawić mego syna ojca i nie dopuszczę do tego, by odebrano mi możliwość oglądania, jak rośnie.

Jeśli dziś nawiną mi się pod rękę, sam ich zabiję.

Mijaliśmy wioskę. Częściowo wytłuczone czerwone żarówki oświetlały miejscową kawiarnię. Świeciły ostro na tle kanarkowych ścian. Ani drobne płatki śniegu, ani prawdziwa śnieżycza nie były w stanie złagodzić tego efektu. Zwykle przez całe lato te żarówki nie były zapalane. Janet i ja spędzaliśmy tu wiele ciepłych weekendów. Zamawialiśmy hot

265

dogi i lody. Siedzieliśmy przy stoliku, aby przedłużyć mijający wieczór i odłożyć na później melancholię związaną z powrotem do miasta. Jeszcze cztery minuty. Pochyliłem się do przodu.

— Zostało już tylko kilka kilometrów. Powiem panu, gdzie się zatrzymać. Proszę trochę zwolnić!

Taksówkarz spojrzał na mnie niepewnie, jakbym za chwilę miał się na niego rzucić. Mówiłem dalej, by nie pomylił drogi, a poza tym miałem nadzieję, że to go trochę uspokoi.

— Niech pan zwolni do czterdziestu. Przed nami dziurawa droga. Kiedy powiem już, proszę się zatrzymać dokładnie w tym miejscu, które wskażę. Gdy wysiądę, proszę natychmiast ruszyć i jechać powoli z wyłączonymi światłami jeszcze kilka kilometrów. Potem może pan wracać do Buffalo.

Jego milczenie potwierdziło, że to wszystko mu się nie podoba. Bałem się już, że cały plan weźmie w łeb.

— Niech pan posłucha. Nie robię nic nielegalnego, ale jeśli mnie pan nie wysadzi dokładnie tam, gdzie powiedziałem, może mnie zauważyć bardzo zły człowiek. — To go jeszcze bardziej zdenerwowało. Byliśmy już tylko trzy minuty od celu, a ja zrozumiałem, że kierowca może nagle nie chcieć się zatrzymać w szczerym polu, gdzie mogą na niego napaść „bardzo źli ludzie”. Postanowiłem jakoś złagodzić efekt mojej poprzedniej wypowiedzi.

•— Bracia mojej żony obserwują wjazd do mojej wiejskiej chaty. Zrobiłem skok w bok, a w ich rodzinie obcina się za to jaja. Muszę wysiąść wcześniej i dostać się do domu niezauważony, żeby porozmawiać z żoną. No, wie pan, może mi wybaczy i każe braciom zostawić mnie w spokoju.

Kierowca zaczął słuchać, uspokoił się i rozluźnił szczęki, które zaciskał przez cały czas od wyjazdu z Buffalo.

Byliśmy już tylko dwie minuty od celu, a ja nie przestawałem zmyślać.

— Może nie jestem święty, ale nie chce pan chyba, żeby przez pana obcięli mi jajka.

Zauważyłem, że chwyta się odruchowo za krocze. Musiał mieć podobnych powinowatych.

266

— Dobra — mruknął — ale będzie to pana kosztowało jeszcze pięćdziesiąt.

Okazał współczucie. Położyłem mu na dłoni dwie dwudziestki i dziesiątkę.

Wjeżdżaliśmy na wzgórze. Z niego droga prowadziła w dół. Za niecały kilometr miał być mój zakręt. Jeśli ktoś obserwował drogę, stojąc w pobliżu wejścia do chaty, mógł

zobaczyć światła samochodu, ale nie zwróci uwagi, że ktoś z niego wysiada, bo samochód pojedzie dalej. Powinno mi się udać wyskoczyć z taksówki, nie będąc zauważonym przez nikogo. Obserwator spostrzeże tylko, że wjechała na wzgórze, kierując się dalej na południe. Jeśli będzie jechała powoli, dojdą do wniosku, że to z powodu śnieżycy.

Przygotowałem się.

— O tutaj, na końcu zjazdu ze wzgórza. Proszę się zatrzymać na sygnał! Kiedy wysiądę, niech pan natychmiast rusza, ale powoli.

Nic nie powiedział. Miałem nadzieję, że się nie rozmyślił. Podjechaliśmy do właściwego miejsca.

— Teraz!

Otworzyłem drzwi i pociągnąłem za sobą teczkę. Uderzyłem stopami w asfalt, zanim jeszcze samochód się zatrzymał.

— Jedź — syknąłem i zamknąłem drzwi.

Taksówka ruszyła powoli, wspinając się na kolejne wzgórze. Oświetlony poświatą z deski rozdzielczej kierowca natychmiast sięgnął do mikrofonu CB, pewnie po to, żeby opowiedzieć swoim kolegom, jakiego idiotę wysadził właśnie w zupełnym pustkowiu. Po chwili tylne światła taksówki znikły za wzgórzem. Miałem nadzieję, że dotrzyma słowa i pojedzie jeszcze kawałek na południe, żeby zmylić ślad.

Wokół panowała zupełna cisza. Prawie słyszałem spadające płatki śniegu. Syczały cicho na wietrze. Wielkie płatki przykleiły się do brwi i policzków. Ich chłodny dotyk sprawił mi przyjemność po gorącym nawiewie w taksówce.

Nie świeciło się żadne światło, ale nie było ciemno. Dzięki lśniącej pokrywie śniegu widziałem dość dobrze w ciemności.

Kilkoma krokami pokonałem rów i wspiałem się na niski przydrożny wzgórek. Puszysty śnieg ledwie sięgał mi do kolan

267

i z łatwością odpadał od butów, kiedy po nim szedłem. Przez chwilę poruszałem się całkiem sprawnie.

Przeszedłem przez popsuty płot, zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Widziałem wyraźnie własne ślady, ale wiedziałem, że za chwilę przykryje je śnieg. Kiedy znajdę się w lesie, ślady przestaną już być widoczne.

Przed sobą miałem pół kilometra drogi, cały czas pod górę. Dalej rozciągała się dolina, gdzie stała moja chata.

Jeśli pójde tędy, nikt mnie nie zauważy, a jeżeli ktoś na mnie czeka, będzie się denerwował, zastanawiając się, którądy przyjdę. Tylko czy uda mi się podejść do domu bez zwracania na siebie uwagi?

Zanim wszedłem do lasu, spojrzałem na drogę. Ledwie widziałem ciemny zarys wzgórza naprzeciw mnie, wcinającego się śmiało w niebo. Ginał w śniegu, tak jak cała droga. Tam mieli czekać chłopcy Douga i zastawić pułapkę.

Doug i jego ludzie ruszyli półciężarówką od strony wsi Colden, na wschód ode mnie. Jechali boczną drogą. Kilometr stąd mieli skręcić w ścieżkę, znaną tylko miejscowym, która wiodła na tyły wzgórza naprzeciw mnie. Tam mieli obserwować drogę z Buffalo, którą właśnie przyjechałem, oraz wjazd na moją posesję. Jeżeli ktoś mnie śledził, nie mógł niezauważony wjechać na mój teren. Na pewno chłopcy Douga dostrzegą nadjeżdżający samochód, pomyślałem.

— Mam nadzieję, że tam jesteście — mruknąłem sam do siebie i odwróciłem się, by pójść w stronę lasu.

Rozdział 15

Popełniłem podstawowy błąd, nie zabierając ciepłych rękawic. Skarpety i kalesony to dobry pomysł, ale o grubych rękawicach nie pomyślałem. Eleganckie skórzane rękawiczki natychmiast przemokły. Było zupełnie ciemno. Potykałem się na nierównym gruncie, wciąż trzymając przed sobą wyciągnięte ramię dla utrzymania równowagi. W drugiej ręce niosłem walizkę. Co chwila dotykałem śniegu, a krótkie rękawiczki szybko wypełniły się lodowatą mazią i nadgarstki zmarzły mi na kość. Przy każdym upadku uderzałem teczką o nogi. Niewidoczne gałęzie wciąż atakowały moje okulary i zrzucały je na śnieg. Znajdowałem je oblepione i w końcu zrezygnowany schowałem okulary do kieszeni.

Po kolejnym upadku leżałem przez chwilę. Autostrada, od której nie udało mi się zbyt oddalić, swą bliskością wyśmiewała się z moich wysiłków. Przez to ciągłe upadanie miałem mokrą od potu bieliznę, odmrożone ręce i tyle zadrapań na twarzy, jakbym walczył z kotem, a przecież nie uszedłem wcale daleko. Stan ten zawdzięczałem nadmiernej pewności siebie, przeświadczeniu, że nie zawiedzie mnie inteligencja. Przyszła więc pora na zdrowy rozsądek.

Musiałem uwolnić ręce i rozgrzać je. Dodatkowe skarpety wcale nie były mi potrzebne, sprawiały tylko, że moje nogi pływały w pocie. Powoli zdjąłem buty, starając się nie nasypać

do środka śniegu, i pozbyłem się wierzchniej warstwy owczej wełny, okrywającej moje stopy. Zrzuciłem przemoczone rękawiczki. Włożyłem śmierdzące „rękawice” bez palców, zaciągając je aż po łokcie i udało mi się wciągnąć buty tak, że do środka dostało się tylko trochę śniegu. W moich nowych rękawicach majstrowałem przy zapięciu teczki, by po chwili wyjąć z niej dyskietki i włożyć je do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Plik wydruków podzieliłem na mniejsze części i pomykałem je w kieszeniach, w spodniach i koszuli. Kiedy się pochyliłem, żeby wsunąć nogawki w buty, papiery cisnęły mnie w pasie, ale nie przejąłem się tym. Wyrzuciłem teczkę. W porywie optymizmu rozejrzałem się dokoła, żeby się zorientować, gdzie jestem; kiedy będzie po wszystkim, spróbuję ją odnaleźć. Tak naprawdę nie było to aż takie ważne. Ruszyłem znów w górę, mając obie dłonie wolne.

Teraz szło mi się trochę szybciej, ale i tak wciąż poruszałem się zbyt wolno. Mogłem obiema dłońmi trzymać się dolnych gałęzi drzew, żeby utrzymać równowagę. Większość gałęzi była jednak bardzo sucha i łamały się pod moim naporem, a ja spadałem w dół. Jeśli nawet udało mi się podejść kawałek, trzymając się gałęzi, nagle buty ślizgały się na śniegu i lądowałem na kolanach.

Moja chata znajdowała się jakieś sto metrów wyżej niż autostrada. Teren był dość pofałdowany, wzgórza przechodziły w dolinki. Schodzenie w dół było jeszcze bardziej niebezpieczne niż podchodzenie pod górę. Pod śniegiem kryły się wystające skały, zwalone gałęzie drzew, na których w każdej chwili mogłem zwichnąć nogę. Musiałem iść powoli, badając teren pode mną jedną stopą. Od czasu do czasu zsuwałem się niespodziewanie i choć zwykle udawało mi się zamortyzować nogami nagły skok, często natykałem się na drzewa lub uderzałem się we wrażliwe miejsce.

Noc robiła się coraz ciemniejsza, a ja znajdowałem się dość daleko od głównej drogi. Zacząłem się zastanawiać, czy się nie zgubię. Często chadzałem po tych lasach, ale było to przeważnie latem i w ciągu dnia. Kierowałem się prosto w górę, lecz nawet w przytłumionym świetle księżyca widziałem, że ślady moich stóp zbaczały często z drogi, gdy musiałem ominąć wystające kamienie i krzewy.

Śnieg padał już bardzo mocno, tak więc trudno mi było orientować się według gwiazd, w jakim idę kierunku. Skupiłem się na szukaniu miejsc, w których mogłem bezpiecznie postawić stopę. Śnieg sięgał mi po kolana i szło się dwa razy trudniej. Dyszałem ciężko i głośno, ale nic mnie nie obchodziło, że ktoś może usłyszeć. Mordercy na pewno nie szli za mną. Po chwili zachichotałem, myśląc: Oczywiście, nie są tacy głupi. Nagle się pośliznąłem na kamieniu i spadłem w dół, prosto do

niezamrażniętego strumienia.

— Cholera! — krzyknąłem bezwiednie.

Narobiłem hałasu, ale nie przejąłem się tym zbyt. Najważniejsza była dla mnie lodowata woda, wsiąkająca w moje spodnie i wydruki komputerowe oraz spływająca do butów.

— A niech to!

Natychmiast wstałem, wydostałem się z wody i biegłem jak dzieciak, który zsikał się w spodnie.

Gdyby nie chłód, byłoby to nawet śmieszne. Byłem mokry od pasa w dół i szybko przemarzałem. Wydruki na pewno się zniszczyły.

Wycisnąłem ile się dało ze spodni, lecz w ten sposób zmoczyłem tylko moje wymyślone naprędcę rękawice. Zanim się zsunąłem, było mi ciepło, a właściwie nawet gorąco z wysiłku. Teraz trząsałem się z zimna. Musiałem się szybko ruszać, żeby jak najprędzej dotrzeć do chaty.

Moja nadzieja, że to już ostatnie wzgórze, prysła, kiedy dotarłem na wierzchołek i ujrzałem następny, jeszcze bardziej stromy pagórek. Śnieg padał mocniej. Coraz częściej próby wejścia pod górę po dwóch krokach kończyły się zsunieniem o kilka kroków w dół. Nie widziałem już nawet, czy w ogóle posuwam się do przodu. W chwili zwątpienia wyobraziłem sobie siebie jako przemrażniętego Syzyfa wykonującego bezowocną pracę. Spodnie stwardniały od mrozu i przypominały żelazne rury. Boleśnie ocierały zziębniętą skórę.

Leżałem na ziemi po kolejnym upadku, wsłuchując się we własny przyspieszony oddech, kiedy usłyszałem za sobą kroki.

Odwróciłem się na plecy. Wyraźnie słyszałem odgłos kroków zmierzających w moją stronę. Już nie było mi zimno. Zmrużyłem oczy, ale wciąż nic nie widziałem. Ciężki, nierówny tupot

271

zbliżał się coraz bardziej. Jak mnie tu znaleźli? Jakim cudem poruszali się tak szybko i dlaczego tak głośno stąpali? Czułem drzenie ziemi oraz rosnący w gardle strach i miałem ochotę zwymiotować.

Po chwili zobaczyłem coś ciemnego za zasłoną spadającego śniegu. To coś się poruszało. Cofałem się, bezskutecznie próbując odgonić nawiedzające mnie halucynacje. Do diabła, nie byłem jeszcze taki wyziębiony, by tracić przytomność.

Nagle ciemna, zbliżająca się do mnie góra przystanąła. Potem podeszła jeszcze bliżej i znów się zatrzymała. Za chwilę zza góry wyłoniła się wielka głowa, zwieńczona rogami wielkości drzewka. Nozdrza i wielkie smutne oczy przysunęły się do mojej twarzy. Wielkie zwierzę powąchało mnie, a potem cofnęło się i ruszyło na wzgórze, miarowo tupiąc.

Łoś zniknął po chwili za ścianą śniegu, a ja słyszałem już tylko kołatanie własnego serca.

Bywałem tu często w ciągu czterech lat, a nigdy nie spotkałem się oko w oko z żadnym zwierzęciem. Czasem udawało nam się zobaczyć jakiegoś samca w oddali na odkrytej łączce przy jeziorze, gdzie, przychodziły się napić. Najczęściej chodziły po lesie w nocy. Pewnie w taką pogodę czuły się bezpiecznie. Nie było myśliwych.

Łoś chyba często tędy chodził. Ślady kopyt wyglądały jak wgniecenia po wielkich butach. Ciekaw byłem, czy idzie do wodopoju. Choć wydawało się to niedorzeczne, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie pójść za nim. Wiedziałem, że jeśli nie będę się szybko ruszał, w końcu mróz mnie zabije.

To było spore ryzyko. Nie wiedziałem, dokąd udaje się zwierzę, ale postanowiłem za nim podążyć. Kiedy wstawałem, od pasa w dół nic nie czułem. Z każdym ruchem dolną połowę mego ciała ogarniał ogień. Miałem nadzieję, że zwierzak ruszył najkrótszą drogą do znanego mi wodopoju, bo jeśli nie, po jakimś czasie będzie już wszystko jedno, gdzie mnie zaprowadzi jego trop.

Ślady biegły obok obranej przeze mnie drogi, ale omijały wystające skały i zasy, które powodowały, że mój marsz był ryzykowny i trudny. Dzięki wgłębieniom w śniegu szło mi się znacznie wygodniej. Przede mną od czasu do czasu łamała się gałązka, zdradzając obecność mego przewodnika. Jak na wielkie-

272

go i ciężkiego łosia o wielkim porożu sunął przez las niezwykle szybko. Pewnie popędzało go moje sapanie i pokaszliwanie.

Zbliżaliśmy się do otwartego terenu. Podmuch wiatru zdradzał, że wychodzimy już z lasu. Spojrzałem znów na ślady i ufając instynktowi zwierzaka, pewnie szedłem wydeptaną przez niego w śniegu ścieżką. Przyspieszyłem kroku. Od czasu do czasu, żeby utrzymać równowagę, chwytałem się drzew. Schodziłem coraz szybciej i przypominało to slalom między drzewami. Ten sprint wśród drzew tak poprawił mi nastrój, że zacząłem znów chichotać, pomyślawszy o mojej sytuacji. Ścigali mnie zabójcy, a uratuje łoś.

Pędziłem tak szybko, że ledwo zatrzymałem się na brzegu zamarzającego jeziora. Przez chwilę kiwałem się jak pijak na kruchym łodzie i udało mi się nie wpaść wprost w ciemną wodę. Kiedy całkiem odzyskałem równowagę, rozejrzałem się. Chata była kilka minut drogi stąd, po lewej stronie. Ślady łośa skręciły na północ, a więc nie przyszedł tu, żeby się napić.

W ciągu dnia zejście się naszych dróg w lesie byłoby zupełnym przypadkiem. Teraz, wściekły, gotowy na wojnę, błogosławiłem los, bo dzikie zwierzę uratowało mi życie.

Śnieg zakrywał już jego ślady. Skręciłem w przeciwną stronę i ruszyłem do chaty.

Po kilku minutach byłem przy hangarze na łodzie. Rosnące tu drzewa ciągnęły się aż do brzegu trawnika. Stałem w cieniu wielkich sosen i spoglądałem na dom, mając nadzieję zobaczyć coś mimo śnieżycy i ciemności.

Ścieżka nad jezioro była najdłuższa z tych, które prowadziły do domu. Jeśli ktoś nawet był już w środku, nie spodziewał się na pewno, że nadejdę z tej strony. Niestety nie widziałem frontu chaty i nie mogłem stwierdzić, czy przed wejściem są oznaki obecności intruzów.

Z tyłu nie było żadnych śladów. Spojrzałem na wielkie czarne okna, wychodzące na jezioro. Jeśli ktoś jest w środku, na pewno zobaczy mnie, nim dotrę do chaty.

Stałem w zaroślach, nasłuchiwałem i wypatrywałem morderców.

Już miałem ruszyć wzdłuż płotu, kiedy rozświetlił się teren pokryty żwirem, gdzie zwykle parkowaliśmy samochód.

273

— Nie! — szepnąłem i zamarłem, wciąż stojąc w zaroślach. Oczekiwałem nagłej katastrofy. Lekki powiew potrącił gałęzie nade mną. Zaczęły się huśtać z cichym świstem.

Żadnych strzałów, bieganiny, nic. Po trzydziestu sekundach światło zgasło.

Wiatr huśtał drzewami i włączył sensory zewnętrznych lamp ostrzegawczych, które natychmiast się zapalały. Zawsze tak było podczas wiatru. Nauczyłem się nie zwracać na to uwagi, ale dziś naprawdę się przestraszyłem.

Jeśli jacyś durnie byli w domu, nie wiedzieli, że to tylko wiatr. Mogli obserwować przez okna, lecz pewnie spoglądali w stronę drogi, którą miałem nadjechać.

Nadeszła pora, by ruszyć.

Postój przy drzewach sprawił, że byłem sztywny. Jęknąłem głośno, kiedy przebiegałem przez trawnik, by pospiesznie kucnąć przy ścianie domu. Wyrząłem zza rogu, ale w ciemności, roztaczającej się przede mną, nic nie widziałem.

Zacząłem się skradać wzdłuż frontowej ściany, wciąż zgięty w pół, by nie wystawać nad parapety licznych okien. Byłem już w jednej czwartej dystansu, kiedy nowy powiew wiatru znów uruchomił światła. Wszystko dookoła mnie i ja sam znalazło się w ostrym blasku, w którym jak szalone tańczyły wielkie płatki śniegu. Widok był piękny, ale znalazłem się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Tym razem również nikt nie krzyczał, nikt nie złapał mnie zniecacka. Nic się nie wydarzyło.

Przedemną parking i ścieżka do domu były nietknięte ludzką stopą i kołem samochodu. Światło wciąż świeciło, a ja wstałem i przeszedłem spokojnie resztę drogi. Szyba w drzwiach była cała. Ani śladu włamania. Nie dostrzegłem nic niepokojącego pod oknami od frontu. Wzdłuż ścian domu kręciły się tylko wesołe płatki śniegu.

Nikogo nie było. To znaczy, że byłem pierwszy.

Mimo że w środku nie było wiele cieplej niż na zewnątrz, atmosfera wnętrza i zapach sosnowych sągów drewna do palenia

274

pod kominkiem podziały na mnie kojąco. Poczulem się jak zwycięzca. Mogłem wygrać tę bitwę.

Chłopcy Douga mieli lornetkę. Na widok jakiegokolwiek wybuchu czy dymu lub obcego pojazdu, wkraczającego na teren mojej posiadłości, zadzwonią z komórki, żeby mnie ostrzec, a potem wezwą policję z pobliskiego Holi Mont. Mieliby powiedzieć, że detektyw Riley potrzebuje ich pomocy. Następnie decyzja należała do mnie. Jeśli postanowię zagrać bezpiecznie, mogę uciec do lasu. Kiedy mordercy wjadą do lasu, znajdą się w pułapce, bo chłopcy Douga mieli zablokować drogę wjazdową swoją półciązarówką, a następnie schować się w lesie i czekać na gliny. Jeśli mordercy zmęczą się szukaniem mnie lub wyczują podstęp, blokada drogi powinna ich na jakiś czas zatrzymać. W tej sytuacji miałiby tylko dwa wyjścia: albo objeżdżać samochód Douga dookoła, tracąc przy tym czas, albo opuścić swój pojazd i uciekać pieszo przez las. W obu wypadkach policji z łatwością udałoby się ich dogonić. Kiedy to nastąpi, dowiem się w końcu, kto mnie chciał zabić, ale, niestety, będę mógł ich oskarżyć jedynie o naruszenie własności prywatnej.

Nie powiedziałem Dougowi o innej możliwości. Nigdy by się na to nie zgodził. Miałem zamiar ruszyć w stronę lasu, kiedy nadjadą zabójcy, ale tylko po to, żeby mieć więcej pola do manewru. Postanowiłem się nie chować, lecz pokazać się i sprowokować atak. Póki nie znajdę danych, ukrytych w statystykach oddziału, nie będę miał dowodu. Musiałem sprawić, by policja złapała ich, kiedy będą próbowali mnie zabić.

W przedśionku zrzuciłem z siebie zamarznięte ubrania i chwyciłem telefon.

Wystukałem numer komórki Douga. Odebrał natychmiast.

— Earl? — zapytał oczekująco, najwyraźniej zmartwiony.

— Tak. Nic mi nie jest. To z powodu śniegu tak się grzebałem. Jestem już w środku. Wszędzie spokój.

Spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści. Trzy i pół godziny minęło, od kiedy wyruszyłem z domu. Przedzieranie się przez las zabrało mi ponad godzinę.

Doug miał nowe wieści.

— Earl, teraz twój ruch. Mamy gości.

275

Przestałem się rozbierać.

— Już? Cholera! — Nie miałem przewagi. — Co widzisz?

— Słuchaj, może to tylko zwiad, może tylko przyszli sprawdzić, czy jesteś, ale powinieneś się przygotować.

— Co robią?

— Obserwują dom. Lecz uwaga. Mają dziwny środek transportu.

— To znaczy?

— Jeden z nich siedzi w karetce.

— Cholera.

Po drodze minęła mnie karetka. Przypomniało mi się, że pięć dni temu, kiedy tu przyjechałem, jechał za mną samochód dostawczy. W lusterku widziałem jego światła, gdy skręcałem w stronę chaty. Równie dobrze mogła to być karetka. Wszystko zaczęło nabierać sensu. Wstrzymałem oddech i czułem chłód w trzewiach.

Westchnąłem do słuchawki.

— Earl?

W mojej głowie galopowały myśli. To, co wcześniej uznałem za niemożliwe, teraz wydawało mi się dość sensowne. Jeśli Watts miał rację co do nagłego zwiększenia się umieralności wśród bezdomnych, to jakiś maniak uśmiercał ich igłą doser-cową, przy pomocy gotowych na wszystko sanitariuszy z karetki pogotowia. To doskonała przykrywka. Byli wzywani do kolejnych ofiar. Kiedy już mieli człowieka w wozie, mogli z nim zrobić, co chcieli. Wśród wycia syren nie było nawet słychać krzyku pacjenta. A jeśli nawet ktoś coś usłyszał, to co? Przecież jechała karetka. To normalne, że mógł znajdować się w niej wrzeszczący z bólu czy strachu pacjent. Potem podrzucali trupy w całym mieście. Wzdrygnąłem się. Tak się rozprzestrzeniała epidemia wśród bezdomnych. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Nie miało to zresztą żadnego związku z Kingslym ani ze mną.

— Jesteś tam? — zapytał cicho Doug.

— Tak. Jeśli mam rację, Doug... — zawahałem się, przerażony możliwą skalą dokonywanych zabójstw. — Jezu Chryste!

— Earl, opowiesz mi wszystko później. Teraz przygotuj się do ucieczki!

276

Nie rozłączyłem się.

— Doug, dziś po południu obliczyłem liczbę możliwych zgonów wśród bezdomnych w całym mieście w tym roku. Może właśnie o to chodzi. Ci bezdomni prawdopodobnie zginęli tak samo jak Kingsly. Patolog dopiero po roku zauważył, że coś jest nie tak. Ja zresztą też. Z jednego bezdomnego na kilka miesięcy zrobił się jeden lub dwóch miesięcznie. Jeśli w innych szpitalach w mieście jest tak samo, mamy do czynienia z niewyobrażalną liczbą morderstw.

— Matko Boska! — krzyknął. — Jesteś pewien?

— Nie, nie jestem pewien, ale, choć wcale się o to nie starałem, odkryłem przypadkiem, jak zabito kilka osób. — Wszystkich bezdomnych podsuwano nam wprost pod nos, a my byliśmy zbyt zajęci, ciągle przepracowani, pomyślałem. Ktoś, kto to robił, wiedział, że z tych właśnie powodów nie będziemy się przejmowali każdym przywiezionym do szpitala biedakiem. Miałem pewność, że jeden z zabójców znał dobrze stosunki panujące na oddziale nagłych wypadków, znał lekarzy z oddziału i wykorzystał ich ciężką sytuację w pracy, by przemycać zamordowanych przez siebie ludzi.

Doug najwyraźniej denerwował się z powodu ciszy w słuchawce.

— Earl, później o tym pogadamy. Zbieraj się! Już tu są. Zadzwońmy po gliny!

— Nie! Musimy poczekać, aż wejdą — zaproponowałem — bo inaczej znów będę w punkcie wyjścia.

Usłyszałem, jak ciężko westchnął, nie nalegał jednak dłużej. Dzięki Bogu nie powiedziałem mu o planie zastawienia na nich pułapki, ze mną w roli przynęty. Nagle uderzyła mnie myśl, która przyszła nie wiadomo skąd.

— Zaraz, zaraz, powiedziałeś jeden z nich, to znaczy, że jest tu nie tylko karetka?

— Właśnie. Jakies dziesięć minut temu przyjechał drugi samochód. Nadjechał powoli z północy, zupełnie jak ty. Pojechał dalej na południe. Kilka minut później zobaczyliśmy, jak zbliża się z drugiej strony, z wyłączonymi światłami i zatrzymuje się obok karetki.

— Co oni tam robią?

277

— Już ci mówiłem, siedzą.

— Ilu ich jest?

— Nie wiem na pewno. Nikt nie wyszedł jeszcze z wozu.

— Karetka przyjechała na sygnale?

— Nie. Kiedy podjechali do zakrętu, mieli włączone światła, zawrócili przy wjeździe na twoją posesję i zgasili światła, a potem się zatrzymali.

— Wygląda na to, że mój taksówkarz pojechał na południe dalej, niż mu kazałem.

— Tak.

— Ich samochód pojechał także na południe, a potem zawrócił?

— Właśnie.

Kierowca prywatnego samochodu zachował ostrożność tak jak ja, sanitariusze w karetce nie.

— Jak sądzisz, wiedzą już, że jestem w środku? Milczenie Douga nie wróżyło dobrych wieści. W końcu

odparł, najspokojniej jak umiał.

— Chyba tak.

— Chyba! Jesteś pewien, czy nie? Nie odpowiedział.

— Doug, co ci chodzi po głowie?

W telefonie coś zatrzeszczało, nim się odezwał.

— Sam się pchasz w paszczę lwa, robisz z siebie przynętę, a przecież chodzi o ludzi, dla których zabijanie to bułka z masłem. Poza tym nic więcej. Myślę, że nie ma ich zbyt wielu.

— Co?

— Udało ci się uniknąć śmierci, kiedy było ich trzech. Na razie jesteśmy prawie pewni, że jest tylko dwóch.

— Skąd wiesz, przecież nie wychodzili z samochodu.

— Nie, ale jeden z moich chłopaków zauważył żarzący się koniec papierosa, najpierw w karetkce, a potem w samochodzie. Oba po stronie kierowcy. Papieros był skierowany w stronę domu i nie odwracał się w kierunku pasażera, jak to się normalnie dzieje w czasie rozmowy.

— Może nie rozmawiali.

— Może, ale końce papierosów podskakiwały, kiedy rozmawiali ze sobą albo z kimś innym przez radio czy telefon. To

278

by było dziwne, gdyby tacy gadatliwi kierowcy nie odezwali się ani razu do pasażerów.

Zaczynał się w to wciągać. Poczulem wyrzuty sumienia, że poprosiłem go o pomoc. Tu, na miejscu, wszystko wyglądało znacznie gorzej niż wtedy, kiedy omawialiśmy to w mojej kuchni.

— Jakim cudem to wszystko widzicie?

— Jeden z moich ma noktowizor.

— Skąd go wziął?

— To pamiątka z Wietnamu. Arnie i Norm są weteranami.

Zaskoczył mnie. Przez tyle lat podziwiałem dozgonną przyjaźń tych dwóch

mężczyzn. Nawet wśród tak sympatycznej ekipy, jak ludzie Douga, ci dwaj byli szczególnie pogodni i mili.

— Jestem pod wrażeniem.

— Szkoda tylko, że nie działa zbyt dobrze.

— Arnie, Norm czy noktowizor? Doug się zaśmiał.

— Wszyscy. Moi weterani to grubasy po czterdziestce. — Usłyszałem udawane oburzenie w samochodzie Douga. Po tamtej stronie drogi humory wciąż dopisywały.

— Co do noktowizora, lepiej działał w Wietnamie, ale tam nie pada śnieg.

Zawsze zastanawiałem się, ilu naprawdę jest zabójców.

— Więc jednego zabójcy nam brakuje. Może jest jeszcze w Buffalo i szuka mnie. Może udało nam się go zmylić.

— Niedługo dowiemy się, ilu ich jest. Śnieg powoli przestaje padać. Na razie bądź w pogotowiu.

Wyłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Przemoczone spodnie i kalesony zsunęły mi się na stopy. Zdjąłem je i wyciągnąłem to, co zostało z wydruków. Nie nadawały się do użytku, przynajmniej na razie. Były całe mokre, ale kiedy wyschną, będzie można je odczytać. Położyłem wydruki na marmurowym stoliku tuż przy grzejniku elektrycznym. Ubrania zebrałem z podłogi i wrzuciłem do pralki.

Potem wyjąłem z wewnętrznej kieszeni płaszcza dyskietki. Na szczęście nic im się nie stało. Większość materiałów, które były mi potrzebne, znajdowała się na nich. Wydruki będą niezbędne, jeśli mój pierwotny pomysł się nie sprawdzi.

279

Zdjąłem sweter i koszulkę. Były mokre od potu, a nie od śniegu. Wydruki, które miałem w koszulce, okazały się równie mokre jak te ze spodni, więc położyłem je na stoliku, a resztę ubrań także wepchnąłem do pralki.

Zupełnie nagi drżałem z zimna. Pobiegnąłem do sypialni na drugim końcu domu. Wiedziałem, że tam znajdę coś do ubrania.

Z tego pokoju tarasowe okna wychodziły na polanę nad jeziorem, skąd jeszcze piętnaście minut temu spoglądałem na dom, nie widząc nic w jego wnętrzu. Poruszałem się swobodnie w ciemnościach, bo znałem pokój. Znalazłem ubrania i

włożyłem je. Na zewnątrz było ciemno, ale dobrze widziałem podwórze. Śnieg padał coraz słabiej i jezioro było już prawie w całości widoczne. Z daleka było widać głębokie ślady w śniegu, te, które zostawiłem, biegnąc w stronę domu. Postanowiłem się na razie tym nie martwić. To i tak nie miało większego znaczenia.

W suchym i ciepłym ubraniu poszedłem znów na drugi koniec chaty, wziąłem dyskietki i udałem się na górę do niewielkiego pokoiku nad kuchnią, gdzie stał mój komputer. Włączyłem monitor. Śnieżna poświata ekranu oświetliła klawiaturę na tyle, że mogłem pracować bez włączania światła. Nie miało to sensu, ale czułem się lepiej, pracując w ciemności.

Na ekranie pojawił się deszcz cyfr i skrótów, oznaczających nazwy chorób. Rozluźniłem się trochę. Znów byłem w swoim żywiole. W tym labiryncie danych z oddziału nagłych wypadków poruszałem się z łatwością. Jeśli jeden z zabójców pozostawił tu po sobie ślad, miałem sporą szansę na to, by go odnaleźć.

Wszedłem do pliku z danymi o bezdomnych. Najczęściej występowała ta sama diagnoza. Te dane nigdy nie przyciągały niczyjej uwagi. Ukazywały jedynie procent bezdomnych wśród wszystkich zgonów. Pewnie mordercy na tym bazowali. Sekcja bezdomnego zawsze wzbudzała tę samą reakcję. Patolog zastanawiał się niezmiennie, co za idiota każe mu marnować czas na takie bzdury.

To znacznie ułatwiało pracę mordercom, dopóki nie pojawił się trup Kingsly'ego.

280

Na ekranie zamrugało światło i uzyskałem dane, na które czekałem. Wcisnąłem wyszukiwanie kodów lekarzy, którzy przyjmowali poszczególne przypadki. Na ekranie znów zamrugało światło i komputer zaczął wyświetlać niezwykle rzadko przeglądane informacje.

Szukałem złego ducha, ściśle związanego z moim oddziałem. Hurst przyprawiał mnie o dreszcze, lecz on nie miał z nami wiele wspólnego i nie figurował w zgromadzonych na dyskietkach danych. Poza tym nie funkcjonował w taki sposób jak większość osób na moim oddziale, a to właśnie wyczuwałem w zabójcy, zwłaszcza po ataku na Watta. To musiał być ktoś, kto takimi rzeczami zajmuje się na co dzień.

Miałem wątpliwości co do Kradica i Jones. Zwłaszcza w jej wypadku musiałem opanować niechęć i przestać sobie wyobrazać, do czego byłaby zdolna. Zastanawiałem się nad lekarzami, z którymi pracowałem od wielu lat. Poza kilkoma wyjątkami o większości z nich nie wiedziałem nic. Nie znałem ich pragnień, marzeń i ambicji. Dostrzegałem tylko ich typowe, lekarskie opanowanie. Może stosunkowo

częsta nieuprzejmość wobec pielęgniarek wynikała ze zdenerwowania i braku poczucia bezpieczeństwa? Może bali się zbliżyć do innych kolegów? A może lęk i postawa obronna skrywały głęboko zakorzeniony sadyzm?

Skrzywiłem się, bo przypomniały mi się stare metody, stosowane na oddziale, kiedy szanowany lekarz kazał zrobić lewatywę pacjentce tylko po to, by dać jej nauczkę. Na szczęście te czasy się skończyły. Lecz możliwe, że był u nas jeszcze ktoś, kto tylko czekał na okazję, by zadać pacjentowi ból?

Mimo wszystko zabijanie tak częste, prawie regularne, znacznie przekraczało granice sadyzmu, jaki kiedykolwiek mogłem zobaczyć w szpitalu.

Zastanawiałem się trochę zaskoczony, nie tyle faktem, że nie mogłem znaleźć zabójcy, ile myślą, że tak naprawdę nie wiem, kim byli poza szpitalem moi koledzy i koleżanki z pracy. Bywali już mordercy w branży medycznej. Tak zwani lekarze wraz z pielęgniarkami przeprowadzali potworne eksperymenty w Dachau, a potem szli do domu i bawili się z dziećmi. Właśnie taki „uzdrowiciel” poświęcił się pracy humanitarnej

281

w jednej z klinik w państwie Trzeciego Świata, zanim go odnaleziono po wojnie. W zeszłym roku w stanie Oregon znany lekarz udusił i pokroił sześć prostytutek w ciągu dziesięciu miesięcy, a potem przeniósł się do Europy i dopiero po serii podobnych morderstw został tam złapany. Powróciłem myślami do danych, kiedy na ekranie pojawiły się nowe liczby, zawierające kody lekarzy przyjmujących bezdomne ofiary.

Nic.

Piętnastu lekarzy opisanych na dole strony kodem, łącznie ze mną, tworzyło kompletną listę. Na wykresie zamiast przypadków nieżyjących bezdomnych widniała czarna kreska. Nie było wyjątków. Większość lekarzy przyjęła jednego lub dwóch, kilku innych trzech lub czterech. Tylko jeden lekarz nie przyjął nikogo. Nie powinienem czuć rozczarowania. Dlaczego właściwie sądziłem, że jestem mądrzejszy i szybszy od tego, kogo ścigałem? Sądziłem, że liczby wskażą mi zabójcę, ale tego nie zrobiły.

Nie sprawdzałem jeszcze kodów lekarzy, więc nie wiedziałem, kto jest kto. Postanowiłem zrobić to później. Mogłem jednak przestać podejrzewać lekarzy z niskimi wynikami. Należało skontrolować kilku najlepszych pod tym względem. Doug przypomniał mi, że w jaskini powinny być przynajmniej trzy lwy.

Nacisnąłem funkcję kopiowania i kiedy moja hałaśliwa drukarka zaczęła pracować,

drukując bezsensowną listę, wprowadziłem polecenie, by komputer pokazał mi, podczas jakiej zmiany najczęściej przywożono trupy bezdomnych. Hałas drukarki ucichł, a ja, czekając na pojawienie się nowych danych, oderwałem wydruk i bezwiednie rzuciłem go na podłogę.

Pojawiły się dane z godzin pracy lekarzy. Usystematyzowany wykaz trzyzmianowych dyżurów porannych, popołudniowych i nocnych, zaczynających się o siódmej wieczorem. W tych godzinach wiedli swe życie zawodowe lekarze i pielęgniarki z oddziałów nagłych wypadków na całym świecie.

Komputer podzielił dyżury na poszczególne godziny i zaznaczył kropkami około trzydziestu miejsc. Wyglądało to jak mapa nieba z naniesionymi gwiazdami. Każda z tych kropek oznaczała trupa. Wykres pokazał godziny i dni, kiedy w ciągu ostatniego roku zajmowaliśmy się tymi „pacjentami”.

282

Na pierwszy rzut oka nie mogłem nic z tego wyczytać. Na mapie było około trzydziestu gwiazd, czyli kilka więcej niż przypuszczałem. Wcisnąłem funkcję wyszukiwania podobieństw w czasie.

To trwało trochę dłużej. Carole dała mi uproszczoną wersję programów, specjalnie przystosowaną do moich niewielkich umiejętności w dziedzinie obsługi komputera. Przy jej biurku to samo polecenie zostałoby wyświetlone znacznie szybciej, zwłaszcza że miała również lepszy komputer i sprawniej wystukiwała na klawiaturze komendy.

Wsluchując się w szemranie komputera, spojrzałem na pierwszy wydruk, który leżał teraz pod moimi nogami.

Byłem głupi, sądząc, że jedno polecenie wpisane do komputera da mi wykres, dzięki któremu będę mógł odgadnąć nazwisko zabójcy.

Kiedy patrzyłem teraz na wykres, wszystko się zmieniło. To biały pasek stał się wskaźnikiem. Białe paski wskazywały brak przyjęcia zmarłych bezdomnych. Kiedy porównałem je ze sobą, jeden kod się wyróżniał, bo biały pasek, widniejący przy nim, był najdłuższy. Fakt, że ktoś nie przyjął ani jednego trupa, był znaczący.

Kody lekarzy znajdowały się na innej dyskietce. Nie chciałem zatrzymywać uruchomionego już programu, który miał mi podać porę, w której zwłoki przywożono najczęściej. Czekałem więc coraz bardziej zniecierpliwiony i podniecony swoim odkryciem.

Na ekranie pojawiło się skojarzenie dni i czasu. W dniach nie było żadnej

regularności, ale za to dwudziestu pięciu z trzydziestu truposzy przywieziono nad ranem, większość z nich między ósmą i dziesiątą.

To mogło być coś znaczącego, ale równie dobrze nie musiało nic oznaczać. Może zabijano bezdomnych w nocy, a znajdowano nad ranem i przysyłano do szpitali.

Lekarze pracowali na krótszych zmianach niż pielęgniarki. Ich dyżury często się pokrywały. Dzięki temu zmęczenie i nerwowość w pracy na oddziale były znacznie mniejsze. Zażądałem od komputera, by pokazał, jak często poszczególni lekarze mają dyżury dokładnie w tym czasie, kiedy przywożono

283

zwłoki bezdomnych. Tak jak podejrzewałem, nie było lekarza, który by częściej niż inni pracował w tych godzinach. Tym razem jednak postanowiłem zwrócić uwagę na wynik negatywny.

Na ekranie pojawiły się długie czarne kreski. Jedna biała kreska oznaczała osobę, która prawie nigdy nie pracowała rano. Przy tej kresce był ten sam numer kodu co na wydruku.

Samo w sobie nie było to oczywiście obciążające. Niektórzy lekarze po prostu woleli pracować po południu i wieczorem. Nie pracowali rano z powodu innych zajęć poza szpitalem. Ja również wołałem taki grafik, nim zostałem ordynatorem.

Wpisałem nowe polecenie, by komputer wyświetlił listę lekarzy, którym odpowiadała praca popołudniami i w nocy. Zgodnie z moimi przewidywaniami, lista zawierała połowę nazwisk. W tej grupie był kod, na który zwróciłem uwagę w poprzednich zestawieniach.

Potem spróbowałem czegoś, co podpowiadało mi przeczucie. Połączyłem zestawienie zgonów bezdomnych z dyżurami tych lekarzy w ciągu roku. Poleciałem odnalezienie połączeń zgonów z osobami dyżurującymi wcześniej.

To było dość niezwykle polecenie. Komputer musiał pikać i mrugać znacznie dłużej niż przy poprzednich zestawieniach. Kiedy czekałem, poczułem na plecach chłodny powiew. Pomyślałem, że przydałoby się zatrudnić ekipę Douga, żeby zajęła się również tym pokojem. Co roku wczesną zimą ludzie Douga uzupełniali wszystkie szczeliny powstałe w ścianach podczas osiadania nowej części domu. Na szczęście było ich z każdym rokiem coraz mniej. W starej części budynku było ciepło i przytulnie, więc miałem nadzieję, że i nowa w końcu przestanie pracować.

Siedziałem w ciemności, słuchając pisków komputera, i wpatrywałem się w mrugający szary ekran. Mimo ciepłych ubrań, które miałem na sobie, czułem chłód.

Postanowiłem włożyć jeszcze sweter, kiedy komputer skończy wyświetlanie polecenia.

Wtedy właśnie na ekranie znów pojawiły się poziome kreski.

Tym razem miałem wyraźny trop. Jedna biała i jedna czarna linia. Czarna linia przy jednym z lekarzy wystawała poza wszystkie inne. Ten kod znałem już na pamięć.

Nad czarną

284

linią ciągnęła się równie długa biała. Wyglądały jak pozytyw i negatyw.

Jeden z lekarzy nigdy nie miał dyżuru przed przywiezieniem na oddział zwłok bezdomnego. Lekarz, przy którym widniała czarna kreska, był w szpitalu przed przywiezieniem większości z nich.

Obejrzałem inny grafik, który wcześniej zrobiłem, i odszukałem dragi kod. Zaczynałem rozumieć, o co chodzi.

Zanim zmieniłem dyskietki, żeby odnaleźć nazwiska przypisane do tych kodów, chciałem wydrukować to, co już miałem. Lata złych doświadczeń z komputerami nauczyły mnie drukować wszystko, co już udało mi się zrobić. Poza tym nie ufałem mojemu dziesięcioletniemu rupieciowi. Czasem zjadał mi cały tekst i pokazywał żółty znaczek ostrzegawczy, który dla mnie oznaczał pecha. Nie chcąc ryzykować jeszcze jednej klęski, zacząłem drukować kopie wszystkich zestawień. Drukarka warczała jak silnik i pracowicie przelewała na papier wszystko, co do tej pory wymyśliłem. Czekać nerwowo, stukałem po niebieskiej powierzchni dyskietki, zawierającej nazwiska lekarzy.

Po minucie był gotowy jeden wydruk. Jeszcze pięć grafików. Zajmie to drukarce pięć kolejnych minut. Co za dinozaur, pomyślałem i postanowiłem zejść na dół po sweter.

Szedłem w stronę kuchni, a potem na drugi koniec domu. Cały czas słyszałem brzęczenie drukarki. Ucichło trochę, kiedy przechodziłem obok krzeseł, kanap i małych stolików w salonie, w miejscu, gdzie zwykle siedzieliśmy z Janet i gadaliśmy godzinami lub czytaliśmy gazety.

Wkrótce hałas stał się niewyraźny, a moje myśli wciąż galopowały niespokojnie. Rozumiałem, dlaczego jeden z lekarzy nigdy nie był w szpitalu przed przywiezieniem do nas zwłok. Jeśli miałem rację, to samo dotyczyło zmarłych bezdomnych w innych szpitalach w Buffalo. Jeżeli przeżyję dzisiejszą noc, może uda mi się sprawdzić te dane.

Szedłem korytarzem w stronę sypialni. Tu było jeszcze ciemniej. Musiałem się poruszać, dotykając ścian. Nie chciałem włączać światła.

Tylu bezdomnych, tyle danych, ale niektóre liczby z czymś

285

mi się kojarzyły. Znów przechodziłem obok krzesel i stolików. Poruszałem się pośród nich w zupełnej ciemności.

Jaka zagadka kryje się w oglądanych przed chwilą informacjach? Pewnie przypominały mi wcześniejsze wykresy z firmy ubezpieczeniowej. Prawdopodobnie nie miało to żadnego znaczenia,

Wszedłem do sypialni. Niebieskawa poświata sprawiła, że widziałem wszystko dokładnie. Na zewnątrz pokryte śniegiem trawniki i otaczające je drzewa również były dobrze widoczne. Doug miał rację. Śnieg przestał padać.

Znalazłem sweter, który kiedyś upchnąłem w szufladzie, i włożyłem go na siebie. Niezamarnięte jeszcze jezioro ciągnęło się ciemną plamą w stronę szarego nieba. Wyglądało jak przyciemniona szyba położona na śniegu. Widziałem miejsce wśród sosen, w którym przycupnąłem po drodze do domu, i starałem się dostrzec, czy kogoś nie ma w środku.

Dobrze się stało, że nikt nie czekał na mnie w chacie. Gdyby obserwował mnie z jej wnętrza, z łatwością zauważyłby, jak podchodziłem.

Siady moich stóp wyglądały na śniegu oświetlonym blaskiem księżyca jak rozdarcie na płótnie. Teraz wydały mi się jeszcze ciemniejsze i przypominały zaschniętą krew. Od mego wejścia do domu nie spadło wiele śniegu. Patrzyłem w okno i próbowałem sobie przypomnieć, do czego są podobne dane, które wyświetlił komputer.

Prawdopodobieństwo. To słowo nie dawało mi spokoju i z jakiegoś niezrozumiałego powodu utknęło gdzieś w zakamarkach mej pamięci. Prawdopodobne, możliwe, spodziewane, te określenia pojawiały się w moim umyśle, ale nie potrafiłem ich powiązać z wydrukowanymi przed chwilą danymi. Nagle znikąd pojawiła się liczba trzysta. Nie łączyła się z niczym konkretnym. Trzysta czego? Nie mogłem sobie przypomnieć, skąd znam tę liczbę. Już chciałem oddalić od siebie obsesyjną myśl, kiedy zaczęła wracać ze zdwojoną siłą, a przy niej pojawiało się słowo badania. Myśli krążyły w mojej głowie bezładnie, jakbym próbował rozwiązać nedorzeczny rebus, aż nagle ustawiły się we właściwej kolejności. Prawdopodobieństwo. Możliwość pomyłki w badaniach. Źródło badań.

286

Już wiedziałem, czyje nazwisko pojawi się obok kodu na dyskietce.

Dzwonek telefonu zabrzmiał w moich uszach jak krzyk.

Zawylem, nie zdając sobie nawet z tego sprawy i odwróciłem się. Szybko podniosłem słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku. Nie zdążyłem nawet powiedzieć „halo”.

— Earl, uciekaj! — krzyczał Doug. — Uciekaj, natychmiast! Ktoś szedł za tobą. Widzimy inne ślady. Uciekaj szybko!

— Jakie ślady?

— Nie gadaj, tylko uciekaj. Ten drugi samochód musiał zrobić ten sam numer co twoja taksówka i wysadził jednego z nich w tym samym miejscu. Na początku nie widzieliśmy śladów z powodu śniegu. Idą do ciebie od strony lasu.

— Doug, to chyba tylko łoś.

Czasem słyhać w słuchawce ciszę, po której można rozpoznać, iż twój rozmówca podejrzewa, że oszalałeś. To był taki właśnie rodzaj ciszy.

W końcu Doug zapytał:

— Earl, czy to jakiś szyfr? Masz kłopoty, tak? Mówisz to, żeby mnie ostrzec?

— Nie, Doug, naprawdę chodzi mi o łośia. Szedł za mną łoś. W tym śniegu to on mnie doprowadził do jeziora. To tylko łoś.

— Nie wierzę.

— Chryste, chyba nie wezwaleś jeszcze glin? Grobowa cisza w słuchawce sprawiła, że zacząłem się

obawiać katastrofy. W końcu niechętnie odpowiedział:

— Nie, najpierw zadzwoniłem do ciebie. — Znów cisza. — Ale nie podoba mi się to wszystko.

— Jakim cudem widzisz te ślady?

— Noktowizor działa świetnie, kiedy śnieg nie pada. Wiedziałem, że komputer poda mi teraz nazwisko, które

kryło się za podejrzanym numerem na wykresach, ale to jeszcze nie będzie dowód. Mogłem za pomocą tych danych oskarżyć mordercę, wzbudzić podejrzenia policji, lecz to wcale nie znaczy, że zostałby skazany. Doug musiał jeszcze poczekać.

— Uspokój się — powiedziałem. — To nic takiego. Poczekajmy jeszcze trochę.

287

Po drugiej stronie słuchawki znów nastąpiła cisza, oznaczająca powątpiewanie.

I

— Zaczekaj — odezwał się po chwili.
pospiesznie jednego z chłopaków I

I Słyszałem, jak pyta o coś

siedzących w furgonetce. Słyszałem głos Arniego.

I

— Nie ma mowy. To nie mogą być ślady łośia. Łosie zostawiają małe ślady. To musiał być człowiek. Siady są jeszcze świeże. Ślady doktora Gameta są już do połowy zasypane śniegiem. Ledwie je widać. Te nie mają nawet godziny. Niech ten idiota się stamtąd wynosi.

Arnie polował i na zwierzęta, i na ludzi. Był zdenerwowany. Kiedy go słuchałem, zaschło mi w gardle. Bezwiednie przywarłem plecami do ściany. Spojrzałem w stronę jeziora na drzewa i ślady na śniegu.

Na górze ustało nagle terkotanie drukarki. W innej części domu okiennica uderzyła o ścianę. W oknie naprzeciw mnie spora łacha śniegu spadła z dachu tuż przed domem. Drukarka znów się włączyła z łoskotem. To już chyba ostatni wydruk.

Rozległ się głos Douga, który dyplomatycznie przetłumaczył to, co już słyszałem:

— Mamy tu znaczną różnicę opinii. Słuchaj, musisz stamtąd uciekać. Najpierw się dowiemy, co jest grane. Masz ten mały telefon bezprzewodowy w domu?

Kupiłem ten aparat, by rozmawiać w ogrodzie. Doug pożyczał go, kiedy pracował przy remoncie i jeszcze nie miał komórki.

— Tak, mam. Co robią ci dwaj w samochodach?

— Nic, tylko siedzą.

— Jeśli ktoś do mnie idzie, skąd wiedzieli, że tu jestem?

— Nie wiem! Słuchaj, po prostu wyjdź z domu. Idź się ukryć na wzgórzu za domem. My będziemy obserwowali tych przed nami. Jeśli się ruszą albo ktoś podejdzie do chaty, wezwiemy gliny. Zadzwoń do mnie, jak wyjdiesz na zewnątrz. Sprawdźmy czy twój szmelc w ogóle działa.

W jednej chwili coś sobie przypomniałem.

— Ślady! Zobaczą moje nowe ślady i pójdą za mną tam, gdzie się schowam. — Mimo że planowałem posłużyć za przynętę, nie chciałem, żeby wiedzieli, gdzie jestem. Miałem

288

zamiar pokazać im się, dopiero kiedy przyjadą gliny. Policja z Holi Mont była jakieś dziesięć minut drogi stąd. Prosiłiśmy, żeby przyjechali bez syren, kiedy do nich zatelefonujemy. Ale teraz zamiast zwodzić zabójców do czasu aż przyjadą gliny, mogę zostać na ich lasce przez dłuższy czas.

Milczenie Douga pozwalało przypuszczać, że on też do tej pory o tym nie pomyślał, a przecież jego wersja planu miała być dla mnie bezpieczna. Musieliśmy improwizować, a nasz plan wziął w łeb.

— Earl — powiedział pospiesznie — albo pójdziesz na wzgórze i będziesz ich stamtąd obserwował, albo od razu dzwonimy po gliny i wystraszymy ich. — Przerwał na chwilę, bym mógł się zastanowić, i dodał: — Ty decydujesz.

Zaczynałem się bać o siebie, lecz jeszcze bardziej przerażało mnie to, że ci mordercy mogą pozostać na wolności. W czarnych wykresach zauważyłem, że moja „przypadkowa śmierć” miała nie tylko pozwolić mordercom żyć dalej na wolności, ale także zabijać.

— Dobrze — zgodziłem się. — Schowam się na wzgórzu. Będziemy czekać i obserwować ich. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę już na zewnątrz.

— Pamiętaj, że masz ruszyć lasem w stronę drogi, jak tylko wezwiemy gliny. Pewnie najpierw sprawdzą dom, zanim zaczną cię gonić. Jeśli gliny dotrą tu szybko, może uda nam się ich złapać w domu — mówił niezbyt pewnym głosem.

— Dobrze — odparłem. — Czy ty nie za bardzo mnie pilnujesz?

— Poczekaj, aż zobaczysz rachunek — rzucił i się wyłączył. Usłyszałem trzask w słuchawce, a potem sygnał. Zabrzmiało

to nieprzyjemnie i drażniło mi ucho. Chciałem mu powiedzieć, czyje nazwisko spodziewałem się znaleźć na wykresach, żeby wiedział, w razie gdyby mi się coś stało. Postanowiłem powiedzieć mu to, kiedy zadzwonię z wiadomością, że jestem na zewnątrz.

Spojrzałem przez okno na ślady na śniegu.

Jakim cudem przyjechali tu za mną samochodem i przyszli po śladach do domu?

Odtworzyłem w myślach sytuację: wysiadam z taksówki,

289

samochód odjeżdża, kierowca pochyla się nad deską rozdzielczą, a potem tylne światła znikają w oddali.

Nagle zrozumiałem. Deska rozdzielcza. Radio. Ci z karetki na pewno nasłuchiwali przez radio, co mówi taksówkarz. Pewnie opowiadał koledze, jak wysadził jakiegoś wariata w lesie. Kierowca karetki zrozumiał, że chodzi o mnie. Teraz ktoś szedł za mną tą samą drogą.

Odsunąłem się od okna i odwróciłem w stronę korytarza. Przenośny telefon był po drugiej stronie domu, na szafce w pokoju gościnnym. Chciałem go wziąć i zatelefonować do Douga, kiedy będę na zewnątrz, ale po chwili przypomniałem sobie, że telefon jest wyłączony.

Zawsze wyłączałem ten przeklęty telefon, kiedy wyjeżdżaliśmy. Nagrzewał się w czasie ładowania i obawiałem się, że spowoduje spięcie i zacznie się palić.

Postanowiłem zadzwonić z telefonu przy wejściu, a potem uciec do lasu.

Wszedłem do długiego korytarza, prowadzącego z salonu do kuchni. PrzedSIONEK i główne wejście były w połowie długości pomieszczenia przede mną. Usłyszałem znów hałas drukarki.

Na twarzy poczułem powiew zimnego powietrza.

Stałem jak wryty. Drzwi były otwarte! A może to tylko przeciąg? Znów poczułem na skórze zimny powiew. W głowie mi huczało od myśli. Siady na zewnątrz były głębsze. Ktoś po nich przeszedł. Morderca był w środku.

Wydawało mi się, że ktoś zaraz na mnie skoczy.

Zakradłem się do przedSIONKA.

Pusto. Drzwi na zewnątrz były zamknięte, a zimny powiew pochodził z wybitego okienka tuż nad zamkiem. Wśliznąłem się do przedSIONKA i oparłem plecami o drzwi, by obserwować ciemny korytarz. Lewą ręką sięgnąłem po buty, a prawą szukałem na oślep klamki. Na podłodze było mokro od roztopionego śniegu. Stałem na kawałku szkła, które zazgrzytało głośno. Jeśli nawet skaleczyłem się w nogę, nie czułem tego wcale.

Nade mną jęk drukarki ucichł zupełnie. W głuchoj ciszy wstrzymałem oddech.

Najpierw usłyszałem na górze łomot, a potem tupot na schodach. Przestraszyło mnie regularne pikanie, podobne do bicia serca, które tutaj wydawało się zupełnie nie na miejscu.

Otworzyłem do połowy drzwi wyjściowe, kiedy do przedsionka zbliżyła się postać w czarnym stroju narciarskim, rękawicach i masce. Pikanie stało się głośniejsze. Intruz trzymał w dłoniach dwie elektrody. Były połączone z niewielkim monitorem, zawieszonym na ramieniu, gotowe do pracy w każdej chwili. Pikanie zmieniło się w ciągły pisk. Jedno dotknięcie i moje serce będzie bezużytecznym workiem.

Nie zdołałem wydostać się na zewnątrz przez otwarte w połowie drzwi, gdyż ktoś je za mną zatrzasnął, uderzając mnie w plecy. Upadłem na podłogę tuż pod stopy człowieka z elektrodami.

Powietrze wyszło z moich płuc wraz z niezamierzonym jękiem. Ciężki but spadł na moją głowę, powodując tępy ból czaszki oraz gorzki smak w ustach, jak tuż przed wymiotowaniem. Czyjeś kolano przygniotło mi nogi. Ktoś rozdarł mi sweter i koszulę aż do szyi. Człowiek w wysokich butach, których mocną podeszwę czułem na czaszce, pocierał zimne elektrody o moje plecy i bok tuż koło serca.

Miałem za chwilę umrzeć. Zacząłem się słabo wiercić, niestety, ledwie udało mi się złapać oddech. Pomyślałem o Janet i moim nienarodzonym synu. W końcu udało mi się tylko wydusić z siebie:

— Proszę! Usłyszałem szorstkie:

— Odsunąć się!

Przestałem czuć kolano na moich nogach. Z butami stało się to samo, ale człowiek ukryty za maską narciarską wciąż opierał się o mnie i elektrodami przyciskał do podłogi, miażdżąc żebra o kafle. Nie mogłem oddychać. Podniosłem lekko głowę i wymiotowałem. Zacząłem kopać nogami, ale nie udało mi się niczego dotknąć. Jeszcze raz wymiotowałem. Tym razem uniosłem głowę trochę wyżej. Nade mną stał mój przeciwnik i przytrzymał mnie elektrodami. Nogi miał szeroko rozstawione, żebym nie mógł go dotknąć.

Odwróciłem głowę trochę mocniej i ujrzałem elektrody, a na nich ręce w rękawiczkach. Piszczenie przekształciło się w ciągły dźwięk, oznaczający gotowość sprzętu. Czarne kciuki powoli dotknęły guzików.

Po chwili znajomy głos, który spodziewałem się usłyszeć, szepnął:

— Na razie, doktorku.

Kciuki nacisnęły guziki, nim zdążyłem przekląć napastnika.

Rozdział 16

Prąd przeszedł mi przez klatkę piersiową. Siła uderzenia przypominała zderzenie z pociągiem. Przed oczami zobaczyłem białą plamę, a potem cały mój umysł ogarnęła biel. Usłyszałem głośny huk, jakby zapalały się nasączone naftą szmaty. Po chwili wszystkie odgłosy gdzieś odpłynęły, a ich miejsce zajęło ciche dzwonienie.

Asynchroniczne uderzenie prądu może rozpocząć na nowo pracę serca, w którym zanikła akcja, ale może również zatrzymać pracę zdrowego serca. Moje już nie biło. Została z niego tylko drżąca, bezużyteczna masa mięśni, lecz nie umarłem. Jeszcze nie. To zwykle zajmuje około trzydziestu sekund, wystarczająco dużo czasu, żeby zrozumieć, że się umiera.

Serce nie pracowało. Nie pompowało już krwi. W płucach poczułem brak tlenu, który sprawił, że zacząłem bezładnie łapać oddech. Jak wyciągnięta na brzeg ryba, otwierałem usta i próbowałem przedłużyć ostatnie sekundy życia.

Nie było w tym nic metafizycznego. Nie czułem spokoju, moja dusza nie unosiła się łagodnie nad ciałem. To bolało. Przypomniały mi się spojrzenia mężczyzn i kobiet, którzy umierali na moich oczach przez te wszystkie lata. Niektórzy byli przytomni i wiedzieli, co ich czeka. Zawsze pocieszałem się banałami w stylu: To była szybka śmierć, nie cierpieli. Taka

293

śmierć wcale nie była szybka. Duszę się powoli, a obumierające receptory nerwowe bolały jak diabli. Próbowałem złapać oddech, ale mięśnie już nie pracowały i cały ten wysiłek wywołał tylko przedśmiertne drgawki.

Chciałem, żeby nastąpił wreszcie koniec tej potwornej agonii. Błagałem w myślach, by już nastąpiła ciemność, żeby to wszystko się skończyło!

Potrzeba chwywania powietrza jest w ludzkim ciele bardzo silna. Od oddechu zaczyna się życie i na nim się kończy. Oddech jest starszy niż ludzie, bo pojawił się w chwili, kiedy życie wyszło z bagien. Ten oddech nie pozwalał mi umrzeć. Nie miałem przed oczami żadnych wspomnień z dzieciństwa, żadnej powtórki z przeszłości. Czułem tylko straszną potrzebę złapania oddechu.

Mimo bólu dotarło do mnie, że trzydzieści sekund już minęło. Dlaczego jeszcze

żyłem?

Chyba przewrócono mnie na plecy. Czułem całkiem przyjemny nacisk na klatkę piersiową. Po chwili poczułem rozpieranie w płucach. To strumień powietrza osłabił uczucie duszenia się. Jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. To przypominało seks, jakby niedługo miało nadejść uczucie ulgi.

Kilka następnych ucisków i znów uczucie ulgi.

Biel zniknęła z moich oczu. W niewyraźnym świetle widziałem niekształtne cienie. Dzwonienie trochę zelżało, a ja zacząłem słyszeć przytłumione głosy.

Znów kilka ucisków i ponownie uczucie ulgi. Czułem, jak przykładają mi do twarzy maskę.

Ci zwyrodnialcy robili resuscytację. Wprowadzali mi powietrze do płuc i uciskali serce.

Bezlądne głosy zaczęły się zmieniać w ludzką mowę. Nad sobą widziałem tylko tańczące cienie.

— Odsunąć się! — warknął jeden z nich.

Pozostałe usłuchały rozkazu. Cenne powietrze przestało wpływać do mych płuc. Znów poczułem w klatce piersiowej duszenie i ból. Zakończyli resuscytację. Chciałem, żeby trwało to dłużej. Nie przestawajcie! Jeszcze nie!

Ponownie zapadłem w dziwną biel. Jeszcze przez chwilę widziałem nad sobą cień. Poczulem nacisk na piersiach.

294

Następne porażenie prądem rozjaśniło się w moich oczach bielą. Wygiąłem się w łuk, a potem opadłem na podłogę.

Pozostałem w świecie bieli, lecz uczucie duszności zmalało. Tym razem czułem nawet nacisk maski i cudowne powietrze wpychane do mych płuc. W uszach znów mi dzwoniło. Nie mogłem się poruszyć. Nie działał żaden z moich mięśni, ale wiedziałem, że serce znów zaczęło pracować. Kiedy było się już o sekundę od śmierci, z radością wita się wszelką poprawę i choć wiedziałem, że nie jestem w rękach ekipy, która stara się ratować mi życie, i tak byłem wdzięczny losowi.

Spróbowałem zorientować się, w jakim jestem stanie. Powoli zaczynałem samodzielnie oddychać, a maska tlenowa wspomagała moje słabe wysiłki. Nie mogłem jeszcze mówić. Miałem wrażenie, że mój język przybrał wymiary salami.

Mogłem tylko żałośnie gulgotać. Za to zmysł węchu działał doskonale. Leżałem na podłodze w kałuży własnej uryny i fekaliiów. Wszystko mnie bolało, nie mogłem się poruszyć. W języku medycznym określiłbym to jako anoksję i postresuscytacyjny paraliż. W rzeczywistości był to krzyk mięśni poddanych ogromnemu wysiłkowi i pozbawionych tlenu. Byłem sparaliżowany i bezbronny. Stałem się królikiem doświadczalnym tych zwyrodnialców. Resuscytację wykorzystano jako metodę tortury. Jeden ruch z ich strony i mogłem wrócić w objęcia powolnej, przeciągającej się, strasznej śmierci.

Jasne światło znikło, a w miejscu niewyraźnych cieni pojawiły się narciarskie maski. Próbowałem się doszukać w oczach oprawców choć odrobiny współczucia, zwątpienia. Miałem nadzieję, że zmienią decyzję. Zamiast tego dojrzałem w nich jedynie chłodną obojętność. Osoba, która pompowała w moje płuca powietrze, miała cienkie, zaciśnięte, wykrzywione usta. Drugiej, która pochylała się nade mną, mój rosnący strach najwyraźniej sprawiał przyjemność. Wiedziałem, że w końcu przemówi. Nie musiała się już kryć. Wiedziałem, że zechce jakoś skomentować moją śmierć, a może również morderstwa pozostałych osób. Okrucieństwo najwyraźniej było jej największą rozrywką.

295

— Sprawdź jego komputer. Zobacz, jak daleko zaszedł! — powiedziała chłodno i rzeczowo Jones, jak prawdziwy zawodowiec, który nie przejmuje się byle czym.

Draga osoba wyszła bez słowa.

— Zanim umrzesz, musimy coś wiedzieć. Więc, doktorze, komu powiedziałeś? A może jeszcze się do nas nie dogrzeba-łeś? — uśmiechnęła się na ten przypadkowy rym.

Próbowałem odpowiedzieć, ale z mych ust wydobyło się tylko gulgotanie.

— Pieprzony Kingsly przyłapał mnie w laboratorium. Ten parszywiec chyba chciał dymać trupa, kiedy nie wyszło mu z żywą kobietą. Przyłapał mnie w trakcie pracy nad jednym z moich przypadków. Był urżnięty, ale i tak się zorientował, że robię coś zakazanego. Wybiegł zygzakiem z laboratorium i uciekał korytarzem. Musiałam biec za tym przeklętym popaprańcem. Złapałam igłę dosercową i dogoniłam go szybko, ale wił się i szarpał jak zarzynana świnia.

Usłyszałem znów gulgotanie. To był mój oddech. Próbowałem przekręcić na bok głowę, by pozbyć się śliny i wymiocin, ale nie mogłem nią poruszyć.

— Och, problemy z oddychaniem, doktorze? Zawsze bardzo podkreślałeś, jak ważne

jest udrożnienie dróg oddechowych. — Skrzywiła się złośliwie i przekręciła moją głowę na bok. Cierpka, lepka maź wypłynęła z kącika mych ust i przestałem się dusić. Całe ciało miałem sparaliżowane, nie mogłem się poruszyć. Nawet oczu nie mogłem odwrócić w stronę mojej dręczycielki, więc zrezygnowałem z tych wysiłków. Mówiła dalej i chciała, bym ją słyszał. Sprowadziła mnie do roli kukły, która ma jej teraz słuchać i chciwie łapać powietrze, by przeżyć jeszcze kilka sekund.

Przestała udawać chłodną obojętność.

— Dobrze się spisałam, doktorze?! — krzyknęła. Czułem na uchu jej oddech. — Słyszysz mnie?! — wrzeszczała, przekręcając moją głowę. Ujęła mnie za brodę, przysunęła się do mojej twarzy. Jej wcześniej obojętny wzrok płonął teraz wściekłością, którą często widziałem u pacjentów. Odsyłałem ich wtedy na psychiatrię. Ona była poważnie chora.

296

Znów przybrała obojętną postawę, jakby zmieniła maskę. Oglądała mnie jak przedmiot badań i ciągnęła swoją przemowę.

— Musiałam coś z nim zrobić, jakoś uspokoić, żeby ułożyć go we właściwej pozycji. Wiesz, co zrobiłam? To ci się spodoba. Rozdarłam bluzkę i pokazałam mu cycki! — Po tym oświadczeniu uniosła głowę z samouwielbieniem na twarzy, jakby oczekiwała, że zacznę się śmiać z aprobatą. Kiedy nie zareagowałem, wzruszyła ramionami i ciągnęła: — Ten durny popapraniec nabrał się na to jak byk na czerwoną szmatę, ssał i lizał mi piersi. Musiałam się oprzeć o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Kiedy on się zabawiał, ja odpięłam mu koszulę i wkłułam koniuszek igły, a potem wprowadziłam całą. — Wspomnienie sprawiło, że znów się uśmiechnęła. — To śmieszne, ale tak był zajęty ssaniem moich cycków, że nawet nie zauważył, kiedy umarł. Cały czas mnie całował. — Uśmiech zniknął, a głos zrobił się szorstki. — Potem zwałił się na podłogę, złamał igłę. Wszędzie bryzgał krwią i obsikał mnie całą, kiedy upadał. Zdjęłam mu koszulę i spodnie. Zmyłam krew, wsadziłam go na wózek, a ubrania włożyłam do torby. Przykryłam go prześcieradłem, a potem sama przewiozłam na górę. Bałam się, że zobaczy nas jakiś ochroniarz, ale oni zwykle o tej porze nie wchodzą na piętro administracji. Wsadziłam go do windy i bez kłopotu zawiozłam do jego biura.

Zaczęła mówić, żeby mnie przestraszyć, ale teraz wpatrywała się gdzieś w przestrzeń i wyglądała tak, jak na większości zebrań. Znów przeżywała to, co się wydarzyło, z uporem odtwarzała w myślach zbrodnię.

— Rzuciłam go na dywan — kontynuowała, nie patrząc nawet na mnie — wytarłam

tors ściereczką namoczoną w alkoholu i podkręciłam termostat, żeby szybciej wysechł. Krew już zastygła i nakłucie wyglądało jak niewielki strupek. Wszyscy wiedzieli o jego wybrykach i pomyśleliby tylko, że znów próbował do kogoś się dostać, doczłapał się do biura w samej bieliźnie, przekręcił termostat, a potem zmarł na atak serca. Potem wślizgnęłam się do kostnicy, wyczyściłam wózek, wezwałam moją karetkę i wyniosłam bezdomnego, nad którym

297

pracowałam, pokrwawione ubrania i prześcieradło przez tylne drzwi. — Przerwała, jakby znów sobie o mnie przypomniawszy. Po sekundzie ciszy usłyszałam znowu jej głos. — Wiesz, że każdy może wynieść zwłoki w foliowym worku ze szpitala przez tylne drzwi o każdej porze dnia i nocy i nikt go o nic nie będzie pytał? Wszyscy sądzą, że to „klient” firmy pogrzebowej. — Była dumna z siebie, ale po chwili wyraz zadowolenia znikł z jej twarzy, a zamiast niego pojawił się kamienny chłód. — Kto by podejrzewał, że jakiś głupi cywil zacznie go reanimować? Do diabła, żaden lekarz by tego nie zrobił. Nawet w takim gorącym pomieszczeniu Kingsly musiał zeszytywieć już po pięciu godzinach. — Jej wzrok płonął wściekłością. — A ty — prychnęła, chwytając mnie za włosy i pochylając się nade mną — pobiegłeś na wezwanie, zauważyłeś krew i znalazłeś igłę. Potem szukałeś dalej, psie gończy Watta. Kiedy zadzwoniłeś, żeby zapytać Kradica o ćwiczenia na bezdomnych z igłą dosercową, wiedziałam już, że jesteś blisko odkrycia prawdy, i musiałam cię zabić. Nawet bez udziału Watta, w końcu zdradziłyby mnie dane z firmy ubezpieczeniowej. Reszta, jak mówią, jest milczeniem i ty niedługo też będziesz milczał, nadęty, wiecznie zadowolony z siebie bubku — powiedziała i upuściła moją głowę z powrotem na płytki podłogi.

Przynajmniej znów zacząłem przetykać, ale jej śmierzący oddech i ból w czaszce spowodowały wymioty i ponowne duszenie się. Próbowałem odsunąć twarz, lecz ona ujęła moją brodę palcami.

— A pan, doktorze, chce pan posać moje cycuszki przed odejściem? — szepnęła i nagle przybliżyła do mnie twarz. — Nie bój się, nie powiem o tym twojej słodkiej Janet.

Nagły wybuch wściekłości przeszedł przez całe moje ciało jak prąd. Gdybym mógł się ruszyć, jak zwierzę rozerwałbym ją na kawałki, zębami, rękoma, paznokciami... czymkolwiek.

Gwałtownie się odsunęła i zaczęła patrzeć na mnie jak na obiekt doświadczalny. Zajęła się znów aparaturą do defibrylacji, która leżała na podłodze obok mnie. Włączyła aparat, posmarowała elektrody żelem.

— Znalazłeś coś? — rzuciła do swojego towarzysza, przeszukującego mój pokój na górze. Po chwili usłyszała niewyraźne „zaraz”, które ją zupełnie usatysfakcjonowało.

Sprawdziłem, czy mogę się już ruszać, na razie miałem sprawny tylko jeden palec.

W zamyśleniu pocierała jedną elektrodą o drugą, rozsma-rowując żel, jakby mieszała ciasto. Zauważyłem, że zdjęła rękawiczki.

— Wiesz — powiedziała cicho — gdyby siarczan magnezu naprawdę okazał się magicznym środkiem na wczesne stadium zawału serca, jak na to wskazywały początkowe badania, moje próby pomogłyby znaleźć optymalną dawkę i procedury stosowania szybciej niż jakiegokolwiek projekty badawcze na świecie. Inni badacze byli ograniczeni biernym czekaniem na ślepy przypadek naturalnego zawału. — Wciąż pocierała elektrody i wpatrywała się w przestrzeń. Spróbowałem poruszyć rękoma. — No i opóźnienia. Przecież zawsze jest jakieś opóźnienie, zanim się dostanie obiekt badań na stół. Ja miałam je na świeżo. Czas nie zacierał wyników moich badań. Czasem udawało mi się uzyskać nawet dziesięć prób na jednym obiekcie, zanim naprawdę nastąpił zgon.

Znów cisza. Pocierała elektrody. Miała nieobecny wzrok. Znałem to rozgorączkowane spojrzenie. Cierpiała na tę samą chorobę, co Fernandez, tylko u niej była znacznie bardziej zaawansowana. Jones święcie wierzyła w rewelacyjne rezultaty badań. To samo spotkało Fernandesa, ale choroba Jones była dziesięciokrotnie bardziej nasilona. Na tym etapie można było uzyskać wielkie pieniądze. Firmy zajmujące się produkcją leków przeznaczały niebagatelne sumy na badania, które już przynosiły rezultaty. Odkrycie środka, poważnie zwiększającego przeżywalność pacjentów z zawałem serca, stałoby się głośne na całym świecie, a wynalazcy do końca życia nie zabrakłoby funduszy na badania. Po odkryciu szybszej i skuteczniejszej metody resuscytacji Jones znalazłaby się na czele listy najlepszych.

— To nie było to — powiedziała z goryczą w głosie. — Siarczan magnezu, tani środek ratujący zawałowców, okazał

się niewiele lepszy niż inne. — Przestała pocierać elektrody i spojrzała na mnie. — Takie ryzyko, tyle pracy, o, nie, panie doktorze, nie mogłam pozwolić, żeby to wszystko poszło na marne. Jeśli już coś odkryłam, to musiałam kontynuować badania. —• Pochyliła się nade mną. — Już pan zrozumiał, profesorze?

To nie było pytanie, ale rozkaz, bym uznał siłę jej geniuszu. Tak, zrozumiałem.

Chodziło o torsade de pointes, dziwną, rzadko spotykaną arytmie serca, której nigdy nie udało się dokładnie zbadać. Badania stały się nagle łatwiejsze, kiedy okazało się, że pojawiła się u pacjentów z uczuleniem na taki lek, jak terfenadina w połączeniu z antybiotykiem, takim jak erytromycyna. Takie środki odkrył Watts w krwi bezdomnego. Kiedy informacja o skutkach połączenia leków dotarła do Jones, natychmiast postanowiła skorzystać z okazji i uratować choć część swoich badań i utorować drogę do sławy. Wstrzykiwano, prawdopodobnie dosercowo, te leki alkoholikom, aby wywołać u nich torsade de pointes, i dać pani Jones kolejny przypadek do badania działania siarczanu magnezu, a ona potem wpisywała te przypadki jako zawały serca w Buffalo.

Wartość jej badań nie mogła być mimo wszystko znacząca dla celów naukowych, bo w Buffalo tego typu okoliczności nie było wiele. Kiedy przedstawiła mi swoje badania, coś w nich nie pasowało. Prawdopodobieństwo wystąpienia takiego przypadku było rzędu jeden na dziesięć tysięcy zawałów. Żeby wykazać jakies rezultaty, musiałaby przebadać przynajmniej trzysta takich przypadków.

Oczywiście ona sama nigdy nie powiedziała mi, ile osób przebadała. Musiała się więc pogodzić z tym, że jej odkrycie nie będzie sensacją, ale najwyżej niewielką wzmianką w literaturze medycznej. W jej badaniach nie było dokładnej liczby przypadków, więc nie mogły wzbudzić szerokiego zainteresowania. To, co osiągnęła, zasługiwało tylko na miano rzadkiego zjawiska w kardiologii, o którym niewiele się mówi. Pragnęła tak dużo, a musiała się zadowolić czymś tak małym, wyrządziwszy przy okazji tyle krzywdy.

Musiałem ją powstrzymać.

300

Umieściła jedną z elektrod na mojej klatce piersiowej i równomiernie rozprowadzała żel ruchem bezmyślnym, prawie czułym, zupełnie jakby głaskała ukochaną osobę. Oczy miała utkwione w odległym obrazie własnej kłeski.

Pode mną był roztopiony śnieg. Miałem na tyle czucia w dłoniach, by móc je przytknąć do mokrych kafli.

Przestała głaskać mój tors. Elektroda była już prawie sucha. Przyklejała się do mojej skóry, więc po chwili przyciągnęła jej uwagę. Umieściła na niej więcej żelu, ale tym razem go nie rozsmarowała.

— Co cię tam tak długo trzyma?! — wrzasnęła piskliwie przez ramię.

Znów daleki pomruk. Słyszałem, jak deski podłogi nad nami skrzypnęły, a po chwili

głośne dudnienie oznajmiło, że ktoś schodzi po schodach.

Za nią pojawiła się druga postać.

— No i co? — była znów oschła i cyniczna.

Postać stanęła naprzeciw niej i pokiwała przecząco głową. Teraz widziałam ją już wyraźnie. Zauważyłem siwy zarost wokół milczących ust. To był starszy mężczyzna.

— Dobrze, doktorze. Nie znalazł pan jeszcze właściwego kodu. Dotarliśmy w samą porę — odwróciła się w stronę urzędnika. — Jeszcze pan nie wpadł na mój trop? — Pstryknięcie guzika zabrzmiało jak odbezpieczenie pistoletu.

— Więc pora na mały atak serca. To wszystko toczy się w lesie, brodzenie w śniegu zaszkodziło panu. Wzburzyło pański umysł i spowodowało atak serca.

Ustawiła na najwyższe napięcie. Próbowałem się odsunąć. Napiąłem palce, lekko uniosłem ramiona, ale wciąż nie mogłem poruszyć resztą ciała. Popiskiwanie maszyny z sygnału oznaczającego przygotowywanie się do pracy zmieniło się w sygnał oznaczający gotowość.

— Wdowa w żałobie, nienarodzone dziecko, już półsierota. Jedyne, co mogłem zrobić, to wydać z siebie głośny, gulgoczący ryk.

Zaskoczyło ją moje zachowanie i zainteresowało. Poczulem, jak opiera się na elektrodach. Położyła kciuki na guzikach i potarła je,

301

— A więc wreszcie jakaś reakcja. Już myślałam, że to będzie nudne. Myślałam, że będziesz trzymał klasę do końca i zagryzał wargi. — Przysunęła się bliżej i szepnęła: — Będziesz błagał?

Poruszyłem głową i chciałem splunąć jej w twarz, ale udało mi się tylko ją obślinić.

— Och, co za furia — kpiła. — Dobrze. Chcę, żebyś mnie nienawidził. Odbieram ci przecież twoje pieprzone poukładane życie człowieka z wyższych sfer.

Poruszyłem bezładnie nogami, a rękoma ścisnąłem roztopiony śnieg.

— Och, jak dobrze — mruknęła. — Lubię, kiedy się rzucają. Dyszała tak ciężko, że nie miałem wątpliwości, iż mówi

prawdę.

Kciuk zacisnęła na czerwonym guziku elektrody, a drugi trzymała w pogotowiu.

Próbowałem nie zamknąć oczu i wpatrywać się w ten kciuk. Wiedziałem, że mam tylko ułamek sekundy, żeby przystąpić do działania, i musiałem trafić idealnie.

— Tak, tak — przekomarzała się ze mną, głaszcząc czerwony guzik.

— Pieprzę to — syknęła postać za mną. Ten głos. Znam ten głos.

Jones zareagowała, jakby ją ktoś uderzył w twarz. Spojrzała na postać, zapominając na chwilę o mnie, lecz nie zdejmując elektrod z mojej klatki piersiowej.

— Nigdy do mnie tak nie mów — rzuciła. — Słyszysz?! Nigdy nie wtrącaj się do tego, co robię!

Zauważyłem, że wysoka postać za mną się odwraca i usłyszałem trzask przekręcanego w zamku klucza. Na głowie poczułem powiew zimnego wiatru, a potem do moich uszu dotarło skrzypnięcie śniegu pod stopami odchodzącego mężczyzny. Nie zamknął drzwi.

Jones kucnęła. Pochyliła się nad aparaturą, opuszczając ramiona. Po kilku sekundach usłyszałem ciągły sygnał, który zdawał się ją ożywić. Spojrzała na monitor po raz ostatni, a potem szybko odwróciła się do mnie. Przygotowałem się. Miałem umrzeć, ale postanowiłem zabrać ją ze sobą.

302

Przycisnęła mocno elektrody do mego torsu. Wzięłem ostatni oddech i chwyciłem ją za rękę.

Nacisnęła guziki. Wydałem z siebie krzyk. Oślepiająca biel znów eksplodowała w mojej głowie. Poczułem, jak prąd zaciska na niej moje mokre dłonie i przykleja jej palce do elektrod. Mimo bólu usłyszałem wrzask, niczym wybuch z płuc. Prąd poraził jej przeponę. Udało mi się! Potem wszystko umilkło, a prąd przebiegł jeszcze po moich plecach, ramionach i nogach. Mięśnie mi stężały. Wygiąłem się w łuk i przycisnąłem rękę do klatki piersiowej, trzymając ją jeszcze mocniej. Przez ułamek sekundy oddaliśmy się od siebie, ale łączył nas potworny ból i silne drgawki. Kiedy uderzenie prądu się skończyło, oboje opadliśmy luźno. Umieraliśmy.

Czułem jej drgawki. Walczyła o odrobinę powietrza, tak jak ja wcześniej. Musiała być równie świadoma. Pewnie czuła ten sam ból i próbowała złapać oddech. Robiła to samo co wszyscy, którzy wcześniej wpadli w jej szpony. Nie miałem dla niej litości ani nie czułem żalu, kiedy razem z nią powoli zbliżałem się do nieuchronnej śmierci. Pragnąłem, by walczyła o życie tak jak ja, by wiedziała, że umiera, i próbowała złapać oddech. Pragnąłem, by poczuła te długie sekundy, ostatnie w jej życiu, wiedząc, że to ja posłałem ją do piekła.

Tym razem poszło łatwiej. Byłem już słaby. Nikt nie wpychał mi powietrza do płuc, więc z łatwością pogrążyłem się w ciemności.

Dziwnie spieszyłem się do całkowitej ciszy. Próbowałem nie walczyć, dać za wygraną. Przed sobą zobaczyłem Janet, która po chwili zniknęła. Odeszła również złość, a także odraza. Ostatnią myśl skupiłem na tym, że powstrzymałem Jones. Poczulem przyspieszony ruch, ale nie miałem wrażenia, że się przemieszczam, lecz że rozpraszam się we wszystkich kierunkach. Czulem się jak kropla wody wpadająca do oceanu. Umierałem, rozpuszczając się.

Nagle znów błysk, a potem drugi. Były silniejsze od ciemności, w którą zapadłem. To nie należało do umierania. Uczucie spadania minęło. Czulem się tak, jakby fala wpływała do mojej czaszki i wypływała z niej. Wracałem. Ta suka przeżyła! Sama

303

myśl mnie przeraziła. Znów mnie przywracała do życia! Fala się nasiliła. W moim gardle wyrósł tunel. Wracałem do życia szybko... wraz z wymiotami wylatującymi przez umieszczoną w moim gardle rurkę. Kilka sekund później powróciłem na ten świat i po prostu zemdląłem.

Znów ta rytmiczna fala. Wpływała i wypływała. To był mój własny oddech, który unosił i ściągał w dół rurkę. Miałem wrażenie, że w gardle tkwi wąż ogrodowy. Wydawało mi się, że pogrzebano mnie żywcem. Nie mogłem poruszyć żadnym mięśniem, nawet zgiąć palca. To, co pozostało z mego mózgu, podpowiadało mi, że znów ktoś się ze mną bawi. Teraz najważniejsze wydało mi się otwarcie oczu. Co ona miała zamiar ze mną zrobić? Dlaczego jeszcze żyła? Jakim cudem? Odgłos mego oddechu zmieszał się teraz z dziwnym łoskotem. Głos? Ktoś coś do mnie mówił?

Poczulem na sobie dłonie. Przygotowałem się. Wciąż nie mogłem podnieść powiek. Czy ta suka je zaszyła? Udało mi się jedynie drgnąć.

Te ręce były jednak delikatne. Oddychanie zrobiło się trochę mniej głośnie, a łoskot zmaterializował się w męski głos.

Bardzo niewyraźnie powtarzał wciąż dwa słowa. Powtarzał je tak długo, aż w końcu zrozumiałem, co mówił.

— Bardzo przepraszam.

Nagle wszystko gdzieś znikło.

Bolało mnie całe ciało, nawet powieki. W końcu je otworzyłem, ale nie miało to wielkiego znaczenia. W przedsionku i tak było ciemno, a ja widziałem jedynie

niewyraźne cienie.

Mój własny oddech dotrzymywał mi towarzystwa. Mimo iż miałem mdłości, nie mogłem wymiotować. Byłem zbyt słaby.

Dotarł do mnie pulsujący dźwięk, podobny do mojego oddychania, tylko na wyższych tonach, znacznie głośniejszy, irytujący. To syrena. Zdawało mi się już, że siedzi mi w uchu, kiedy ktoś litościwie ją wyłączył. Usłyszałem trzaskanie drzwia-

304

mi, skrzypienie butów na śniegu. Potem znów dmuchnęło na mnie zimne powietrze, kiedy otworzyły się drzwi, a moi goście weszli do środka.

Poczułem, bardziej niż zobaczyłem, że jeden z nich klęka obok mnie.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Oczywiście. Leżę na podłodze we własnych sikach i gównie, dwa razy umarłem i nie mam nawet tyle siły, co pacjent po heinemedinie, ale na pewno powinienem pocieszyć mego wystraszonego ratownika. Mój mózg podpowiadał: „skiiń głową”. Nie wiem, co zrobiła moja głowa, ale chyba się poruszyła.

Mężczyzna, który dla mnie wciąż pozostawał ciemną plamą, pochylił się i z ulgą w głosie powiedział:

— Poczekaj, aż zobaczysz mój rachunek.

Jeszcze nic nie widziałem. Przed oczami miałem tylko zbiorowisko niewyraźnych świateł. Każda próba powiedzenia czegokolwiek powodowała zwrócenie rurki, którą miałem w gardle. Słyszałem ich głosy, ale wydawały się dalekie, a po chwili zanikały i pojawiały się na nowo, jak źle nastawione radio. W tle słyszałem stały odgłos jadącego szybko pojazdu.

Wciąż ledwie mogłem się poruszyć, ale musiałem usunąć z gardła tę nieszczęsną rurkę. Sprawiała, że bez przerwy chciało mi się kaszleć albo wymiotować. Spróbowałem poruszyć ramieniem. Z trudnością uniosłem dłoń do twarzy, ująłem w palce rurkę i pociągnąłem. Ten, kto mnie intubował, nie napełnił woreczka utrzymującego rurkę w jednym miejscu. Wyciągnąłem ją z łatwością, kaszlałem i plułem, ale natychmiast poczułem się lepiej.

Ktoś podtrzymywał mnie, kiedy próbowałem przewrócić się na bok i oczyścić jamę ustną. Usłyszałam głos Douga.

— Powoli, Earl!

— Co się stało z Jones? — udało mi się wychrypieć, kiedy złapałem oddech.

Nie odpowiedział od razu.

— To ta kobieta, która leżała obok ciebie? — zapytał po chwili.

305

— Tak — odparłem i uświadomiłem sobie, że on nie znał jej nazwiska.

Zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

— Ona nie żyje, Earl!

W pierwszej chwili nie czułem nic... ani ulgi, ani triumfu. Nawet nie dotarło do mnie, że już po wszystkim. Zdziałało, pomyślałem bez emocji. Chwycenie jej za ręce podziałało. Przyjąłem tę wiadomość beznamietnie, jak lekarz wynik zabiegu. Potem naszło mnie okropne uczucie pustki, przerażające, chore uczucie, że coś jest nieodwracalne, ostateczne. Poczulem się martwy w środku.

Rozdział 17

Kiedy ponownie otworzyłem oczy, widziałem znacznie lepiej. Arnie prowadził zarekwirowaną karetkę na światłach i syrenie. Ja próbowałem utrzymać się na podskakujących noszach. Odzyskałem głos na tyle, by zadać Dougowi kilka pytań, zanim dojedziemy do Buffalo.

— Co was sprowadziło?

— Nie zadzwoniłeś.

— Gadasz zupełnie jak moja matka — zażartowałem, by ukryć roztrzęsienie.

Arnie krzyknął z radości, kiedy kolejna kolumna samochodów posłusznie zjechała mu z drogi.

Doug powiedział mi, że kiedy nie zatelefonowałem, zawiadomili przez radio gliniarzy. Potem on i jego chłopcy przejechali przez autostradę i ustawili ciężarówki na drodze, odcinając odwrót oprychom Jones w karetce. Nie zdążyli nawet włączyć silnika, kiedy zorientowali się, że ich zablokowano. Widok ludzi Douga, wysiadających z półciężarówek, uzbrojonych w łomy, młotki i strzelby myśliwskie, podziałał jeszcze lepiej. Obaj mężczyźni wysiedli z karetki z podniesionymi rękoma. Doug związał ich bandażami, wrzucił na tył samochodu i pobiegł mnie szukać.

— Weszliśmy do domu. Nie było nikogo prócz ciebie i tej kobiety. Wystraszyłem się na dobre, kiedy zobaczyłem was

rozciągniętych na podłodze. — Zamilkł na chwilę, a potem dodał, z trudem znajdując słowa na opisanie tej sceny: — Miałeś przyczepione to coś do monitorowania, a w gardle rurkę. Myślałem, że przyszliśmy za późno.

Byłem zdziwiony, ale zaczynałem rozumieć, co się stało.

— Więc to nie ty mnie poraziłeś ponownie?

— Ja? Nigdy w życiu. Na ekranie był taki sygnał, jaki czasem widać w telewizji. Wiedziałem, że wszystko jest dobrze, ale i tak nie chcieliśmy ryzykować i czekać na przyjazd glin. Dlatego wsadziliśmy cię z Arniem do karetki. Inni zostali z Normem, żeby pilnować oprychów.

Widocznie ten starszy człowiek o znajomym głosie wrócił do mojej chaty i mnie uratował. Wciąż zastanawiałem się, dlaczego to zrobił, kiedy ponownie zacząłem tracić przytomność.

Gdy się obudziłem, Janet trzymała mnie w ramionach.

— Ty głuptasie! — krzyknęła i wybuchła płaczem. Mocno mnie ścisnęła, a potem znów zemdląłem.

Przez następne kilka dni wciąż odzyskiwałem i traciłem przytomność. Sporo spałem. Podłączyli mnie do sprzętu, jaki mieli na intensywnej terapii. Potem poszli pożyczać inne urządzenia, których nie było na stanie, tak dla pewności. Kiedy skończyli, wyglądałem jak tablica do rzutków. Nie musieli się tak wysilać, bo Janet najlepiej monitorowała mój stan. Była ze mną zawsze, kiedy się budziłem, spoglądała na każdy ekran, odczytywała każdy wydruk.

— Potrzymasz mnie za rękę?

— Oczywiście.

— Pomasujesz mi głowę?

— Nie przeciągaj struny, głuptasie!

Na intensywnej terapii nie było okien. Ranki wyznaczało przyjscie personelu z wysuszonym jajkiem na tacy, a wieczór poznawałem po tym, że przestawali mnie kłuć i sprawdzać wydruki.

Wiedziałem, że muszę się czuć znacznie lepiej, kiedy po przebudzeniu krzesło, na

którym dotąd zawsze siedziała Janet, było puste.

Zezując na nos, zauważyłem w nim rurkę. Łatwiej było mi dojrzeć cewniki wkłute w obojczyk i oba ramiona. Do mojego prawego przegubu była podłączona kroplówka z rurką, która umożliwiała natychmiastowy dostęp do żyły. Czułem się jak beczułka z kranikiem.

Najbardziej poniżający był widok woreczka, do którego spływał mój mocz.

Stewart Deloram, ordynator na oddziale intensywnej terapii, miał mnie pod całkowitą opieką. Podeszedł do mego łóżka i huknął:

— Jak się dziś ma nasz pan ordynator?

To nie było zwykłe pytanie. On upajał się sytuacją. Ja na łóżku, a on się mną opiekuje.

— Deloram, jesteś chorym, sadystycznym sukinsynem w stanie najwyższego pobudzenia!

— Och, siostró, czy doktor Garnet wykazywał już podobne objawy paranoi lub psychozy szpitalnej?

— Ty jesteś tu jedynym psychopata. Połowa tych gówien nie jest mi wcale potrzebna.

— Czy to pańska diagnoza, panie ordynatorze, czy po prostu takie narzekanie oznacza, że czuje się pan znacznie lepiej?

— Poza ciągłą sennością chyba nic mi nie dolega.

— Szczerze mówiąc, mnie też się tak zdaje.

— Więc może powinniście odczepić ode mnie połowę tego sprzętu? — powiedziałem i machnąłem ręką na podłączone do mnie rurki. Butelki i woreczki na ich końcach zaszeleściły głośno. Dzwonki i brzęczki wszystkich urządzeń się rozdzwoniły. Kilka pielęgniarek podbiegło do mego łóżka.

Deloram skinął na nie.

— On tylko macha rękoma. Nic się nie stało. Wracajcie do pracy. — Odwrócił się do mnie. — Nie rób hałasu bez powodu, bo jeśli coś się naprawdę stanie, nikt nie przybiegnie ci na pomoc.

— Skąd wiesz, że potrzebuję waszej pomocy?

Wydął wargi, a potem zrobił coś, co mnie przeraziło. Spoważniał.

— Nie wiemy. Jeszcze nikt nie robił badań na temat zatrzymywania akcji serca i przywracania jej po pewnym czasie.

— Jest jakieś uszkodzenie?

— Nic, co moglibyśmy zmierzyć.

— Sądzisz, że to wpłynie na mój tryb życia?

— Jak już mówiłem, nie mamy na ten temat danych. Robiono kilka badań na psach, które uśmiercano i przywracano do życia. Im się udało, to znaczy dożyły sędziwego wieku, jak na psa, dwunastu lat.

Jego poczucie humoru mnie nie bawiło. Widocznie wyraz mojej twarzy zdradził, że poczułem wewnętrzny chłód, bo położył mi dłoń na ramieniu i powiedział łagodnie:

— Posłuchaj, Earl, to, przez co przeszedłeś, jest najdziwniejszą rzeczą, jaką do tej pory widziałem. Ci degeneraci utrzymywali cię przy życiu w bardzo profesjonalny sposób, kiedy się z tobą bawili. Przynajmniej byli kompetentni. To straszne, ale takie potwory z doskonałymi umiejętnościami są jeszcze bardziej groźne.

Przez chwilę nie widziałem Delorama. Za to ujrzałem oczy starszego mężczyzny, który powtarzał, że mu przykro.

— Czy coś wiedzą o tym czwartym mężczyźnie?

— Zdaje się, że gliny go aresztowały, kiedy wychodził z lasu jakieś czterdzieści kilometrów na południe od twojej chaty. Nie musisz się go obawiać. To już koniec.

Nie mogłem się z nim zgodzić. Miałem wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

— A propos — ciągnął Deloram — jakiś ważny detektyw się tobą interesuje. Przychodzi tu regularnie od dwóch dni i pyta, czy jesteś w stanie z nim porozmawiać. Powiedziałem mu, że przecież się nigdzie nie wybierasz, a teraz potrzebujesz odpoczynku, i kazałem wypisać ci mandat za złe parkowanie, kiedy będzie na ciebie czekał.

To był Riley.

— Następnym razem go wpuść.

— Jesteś pewien?

— Gdzie jest Janet?

— Śpi. — Chyba miałem bardzo zasmuconą minę, bo dodał: — Hej, daj swojemu aniołowi stróżowi i nam wszystkim trochę odpocząć. Siedziała tu cały czas od twojego przyjazdu. Dwadzieścia cztery godziny zajęło jej upewnienie się, czy twoja cenna osoba jest z nami bezpieczna, aż w końcu zgodziła się zdrzemnąć. Jest w pokoju stażystów. Po wejściu tam zastanawiała się, czy od czasu, kiedy pracowała u nas dziesięć lat temu, ktoś zmieniał pościel w tym pomieszczeniu. Niech sobie odpocznie.

— Więc to już drugi dzień?

— Mniej więcej.

— Mniej czy więcej?

— Niestety, synu, to ściśle tajne.

— Cholera by cię wzięła z takimi żartami. Powiedz mi lepiej, kiedy stąd wyjdę.

Podniósł się z łóżka, na którym od pewnego czasu siedział, podszedł do kotary, odsunął ją i oświadczył:

— Niedługo, synu, niedługo... a może wcale — dodał i oddalił się z uśmiechem szaleńca na twarzy.

— Siostró Mandy, sądzę, że trzeba doktorowi Garnetowi zmienić cewnik — usłyszałem jego słowa wypowiedziane w pokoju pielęgniarek.

Potem do moich uszu dobiegł chichot i po chwili siostra Mandy, która często pozowała do zdjęć w reklamach strojów kąpielowych w „Dzienniku Buffalo”, przybiegła za zasłonkę, by wykonać swoje obowiązki. Deloram zaś nacisnął jakiś guzik, bo nagle rozdzwoniły się dzwonki i zawyły wszystkie alarmy w przymocowanym do mnie sprzęcie.

— Jesteś chory, Deloram! Chory! — krzyczałem, słysząc głośny śmiech za zasłonką. Siostra Mandy na szczęście nie przerwała swoich czynności.

Doszedłem do wniosku, że mój pobyt w królestwie Delorama zakończy się, kiedy ordynator się mną znudzi albo kiedy uda mi się wytrzymać bez snu dłużej niż godzinę. Pierwsze nastąpiło dość szybko. Drugie okazało się trudniejsze.

Po kolejnym przebudzeniu się zobaczyłem Janet siedzącą na krześle. Wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechnęła się do mnie.

— Witam — powiedziała cicho.

— Cześć.

Z radością przyglądałem jej się przez kilka minut. Ucieszyła się, że już jestem przytomny, i dotknęła mojej dłoni. Czuję się cudownie.

— Bałem się, że będziesz mi znów próbowała zmyć głowę — szepnąłem.

— Najpierw musiałbyś mieć jakąś głowę — odparła dowcipnie.

— A więc jednak będziesz mi robiła wyrzuty.

— Na razie poczekam, aż cię tu trochę podtuczą.

— Co z Muffy?

— Ma się lepiej niż ty. Przenieśli ją z intensywnej terapii. Przez chwilę czułem się dziwnie z powodu krępującej ciszy.

— Nic jej nie będzie. Pewnie w przyszłym tygodniu wypiszą ją do domu — dodała po chwili.

— A co z naszym domem? — Nie była to ekscytująca rozmowa, ale jakakolwiek wymiana zdań jest lepsza niż chłodne milczenie.

Niestety Janet postanowiła być chłodna.

— Powiem ci tylko — zaczęła mroźnie — że żona Douga była równie mocno jak ja zachwycona doskonałym pomysłem eskapady w góry. Teraz, kiedy już pozwoliła mi wychodzić z domu, praca idzie całkiem dobrze. — Przerwała, a potem powiedziała znacznie pogodniej: — Wygląda naprawdę ładnie.

— Zdaje się, że tobie przydałoby się trochę mojego snu.

!— Nie pozwala mi na to dwóch mężczyzn. Przez jednego nie mogę zasnąć ze zmartwienia, a drugi budzi mnie kopniakiem, kiedy tylko zmruję oczy.

— Przykro mi, Janet. To był naprawdę głupi pomysł.

— No, tak. Postanawiasz wraz z naszym stolarzem bawić się w komandosów, nie mówiąc mi o niczym ani słowa, i sprowadzasz tę koszmarną wiedźmę do naszej chaty na wsi, i sądzisz, że żalodne: „Przykro mi, Janet” wszystko załatwi!

Jej podniesiony głos sprawił, że wokół zrobiło się cicho.

— Daj spokój, Janet, narobisz mi wstydu.

— Przeraziłeś mnie śmiertelnie, a teraz wstydzisz się, kiedy ci robię awanturę. — Wstała z krzesła, najwyraźniej ucieszona moim zażenowaniem. — Możesz tu sobie leżeć w ciszy i kontemplować swoje grzechy — oświadczyła głośno, a potem podeszła do rzędu monitorów, mrugnęła w moją stronę i zaczęła naciskać guziki. — Nie! Ani słowa — powiedziała, rozpuszczając włosy. — Ja sobie poczytam — oznajmiła w końcu tak, żeby wszyscy słyszeli.

Pochyliła się nade mną. Jej włosy przysłoniły mi twarz. Przez następne pół godziny w mojej części sali nie dał się słyszeć nawet najmniejszy szelest.

Tym razem przebudzenie nie było przyjemne. Na krześle naprzeciwko siedział skulony Bufort i wyglądał jak nadęta ropucha. Riley spacerował nerwowo w kółko przed zasłonką.

Nie byłem pewien, która jest godzina, ale na mojej tacy pojawiło się coś przypominającego wysuszone jajko, więc wydawało mi się, że to rano rozpoczynający trzeci dzień mojego pobytu w szpitalu.

Bufort nie czekał, aż się całkowicie obudzę.

— Doktorze Gamet, czy wie pan, co grozi za udawanie oficera policji?

— Nie, detektywie. Czyżby ktoś groził, że zastąpi pana w pracy?

— Co?

— Niech się pan nie martwi. To się nie uda! Na pewno okaże się zbyt kompetentny!

Mój sprzęt znów pikał. Janet pewnie włączyła go przed wyjściem. Bufort był taki wściekły, że oczy wychodziły mu z orbit. Riley stał jak słup soli.

— Tak, nadęty dupku, głupi, zapatrzony w siebie pozerze. Zostawiłeś mnie na łaskę losu seryjnego zabójcy, zupełnego maniaka. Gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, pewnie bym już nie żył, a ty pokiwałbyś głową z ubolewaniem i twierdził, że to zawał z powodu zbyt silnego stresu.

— To całkowicie...

— To całkowicie prawdziwe i dobrze o tym wiesz! Jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie nachodzić, złożę na ciebie skargę, po której skończysz jako krawężnik i będziesz wypisywać mandaty!

Kilka pielęgniarek weszło za zasłonę i zajęło się badaniem mego rosnącego ciśnienia i przyspieszonego tętna.

— Panowie, proszę wyjść — powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem siostra Mandy. Siłą niemalże podniosła Bufor-ta z krzesła i pokazała mu drzwi.

Riley mrugnął do mnie i podreptał za swoim szefem.

Popołudnie ciągnęło się nieznośnie. Popovitch i Sylvia Green wstąpili na chwilę, by życzyć mi szybkiego powrotu do zdrowia. Chwilę później przyszedł Hurst. Był w dość ponurym nastroju. Stanął tuż przy zasłonie i wybełkotał coś o udostępnieniu stu łóżek dla pacjentów. Chyba doszedł do wniosku, że nie wygra bitwy z kimś, kto sam przykuty jest do łóżka

Spałem jeszcze trochę, aż w końcu ktoś delikatnie dotknął mego ramienia. To był Riley.

— Witaj, doktorze — powiedział cicho. — Doktor Deloram powiadomił mnie, że chce pan ze mną porozmawiać.

Przysunął bliżej krzesło i nerwowo spoglądał za zasłonę. Pewnie wślizgnął się tu niezauważony i bał się, że siostra Mandy znów go wyrzuci.

— Tak — odparłem ospale.

Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Riley zaczął mówić.

— Nie podobało mi się to, co zrobił dziś ten idiota, mój szef, niestety nic nie mogłem na to poradzić. — Uśmiechnął się. — Ale mu pan dał popalić!

Obdarzyłem go uśmiechem, usłyszawszy pochwałę, a potem postanowiłem zapytać go o kilka spraw.

— Mam sporo pytań w związku z tym, co się wydarzyło. Jones nie żyje, lecz czy uda się wam w tej sytuacji udowodnić winę jej goryli? Przeraza mnie myśl, że mogliby wyjść na wolność. Kim był człowiek, który mnie uratował? Po tych

314

wszystkich morderstwach, w które był wplątany, dlaczego chciał mnie ocalić? — Byłem wyspany i pytania same pchały mi się na usta.

Riley pochylił się w moją stronę.

— Po pierwsze — zaczął — człowiek, który pana uratował, będzie zeznawał przeciwko pielęgniarzom w zamian za zmniejszenie wyroku. Nie musi się pan ich obawiać. Zdaje się, że pracowali dla mafii i związków, zanim zaczęli jeździć karetką. Jones zetknęła się z nimi na początku ich pracy w pogotowiu. Wiedzą już, że mamy świadka, więc prawnik doradził im współpracę. Niedługo będą mówić, chociaż nic im nie obiecaliśmy. Utrzymują, że sami nikogo nie zabili, lecz przyznają się do tego, że pracowali z Jones już trzy lata. Do jej badań porywali bezdomnych z ulicy, a potem porzucali ich ciała w całym mieście.

Trzy lata. To dłużej, niż sądziłem.

— Wykonywali też inną brudną robotę — dodał Riley. — Próbowali pana przejechać, pomogli zdemolować pana dom i załatwić Watta. Obok domu jednego z nich znaleźliśmy dobermana w klatce. Powiedzieli, że robili to dla pieniędzy. Jones im płaciła, ale mam dziwne uczucie, że oni po prostu lubią patrzeć, jak ludzie cierpią, i pewnie zrobiliby to nawet za darmo. Jeden z nich powiedział mi, że pani doktor naprawdę lubiła z nimi przebywać.

Zrelacjonował żalną historię Jones z całym cynizmem, jakiego spodziewałem się po gliniarzu. Ale nie mogłem spokojnie słuchać o tym, co utrzymywała w tajemnicy przez trzy lata.

— Kilka trupów bezdomnych zostało ekshumowanych. Mają wyraźne ślady po wkłuciu igły. A propos, dlaczego właściwie tak się bała tych pana danych?

Usiadłem.

— Te statystyki wykazywały tylko dwanaście miesięcy jej działalności, ale zawierały dość danych, by sprawa wyszła na jaw, jeśli oczywiście wiedziało się, na co zwrócić uwagę. Okazało się, że ciała bezdomnych zwożono rano, po nocy, na której nie miała dyżuru. Żeby to ująć bardziej okrutnie, kiedy nie siedziała na oddziale, mogła sobie swobodnie zabijać. Na pewno w innych szpitalach ciała pojawiały się z taką samą

315

regularnością. Najpierw popełniłem błąd, szukając lekarza, na którego dyżurach było wiele takich przypadków, a potem zrozumiałem, że to nie ma sensu, bo nie zabijano ich u nas na oddziale. Na jej winę wskazywał fakt, że nie przyjęła ani jednego takiego pacjenta podczas dyżurów. Gdyby to sprawdzić w innych szpitalach, tylko przy jej nazwisku nie byłoby bezdomnych pacjentów. Nie wiem, czy zawsze korzystała z

prosektorium Wattsa, zabijając tych ludzi, czy może czasem robiła to w karetce. Jeśli tak, musi być jakieś powiązanie z nocami, w których miała dyżury w pogotowiu, pracując przy projekcie badań kardiologicznych. Riley wyciągnął notes.

— Czy mógłbym dostać kopię tych danych?

— Oczywiście, niech się pan skontaktuje z moją sekretarką. Potem przypomniały mi się słowa Jones, wypowiedziane

w chacie. „Takie ryzyko, tyle pracy... nie mogłam pozwolić, żeby to wszystko poszło na marne”.

— O mój Boże! — wykrzyknąłem, zrozumiałwszy nagle rzecz oczywistą. — Morderstwa dotyczące badań nad torsade de pointes były tylko częścią jej pracy. Mordowała ludzi dalej, badając wpływ leku na częstoskurcz komorowy i migotanie komór.

Riley się zdziwił. Przez chwilę wyjaśniałem mu terminologię. Kiedy skończyłem, milczał przez pewien czas, a potem Sięgnął do aktówki i podał mi teczkę.

— Czy o to chodzi? — zapytał. — Znaleźliśmy to w jej mieszkaniu.

Otworzyłem teczkę i rozpoznałem pismo Jones. To był plan zabiegów, które miała zamiar przeprowadzić w fazie drugiej badań kardiologicznych. Oczywiście nigdy nie miała zamiaru zaprezentować tych danych komisji etycznej.

— Mój Boże — powiedziałem znowu i oddałem teczkę Riley owi.

— Miała zamiar w dalszym ciągu zabijać, prawda? — zapytał.

— Chyba nawet już zaczęła — odparłem.

— Co?

— Prowadziła badania nad tym — powiedziałem, wskazując

316

teczkę — czy zastosowanie siarczanu magnezu okaże się przełomowym sposobem niedopuszczenia do śmiertelnych arytmii serca. Miała zamiar podać pacjentowi siarczan magnezu, a potem erytromycynę i terfenadinę lub potraktować go prądem, tak jak mnie. Chciała w ten sposób sprawdzić, czy pacjent będzie bardziej odporny na powstanie arytmii po zastosowaniu jej leku.

— Wydawało mi się, że połączenie takich leków wywołuje torsade de coëtam, a to zbyt rzadka arytmia, by badania nad nią prowadziły do sławy.

— Torsade de pointes to rodzaj częstoskurczu komorowego. Niedopuszczenie do jego powstania mogłoby jej pomóc znaleźć sposób na uniknięcie częstoskurczu i migotania komór. Chyba już udało jej się znaleźć coś nowego za pomocą starych technik, bo coraz więcej martwych bezdomnych przywożono do szpitala. Mimo że zakończyła badania nad torsade de pointes, Watts znalazł terfenadinę i erytromycynę w ostatnim trupie. — Przerwałem i zamyśliłem się nad losem biedaka, który musiał bardzo się bać przed śmiercią. Potem popukałem w straszne dane, które wciąż trzymał Riley. — Najwyraźniej rozpoczęła już drugą fazę.

— Chryste! — zawołał Riley, wkładając teczkę do aktówki. Już myślałem, że ją zamknie, ale on się zawahał i wyjął ze środka niewielką kasetę. Zauważyłem, że napięły mu się mięśnie szczęki, kiedy na nią patrzył.

— Doktorze, zapytał pan o czwartego człowieka, tego, który pana uratował. Nie miałem zamiaru na razie pana na to narażać, ale już chyba czuje się pan lepiej, więc chciałbym, żeby pan posłuchał fragmentu przesłuchania.

— Oczywiście, lecz dlaczego powinienem czuć się dobrze, żeby tego słuchać?

— Bo znów pan będzie przez to wszystko przechodził, tylko że z innego punktu widzenia. Poza tym jest tam kilka oskarżeń dotyczących pana.

— Co to znaczy?

— Najpierw powiem panu, kto pana uratował. Nazywa się Vito Manley, ale to pewnie panu nic nie mówi. Najważniejsze, że on jest inny od dwóch pozostałych. Tak jak oni pracował

317

w pogotowiu, ale przeniesiono go do centrali jakieś cztery lata temu. Kilka miesięcy później Jones pojawiła się w pogotowiu i zaczęła jeździć karetką, uczestnicząc w programie badań. Zauważył, że upodobała sobie jego dawnych kolegów, a później zrozumiał, że to z powodu ich przydatności do jej celów.

— Jak on się w to wplątał?

— Niech pan sam posłucha. Mamy całe przesłuchanie na wideo, lecz dodatkowo nagrałem na kasetę fragmenty, bo chciałem, żeby pan to usłyszał. — Nacisnął guzik. Mimo pogłosu rozchodzącego się po pustym pokoju, rozpoznałem głos mężczyzny, który uratował mi życie i powtarzał wciąż: „Bardzo przepraszam”.

— Dali mi kilka tysięcy, bym kierował wszystkie zgłoszenia o bezdomnych do niej i nie zapisywał tego nigdzie. Cholera, myślałem, że to zwykłe machlojki... że ona po

prostu dopisuje sobie kolejne przypadki, żeby dostać więcej forsy. Wydawało mi się to niegroźne, przynajmniej dla mnie. Tak było do zeszłego roku, kiedy ktoś zaczął ją szantażować. Wtedy powiedzieli mi, o co naprawdę chodzi. Zagroziła, że pociągnie mnie za sobą, jeśli nie pomogę jej znaleźć szantażysty.

Mówił pospiesznie, jakby miał nagłą potrzebę wyrzucenia wszystkiego z siebie.

Riley pochylił się i wyłączył magnetofon.

— Wiedział pan o tym szantażyście? — zapytał.

— Nie! — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Więc następna część przesłuchania będzie dla pana bardzo nieprzyjemna — ostrzegł i włączył taśmę.

Po kilku sekundach hałasu rozległ się głos mężczyzny.

— Na początku miałem się tylko dowiedzieć, kto ją szantażuje. Po zabiciu Kingsly'ego ten ktoś wyciągnął z niej wielkie pieniądze, sądząc pewnie, że i tak niedługo ją złapią i dopływ gotówki się skończy. Ponieważ Garnet tak na nią naciskał, znalazł igłę, zorientował się, że bezdomny został zamordowany, więc przez jakiś czas myślała, że to on. Dostawała szału na samą myśl, że udaje wielkiego zbawcę ludzkości, a jednocześnie wyciąga od niej forszę. Nie chciała go jednak zabijać, dopóki się nie upewni. Pierwszej nocy jej oprychy napuściły na niego psy. To było ostrzeżenie, żeby dał sobie spokój. — Mężczyzna

318

odchrząknął i mówił dalej: —Następnej nocy ci dwaj pojechali za Garnetem w góry. Mieli ukraść dane z firmy ubezpieczeniowej. Bała się, że doktorek przygotowuje zestawienia i odkryje jej powiązania z trupami bezdomnych. Sądziła, że jeśli on ją szantażuje, to będzie jego ubezpieczenie na wypadek śmierci, czy coś w tym stylu. Gdyby znalazła takie zestawienie, wiedziałaby na pewno, że to on, i mogłaby go wreszcie zabić. Jego pies wystraszył tych facetów, zanim zdobyli to, po co przyszli. Ona sama próbowała włamać się do biura nad ranem, ale nic nie znalazła. Kiedy zapytał, czy używano igły dosercowej do ćwiczeń na bezdomnych, nabrała pewności, że to on. Pomyślała, że bawi się z nią, żeby wyciągnąć więcej forsy. Zadzwoiła do oprychów i kazała im przejechać go samochodem. To była chyba bardziej zemsta niż próba pozbycia się tego lekarza. Ponieważ to nie podziałało, dołączyła do facetów przeszukujących jego dom, kiedy on siedział z psem u weterynarza. Ale się wściekła, gdy nie znalazła tych danych.

Riley zatrzymał taśmę.

— Czy to ma dla pana jakiś sens, doktorze? A może facet zmyśla, żeby się z nami ułożyć?

Miałem sucho w ustach. Nie mogłem przełykać.

— Ona myślała, że ja ją szantażuję? — udało mi się w końcu wychrypieć.

— Na początku tak.

— Co znaczy na początku?

— Proszę posłuchać dalej, ale najpierw niech mi pan powie, czy to, co powiedział do tej pory, się zgadza.

Wydarzenia opisane przed chwilą przebiegły mi przez głowę we fragmentach, jak urywki z filmu. Były znajome, lecz opowiedziane z innej perspektywy.

— Chyba tak — powiedziałem niepewnie. Potem coś mi się przypomniało. — Mówił, że podwiózł mnie do szpitala. To stąd go pamiętam. To ten starszy sanitariusz! Dobry Boże, to on próbował mnie przejechać?

Zamiast odpowiedzi Riley puścił taśmę. Kiedy usłyszałem głos detektywa, miałem wrażenie, że to echo moich własnych słów.

319

— Czy to pan próbował przejechać doktora Gameta i jego psa?

— O nie! To byli ci dwaj. Ja tylko miałem być w pobliżu. Jak już mówiłem, cała akcja została przygotowana w ciągu dwudziestu minut. Powiedziała, że sama zajmie się szantażystą. Musiałem uważać, bo mój partner nie miał z tym nic wspólnego.

— Nie miał pan go wykończyć?

— Nie!

— Niech pan będzie szczery. Co pan miał z nim zrobić?

— Gdyby nic mu się nie stało, miałem dopilnować, żeby przywieziono go do szpitala na badania. Miało go przez jakiś czas nie być w domu, żeby oni mogli wszystko przeszukać.

— A gdyby coś mu się stało?

Usłyszałem szuranie, jakby ktoś przesuwiał nogami pod stołem.

— Gdyby on był poważnie ranny, miałem go dobić, ale tak, żeby to wyglądało na

wypadek. No wie pan, czasem spadnie głowa albo rurka się zablokuje. Takie rzeczy się zdarzają. — Znów szuranie. — No, przecież tego nie zrobiłem!

— Tylko dlatego, że nie był umierający i sprawa mogłaby się wydać.

— Nie, nie mogłem tego zrobić! — Po chwili dodał cicho: — Dopiero później się o tym przekonałem.

Riley znów zatrzymał taśmę. Byłem wściekły.

— Pewnie uratował mi życie tylko po to, żeby pójść z wami na układy, kiedy zobaczył, że Jones nie żyje.

— Może. Tak czy siak, odsiedzi swoje. Ale niech pan nie sądzi, że on tak jak inni po prostu lubił zabijać.

— Powiedział pan, że jeszcze coś jest na taśmie... o szantażystcie.

— Tak, kawałek dalej — odparł i włączył taśmę w połowie następnego pytania.

— ...Garnet jest szantażystą?

— Nie! Zadzwoiła do mnie w niedzielę wieczorem i powiedziała, że zajęła się prawdziwym szantażystą i że to jednak nie był Garnet. Ale stwierdziła, że on i tak nam dalej zagraża, bo nie uwierzył, że Kingsly i bezdomny zostali zabici przez

320

stukniętego psychiatrę, który rzucił się z dachu. Była pewna, że się nie domyślił, iż to ona, bo już dawno poszedłby z tym do glin i kazał ją aresztować. Postanowiła działać szybko i powstrzymać go, zanim będzie za późno. To miało wyglądać jak zawał serca. Powiedziała, że wtedy będziemy już bezpieczni. Riley wyłączył magnetofon i odwrócił się, by włożyć go do torby.

— Czy pan wie, kto mógł szantażować Jones?

— Nie, a Vito... jak on miał na nazwisko... wiedział kto to?

— Manley. Nie, mówił, że Jones mu nie powiedziała. Pozostali dwaj też nie wiedzą.

— Naprawdę pan sądził, że to ja? Riley wyglądał na zażenowanego.

— To on o panu wspomniał, a ja musiałem zapytać. Chciałem tylko usłyszeć, czy ten facet nie próbuje mnie nabrać, żeby złagodzić wyrok. Obawiałem się też, że szantażysta może być w to wszystko zamieszany i dalej jest na wolności. Okazało się jednak, że współwinne były tylko cztery osoby. Jedna nie żyje, a reszta jest w

areszcie. Po raz pierwszy zgadzam się z moim szefem. Sprawa jest zamknięta.

Tego wieczoru na pół godziny posadzono mnie na krześle. Przyszła Carole i zagoniłaby mnie do pracy, gdyby siostra Mandy nie wyrzuciła jej z oddziału. Nim wyszła, usiadła jeszcze na chwilę na brzegu łóżka, pochyliła się i zaczęła pocierać dłonie. Czekałem. Wciąż nie podnosząc wzroku, powiedziała:

— Policja oddała rzeczy z szafki Jones. Nie były im już potrzebne. — Sięgnęła do kieszeni swetra i podała mi kopertę. — Pomyślałam, że powinnam ci to oddać.

Otworzyłem i wysypałem zawartość. Carole wciąż z uporem patrzyła na własne dłonie. W środku był wycinek z gazety, fotografia sprzed wielu lat, przedstawiająca mnie i Janet ubranych w stroje wieczorowe, na corocznym balu w szpitalu.

Uśmiechaliśmy się uprzejmie. Zwykle najlepiej bawiliśmy się wieczorem przed wyjściem, w czasie ubierania się. Janet skręcała się ze śmiechu, kiedy wbijałem się w smoking. Tego rodzaju uroczystości nie były naszą ulubioną rozrywką.

321

Do zdjęcia przypięte było nieprzerwane zaproszenie na bal. Najpierw spojrzałem zdziwiony na Carole, ale sądząc po jej nerwowym pocieraniu dłoni, to jednak było coś ważnego.

— Co to znaczy? — zapytałem zdziwiony.

Carole przestała pocierać dłonie, a potem spojrzała na mnie z uśmiechem, jakim obdarza się niemądre dzieci, kiedy czegoś nie rozumieją.

— Mówiąc o takiej kobiecie, nie użyłabym słowa „miłość”, ale na pewno się tobą interesowała. To było widać, no wiesz, takie drobiazgi. Kobiety zwykle pierwsze to zauważają: przyglądała ci się, kiedy nie widziałeś, ubierała się na zielono, chyba dla ciebie. Ale ty nawet tego nie zauważyłeś.

— Dlaczego mnie nie ostrzegłaś? — zapytałem zaskoczony tym, co usłyszałem.

*

Odchyliła głowę i zaśmiała się.

— Jestem twoją sekretarką, a nie matką. Poza tym po co miałam cię ostrzegać, i tak byś nic nie zrobił. Wszyscy wiedzieli.

— Co znaczy wszyscy?

— No, nie wszyscy. Kilka bardziej spostrzegawczych kobiet na oddziale zauważyło, co się święci.

Jezu Chryste! — pomyślałem. Mój największy błąd to negacja. Może to dlatego ostatnio tak wiele myślałem o jej pożyciu seksualnym, bo najwyraźniej kierowała uczucia ku innym facetom. Od lat udawałem sam przed sobą, że nie widzę, iż Jones okazuje mi względy.

Świetnie pamiętałem, co powiedziała do mnie w górskiej chacie. „Dobrze. Chcę, żebyś mnie nienawdził. Odbieram ci przecież twoje pieprzone poukładane życie człowieka z wyższych sfer”. Do końca życia będzie mi się to śniło.

Spojrzałem na niewykorzystane zaproszenie i stare zdjęcie, przedstawiające mnie i Janet w strojach wieczorowych.

— Wiesz — szepnęła Carole, pochylając się — wydaje mi się, że ona najbardziej nienawdziła tego. — Popukała palcem w fotografię, która przedstawiała esencję mego pieprzonego życia wśród wyższych sfer.

322

Kilka godzin później miałem odwiedzin, które najbardziej mnie zaskoczyły. Przyszedł Kradic.

Stał przy zasłonce, pociągając ją nerwowo, odchrząknął i przywitał się.

— Dzień dobry, doktorze Garnet.

!— Doktor Kradic — zauważyłem szczerze zdziwiony.

— Mogę z panem chwilę porozmawiać? Zachowywał się niepewnie, prawie z onieśmieleniem. Byłem

ciekaw, co chce mi powiedzieć. Cieszyłem się, że nie wie o moich wcześniejszych podejrzeniach, związanych z jego osobą.

— Oczywiście, proszę usiąść. Leżałem już, a on zajął krzesło Janet.

— Jak się pan czuje? — zapytał, próbując jakoś wybrnąć z niezręcznej dla niego sytuacji. Chciał jak najszybciej powiedzieć, z czym przyszedł.

— Dobrze — odparłem i czekałem.

Znów odchrząknął, wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

— Skoro Jones już nie ma, zastanawiałem się, czy nie przydzieliliby mi pan jej dyżurów nocnych.

Zaśmiałem się mimo woli. Kradic niezrażony ciągnął:

— Niech pan posłucha. Zdaję sobie sprawę, że to mało odpowiedni moment i że pan mnie raczej nie lubi, ale solidnie wykonuję swoją pracę. Wie pan dobrze, że na moich dyżurach pacjenci są bezpieczni. Któż inny miałby ją zastąpić?

Miał rację. Carole i pozostali zapewniali mnie, że bez Jones cały grafik się rozpadł, a przed nadchodzącymi świętami będzie jeszcze gorzej. Nikt nie chciał tego przyznać, lecz nawet zwiększona dawka Kradica byłaby bardziej do przyjęcia niż podwójne dyżury pozostałych osób i praca w święta.

Postanowiłem jednak, że nie pójdzie mu tak łatwo. Spojrzałem na niego, nie odpowiedział, i zastanawiałem się, jakie podać mu warunki.

— Skoro już jesteśmy szczerzy, doktorze Kradic, powiem panu, że cały oddział, wraz ze mną, ma już dość pana niegrzecznego zachowania w stosunku do kolegów lekarzy i pielęgniarek. Daję panu te dyżury na próbę, do świąt. Potem personel,

323

łącznie z pielęgniarkami i recepcjonistkami, zdecyduje, czy jeszcze w ogóle chcą tu pana oglądać.

Wyglądał na urażonego, ale nic nie powiedział.

— To pańska ostatnia szansa. Zdecydowałem się ją panu dać, bo uważam, że jest pan doskonałym lekarzem. Zaufałbym panu, gdyby chodziło o leczenie mnie i mojej rodziny, ale świetne umiejętności nie dają panu prawa do dezorganizowania pracy całego oddziału. To powinno pana mobilizować do pomocy innym, słabszym kolegom, a nie do ciągłego krytykowania ich.

Ten komplement go zaskoczył. Zaczerwienił się. Przełknął ślinę i zaczął mrugać.

Przyglądałem się, jak dochodzi do siebie.

— Dziękuję — powiedział tylko, ale wciąż patrzył na własne dłonie, a nie na mnie.

— Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego zaczął się pan ostatnio spóźniać. To jeden z naszych warunków.

Przestał sprawiać wrażenie zakłopotanego. Patrzyłem, jak się napina, a dłonie składają mu się w pięści.

— Moja żona się ze mną rozwiodła i pozwała mnie do sądu o odebranie praw rodzicielskich do moich dwóch synków — mówił ze złością. — Wziąłem kilka dodatkowych dyżurów w innych szpitalach, żeby zarobić na prawnika. — Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział łagodniejszym tonem: — Dodatkowe dyżury

pomogłyby mi finansowo, a dni miałbym wolne dla synów. — Wziął głęboki oddech, przełknął ślinę i dodał cicho: — Nie mogę stracić moich chłopców. Oni są dla mnie wszystkim.

Potem zawstydzony wstał i wyszedł. Zasypiając, martwiłem się o grafik dyżurów. To znak, że wszystko wracało do normy.

Rankiem, kiedy mnie wypisano, poszedłem prosto z intensywnej terapii na mój oddział na dyżur. Lekarze byli zaskoczeni, ale Janet okazała zrozumienie.

— Zabieraj się do roboty — powiedziała wieczorem poprzedniego dnia i uściśnęła mnie.

Susanne bezceremonialnie wręczyła mi kartę pacjenta.

324

_ Witamy z powrotem. Mamy nieprzytomnego z licznymi urazami Jest w sali A. Stażyści za chwilę go stracą. Pacjent uTM!-Ruszyliśmy w stronę V^{^*TM}Xt[^] sanne opowiedziała mi resztę po drodze. — Io skoczek. SanUariusze mówili, że rzucił się z jakichś dziesięciu, piętnastu metrów Sd[^] go zaleźli, był jeszcze przytomny, ale krzyczał, edv próbowali mu unieść nogi. —

Kiedy podszedłem do noszy, był już prawie martwy. Stażyści z chirurgii babrali się z nim przez godzinę i piętnaście minut i nie poprosili o specjalistyczną pomoc.

- Ciśnienie! - rzuciłem, wkładając rękawice. _ Sześćdziesiąt na zero - syknęła jedna z pielęgniarek nad -Iową pacjenta. - Mówiłam im już! - Spojrzała na dwóch młodych ludzi o dziecinnych twarzach, ubranych w zielone kitle. Nowi stażyści. Boże, dopomóż.

_ Cholera, ma wstrząs! - wrzasnąłem w ich stronę. - Co on tu jeszcze robi, do diabła? Powinien być od godziny na IrurgH- Odwróciłem się do Lisy, która stała najbliżej d,,w - Niebieski kod. - Potem zacząłem wyjaśniać stazys-ST - Panowie, mamy tu do czynienia z licznymi urazami i mrata przytomności. Potrzebna jest ekipa z urazówki. Nikt, nawe wy nie potrafi uratować mu życia bez ich pomocy. TTeraz spróbujmy przywrócić porządne uderzenia serca!

^dSi iJufptóniej wyszedłem na parking Ranek był pogodny. Pod butami chrzęściła mi cienka warstwa smegu. n?7v mnie szczypały, a para leciała z ust przy każdym wydechu.

?SSSlyi ^BufMo zaczynał0 się budzić do

^Śł godziny w pracy, a już problem z niedoświadczonym personelem. Ledwie

zdażyłem uratować życie tego pacjenta. ^Wydmuchnąłem w górę chmurę pary i uśmiechnąłem się. Wróciłem.

Epilog

Cztery miesiące później

Było wtorkowe popołudnie pod koniec marca. Po niedawnej zimie pozostały jedynie resztki lodu, piasku i błota, pokrywające drogi. Nawet słońcu o drugiej w południe przypomniało się, do czego służy. Było jeszcze za wcześnie na zdjęcie płaszcza, ale przynajmniej mogłem go rozpiąć. Kiedy stanąłem tyłem do wiatru, było mi dość ciepło.

Jechałem na północ od Buffalo. Po mojej lewej stronie rzeka Niagara biegła na spotkanie wodospadu. Kilka tygodni temu uwolniła się z krępujących więzów zimy i choć dzięki silnym wirom nigdy do końca nie zamarzała, w mieście jednak jej brzegi były jeszcze skute lodem.

Ciągle odkładałem tę podróż, lecz jego sekretarka powiedziała mi niedawno, że w ten weekend już wypływa na morze. Sprzedał dom. Odłączono mu telefon. Kiedy lody puściły, przeniósł się na jacht. Teraz wszystko było gotowe do drogi, a mnie nie pozostało wiele czasu.

Nad moją głową biegła linia wysokiego napięcia, a po prawej linia telefoniczna. W przeciwnym kierunku z hałasem toczył się stary pociąg. Wszyscy się gdzieś spieszyli.

Światło tańczyło na wodzie. Dzięki jego odbłaskom miało się wrażenie, iż woda jest czysta. Na znaku informacyjnym zauważyłem, że do Youngstown pozostało jakieś czterdzieści kilometrów. Tam był jego jacht.

327

Dziś rano Janet włożyła pościel do dzieciennego łóżeczka. Pozostały jeszcze trzy tygodnie, ale kiedy wpatrywałem się w małe prześcieradełko, wydawało mi się, że to już niedługo.

Oddział nagłych wypadków był teraz w znacznie lepszym stanie. Nie likwidowano już łóżek bez mej zgody, a ja zostałem szefem nowej komisji finansowej. Nie mieliśmy na początek zbyt wiele pieniędzy, ale i tak zlikwidowaliśmy „farmę” Arnolda i udało mi się uratować mój oddział przed kilkoma idiotycznymi pomysłami.

Kradic wciąż był nieznośny, ostatnio jednak zaczął uczyć stażystów. Jak na razie wszyscy byli za tym, żeby został.

Jacht Watta był tuż obok doku portowego. Po prawej widziałem otwarte wody

jeziora Ontario. Kiedy schodziłem w dół, zapach wodorostów i zdechłych ryb zaczął się nasilać. Kilka łodzi opierało się krzywo o drewniane szkielety.

Większość doków była jeszcze pusta. Jego jacht był jedyną dużą jednostką. W pobliżu nie było nikogo. Pewnie wszyscy siedzieli teraz w pracy, żeby zarobić na naprawy.

Na przystani było sporo pomostów. Kroki na drewnianych deskach i skrzypienie pomostu oznajmiły moje nadejście. Wiązał i układał liny na pokładzie, kiedy usłyszał hałas. Odwrócił się zaskoczony.

— Earl, co za niespodzianka — powiedział z uśmiechem. Zmusiłem się do odwzajemnienia uśmiechu.

— Przyszedłem się pożegnać, Robercie.

— Więc wejdź na pokład — zachęcił mnie z niekłamanym entuzjazmem i odrobiną ulgi.

Pomógł mi pokonać przestrzeń między podskakującym na fali jachtem i pomostem, a potem przeszedłem po stopniach w górę na lśniący pokład. Nie mogłem powstrzymać podniecenia na widok tego luksusu.

— Bardzo ładny — powiedziałem zupełnie szczerze.

— Siadaj — odparł, odprężył się i machnął w kierunku ekskluzywnych siedzeń.

Kiedy usiadłem, poczułem się jeszcze lepiej.

— Bardzo ładnie!

— Masz ochotę na drinka?

— Jasne.

328

— Czego się napijesz? — zapytał, podchodząc do barku na pokładzie.

— Poproszę black russian.

— Cóż to jest?

Poinstruowałem go, jak przyrządzić drinka, czym zajął się natychmiast.

Usiadłem wygodnie i spojrzałem na niego znad szklanki.

Był dość swobodnie ubrany. Na golf miał narzuconą kraciatą kurtkę. Wyglądał o

wiele lepiej niż kiedy go ostatnio widziałem w prosektorium. Nie odwiedził mnie po wypisaniu ze szpitala. Teraz srogi wzrok oznaczał, że stoi przed jakimś niezwykle trudnym problemem i przygotowuje się do jego rozwiązania.

Uniosłem szklankę, upiłem łyk płynu i cieszyłem się chłodnym smakiem. Zacząłem lubić black russian. Nadszedł czas na rozmowę.

— Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że wiem. Nie poruszył się nawet. Stał i patrzył na mnie.

— To Jones była tą twoją inwestycją. Wciąż stał w bezruchu.

— Policja zlekceważyła zeznanie jednego z ludzi Jones, który twierdził, że ktoś ją szantażował, aleja nie mogłem o tym zapomnieć. Te zeznania były bardzo logiczne i doskonale wyjaśniały wydarzenia z tamtego tygodnia. Rozwiały też moje wątpliwości związane z tobą. — Postawiłem szklankę na stole, nie spuszczać z niego oczu. — Pewnie jako pierwszy zwróciłeś uwagę na zwiększającą się liczbę zwłok ludzi bezdomnych. Zaciekawilo cię to. Przyjrzałeś się sprawie uważnie. W każdym razie na długo przed śmiercią Kingsly'ego wiedziałeś, co robi Jones.

Nie poruszył się. Jego wyraz twarzy się nie zmienił. Nawet nie odwrócił wzroku.

— Mogę tylko zgadywać, dlaczego to zrobiłeś. Oczywiście poza pieniędzmi. — Zawahałem się. Nie byłem pewien słuszności swojej teorii. — Zdaje się, że miało to coś wspólnego ze śmiercią twojej żony. To cię pewnie załamało. Pozostał nie tylko żal, ale i złość. Wydaje mi się, że byłeś rozczarowany zawodem, któremu poświęciłeś życie.

Zamrugął. Wyglądał, jakby się przestraszył.

329

— Przez lata uczyłeś nas zawodu, sam zawsze zwracałeś uwagę na szczegóły, a i tak nikt w porę nie zauważył choroby twojej żony. Kiedy zmarła, musiałeś czuć się zdradzony.

Zesztywniał.

— Ale to nie wystarczyło, żebyś odwrócił się od tego, :| czemu służyłeś przez większość życia. Musiał być jakiś inny powód, dla którego nie powstrzymałeś Jones i pozwalałeś jej zabijać, by móc ją potem szantażować. To musiał być bardzo ważny powód. — Przerwałem na chwilę. — Zanim tu przyjechałem, zajrzałem do kartoteki i wyjąłem kartę twojej żony.

Zaczął głośno dyszeć. Usta przybrały zacięty wygląd, ukazując zaciśnięte zęby.

Patrzył na mnie, a znajoma od lat twarz stała się nagle odrażająca.

Czekałem, aż się uspokoi.

— Znalazłem notatki na temat jej ostatniej wizyty u nas. Wszystko było jak najbardziej poprawne, choć niestety diagnoza oznaczała śmierć. Gdy uniosłem kartkę, zobaczyłem zapis z jej poprzedniej wizyty. Dowiedziałem się, że sześć miesięcy wcześniej pojawiła się na naszym oddziale, skarżąc się na ból brzucha. Notatkę sporządził stażysta. Opisał dość dokładnie, że od miesiąca skarżyła się na skurcze i niezbyt jelita. Badanie było dość pobieżne, a lekarz stwierdził obstrukcję. Pod tą diagnozą podpisała się doktor Valerie Jones.

Wciąż się nie ruszał.

— Gdyby wtedy zalecono dalsze badania, może odkryto by raka jelita grubego. Może dałoby się ją jeszcze uratować. A może gdyby Jones nie zapewniła jej, że to nie groźnego, twoja żona skorzystałaby z twojej rady. Nie wiadomo, z jakiego powodu milczała do czasu, kiedy było już za późno. Postanowiłeś więc pozwolić Jones zabijać przez rok, by potem wciąż ją dręczyć... karać ciągle za śmierć żony.

Nie zaprzeczył.

— Po zamordowaniu Kingsly 'ego naprawdę ją przycisnąłeś. Podawałeś mi dowody, dotyczące Kingsly'ego, a potem bezdomnych, wskazując jednocześnie mnie jako szantażystę. To dlatego zwlekałeś z podaniem policji informacji o znalezieniu w ciele bezdomnego śladu po wkłuciu igły. W ten sposób utrzymywałeś ją w ciągłym strachu i zmusiłeś do wypłacenia ci

330

sporej sumy, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Tylko że ona myślała, iż ja jestem tym szantażystą. Ostatnie żądanie wysłałeś jej chyba zaraz po śmierci Kingsly'ego. Może podrzuciłeś jej moją notatkę, w której prosiłem, byś sprawdził strupek w okolicy mostka na ciele bezdomnego? Coś musiało popchnąć Jones do postraszenia mnie psami tej samej nocy. Wykazów statystycznych nie widziała przecież aż do wtorku rano.

Wciąż na mnie patrzył. Upiłem jeszcze łyk black russian. On nawet nie tknął swego drinka.

— Kiedy próbowała mnie zabić, nazwała mnie twoim psem gończym. Nie zwróciłem wtedy na to uwagi, ze względu na okoliczności, w których to mówiła. Myślałem, że to wybuch złości, brednie. Pewnie nie sądziłeś, że sprowokujesz ją do próby zamordowania mnie. Wtedy kiedy próbowała mnie przejechać, Bufort

powiedział o tym na zebraniu. Byłeś naprawdę zaskoczony i przestraszony. To cię chyba trochę zmroziło. W kawiarni myślałeś o tym, żeby ją powstrzymać, ale ostatecznie i tak pozwoliłeś, by gra toczyła się dalej. Ja byłem przynętą, a ty nastawiłeś pułapkę.

Znów upiłem łyk. Zrobiło mi się cieplej. On obracał szklankę w dłoni.

— No i domyśliłem się, jak to zrobiłeś. Przed śmiercią Kingsly'ego wysyłałeś pocztą groźby do jej mieszkania, później jednak, by zaoszczędzić czas, na pewno wkładałeś je do jej przegródki na regale. Mogłeś je nadawać przez szpitalną pocztę albo nawet podrzucać sam. Nie wiedziała przecież, którego dnia nadeszły, a tym bardziej, kto je tam podrzucił. Wtedy zaczęła codziennie wybierać pocztę. Powinienem być o tym pomyśleć. Jej listy zwykle zasłaniały moją przegródkę.

Nie patrzył na mnie, ale gdzieś daleko na wodę. Słońce zaczynało świecić coraz słabiej. Potrzebowałem alkoholu, żeby się rozgrzać.

— Użyłeś sposobu, który Bufort opisał jako typowy dla szantażystów? Wysyłałeś listy z pogrózkami z różnych poczt w całym mieście, żeby cię nie mogła namierzyć? Na początku sądziłem, że tylko przypadkiem użyła ciebie jako przynęty, aby zwabić mnie, ale wydaje mi się, że po prostu schrzaniłeś sprawę. Tej niedzieli chyba nie czekałeś na porę, kiedy

331

w szpitalu segregują pocztę, żeby podrzucić jej swoje żądania. Wygłoszona przeze mnie na zebraniu tyrada o tym, że Fernan-dez nie był zabójcą, przekonała cię pewnie, że jestem bliski zdemaskowania jej, więc chciałeś jak najszybciej wyciągnąć resztę forsy, zanim ją wydam policji. Być może napisałeś jej nawet, że nie zgodziłem się z Bufortem i żądałem, by nie zamykano sprawy. Chciałeś, by myślała, że to mój sposób na szantaż. Ale Jones obserwowała regał na listy i zobaczyła, jak się tam zakradasz. Nic nie powiedział, lecz to nie miało znaczenia.

— Pewnie w końcu nie dostałeś tych pieniędzy. — Zamilkłem i czekałem, aż na mnie spojrzy.

Wyraz surowości zniknął z jego twarzy, a wzrok miał pusty. Patrzyłem, jak siedzi skulony na krześle, i poczułem obrzydzenie. Z łoskotem postawiłem szklankę na stole.

— Bardzo się starałeś, żeby mnie zabiła! — zawołałem. Podskoczył przestraszony.

Pochyliłem się nad nim. Miał otwarte usta. Przełykał ślinę z trudnością.

— Nie martw się J— powiedziałem przez zaciśnięte zęby, z twarzą tuż przy jego twarzy -' nie pójdę z tym do glin. Zrobię coś znacznie gorszego. Zostawię cię samemu sobie, a właściwie temu, co z ciebie zostało, żebyś oszalał z rozpacz. A to w końcu nastąpi. Sama świadomość tego, co zrobiłeś, stanie się dla ciebie więzieniem.

Spojrzał zdziwiony. Może się pomyliłem. Może potrafił sam sobie wybaczyć. Nie obchodziło mnie to już.

— Jeśli nawet to cię nie doprowadzi do szaleństwa, nie powiem o tym glinom, bo nic dobrego z tego nie wyniknie ani dla mnie, ani dla szpitala, ani dla nikogo innego. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Jestem lekarzem, a nie aniołem zemsty. Odzyskałem dawny spokój i tylko to się dla mnie liczy.

Stałem teraz nad nim. Wskazałem szklanke.

— Powinienem po tym przejść płukanie żołądka? Wciąż patrzył na krzesło, na którym przed chwilą siedziałem,

ale zdołał potrząsnąć głową. Uwierzyłem mu. Odszedłem.

Nie obejrzałem się za siebie aż do chwili, kiedy stanąłem przy moim samochodzie na parkingu. Nawet nie poruszył ręką.

332

Pełna szklanka wciąż stała obok niego na stoliku. Wpatrywał się w krzesło, na którym przed chwilą siedziałem.

Poczułem chłód. Myślałem, że jest moim przyjacielem. Może kiedyś nim był.

Słońce było już nisko. Słaba poświata oświetlała Watta, osprzęt i liny rozłożone na pokładzie jak jadowite węże. Wokół białego kadłuba jachtu, tańczącego na wodzie, rozchodziły się coraz większe koła, a wraz z nimi odpływały kawałki lodu, przypominające ostatnie okruchy życia.

Na rufie widniała nazwa. Kiedyś pomyślałbym, że symbolizuje jego inteligencję i zawodowy sukces. Teraz wyglądała jak wyrok.

PATOLOGIA

„Dziennik Buffalo”, 25 kwietnia 1997

Zgony

Doktor Robert Watts zaginął na morzu podczas gwałtownej burzy na zatoce Chesapeake. Był lekarzem, nauczycielem i szefem oddziału anatomopatologii w

szpitalu Świętego Pawła. Zginął w wieku sześćdziesięciu trzech lat. Pozostawił w żalu córkę i dwóch synów.

„Dziennik Buffalo”, 29 kwietnia 1997

Narodziny

Urodził się Brendan Garnet, 3900 gramów. Cała trójka, mama, doktor Janet Graceton, tata, doktor Earl Garnet, i maleństwo, czuje się dobrze.

W serii prima ukazały się:

Sandra Brown SZARADA Peter Clement ZABÓJCZA PRAKTYKA Wes Craven
STOWARZYSZENIE FONTANNA Nelson DeMille PLUM ISLAND Ken Follett
FILARY ZIEMI Ken Follett TRZECI BLIŹNIAK Andrew Greeley BIAŁY DYM
Joseph Heller BÓG WIE Joseph Heller TERAZ I WTEDY Jack Higgins DOTKNIJ
DIABLA Jack Higgins NOC LISA Jack Higgins LOT ORŁÓW Jack Higgins SOLO
Jack Higgins WSTĄPIĆ DO Piekła Stephen King DESPERACJA Stephen King
REGULATORZY Stephen King STREFA ŚMIERCI Peter Lerangis SZÓSTY
ZMYŚL Alastair MacNeill ŻĄDZA ZEMSTY Alastair MacNeill SZWADRON
ŚMIERCI Graham Masterton CIAŁO I KREW Graham Masterton CZTERNAŚCIE
OBLICZY STRACHU Graham Masterton DRAPIEŻCY Graham Masterton DWA
TYGODNIE STRACHU Graham Masterton MANITOU Graham Masterton SFINKS
Graham Masterton WALHALLA Graham Masterton WYZNAWCY PŁOMIENIA
Graham Masterton ZAKŁĘCI Graham Masterton ZEMSTA MANITOU Graham
Masterton ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ Alistair MacLean/Hugh Miller NA
CELOWNIKU

Chuck Palahniuk PODZIEMNY KRĄG Michael Palmer CICHA KURACJA Michael
Palmer EFEKTY UBOCZNE Michael Palmer EKSPERYMENT Michael Palmer
KRYTYCZNA TERAPIA Chris Ryan KREMLOWSKA ZABAWKA

W przygotowaniu:

Stephen Hunter CZARNE ŚWIATŁO

Michael Palmer Z PRZYCZYN NATURALNYCH